

Franz Kafka

PROCES

przełożył Jakub Ekier

officyna

Franz Kafka

PROCES

Przełożył: Jakub Ekier

Posłowia: Jakub Ekier, Łukasz Musiał

Spis treści

[Zatrzymanie](#)

[Rozmowa z panią Grobosch](#)

[Później panna Bzykier](#)

[Pierwsze przesłuchanie](#)

[W pustej sali posiedzeń](#)

[Student](#)

[Kancelarie](#)

[Batożnik](#)

[Stryj](#)

[Lenka](#)

[Adwokat](#)

[Fabrykant](#)

[Malarz](#)

[Kupiec Blockbaum](#)

[Wymówienie adwokatowi](#)

[W katedrze](#)

[Koniec](#)

[Fragmenty](#)

[Przyjaciółka panny B.](#)

[Prokurator](#)

[Do Elizy](#)

[Walka z wicedyrektorem](#)

[Budynek](#)

[Wyjazd do matki](#)

[Nie przed zwykłym sądem](#)

[Jakub Ekier](#)

[Nota](#)

[Parametry Kafki](#)

[Łukasz Musiał](#)

-

-

[Książkę polecają:](#)

Zatrzymanie

Ktoś musiał fałszywie oskarżyć Józefa K., bo przecież on nic złego nie zrobił, a został pewnego ranka pozbawiony wolności. Kucharka od pani Grobosch, wynajmującej mu pokój, przynosiła dla niego śniadanie dzień w dzień koło ósmej, jednak tym razem nie przyszła. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie unosząc głowy z poduszki, zaczekał, po chwili zobaczył, że stara kobieta, która mieszka naprzeciwko, obserwuje go z niezwykłą jak na siebie ciekawością, a wtedy, dotknięty i głodny, pociągnął za dzwonek. Zaraz usłyszał pukanie, po czym wszedł ktoś, kogo nigdy wcześniej w tym mieszkaniu nie widział. Szczupły, ale dobrze zbudowany mężczyzna miał na sobie ciasny czarny strój, który za sprawą różnych kieszonek, zakładek, guzików, klamerek i paska przypominał ubranie podróżne i wyglądał na bardzo praktyczny, choć nie było jasne, do czego służy.

– Kim pan jest? – zapytał K. i uniósł się w pościeli. Ale mężczyzna puścił to mimo uszu, jakby należało się zgodzić na jego widok, i spytał tylko:

– Pan dzwonił?

– Niech Anna przyniesie mi śniadanie – odparł K. i zamilkł, próbując na razie zebrać myśli i ustalić, kim tamten właściwie jest. Ale nie badał go spojrzeniem długo, bo mężczyzna uchylił drzwi i zwrócił się do kogoś, kto widocznie stał blisko w sąsiednim pokoju:

– On chce, żeby Anna przyniosła mu śniadanie.

Lekki śmiech za drzwiami zabrzmiał tak, że nie było pewne, czy nie bierze w tym udziału kilka osób. Nieznajomy, choć nic się nowego nie dowiedział, oznajmił K. tonem meldunku:

– To nie będzie możliwe.

– Ciekawe. – K. wyskoczył z łóżka i szybko włożył spodnie. – Chcę zobaczyć, co to za ludzie za drzwiami i jak mi pani Grobosch wytłumaczy zakłócanie mojego spokoju. – Pomyślał, że to niepotrzebne słowa i że przez nie, choć nie są teraz najważniejsze, częściowo przyznał mężczyźnie prawo nadzoru. Nieznajomy tak właśnie go zrozumiał, skoro spytał:

– Nie zechce pan tu zostać?

– Nie zechcę zostać i nie chcę, żeby pan do mnie mówił, nie przedstawivszy się.

– To było z życzliwości – odpowiedział nieznajomy i sam otworzył drzwi. Sąsiedni pokój, dokąd K. wszedł wolniej, niżby chciał, pokój bawialny pani Grobosch, ze swoim natłokiem mebli, fotografii, narzut, obrusów i przedmiotów z porcelany, na pierwszy rzut oka wyglądał niemal tak samo jak wieczorem poprzedniego dnia. Wydawał się może trochę przestronniejszy, ale trudno to było w pierwszej chwili ocenić, zwłaszcza że główna zmiana polegała na obecności jakiegoś mężczyzny, który siedział z książką przy otwartym oknie i właśnie podniósł oczy.

– Miał pan zostać u siebie! Franciszek nie powiedział?

– A panowie w jakiej sprawie? – K. obrzucił wzrokiem rzeczonoego Franciszka, ciągle stojącego w progu, a potem jeszcze raz się przyjrzał nowemu znajomemu. Znowu było widać naprzeciwko tę kobietę, bo z iście starczą ciekawością przeszła tymczasem do sąsiedniego okna, chcąc wszystko dalej obserwować.

– Chcę, żeby pani Grobosch... – powiedział i jakby wyrwijąc się oddalonym od niego mężczyznom, ruszył do kolejnych drzwi.

– Nie. – Ten przy oknie rzucił książkę na jeden ze stolików i wstał. – Pan nie może stąd wyjść, przecież jest pan zatrzymany.

– Na to wygląda – odparł K. i po chwili spytał: – A dlaczego?

– Nie jesteśmy od mówienia panu takich rzeczy. Proszę iść do swojego pokoju i czekać. Wdrożono postępowanie, i tyle, wszystkiego dowie się pan we właściwym czasie. Przekraczam swoje uprawnienia, kiedy mówię do pana po dobremu. Ale mam nadzieję, że tego nikt nie słyszy prócz Franciszka, a on też jest dla pana uprzejmy, wbrew przepisom. Jeżeli dalej będzie pan miał takie szczęście jak do wyznaczonych sobie strażników, to może pan być spokojny.

K. chciał usiąść, ale nagle zauważył, że w całym pokoju nie byłoby na czym, jeżeli nie liczyć krzesła przy oknie.

– Jeszcze się pan przekona, ile w tym wszystkim prawdy – powiedział Franciszek i w tej samej chwili obaj podeszli do K. Znacznie go przewyższali wzrostem, zwłaszcza ten drugi mężczyzna, który co chwila klepał K. po ramieniu. Dotykali jego nocnej koszuli, mówiąc, że teraz będzie musiał włożyć koszulę znacznie gorszą, ale że tę z całą resztą bielizny obaj przechowają i zwrócą, gdyby sprawa rozstrzygnęła się pomyślnie: – Lepiej niech pan to wszystko odda nam zamiast w depozyt, bo w depozycie często dochodzi do przywłaszczeń, a z czasem rzeczy są sprzedawane bez względu

na to, czy odnośne postępowanie się skończyło, czy nie. A ileż takie procesy trwają, zwłaszcza ostatnio! Owszem, w końcu dostałby pan z depozytu utarg, jednak, po pierwsze, i tak byłyby mały, bo przy sprzedaży decyduje kwota nie oferty, ale łapówki, a po drugie, jak wiemy z doświadczenia, takie utargi jeszcze maleją, kiedy z roku na rok przechodzą z ręki do ręki.

Nie słuchał tego zbyt uważnie, mniej mu zależało na rozporządzaniu rzeczami, do czego pewnie zachował jeszcze prawo, bardziej natomiast na wyświetleniu własnej sytuacji, ale przy tych dwóch nie mógł się ani przez chwilę zastanowić; ten drugi strażnik – bo to mogli być tylko strażnicy – co chwila trącał go po przyjacielsku brzuchem, a kiedy K. podnosił wzrok, dostrzegał niepasującą do grubego ciała kościstą i chudą twarz o wydatnym, skrzywionym nosie, twarz, która ponad jego głową porozumiewała się z drugim strażnikiem. Co to za ludzie? Co oni mówią? Jakie reprezentują organa? Przecież K. żyje w praworządnym państwie, wszędzie panuje pokój, wszelkie ustawy pozostają w mocy, kto śmie go nachodzić we własnym mieszkaniu? Nigdy nie był skłonny do zamartwiania się, nie wierzył w najgorsze aż do chwili jego nadejścia i lekceważąc niebezpieczeństwa, nie dbał o przyszłość. Ale uznał, że teraz byłoby to błędem; owszem, koledzy z banku mogli mu dzisiaj z jakichś powodów, choćby z okazji trzydziestych urodzin, zrobić żart, prostacki żart, niewykluczone oczywiście, i może wystarczy, żeby roześmiał się strażnikom w twarz, a oni też obrócą wszystko w śmiech, może to są ludzie na posyłki najęci z ulicy, trochę tak nawet wyglądają – a jednak już na widok strażnika Franciszka postanowił, że wobec tych dwóch nie wypuści z ręki nawet najmniejszego z możliwych atutów. Choć nie bardzo się przejął groźbą, że ktoś mu później zarzuci brak poczucia humoru, i choć nie miał zwyczaju wyciągać nauki z własnych doświadczeń, przypomniał sobie właśnie pewne skądinąd błahe przypadki, kiedy w odróżnieniu od przyjaciół świadomie popełniał jakąś nieostrożność, nie chcąc sobie wyobrazić jej konsekwencji, oraz jak je następnie ponosił. Nie chciał, żeby znowu tak się stało, przynajmniej tym razem, a jeżeli to komedia, zamierzał w niej też odegrać rolę. Jeszcze był wolny.

– Panowie wybaczą – powiedział i szybko przeszedł między strażnikami do swojego pokoju.

– Wydaje się niegłupi – usłyszał za plecami. W pokoju zaczął wyszarpywać szuflady biurka, wszystko leżało tam w wielkim porządku, jednak ze zdenerwowania nie mógł znaleźć akurat tych legitymacji, których szukał.

Wreszcie znalazł legitymację cyklistowską i już nawet miał pójść do strażników, ale pomyślał, że ona zbyt mało znaczy; szukał dalej, aż znalazł akt urodzenia. Kiedy wrócił do sąsiedniego pokoju, akurat otwarły się przeciwległe drzwi i chciała wejść pani Grobosch. Pojawiła się tylko na chwilę, bo na jego widok popadła w wyraźne zakłopotanie, przeprosiła i bardzo ostrożnie zamknęła drzwi. Zdążył tylko powiedzieć:

– Niech pani wejdzie!

A teraz stał z papierami na środku pokoju, patrzył jeszcze na drzwi, które się więcej nie otwarły, i oprzytomniał dopiero zagadnięty przez tych dwóch; siedzieli przy stoliku pod otwartym oknem i, jak teraz odkrył, spożywali jego śniadanie.

– Dlaczego nie weszła? – spytał.

– Nie wolno jej – odpowiedział ten wysoki. – Przecież pan jest zatrzymany.

– Ja zatrzymany? W taki sposób?

– No i znowu pan zaczyna – strażnik zanurzył kromkę chleba z masłem w słoiku miodu. – Na takie pytania nie odpowiadamy.

– Będą panowie musieli. Oto moje legitymacje, a teraz proszę mi pokazać swoje i przede wszystkim nakaz zatrzymania.

– Wielkie nieba! – powiedział strażnik. – Że też zamiast się pogodzić ze swoją sytuacją, tylko nas pan niepotrzebnie i z dziwnym uporem drażni, nas, którzy teraz jesteśmy pewnie najbliższymi panu ludźmi.

– Otóż to, niechże pan uwierzy – dodał Franciszek z filiżanką kawy w rękę; nie podniósł jej do ust, tylko obrzucił K. spojrzeniem, przeciągłym, być może znaczącym, ale niezrozumiałym. K. mimo woli wdał się z Franciszkiem w rozmowę spojrzeń, ale w końcu uderzył dłonią w swoje papiery, mówiąc:

– Oto moje legitymacje.

– A co nas one obchodzą? – tym razem już wykrzyknął drugi strażnik. – Pan się zachowuje gorzej niż dziecko. Na co pan liczy? Na to, że pański przeklęty wielki proces szybko się skończy dzięki dyskusjom z nami, strażnikami, o legitymacjach i nakazach zatrzymania? My jesteśmy pracownikami niskiego szczebla, którzy się na legitymacjach nie znają, a z całą sprawą mają tylko tyle wspólnego, że dziesięć godzin dziennie pełnią przy panu straż i dostają za to wynagrodzenie. Niczym więcej nie jesteśmy, ale jedno wiemy: że wysokie organa, którym służymy, zanim zarządzą takie zatrzymanie, zbierają bardzo dokładne informacje o jego podstawach i osobie zatrzymanego. Tu nie ma pomyłek. Bo chociaż znam tylko nasze organa

bardzo niskiego szczebla, jednak wiem, że bynajmniej nie szukają winy wśród ludności, ale że według prawa to wina przyciąga organa, a one muszą rozsyłać nas, strażników. Takie jest prawo. Gdzie tu pomyłka?

– Tego prawa nie znam – odpowiedział K.

– Tym gorzej dla pana.

– Ono chyba istnieje tylko w waszych głowach – odparł, chcąc potajemnie wniknąć w ich myślenie, obrócić je na swoją korzyść albo się z tym myśleniem oswoić. Ale strażnik zbył go, mówiąc:

– Jeszcze pan odczuje to prawo na sobie.

Wtrącił się Franciszek:

– Zobacz, Wilhelm, on przyznaje, że nie zna prawa, a jednocześnie twierdzi, że jest niewinny.

– Masz rację, ale jemu się nic nie wytłumaczy.

K. nie odpowiadał. „Czy mam pozwolić – myślał – żeby takie organa, według ich własnych słów najniższe, jeszcze bardziej mieszały mi w głowie swoją paplaniną? Mówią o rzeczach, których w ogóle nie rozumieją. Ich pewność siebie wynika z głupoty. Kilka słów, jakie zamienię z człowiekiem równym sobie, wyjaśni wszystko bez porównania lepiej niż najdłuższe rozmowy z tymi tutaj”. Zaczął chodzić po tej części pokoju, gdzie było trochę przestrzeni. Naprzeciwko zobaczył starą kobietę, która przywlokła do okna jeszcze starszego mężczyznę i go podtrzymywała; pora była, żeby K. skończył z tym przedstawieniem.

– Proszę mnie zaprowadzić do waszego przełożonego – powiedział.

– Nie wcześniej, niż on sobie zażyczy – odpowiedział strażnik imieniem Wilhelm. – A teraz – dodał – radzę iść do siebie, zachowywać się spokojnie i czekać na zarządzenia w swojej sprawie. Obaj radzimy, żeby pan się bez potrzeby nie rozpraszał, tylko pozbierał myśli, stanie pan przed trudną próbą. Potraktował nas pan gorzej, niż na to zasłużyliśmy swoją życzliwością, i zapomniał pan, że kimkolwiek byśmy byli, jesteśmy przynajmniej teraz wobec pana wolnymi ludźmi, a to nie byle jaka przewaga. Ale mimo to, jeżeli ma pan jakieś pieniądze, chętnie z tej kawiarni naprzeciw przyniesiemy śniadanko.

K., nie odpowiedziawszy na tę propozycję, przez chwilę stał bez ruchu. A jeżeli otworzy drzwi do drugiego pokoju czy nawet przedpokoju, to może ci dwaj nie ośmielą się mu przeszkodzić, może najprostszym rozwiązaniem będzie postawienie wszystkiego na ostrzu noża? Ale wtedy mogliby go

złapać, a obezwładniony straciłby względną przewagę, jaką jeszcze nad nimi zachował. Dlatego wybrał rozwiązanie bezpieczne, zostawiając rzeczy ich naturalnemu biegowi; nie zamienił ze strażnikami ani słowa więcej i wrócił do swojego pokoju.

Padł na łóżko i wziął z nocnego stolika piękne jabłko, które wieczorem przygotował sobie do śniadania. Teraz było jego całym śniadaniem, a pierwszy duży kęs go upewnił, że na pewno znacznie lepszym niż to, jakie strażnicy w drodze łaski mogliby mu przynieść z plugawej nocnej kawiarni. Poczul błogi spokój; co prawda nie stawiał się dziś przed południem w banku, ale dzięki swojemu dosyć wysokiemu stanowisku łatwo to usprawiedliwi. A może jako usprawiedliwienie podać prawdę? Tak postanowił. Gdyby mu nie uwierzono, co byłoby w tym wypadku zrozumiałe, wzięłby na świadka panią Grobosch albo nawet tamtych dwoje starców, odbywających teraz pewnie marsz do okna naprzeciwko. Dziwił się strażnikom, że go zapędzili do pokoju i zostawili samego, skoro tutaj, co najmniej z ich punktu widzenia, istnieją aż nazbyt dobre warunki do samobójstwa. Ale jednocześnie zadał sobie pytanie, jaki, już z własnego punktu widzenia, miałby powód, żeby je popełnić. Niby taki, że za drzwiami siedzą tamci dwaj i że mu podebrali śniadanie? Samobójstwo byłoby czymś zupełnie nonsensownym i właśnie dlatego nie potrafiliby go popełnić, choćby chciał. Gdyby nie dziwna ograniczoność strażników, można by przyjąć, że podzielają jego przekonanie i że dzięki temu bez obaw zostawili go samego. Niechby sobie teraz patrzyli, jak podchodzi do ściennej szafki, gdzie trzyma dobrą wódkę, jak wypija kieliszek tytułem rekompensaty za śniadanie, a drugi w tym celu, żeby sobie, choć to pewnie zbyteczna przezorność, dodać odwagi.

Nagle ze strachu szczęknął zębami o szkło, usłyszawszy zza drzwi okrzyk:

– Nadzorca woła!

Przestraszył go jedynie ten krzyk, urywany kaprański wrzask, jakiego nie oczekiwał po strażniku Franciszku. Sam rozkaz był mu bardzo na rękę.

– Wreszcie! – odkrzyknął, zamknął szafkę i pospieszył do bawialni. Stojący tam strażnicy, jakby to było oczywiste, zagnali go z powrotem do pokoju.

– Co za pomysł! – wołali. – W koszuli chcesz pan stanąć przed nadzorcą? On każe panu spuścić baty, i nam też!

– Dajcie mi spokój, do diabła! – krzyknął K., kiedy go zawrócili aż do szafy garderobianej. – Jak mnie ktoś nachodzi w łóżku, to niech się nie spodziewa, że będę w odświeżonym garniturze!

– To nic nie da – mówili strażnicy, którzy, ilekroć podnosił krzyk, reagowali spokojem, niemal smutkiem, przez co go trochę peszyli i przywoływali do porządku.

– Śmiechu warte ceregiele! – mamrotał jeszcze, ale trzymał już oburącz marynarkę zdjętą z krzesła, jakby ją poddając osądowi strażników. Pokręcili głowami.

– Powinna być czarna – odpowiedzieli, a wtedy rzucił marynarkę na podłogę i sam nie wiedząc, co mówi, odparł:

– Przecież to jeszcze nie rozprawa główna.

Strażnicy uśmiechnęli się, jednak obstawali przy swoim:

– Powinna być czarna marynarka.

– No dobrze, jeżeli to przyspieszy sprawę – powiedział K., otworzył szafę, długo przeglądał liczne ubrania, wybrał najlepsze czarne ubranie z żakietem, którego wcięcie wzbudziło kiedyś wśród jego znajomych lekką sensację, zmienił też koszulę i zaczął się starannie ubierać. W skrytości pomyślał, że zyskuje na czasie, ponieważ strażnicy zapomnieli o tym, by go zmusić do porannej toalety. Obserwował, czy sobie jednak nie przypomną, ale oczywiście na to nie wpadli; natomiast Wilhelm nie omieszkał wysłać Franciszka do nadzorcy z wiadomością, że K. się ubiera.

Kiedy już skompletował ubiór, Wilhelm, idąc tuż za nim, zaprowadził go przez pustą bawialnię do następnego pokoju, którego dwuskrzydłowe drzwi tymczasem otwarto. Pokój ten, o czym K. dobrze wiedział, zamieszkiwała od niedawna niejaka panna Bzykier, stenotypistka, która wychodziła do pracy wcześniej rano, wracała późno i z którą oprócz powitalnych formuł dotychczas nie zamienił niemal słowa. Teraz odsunięty od jej łóżka nocny stolik stał na środku pokoju w charakterze stołu rozpraw, a przy nim siedział nadzorca. Nogę miał założoną na nogę, ramię przewieszane przez oparcie krzesła. W kącie stali trzej młodzi ludzie i oglądali fotografie panny Bzykier przypięte do maty na ścianie. Na kłamce otwartego okna wisiła biała bluzka. W oknie naprzeciwko znowu opierało się o parapet dwoje starców, ale przybył im do towarzystwa znacznie wyższy mężczyzna, który stał z tyłu w rozpiętej na piersiach koszuli, palcami miętosząc i mierzwiąc rudawą bródkę.

– Józef K.? – spytał nadzorca, zapewne, żeby ściągnąć na siebie jego rozbiegane spojrzenie.

K. skinął głową.

– Pan chyba jest bardzo zaskoczony wydarzeniami dzisiejszego ranka? – spytał znów nadzorca i oburącz przesunął leżącą na nocnym stoliku świecę z zapawkami, książkę i poduszeczkę na igły, jakby właśnie tych przedmiotów potrzebował do rozprawy.

– Owszem – odpowiedział K. w błogim poczuciu, że wreszcie stoi przed rozumnym człowiekiem, z którym może pomówić o swojej sprawie. – Owszem, jestem zaskoczony, jednak wcale nie bardzo.

– Wcale nie bardzo? – Nadzorca ustawił na środku stolika świecę, a resztę przedmiotów zgromadził wokół niej.

– Być może źle mnie pan zrozumiał – zaznaczył spiesznie K. – Chciałem powiedzieć... – Tu przerwał i rozejrzał się za krzesłem. – Chyba mogę usiąść?

– To nie jest przyjęte.

– Chciałem powiedzieć – ciągnął K. już bez żadnej przerwy – że co prawda jestem bardzo zaskoczony, ale kto na tym świecie przeżył trzydzieści lat i kto, jak mnie to było przeznaczone, musiał sobie sam zapewniać byt, ten jest odporny na niespodzianki i nie bardzo się nimi przejmuje. Zwłaszcza nie takimi jak ta dzisiaj.

– Dlaczego zwłaszcza nie takimi jak ta dzisiaj?

– Nie powiem, żebym tę niespodziankę brał za żart. Jak na to byłaby zbyt dużym przedsięwzięciem, bo oprócz was, panowie, musiałyby w tym wszystkim wziąć udział pani Grobosch i jej lokatorzy, co przekroczyłoby granice żartu. Dlatego nie powiem, że to żart.

– Bardzo słusznie – odpowiedział nadzorca, sprawdzając ilość zapalek w pudełku.

– Jednak z drugiej strony – dalsze słowa K. skierował do wszystkich, miał nawet ochotę się odwrócić do tamtych trzech koło fotografii – z drugiej strony, sprawa nie może być wielkiej wagi. Wnoszę to stąd, że jestem oskarżony, ale nie znajduję najdrobniejszej winy, o jaką by mnie można oskarżyć. Jednak i to nie ma znaczenia, główne pytanie brzmi: Kto mnie oskarża? Jakie organa prowadzą postępowanie? Czy panowie są jakimiś funkcjonariuszami? Nikt z was nie ma na sobie uniformu, chyba żeby – tu zwrócił się do Franciszka – nazwać uniformem pański strój, ale to raczej ubranie podrózne. W tych kwestiach żądam wyjaśnień i jestem przekonany, że po ich otrzymaniu rozstaniemy się w przyjaźni.

Nadzorca trzasnął pudełkiem zapalek o blat.

– Jest pan w wielkim błędzie. Ani ci tutaj panowie, ani ja nie mamy dla pańskiej sprawy żadnego znaczenia, ba, niewiele o niej wiemy. Nie wyglądałaby ona ani trochę gorzej, gdybyśmy mieli na sobie najnormalniejsze uniformy. Nawet nie mogę potwierdzić, że pan jest oskarżony, a raczej nie wiem, czy tak jest. Jest pan zatrzymany, to się zgadza, i więcej nie wiem. Może strażnicy nagadali co innego, ale jeżeli tak, to tylko gadanie. Więc choć nie znam odpowiedzi na pańskie pytania, to mam dobrą radę: Proszę nie myśleć tyle ani o nas, ani o tym, co się z panem wydarzy, proszę się raczej zastanowić nad sobą. I niech się pan tak bardzo nie obnosi ze swoim poczuciem niewinności, to psuje niezłe skądinąd wrażenie, jakie pan sprawia. W ogóle zresztą doradzałbym większą powściągliwość w mowie, jak dotąd zamiast wszystkich pana słów starczyłoby zaledwie kilka, a resztę można było wywnioskować z pańskiego zachowania, i nie wypadło to zbyt korzystnie.

K. wpatrywał się w nadzorcę. Szkolne nauki będzie mu tutaj dawał ktoś być może młodszy? Za szczerość wymierzają mu karę nagany? A o przyczynie zatrzymania i o mocodawcy nie dowie się niczego? Trochę się zdenerwował, zaczął bez przeszkód z czyjejkolwiek strony chodzić w tę i we w tę, podciągał sobie mankiety, dotykał piersi, poprawiał włosy, minął tamtych trzech panów, powiedział „toż to nonsens!”, na co się odwrócili i spojrzeli na niego życzliwie, ale z powagą, a w końcu wrócił przed stolik nadzorcy i stanął.

– Moim bliskim przyjacielem jest prokurator Narwanski – powiedział. – Czy mogę do niego zatelefonować?

– Oczywiście – odparł nadzorca – ale nie wiem, jaki by to miało sens, chyba że chce pan z nim omówić jakąś prywatną sprawę.

– Jaki sens? – zawołał K. raczej ze zgrozą niż ze złością. – Niby kim pan jest? Pan pyta o sens, a sam urządza takie widowisko, że trudno o większy nonsens? Czy to nie jest porażająco żalosne? Najpierw ci panowie naszli mnie, a teraz tu sobie siedzą albo stoją i każą mi przed panem skakać w lansadach. Jaki sens miałyby telefon do prokuratora, skoro jestem podobno zatrzymany? Dobrze, nie będę telefonował.

– Ależ proszę – nadzorca wyciągnął rękę w stronę przedpokoju, gdzie był telefon. – Proszę, niech pan telefonuje.

– Nie, już mi się odechciało. – K. podszedł do okna. Zdawało się, że przez to zakłócił trochę spokój widzów, którzy ciągle tkwili w oknie naprzeciw.

Starcy chcieli się podnieść, ale mężczyzna za nimi ich uspokajał.

– Tam też są tacy widzowie! – zawołał K. do nadzorcy i wskazał palcem za okno. – Precz mi stąd! – krzyknął do tamtych trojga. Cofnęli się zaraz o kilka kroków, schowali się nawet za mężczyzną, który osłonił ich rozłożystym ciałem i, jak na to wskazywały ruchy ust, wypowiedział jakieś niezrozumiałe z oddalenia słowa. Ale nie znikli, tylko chyba czekali na chwilę, kiedy mogliby niepostrzeżenie podejść z powrotem do okna.

– Nietaktowni natręci! – powiedział K. i odwrócił się w stronę pokoju. Kiedy spojrział z ukosa, wydało mu się, że nadzorca przytaknął. Możliwe jednak, że wcale nie słuchał, skoro przyciskał dłoń do stolika, jakby porównując długość swoich palców. Dwaj strażnicy siedzieli na przykrytym ozdobną narzutą kufrze i pocierali sobie kolana. Trzej młodzi ludzie, oparłszy dłonie na biodrach, bładzili wzrokiem dookoła. Było cicho jak w biurze, o którym nikt nie myśli.

– Cóż, panowie! – zawołał K. i przez chwilę miał poczucie, jakby ich wszystkich dźwigał na swoich barkach. – Kiedy się tak patrzy na was, można odnieść wrażenie, że moja kwestia została zamknięta. Uważam, że najlepiej będzie nie zastanawiać się już nad zasadnością czy bezzasadnością waszych poczynań, tylko zakończyć sprawę ugodą i uściskiem dłoni. Jeżeli panowie też tak uważają, to proszę...

Wyciągnąwszy rękę, stanął przy stoliku. Nadzorca podniósł oczy, przygryzł wargi i spojrział na dłoń K., który jeszcze liczył na taki pojednawczy gest. Ale nadzorca wstał, wziął leżący na łóżku panny Bzykier melonik i oburącz, jak przymierza się nowe kapelusze, ostrożnie nasadził go na głowę.

– Jakie dla pana wszystko proste! – mówił jednocześnie do K. – Mielibyśmy zakończyć sprawę ugodą, powiada pan? Nie, naprawdę nie sposób. Z drugiej strony bynajmniej przez to nie twierdzę, że ma pan powód do rozpacz. Nie, skądże! Jest pan tylko zatrzymany, nic więcej. O tym miałem pana powiadomić, powiadomiłem i zobaczyłem, jak pan to przyjął. Tyle na dzisiaj, możemy się pożegnać, ale tylko chwilowo. Pan pewnie chce teraz iść do banku?

– Do banku? Myślałem, że jestem zatrzymany. – K. zapytał z pewną przekorą, bo choć nie przyjęto jego wyciągniętej ręki, to jednak, zwłaszcza od chwili, kiedy nadzorca wstał, poczuł się od tych ludzi mniej zależny. Igrał z nimi. Gdyby wyszli, pobiegłby za nimi aż do bramy i proponował pozbawienie go wolności. Dlatego powtórzył: – Jak mogę iść do banku,

skoro jestem zatrzymany?

– Ach tak – odpowiedział nadzorca już ode drzwi – źle mnie pan zrozumiał, jest pan zatrzymany, owszem, ale może pan bez przeszkód wykonywać swój zawód. Niech pan też prowadzi zwykły tryb życia.

– Więc takie zatrzymanie to nic strasznego – powiedział K. i stanął blisko nadzorcy.

– Nigdy nic innego nie mówiłem.

– Więc o takim pozbawieniu wolności raczej nie warto mnie było zawiadamiać – powiedział K. i jeszcze bardziej się do nadzorcy zbliżył. Tamci też tymczasem bliżej podeszli. Wszyscy stali teraz ciasno stłoczeni przy drzwiach.

– To był mój obowiązek – powiedział nadzorca.

– Głupi obowiązek – odpowiedział K. nieustępliwie.

– Być może, ale nie traćmy czasu na takie rozmowy. Myślałem, że chce pan iść do banku. Przykłada pan taką wagę do słów, dlatego dodam: nie każę iść do banku, myślałem tylko, że pan będzie chciał. A żeby ułatwić panu przyjscie do banku bez rzucania się w oczy, trzymałem tu do pańskiej dyspozycji trzech pana kolegów.

– Co? – K. spojrzał na nich ze zdumieniem. Ci młodzi ludzie, nijacy i cherlawi, których pamiętał tylko jako grupkę przy fotografiach, byli rzeczywiście urzędnikami jego banku, nie kolegami, to przesada, nadzorca okazał się nie taki znowu wszechwiedzący, ale, owszem, urzędnikami niższej rangi. Jak K. mógł ich nie poznać? Jak musieli pochłaniać jego uwagę nadzorcy i strażnicy, skoro nie widział, kim są tamci trzej! Drętwy, machający rękami Wronenkruck, blondyn Puchaček o głęboko osadzonych oczach i Kamieniower ze swoim okropnym uśmiechem, wywołanym przez chroniczne naciągnięcie mięśni.

– Dzień dobry! – powiedział po chwili K., na grzeczny ukłon trzech urzędników podając im rękę. – Nie poznałem panów. To może idźmy do pracy, dobrze?

Jakby cały czas na to czekali, gorliwie i ze śmiechem pokiwali głowami i tylko kiedy K. wspomniał o kapeluszu zostawionym w pokoju, pobiegli tam gęsiego wszyscy trzej, co świadczyło jednak o pewnym zakłopotaniu. K. stał bez ruchu i spoglądał za nimi przez dwoje otwartych drzwi; obojętny Wronenkruck oczywiście ruszył ostatni, z dystynkcją i zaledwie kłusem. Kapelusz wręczył Kamieniower, a wtedy K., jak zresztą niejednokrotnie

wcześniej w banku, musiał sobie wyraźnie powiedzieć, że ten urzędnik nie uśmiecha się świadomie, ba, że nawet by nie zdołał. W przedpokoju pani Grobosch bez wielkiego poczucia winy otworzyła przed całą grupą drzwi wejściowe i K. spojrział nie pierwszy raz na tasiemkę jej fartucha, niepotrzebnie wpijającą się w potężne ciało. Na dole wyjął zegarek i nie chcąc bez konieczności zwiększać półgodzinnego już spóźnienia, postanowił, że wezwie któryś z tych automobilów na rogu. Kamieniower pospieszył tam, dwaj pozostali wyraźnie próbowali K. zabawić, aż nagle Puchaček wskazał kamienicę naprzeciwko; z bramy wychodził mężczyzna z jasną bródką, ale krępując się od razu wystąpić w całej okazałości, cofnął się i przywarł do ściany. Dwoje starców pewnie było dopiero na schodach. K. zezłościł się, że to Puchaček zwrócił uwagę na mężczyznę, którego on już wcześniej widział, ba, nawet oczekiwał.

– Nie patrzcie tam – rzucił, nie dostrzegając, jaki to dziwny sposób zwracania się do ludzi dorosłych. Ale nie musiał się tłumaczyć, bo akurat nadjechał automobil, więc wsiedli i ruszyli. Wtedy K. przypomniał sobie, że nie zauważył odejścia nadzorcy ze strażnikami; przedtem nadzorca przesłonił mu trzech urzędników, a teraz urzędnicy nadzorcę. Nie świadczyło to o zbytnej przytomności umysłu, więc K. postanowił, że będzie się pod tym względem pilnował. Odruchowo jeszcze się wychylił do tyłu nad spuszczone dachem auta, żeby poszukać nadzorcy i strażników. Ale czym prędzej, nawet nie próbując nikogo wypatrzeć, z powrotem się rozsiadł na swoim miejscu w rogu pojazdu. Wbrew pozorom właśnie teraz potrzebował słowa otuchy, a tymczasem trzej panowie robili wrażenie zmęczonych, Wronenkruck wyglądał z auta na prawo, Puchaček na lewo i do usług był tylko wyszczerzony Kamieniower; niestety, względy humanitarne nie pozwalały żartować z jego uśmiechu.

Rozmowa z panią Grobosch

Później panna Bzykier

Tej wiosny K. zwykł spędzać wieczory następująco: po pracy w biurze, gdzie przeważnie siedział do dziewiątej, robił jeszcze w miarę możliwości mały spacer sam lub ze znajomymi, po czym szedł do pewnej piwiarni i wśród jej bywalców, starszych na ogół panów, przesiadywał przy stoliku najczęściej do jedenastej. Bywały jednak wyjątki od tego rozkładu zajęć, kiedy na przykład dyrektor banku, bardzo ceniący jego uzdolnienia i rzetelność, zapraszał go na przejażdżkę autem albo na kolację do swojej willi. Poza tym raz na tydzień K. odwiedzał dziewczynę imieniem Eliza, której noce i poranki schodziły w winiarni na usługiwaniu, a dni – w łóżku na przyjmowaniu gości.

Tego dnia jednak, a minął on szybko wśród wytężonej pracy i składanych mu powinszowań urodzinowych pełnych szacunku oraz przyjaźni – tego dnia chciał iść wieczorem prosto do domu. Tak myślał w krótkich wolnych od zajęć chwilach; nie wiadomo dlaczego czuł, że poranne zdarzenia wprowadziły w całym mieszkaniu pani Grobosch wielki nieporządek i właśnie K. jest potrzebny do przywrócenia porządku. A kiedy go przywróci, wszelkie ślady tamtych zdarzeń znikną i wszystko się potoczy zwykłym trybem. Niegroźni okazali się zwłaszcza trzej urzędnicy, pochłonęło ich wielkie ciało urzędnicze banku, nie było po nich widać żadnej zmiany. Dla samej obserwacji często wzywał ich osobno albo wspólnie do swojego biura i odsyłał za każdym razem spokojny.

Kiedy o pół do dziesiątej wieczór dotarł pod kamienicę, gdzie mieszkał, napotkał w bramie chłopaka, który stał rozkraczony i palił fajkę.

– Kim pan jest? – zapytał i przybliżył do niego twarz, półmrok sieni niewiele pozwalał zobaczyć.

– Synem stróża, proszę pana. – Chłopak wyjął fajkę z ust i się odsunął.

– Synem stróża? – K. niecierpliwie postukiwał laską w ziemię.

– Szanowny pan ma jakieś życzenie? Pójść po ojca?

– Nie, nie – odpowiedział K. takim głosem, jakby chłopak coś złego popełnił, a on mu wybaczał. – Wszystko dobrze – dodał po chwili i ruszył dalej, ale zanim wszedł po schodach, jeszcze się obejrzał.

Mógł iść prosto do swojego pokoju, ale chciał pomówić z panią Grobosch,

więc zapukał do jej drzwi. Siedziała, robiąc pończochę na drutach, a przed nią na stole piętrzyły się stare pończochy. K. z roztargnieniem przeproszał, że niepokoi o tak późnej porze, ale była bardzo uprzejma i nie chciała słuchać żadnych przeprosin, dla niego zawsze ma czas, przecież sam dobrze wie, że jest jej najlepszym i najulubieńszym lokatorem. K. rozejrzał się, pokój wrócił całkowicie do dawnego stanu, ze stolika przy oknie uprzątnięto nawet naczynia, które stały tam rano po zjedzonym śniadaniu. Ręce kobiet umieją po cichu dużo zdziałać, pomyślał; on by prędzej wyłukł te naczynia, niż je wyniósł. Spojrzał na panią Grobosch z pewną wdzięcznością.

– Dlaczego pani jeszcze tak późno pracuje? – Oboje siedzieli przy stole i K. od czasu do czasu zanurzał dłoń w pończochach.

– Tyle jest roboty – odpowiedziała. – Za dnia poświęcam się lokatorom, a jak chcę dojść do ładu ze swoimi sprawami, zostaje mi tylko wieczór.

– Dzisiaj chyba przysporzyłem pani pracy.

– Niby czemu? – spytała trochę żywiej, robótka spoczęła na jej podołku.

– Mam na myśli tych ludzi, którzy tu byli dziś rano.

– Ach tak – odparła i z powrotem zapadła w bezruch. – To mi nie przysporzyło pracy.

Patrzył w milczeniu, jak znów podnosi robótkę. „Tak jakby dla niej było czymś dziwnym, że chcę o tym rozmawiać, jakby to było czymś niewłaściwym – pomyślał. – Tym bardziej muszę. Mogę o tym porozmawiać tylko ze starą kobietą”.

– Owszem, jednak przysporzyło – powiedział w końcu – ale to się nie powtórzy.

– Nie powtórzy się, nie może – potwierdziła i uśmiechnęła się do K. niemal tęsknie.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Tak – odpowiedziała ciszej. – Ale przede wszystkim niech się pan za bardzo nie martwi. Co się w tym świecie nie wyczynia! Skoro już rozmawiamy, proszę pana, w zaufaniu, to przyznam się panu, że trochę słuchałam zza drzwi, a kilka rzeczy powiedzieli mi też ci dwaj strażnicy. Tu chodzi o pana pomyślność, a ona leży mi na sercu, może nawet bardziej, niżby wypadało, bo ja tylko wynajmuję pokoje. No więc słyszałam parę rzeczy, ale nie powiem, żeby coś bardzo niedobrego. Nie. Pan co prawda został zatrzymany, ale nie jak złodziej. Kiedy ktoś jest zatrzymany jak złodziej, to wtedy jest coś niedobrego, ale takie zatrzymanie... To mi

wygląda na jakieś uczoności, przepraszam, jeżeli coś powiem głupio, to mi wygląda na uczoności, których wprawdzie nie rozumiem, ale których rozumieć nie trzeba.

– Wcale nie mówi pani głupio, w każdym razie ja myślę dosyć podobnie, tyle że, droga pani, osądzam całą rzecz jeszcze surowiej i nie uważam jej nawet za uczość, lecz mam ją za nic. Wzięto mnie z zaskoczenia, i tyle. Gdybym zaraz po obudzeniu nie dał się zbić z tropu nieprzyjściem Anny i nie leżał w łóżku, ale od razu poszedł do pani, nie zważając na nikogo, kto mi stanie na drodze, gdybym na przykład wyjątkowo zjadł śniadanie w kuchni i poprosił panią o dostarczenie mi garderoby z pokoju, słowem, gdybym postąpił rozumnie, nic by się później nie stało, wszystko bym zdusił w zarodku. Ale człowiek jest tak słabo przygotowany. W banku, owszem, jestem przygotowany, tam nic takiego nie mogłoby mi się przydarzyć, mam własnego woźnego, na moim biurku stoją telefony, ogólny i wewnętrzny, cały czas przychodzą różni ludzie, to znaczy, strony w interesach albo urzędnicy, a przede wszystkim tam jestem cały czas wciągnięty w pracę i dzięki temu obecny duchem, tam by mnie nawet bawiło, gdybym napotkał taką sprawę. Ale cóż, było, minęło i w gruncie rzeczy nie chciałem więcej mówić o tym, tylko chciałem usłyszeć, co pani sądzi, co sądzi rozumna kobieta, i bardzo cieszy mnie, że jesteśmy jednomyślni. A teraz niech mi pani poda rękę, taką jednomyślność trzeba potwierdzić.

Czy poda rękę? Nadzorca nie podał, myślał K., patrząc na kobietę inaczej niż przedtem, badawczo. Wstała, bo on wstał, była trochę skrępowana, bo rozumiała nie wszystko, co mówił. A z tego skrępowania powiedziała coś, czego bynajmniej nie chciała powiedzieć i co było zupełnie nie na miejscu:

– Niechże pan się tak nie martwi, proszę pana. – W jej głosie było słycać łzy, i oczywiście zapomniała podać rękę.

– Nie wiadomo mi, żebym się martwił – odpowiedział K., który nagle poczuł znużenie i zrozumiał, jak mało warte jest całe przytakiwanie tej kobiety. Ode drzwi spytał jeszcze: – Czy panna Bzykier jest w domu?

– Nie. – Tej suchej informacji pani Grobosch towarzyszył uśmiech, w którym kryło się spóźnione, rozumne współczucie. – Poszła do teatru. Czy ma pan do niej jakąś sprawę? Coś jej przekazać?

– Ach nie, chciałem tylko zamienić z nią parę słów.

– Niestety, nie wiem, o której wróci, kiedy idzie do teatru, zazwyczaj wraca późno.

– To drobiazg – powiedział, ze zwieszoną głową obracając się do drzwi. – Chciałem ją tylko przeprosić, że dzisiaj korzystałem z jej pokoju.

– Nie trzeba, proszę pana, to zbytek uprzejmości, przecież panna o niczym nie wie, od wczesnego ranka nie było jej w domu, a wszystko już uporządkowane, niech pan sam zobaczy. – I otworzyła drzwi do pokoju panny Bzykier.

– Dziękuję, wierzę pani – odpowiedział, a jednak stanął w progu. Do ciemnego pokoju wpadało w ciszy światło księżyca. O ile dało się coś zobaczyć, wszystko rzeczywiście było na swoim miejscu, nawet bluzka nie wisiała już na okiennej kłamce. Zwracały uwagę wielkie poduszki na łóżku, część ich jaśniała w księżycowym świetle. – Ta panna nieraz późno wraca. – K. spojrzął na panią Grobosch tak, jakby odpowiedzialność za to ponosiła ona.

– Jak to młodzi ludzie! – odparła tonem usprawiedliwienia.

– Jasne, jasne, ale czasem to się za daleko posuwa.

– Czasem za daleko, ma pan zupełną rację, proszę pana. Być może i w tym wypadku. Nie chcę oczywiście fałszywie oskarżać panny Bzykier, to dobra, miła dziewczyna, uprzejma, porządna, punktualna, pracowita, bardzo to wszystko cenię, ale prawdą jest, że mogłaby się bardziej szanować. W tym miesiącu już dwukrotnie widziałam ją na ustronnych ulicach, każdego razu z innym kawalerem. To dla mnie bardzo przykra sprawa, Bóg mi świadkiem, że opowiadam o niej tylko panu, ale nie obejdzie się bez rozmowy z samą panną. To zresztą nie jest jedyna rzecz, która budzi moje podejrzenia.

– Pani się myli – odpowiedział, ledwo kryjąc wściekłość. – A zresztą, najwyraźniej źle pani zrozumiała moje słowa o pannie Bzykier, nie to miałem na myśli. Nawet ostrzegam stanowczo przed mówieniem jej czegokolwiek, jest pani w całkowitym błędzie, znam tę pannę bardzo dobrze i w tym, co pani powiedziała, nie ma cienia prawdy. Może zresztą przesadzam, nie będę się wtrącał, niech jej pani mówi, co chce. Dobranoc.

– Proszę pana – powiedziała pani Grobosch proszącym tonem, spiesząc śladem K., który już otwierał drzwi pokoju – wcale jeszcze nie chcę z panną Bzykier mówić, oczywiście, że przedtem ją poobserwuję, tylko panu zwierzyłam się z tego, co wiem. W końcu jest chyba w interesie każdego lokatora, żeby mój dom pozostał nieskalany, a o to mi tylko chodzi.

– Nieskalany! – zawołał jeszcze przez szparę w drzwiach. – Jeżeli chce pani, żeby dom był nieskalany, to najpierw proszę wypowiedzieć mnie! –

Trzasnął drzwiami i nie zwracał już uwagi na ciche pukanie.

Ponieważ jednak nie miał chęci spać, postanowił, że się nie położy i dzięki temu sprawdzi, o której wróci panna Bzykier. A może wtedy, mimo niestosownej pory, zamienią jeszcze parę słów. Opierając się o parapet i przymykając zmęczone oczy, myślał nawet, czyby nie ukarać pani Grobosch i nie namówić panny Bzykier do wspólnego wypowiedzenia najmu. Po chwili jednak uznał to za straszną przesadę i nawet zaczął siebie podejrzewać, że chce zmienić mieszkanie przez te poranne zdarzenia. Trudno o rzecz równie głupią, a przede wszystkim bezcelową i niegodną.

Kiedy obrzydło mu wyglądanie na pustą ulicę, położył się na kanapie i uchylił drzwi do przedpokoju, tak żeby widzieć każdego, kto wejdzie do mieszkania. Mniej więcej do jedenastej leżał spokojnie i palił cygaro. Później jednak nie wytrzymał i na trochę wyszedł do przedpokoju, jakby mógł tym samym przyspieszyć nadejście panny Bzykier. Nie pragnął szczególnie jej widoku, nie pamiętał nawet za dobrze, jak wygląda, ale chciał z nią pomówić, a drażniło go, że jej późne przyjście wprowadzi także na koniec tego dnia niepokój i nieporządek. To zresztą jej wina, że nie zjadł kolacji i że zaniechał planowanych na dziś odwiedzin u Elizy. Mógł co prawda wyrównać obie te zaległości, idąc jeszcze do winiarni, w której Eliza usługiwała. Chciał tak zrobić później, kiedy już odbędzie rozmowę z panną Bzykier.

Minęło pół do dwunastej, kiedy ktoś dał się słyszeć na schodach. K., który w zamyśleniu chodził po przedpokoju tak głośno, jakby był u siebie, schował się w swoim pokoju. To przyszła panna Bzykier. Zamykając drzwi, zmarznięta otulała jedwabnym szalem szczupłe ramiona. Już za chwilę pójdzie do siebie, a przecież K. nie może tam wtargnąć o północy, musi zagadnąć ją teraz, ale na nieszczęście zapomniał zaświecić u siebie elektryczne światło, więc jego wynurzenie się z ciemności będzie wyglądało jak napad, a w każdym razie bardzo ją przestraszy. Bezradny, nie mając chwili do stracenia, wyszeptał zza uchylonych drzwi:

– Proszę pani!

Brzmiało to jak prośba, nie jak wołanie.

– Jest tu ktoś? – spytała, rozglądając się i robiąc wielkie oczy.

– To ja. – K. wynurzył się z mroku.

– Ach, to pan! – odpowiedziała z uśmiechem. – Dobry wieczór! – Podała mu rękę.

– Chciałem zamienić kilka słów, pozwoli pani teraz?

– Teraz? Koniecznie teraz? Czy to nie trochę dziwne?
– Czekam na panią od dziewiątej.
– No tak, ale byłam w teatrze, nie wiedziałam o tym.
– Powód tego, co chcę pani powiedzieć, wyniknął dopiero dzisiaj.
– Cóż, nie widzę zasadniczych przeszkód, prócz tego, że padam ze zmęczenia. Więc niech pan na parę minut wejdzie do mojego pokoju. Tu nie możemy rozmawiać w żadnym wypadku, bo wszystkich byśmy zbudzili i czułabym się nieprzyjemnie, bardziej ze względu na nas niż na innych. Niech pan poczeka, aż zaświecę u siebie, a wtedy niech pan zgasi światło tutaj.

Zrobił tak, ale odczekał, aż panna Bzykier jeszcze raz cicho zaprosiła go do swojego pokoju.

– Niech pan siada. – Wskazała mu leżankę, sama jednak, mimo zmęczenia, o którym wspomniała, stanęła u szczytu łóżka; nawet nie zdjęła kapelusza, małego, ale zbyt bogato ozdobionego kwiatami.

– Więc o co chodzi? Jestem szczerze zaciekawiona. – Lekko skrzyżowała nogi.

– Być może powie pani – zaczął K. – że to nie taka pilna sprawa, żeby omawiać ją teraz, ale...

– Wstępów nie słucham z zasady.

– To mi ułatwia zadanie – odpowiedział. – Dzisiaj rano, w pewnym sensie z mojej winy, powstał w pani pokoju mały nieporządek, zrobili go obcy ludzie wbrew mojej woli, ale jak wspomniałem, z mojej winy. Chciałem prosić o wybaczenie.

– W moim pokoju? – panna Bzykier badawczo spojrzała na K. zamiast na pokój.

– Otóż tak – odpowiedział i wtedy pierwszy raz popatrzyli sobie w oczy. – Same okoliczności nie są nawet warte wzmianki.

– Owszem, właśnie one są ciekawe.

– Nie.

– Cóż – powiedziała – nie wnikam w cudze tajemnice, jeżeli pan się upiera, że to nie było ciekawe, nie będę się sprzeciwiała. Skoro pan prosi, niniejszym chętnie wybaczam pańską winę, zwłaszcza że nie widzę ani śladu nieporządku.

Z dłońmi opartymi na biodrach obesła pokój. Stanęła przed matą z fotografiami.

– A jednak, proszę zobaczyć! – zawołała. – Rzeczywiście, w moich fotografiach jest bałagan. A to nieładnie! Więc był u mnie ktoś nieuprawniony.

K. skinął głową, w duchu przeklinając Kamieniowera i jego czczą, bezsensowną żywość, której ten urzędnik nigdy nie umiał poskromić.

– To dziwne, że pan sobie pozwolił pod moją nieobecność tutaj wejść i że dopiero ja panu od dzisiaj na to nie pozwalam.

– Droga pani, przecież mówiłem, że nie ja targnąłem się na pani fotografię – odpowiedział i także do nich podszedł. – Ale skoro nie wierzy mi pani, to muszę się przyznać: komisja śledcza przyprowadziła trzech urzędników banku i jeden z nich, którego przy pierwszej okazji wyrzucę z posady, prawdopodobnie brał te fotografie do rąk. Tak – dodał, kiedy spojrzała pytająco. – Tu była komisja śledcza.

– W związku z panem?

– Tak.

– Nie! – zawołała ze śmiechem.

– Owszem. Czyżby pani uważała, że jestem niewinny?

– Cóż, niewinny... Wolałabym nie wydawać od razu wyroku mogącego mieć poważne konsekwencje, zresztą nie znam pana, tyle że ktoś musi być groźnym przestępcą, jeżeli zaraz ma komisję śledczą na karku. Ale skoro pan jest wolny, a chociażby z pańskiego spokoju wnoszę, że nie uciekł pan z więzienia, to chyba przestępstwo nie było aż tak ciężkie.

– A może komisja śledcza uznała, że jestem niewinny albo nie tak winny, jak myślano.

– Owszem, być może – odpowiedziała bardzo uprzejmie.

– No tak, pani nie ma dużego doświadczenia, jeżeli chodzi o sprawy przed sądem.

– Nie, nie mam, czego nieraz żałowałam, bo jestem ciekawa wszystkiego i właśnie sprawy przed sądem niebywale mnie interesują. Sąd ma jakąś przedziwną siłę przyciągania, prawda? Ale na pewno poszerzę swoją wiedzę w tej dziedzinie, bo w przyszłym miesiącu zacynam pracę jako siła biurowa w kancelarii adwokackiej.

– Świetnie. Trochę mi pani pomoże w moim procesie.

– Możliwe, czemu nie? Lubię wykorzystywać swoją wiedzę.

– Mówię serio – powiedział – a przynajmniej półserio, jak pani. Sprawa jest za drobna, żebyśmy najmował adwokata, ale doradca się przyda.

– Tak, tylko jeżeli mam być doradcą, muszę wiedzieć, o co chodzi – powiedziała panna Bzykier.

– Właśnie w tym sęk, że sam nie wiem.

– Czyli stroi pan sobie ze mnie żarty – odpowiedziała niezwykle rozczarowana. – Szkoda wielka, że wybrał pan sobie tak późną porę. – Odeszła od fotografii, przy których tak długo stali blisko siebie.

– Ależ nie, droga pani, nie stroję sobie żartów. Że też pani nie chce mi uwierzyć! Powiedziałem tyle, ile wiem. A nawet więcej, niż wiem, bo to nie była żadna komisja śledcza, użyłem takiej nazwy, ponieważ nie znajduję innej. Nie prowadzono śledztwa, zostałem tylko zatrzymany, z tym, że komisyjnie.

Panna Bzykier, siedząc teraz na leżance, spytała znowu ze śmiechem:

– A jak to wyglądało?

– Okropnie – odpowiedział, ale nie myślał o tym. Owładnął nim zachwyty, kiedy patrzył, jak oparła twarz na dłoni, łokieć spoczął na poduszce leżanki, a druga dłoń powoli gładziła biodro.

– To zbyt ogólnikowe – powiedziała.

– Co zbyt ogólnikowe? – spytał, po czym przypomniał sobie: – Pokazać pani, jak to było? – Chciał zażyć ruchu, a nie chciał wyjść.

– Jestem już zmęczona.

– Późno pani przyszła.

– Więc kończy się na tym, że słucham wyrzutów, zresztą zasłużonych, bo nie należało pana wpuszczać i, jak się okazuje, wcale nie było trzeba.

– Było trzeba, dopiero teraz pani zobaczy. Czy mogę tutaj przysunąć pani nocny stolik?

– Co za pomysły? Oczywiście, że nie!

– Więc nie mogę pani tego pokazać – odpowiedział z takim rozdrażnieniem, jakby mu wyrządzono bezmierną krzywdę.

– Dobrze, jeżeli to niezbędne do pańskiego przedstawienia, to niech już pan sobie przesunie ten stolik. – Po chwili słabszym głosem dodała: – Z tego zmęczenia pozwalam na więcej, niż wypada.

Ustawił stolik na środku pokoju i siadł przy nim.

– Proszę sobie dokładnie wyobrazić ustawienie osób, to bardzo ciekawe. Ja jestem nadzorcą, tam na kufrze siedzą dwaj strażnicy, przy fotografiach stoją trzej młodzi ludzie. Na klamce okna wisi biała bluzka, o czym tylko napomykam. I teraz się wszystko zaczyna. Ach, przecież, najważniejsza

osoba, zapomniałem, gdzie jest moje miejsce. Stoję tu, przed stolikiem. Nadzorca rozparł się na krześle nadzwyczaj wygodnie, noga na nogę, ta ręka tutaj zwieszona za oparciem, bęcwał jakich mało. Więc teraz naprawdę się zaczyna. Nadzorca woła, jakby chciał mnie zbudzić, wprost krzyczy, jeżeli mam to pani uzmysłować, też muszę, niestety, krzyknąć, a zresztą on tak wykrzyczał tylko moje nazwisko.

Słuchająca ze śmiechem panna Bzykier położyła palec na ustach, żeby powstrzymać K. od krzyku, ale za późno, zbyt mocno wczuł się w rolę, przeciągle zawołał „Józef K.!\”, nie tak głośno, jak się odgrażał, jednak na tyle, że okrzyk, choć nagle urwany, wydawał się rozchodzić po pokoju stopniowo.

Nagle ktoś zastukał kilka razy w sąsiednie drzwi, krótko, miarowo i głośno. Panna Bzykier zbladła i położyła rękę na sercu. K. dopiero tym się na dobre przestraszył, bo przedtem potrafił myśleć wyłącznie o porannych zdarzeniach i dziewczynie, przed którą je odgrywał. Ledwo ochłonął, przyskoczył do panny Bzykier i wziął ją za rękę.

– Proszę się nie bać – szeptał. – Ja to wyjaśnię, wszystko będzie w porządku. Ale kto to? Przecież tu obok jest tylko bawialnia, gdzie nikt nie sypia.

– Owszem – szepnęła mu do ucha. – Od wczoraj sypia tutaj siostrzeniec pani Grobosch, jakiś kapitan. Akurat żaden inny pokój nie jest wolny. Nawet ja o tym zapomniałam. Że też pan musiał tak krzyżeć! Jestem bardzo niezadowolona.

– Nie ma powodu – odpowiedział i kiedy opadła na poduszki, pocałował ją w czoło.

– No, no – prędko się uniosła. – Niech pan już wyjdzie, niech pan wyjdzie. Czego pan ode mnie chce, przecież on podsłuchuje przy drzwiach, wszystko słyszy. Jak pan mnie dręczy!

– Nie wyjdę, póki pani choć trochę nie uspokoję. Chodźmy do tamtego kąta, żeby nas nie słyszał. – Pozwoliła mu się tam zaprowadzić. – Proszę sobie zdać sprawę, że to dla pani wprawdzie pewna przykrość, ale nic groźnego. W tej sprawie decydujący głos będzie miała pani Grobosch, zwłaszcza że kapitan to jej siostrzeniec, a przecież ona, jak pani wie, po prostu mnie uwielbia i wierzy święcie we wszystko, co mówię. Zresztą jest ode mnie zależna, bo jej pożyczyłem sporą sumę. Proszę zaproponować jakieś wyjaśnienie naszego spotkania, zgodzę się na każde w miarę stosowne

do celu i ręczę, że pani Grobosch mi uwierzy, nie tylko na użytek publiczny, ale szczerze i naprawdę uwierzy. Mnie proszę ani trochę nie oszczędzać. Jeżeli pani chce rozgłosić, że ją naszedłem, to coś w tym duchu opowiem pani Grobosch i ona uwierzy, a nie straci do mnie zaufania, bo jest mi bardzo oddana.

Panna Bzykier, trochę skuliwszy ramiona, stała bez ruchu i patrzyła w podłogę.

– Dlaczego pani Grobosch nie miałyby uwierzyć, że panią naszedłem? – dodał K. Widział przed sobą jej włosy, czesane z przedziałkiem rudawe włosy, nisko i ściśle upięte. Myślał, że na niego spojrzy, ale ona, stojąc w niezmienionej postawie, powiedziała:

– Przepraszam pana, bardziej mnie przestraszyło to nagłe pukanie niż skutki, jakie może mieć obecność kapitana. Po pańskim krzyku była taka cisza i raptem zapukał, dlatego się tak przestraszyłam, poza tym siedziałam blisko drzwi, pukał tuż koło mnie. Dziękuję za pana propozycje, ale ich nie przyjmę. Potrafię, i to przed każdym, wziąć odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się w moim pokoju. Dziwię się, że pan nie dostrzega, jak te pańskie propozycje są dla mnie obraźliwe, choć, oczywiście, doceniam pana dobre intencje. Ale teraz niech pan idzie, niech pan mnie zostawi samą, teraz mi to potrzebne jeszcze bardziej niż przedtem. Z paru minut, o które pan prosił, zrobiło się pół godziny albo i więcej.

Ujął jej dłoń, a potem przegub.

– Ale pani nie jest na mnie zła?

Odsunęła jego rękę, mówiąc:

– Nie, nie, ja nigdy na nikogo nie jestem zła. – Znowu ją chwycił za przegub, tym razem nie sprzeciwiała się i poprowadziła go w stronę drzwi. K. miał zamiar wyjść. Ale przed zamkniętymi drzwiami, jakby zaskoczony ich tutaj obecnością, nagle przystanął, a panna Bzykier, korzystając z tego, wyrwała się i wymknęła do przedpokoju, skąd cicho powiedziała: – A teraz proszę bardzo, niech pan podejdzie i zobaczy – wskazała drzwi kapitana, spod których dochodził poblask. – Zaświecił w swoim pokoju i ma zabawę z nas.

– Już idę – K. podbiegł, złapał ją, zaczął całować w usta i po całej twarzy, jak spragnione zwierzę chłepce wodę znalezioną nareszcie u źródła. Na koniec pocałował pannę Bzykier w szyję tuż przy gardle i tam przyłgął ustami na długo. Szmer z pokoju kapitana kazał mu podnieść wzrok. – To

teraz pójdę – chciał dodać „panno...”, ale nie znał jej imienia. Zmęczona skinęła głową; już nie patrząc, jakby bezwiednie dała mu jeszcze rękę do pocałowania i przygarbiona poszła do siebie. Wkrótce K. leżał w swoim łóżku. Usnął szybko, a myśląc przed snem jeszcze chwilę o własnym zachowaniu, czuł głęboką satysfakcję, chociaż dziwił się, że nie głębszą. Przez tego kapitana bardzo się martwił o pannę Bzykier.

Pierwsze przesłuchanie

Telefonicznie dano znać K., że w ramach jego sprawy odbędzie się w najbliższą niedzielę małe przesłuchanie. Jednocześnie uprzedzono go, że kolejne będą miały miejsce regularnie, no może nie co tydzień, ale często. Z jednej strony, w interesie ogólnym leży jak najszybszy koniec procesu, ale, z drugiej strony, takie przesłuchania muszą być ze wszelkich miar wnikliwe, a nie mogą się w żadnym razie przeciągać ze względu na towarzyszący im wysiłek. Dlatego wybrano sposób, jakim są krótkie przesłuchania w niewielkich odstępach czasu. Żeby mu nie utrudniały pracy zawodowej, wyznaczono ich stały dzień na niedzielę, licząc na zgodę K. Gdyby ten termin mu nie odpowiadał, poszuka się innego. Istniałaby też, dajmy na to, możliwość przesłuchań w nocy, ale pewnie wtedy nie byłby w dostatecznie dobrej kondycji. W każdym razie, o ile K. nie zgłasza zastrzeżeń, termin niedzielny nie ulega zmianie. Obecność jest obowiązkowa, naturalnie, tego chyba nie trzeba zaznaczać. Podano mu numer domu, w którym ma się stawić, na jakiejś przedmiejskiej ulicy, gdzie jeszcze nigdy dotąd nie był.

Wysłuchał tego zawiadomienia, po czym bez słowa odwiesił słuchawkę; od razu postanowił, że pójdzie, na pewno trzeba, rusza proces, a on się musi temu przeciwstawić, niech to pierwsze przesłuchanie będzie ostatnim. Zamyślony stał jeszcze przy aparacie, aż nagle za plecami usłyszał głos; to wicedyrektor chciał skorzystać z telefonu, do którego K. zagradzał dostęp.

– Złe wieści? – spytał wicedyrektor tak sobie, nie żeby się czegoś dowiedzieć, ale żeby go stamtąd wywabić.

– Nie, nie. – K. ustąpił miejsca, ale nie odchodził. Wicedyrektor podniósł słuchawkę i czekając na połączenie, powiedział:

– Mogę o coś zapytać, panie prokurencie? Czy zrobiliby mi pan tę przyjemność i w niedzielę rano wziął udział w wycieczce moją żaglówką? Będzie spore grono, wśród nich na pewno pańscy znajomi. Między innymi prokurator Narwanski. Zechce pan przyjść? Zapraszam!

K. próbował uważnie słuchać, co on mówi. Zaproszenie ze strony wicedyrektora, z którym nigdy nie żył za dobrze, nie było błahostką, oznaczało próbę pogodzenia i świadczyło, jak wysoką pozycję osiągnął K. w banku, skoro drugi w bankowej hierarchii urzędnik ceni sobie jego

przyjaźń lub choćby neutralność. Takim zaproszeniem wicedyrektor się upokorzył, choć je tylko rzucił znad słuchawki, czekając, aż telefonistka go połączy. Ale K., chcąc nie chcąc, odpowiedział kolejnym upokorzeniem:

– Dziękuję bardzo, jednak w niedzielę jestem niestety zajęty, mam już pewne zobowiązania.

– Szkoda – odparł wicedyrektor, a ponieważ doczekał właśnie połączenia, przeszedł do swojej rozmowy telefonicznej. Nie była krótka, ale K. w roztargnieniu ciągle stał obok. Dopiero na dźwięk odwieszanej słuchawki zląkł się i chcąc choć trochę usprawiedliwić to, że tak beczynnie tu stoi, powiedział:

– Właśnie telefonicznie dokąds mnie proszono, ale zapomniano podać, na którą godzinę.

– Więc niech pan jeszcze dopyta.

– To nie takie ważne – odparł K., choć osłabił tym swoje i tak wątle usprawiedliwienie. Wicedyrektor mówił na odchodnym o jakichś innych sprawach, a K. zmusił się do odpowiedzi, ale myślał głównie o tym, że w niedzielę najlepiej pójść na dziewiątą rano, ponieważ o tej godzinie w dni robocze zaczynają pracę wszystkie sądy.

W niedzielę było szaro; K., bardzo zmęczony po uroczystości wśród bywalców gospody, gdzie siedział długo w noc, omal nie zasnął. Z pośpiechu nie zdążył ani się zastanowić, ani zebrać w całość różnych planów, jakie snuł przez cały tydzień, ubrał się tylko i bez śniadania poszedł na podane mu w adresie przedmieście. Choć z braku czasu rzadko się rozglądał, dziwnym trafem zobaczył trzech urzędników, którzy brali udział w jego sprawie. Wronenkruck i Puchaček jechali mijającym go tramwajem, a Kamieniower siedział na tarasie kawiarni i zaciekawiony wychylił się przez balustradę akurat wtedy, kiedy K. tamtędy przechodził. Wszyscy trzej chyba patrzyli za przełożonym i dziwili się, że idzie piechotą; od pojechania odwiodła go jakaś przekora, czuł odrazę na myśl o skorzystaniu w swojej sprawie z czyjejkolwiek najdrobniejszej nawet pomocy, nie chciał w ten sposób nikogo ani trochę wtajemniczać, wreszcie nie miał też najmniejszej ochoty przez nadmierną punktualność ponizać się przed komisją śledczą. Ale teraz szedł pospiesznie, byle w miarę możliwości dotrzeć na dziewiątą, choć mu nawet nie podano godziny stawiennictwa.

Wcześniej myślał, że już z daleka pozna budynek po jakimś znaku, który sobie nie bardzo wyobrażał, albo po szczególnie dużym ruchu panującym

przed wejściem. Ale na ulicy Juliusza, przy której budynek miał się znajdować i u której wylotu K. na chwilę się zatrzymał, po obu stronach stały kamienice bez mała jednakowe, wysokie, szare kamienice zamieszkiwane przez ludzi biednych. We wszystkich niemal oknach kogoś było w ten niedzielny poranek widać. Mężczyźni bez marynarek wyglądali na ulicę, paląc tytoń albo czule i ostrożnie przytrzymując siedzące na parapetach małe dzieci; w innych oknach piętrzyła się pościel, a nad nią gdzieniegdzie mignęła rozczochrana kobieca głowa. Jedni wołali z naprzeciwka do drugich, akurat nad głową K. czyjś okrzyk wzbudził głośny śmiech. Sutereny przy tej długiej ulicy mieściły regularnie rozłożone, dostępne po schodkach sklepiki z różnego rodzaju żywnością. Wchodziły i wychodziły z nich kobiety, czasem dla pogawędki przystając na stopniach. Sprzedawca owoców, który zachwalał swój towar, patrząc wysoko w okna, omal nie przewrócił wózkiem tak samo nieuważnego K. Właśnie w tej chwili jakiś patefon, wysłużony w lepszych dzielnicach, zaczął przeraźliwie grać.

K. szedł w głąb ulicy bez pośpiechu, jakby teraz już miał czas albo jakby sędzia śledczy zobaczył go z któregoś okna i wiedział, że się stawi. Właśnie minęła dziewiąta. Budynek stał dosyć daleko, miał wprost wyjątkowe rozmiary, zwłaszcza brama wjazdowa była szeroka i wysoka. Przeznaczono ją widocznie dla konnych wozów dostawczych różnych magazynów; nieczynne teraz, magazyny te, opatrzone nazwami firm, których część K. znał ze swojej pracy, otaczały tutaj wielkie podwórza. Inaczej niż zwykle zaprzątneły go te zewnętrznosci i u wylotu podwórza na chwilę nawet przystanął. W pobliżu siedział na skrzyni bosy mężczyzna i czytał gazetę. Na ręcznym wózku bujali się dwaj chłopcy. Przy pompie stała wątpa dziewczynka w nocnym kaftaniku i patrzyła na K., kiedy do jej konwi lała się woda. W rogu podwórza rozpinano między dwoma oknami sznur, na którym już wisiała bielizna do suszenia. Na dole stał jakiś mężczyzna i pokrzykując, kierował pracą.

K. zakręcił w stronę schodów, żeby pójść do pokoju przesłuchań, ale po chwili znów stanął, bo zobaczył jeszcze trzy inne klatki schodowe, a niewielkie przejście najwyraźniej prowadziło z końca tego podwórza na drugie. Rozzłościł się, że mu nie opisano dokładniej położenia tamtego pokoju; traktuje się go z dziwnym lekceważeniem lub obojętnością, zamierzał to głośno i wyraźnie powiedzieć. W końcu jednak ruszył pierwszymi schodami, zachęcony wspomnieniem strażnika Wilhelma i jego

sentencji, zgodnie z którą wina przyciąga sąd; w gruncie rzeczy wynikało z tego, że pokój przesłuchań będzie przy schodach, które K. wybierze na chybił trafił.

Idąc pod górę, przeszkadzał w zabawie dzieciom, które siedziały rzędami na stopniach i patrzyły ze złością, ilekroć między nie wkraczał. „Jeżeli tu jeszcze kiedyś przyjdę – pomyślał – to albo wezmę słodycze, żeby je sobie pozyskać, albo łaskę, żeby je zbić”. Dochodząc do pierwszego piętra, musiał nawet chwilę odczekać, aż kulka do zabawy przestanie się toczyć, a tymczasem dwaj mali chłopcy o zaciętych twarzach dorosłych łobuzów trzymali go za spodnie; gdyby się wyrwał, zadałby ból chłopcom, a bał się, że podniosą krzyk.

Na pierwszym piętrze zaczęły się właściwe poszukiwania. Nie wypadało, żeby dopytywał o komisję śledczą, więc wymyślił stolarza Pike, przypomniawszy sobie kapitana o tym nazwisku, siostrzeńca pani Grobosch; wymyślił go, żeby w kolejnych mieszkaniach pytać, czy tu może mieszka stolarz Pika, i dzięki temu zaglądać do pokojów. Jak się jednak okazało, przeważnie zaglądał bez trudu, bo dzieci biegały w tę i w tę, więc na ogół drzwi nie zamykano. Pokoje były zwykle małe, miały po jednym oknie i służyły też jako kuchnie. Niektóre kobiety trzymały na ramieniu niemowlęta, drugą ręką mieszając w garnkach. Najbardziej uwijały się niedorośle dziewczyny, ubrane, jak się zdawało, w same fartuchy. We wszystkich pokojach łóżka były jeszcze niezasłane, leżeli na nich ludzie chorzy, śpiący albo wylegujący się w ubraniu. Do zamkniętych drzwi K. pukał i pytał, czy tu może mieszka stolarz Pika. Przeważnie otwierały kobiety, wysłuchiwały pytania i powtarzały je komuś, kto w głębi pokoju unosił się na łóżku:

– Pan się pytał, czy tutaj mieszka stolarz Pika.

– Stolarz Pika? – pytał ten ktoś.

– Tak – odpowiadał K., choć niewątpliwie w pokoju nie znajdowała się komisja śledcza, co oznaczało koniec zadania. Wielu myślało, że bardzo mu zależy na znalezieniu stolarza Piki; długo się zastanawiali, przypominali sobie stolarza o nazwisku innym niż Pika lub brzmiącym tylko trochę podobnie, pytali sąsiadów bądź też prowadzili K. do jakichś odległych drzwi, w przekonaniu, że tam chyba mieszka kątem taki jeden albo że inna osoba poinformuje K. lepiej. W końcu już nie musiał pytać sam, tylko zaczęto go w ten sposób ciągać od piętra do piętra. Żałował teraz, że wymyślił taki plan,

choć z początku wydawał mu się bardzo praktyczny. Przed piątą kondygnacją zaniechał szukania i pożegnał się z uprzejmym młodym robotnikiem, który chciał go zaprowadzić jeszcze wyżej. Schodził już na dół, kiedy zezłościła go jałowość całego przedsięwzięcia; wrócił na piąte piętro i zapukał do najbliższych drzwi. Pierwszym, co zobaczył w małym pokoju, był duży zegar ścienny, pokazujący już dziesiątą.

– Czy tu może mieszka stolarz Pika?

– Zapraszam – odpowiedziała młoda kobieta o czarnych, lśniących oczach, która właśnie prała w wiadrze dziecięce ubranka, i mokrą ręką wskazała otwarte drzwi pokoju obok.

K. pomyślał, że znalazł się na jakimś zgromadzeniu. Różnorodny tłum, w którym nikt nie zwrócił uwagi na wchodzącego, wypełniał salkę o dwóch oknach; pod samym sufitem otaczała ją równie zatłoczona galeria, gdzie ludzie mogli stać tylko przygarbieni, głowę i plecy przyciskając do sufitu. Dla K. było tu zbyt parno, więc wyszedł i powiedział do kobiety, która pewnie go źle rozumiała:

– Pytałem o stolarza, niejakiego Pikę.

– Tak, proszę tam wejść. – Pewnie by nie usłuchał, gdyby nie to, że podeszła i ujęła klamkę, mówiąc: – Po panu zamykam, nikogo więcej nie mogę wpuścić.

– Bardzo słusznie – odparł K. – Ale już teraz jest za duży tłok. – Mimo to wszedł.

Tuż przy drzwiach jakiś mężczyzna przenikliwie patrzył w oczy swojemu rozmówcy, który gestem wyciągniętych dłoni naśladował wykładanie gotówki, a spomiędzy obu stojących wyrosła czyjaś ręka – to dotknął K. rumiany chłopczyk.

– Tędy, tędy – powiedział i pociągnął K. za sobą, okazało się, że wśród kłębiącego się tłumu jest jednak wąskie przejście; dzieliło być może dwa stronnictwa, za czym przemawiał też fakt, że w najbliższych rzędach z prawa i lewa K. nie widział niemal żadnej twarzy, lecz jedynie plecy ludzi, kierujących gesty i słowa tylko do tych z własnego stronnictwa. Większość miała czarne ubrania, odświętne marynarki, stare, długie i obwisłe. One zbiły go z tropu, inaczej K. wziąłby to wszystko za jakieś dzielnicowe zgromadzenie.

W drugim końcu salki, dokąd się dał zaprowadzić, równie stłoczeni ludzie zajmowali niewysoki podest, a na jego skraju, przy ustawionym poprzecznie

stoliku, siedział niski, otyły, dychawiczny mężczyzna. Raz po raz wyrzucając ramię, jakby kogoś parodiował, śmiejąc się głośno, gawędził z człowiekiem z tyłu, który stał z łokciem na oparciu krzesła i bujał nogą. Chłopczyk, podszedłszy tam razem z K., usiłował przekazać wiadomość temu na górze. Drugi raz już stawał na czubkach palców, żeby mu coś oznajmić, ale mężczyzna go nie zauważał. Obrócił się dopiero, kiedy ktoś inny z podestu wskazał na chłopczyka. Nachylony wysłuchał jego cichej relacji, sięgnął po zegarek, po czym zaraz przyjrzał się K.

– Miał pan przyjść godzinę i pięć minut temu.

K. chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo ledwo mężczyzna skończył zdanie, w prawej części salki podniósł się ogólny szmer.

– Miał pan przyjść godzinę i pięć minut temu! – powtórzył mężczyzna podniesionym głosem i rzucił spojrzeniem po salce. Szmer natychmiast się wzmógł, a kiedy tamten nie powiedział nic więcej, powoli zanikł. Było teraz znacznie ciszej niż z chwilą przyjścia K. Tylko ludzie na galerii nie przestawali robić uwag. O ile w półmroku, mgiełce i kurzu można było coś rozróżnić, wydawali się gorzej ubrani od tych na dole. Niektórzy podłożyli pod sufit przyniesione poduszki, żeby sobie nie otrzeć głowy do krwi.

K., który postanowił raczej obserwować niż mówić, zrezygnował z obrony przed zarzutem rzekomego spóźnienia.

– Może się i spóźniłem, ale teraz jestem. – Odpowiedziały mu oklaski, znowu z prawej strony. „Tych ludzi łatwo pozyskać”, pomyślał, stropiony tylko ciszą w lewej połowie salki, tuż za swoimi plecami, skąd oklaski odezwały się bardzo nisko. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby zyskać sobie wszystkich naraz, a jeżeli nie, to choćby na chwilę również tamtych.

– Owszem – powiedział mężczyzna – ale teraz już nie mam obowiązku pana przesłuchiwać. – Znowu szmer, tym razem jednak przez pomyłkę, bo mężczyzna gestem uciszył zgromadzonych i ciągnął: – Ale dzisiaj w drodze wyjątku jeszcze to zrobię. Tylko żeby takie spóźnienia więcej się nie powtarzały. A teraz niech pan wystąpi!

Ktoś zeskoczył z podestu, zwolnił miejsce, i tam stanął teraz K. Przyciśnięty do stolika, za plecami miał taki tłum, że musiał się zapierać, inaczej zepchnąłby stolik sędziego, a może i jego osobę.

Sędzia śledczy nie zwracał na to jednak uwagi, tylko dalej wygodnie sobie siedział na krześle; w kilku słowach zakończył rozmowę ze stojącym z tyłu mężczyzną, a następnie sięgnął po jedyny na stoliku przedmiot, notes

podobny do szkolnego zeszytu i nieforemny od ciągłego kartkowania.

– Więc tak. – Sędzia przekartkował zeszyt i jakby tonem upewnienia spytał:
– Pan jest malarzem pokojowym?

– Nie, pierwszym prokurentem w dużym banku. – Słowom K. odpowiedział śmiech stronnictwa z prawej, tak głośny, że nawet sam się zaśmiał. Ludzie ci opierali dłonie o kolana, jakby się zanosili kaszlem. Śmiali się nawet niektórzy na galerii. Rozeźlony sędzia śledczy, chyba nie mając władzy nad tymi na dole, próbował to sobie powetować na słuchaczach z galerii; poderwał się, zaczął im wygrażać, a jego raczej niepozorne brwi zgęstniały nad oczami w krzaczastą czerń.

Jednak w lewej połowie salki nadal panowała cisza; ludzie stali tam rzędami, twarze mieli zwrócone w stronę podestu, słuchali wymiany słów na górze równie spokojnie jak wrzawy drugiego stronnictwa i nawet pozwalali, żeby czasem ktoś z ich szeregów jednocześnie z tamtymi precyzyjnie się do przodu. Ci z lewej, mniej liczne zresztą stronnictwo, mogli w istocie znaczyć równie mało, jak ci z prawej, jednak dzięki spokojnemu zachowaniu znaczyli jakby więcej. K. był przekonany, że wyraża ich poglądy, kiedy zaczął mówić:

– Pan sędzia zapytał, czy jestem malarzem pokojowym, a raczej wcale nie zapytał, tylko mi to bez ogródek oznajmił, i oto właśnie znamieny przykład stylu, w jakim prowadzi się postępowanie przeciwko mnie. Pan sędzia być może się sprzeciwi, mówiąc, że to przecież nie żadne postępowanie, bardzo słusznie, bo to coś będzie postępowaniem tylko wtedy, kiedy ja tak uznam. A uznaję, że nim jest, chwilowo uznaję tak z litości. Na coś takiego można patrzeć tylko litościwie, jeżeli w ogóle się to bierze poważnie. Nie używam tu słowa „rozprężenie”, ale chętnie poddałbym je panu sędziemu pod rozwagę.

Urwał i rozejrzał się. Powiedział słowa ostre, ostrzejsze, niż zamierzał, ale przecież słuszne. Chyba zasługiwały na oklaski z tej czy tamtej strony, ale wszyscy ucichli, widocznie w napięciu czekano na ciąg dalszy, może szykował się w tej ciszy wybuch, który przyniesie koniec wszystkiego. Zamieszanie powstało, kiedy na końcu salki otwarły się drzwi; młoda praczka, zapewne skończywszy robotę, weszła dyskretnie, a jednak przyciągnęła wiele spojrzeń. K. miał jeden tylko powód do radości: To, że jego słowa ugodziły wyraźnie sędziego. Zaskoczyły go, kiedy jeszcze stał zwrócony do galerii, a kiedy teraz K. zrobił przerwę, sędzia siadł tak powoli, jakby ruch ten miał być niedostrzegalny. Zapewne dla uspokojenia fizjonomii znów podsunął sobie pod oczy zeszytik.

– To nic nie da, panie sędzio – ciągnął K. – Nawet pański zeszynek potwierdza to, co mówię.

Zadowolony, że w obcym zgromadzeniu słyszy tylko własne spokojne słowa, odważył się wręcz, niewiele myśląc, zabrać sędziemu zeszyt; końcami palców, jakby z odrazą, podniósł go za jedną ze środkowych kartek, aż po bokach zawisły pozostałe, gęsto zapisane, pożółkłe na brzegach i pełne plam.

– Oto akta sędziego śledczego – to mówiąc, upuścił zeszyt na stolik. – Niech pan sobie, panie sędzio, spokojnie dalej przegląda swój rejestr winnych, ja się go naprawdę nie boję, mimo że nawet nie mam wglądu w zawartość, bo nie mogę na ten zeszyt patrzeć. – Sędzia śledczy musiał być głęboko upokorzony, przynajmniej tak się należało domyślać, bo ledwo zeszynek spadł, chwycił go, trochę poskładał, szybko podsunął sobie pod oczy i znowu zabrał się do jego przeglądania.

Ludzie z pierwszego rzędu podnosili na K. wzrok pełen tak napiętej uwagi, że chwilę im się przyglądał. Byli to jeden w drugiego starsi mężczyźni, niektórzy o siwych brodach. A jeśli to oni rozstrzygają, mają wpływ na całe zgromadzenie, które od początku przemowy K. stoi w bezruchu i nie daje się z niego wytrącić nawet upokarzaniem sędziego?

– To, co mnie spotkało – ciągnął nieco ciszej niż przedtem, raz po raz badawczo spoglądając na twarze tamtych z pierwszego rzędu, co nadawało jego słowom wyraz pewnego rozproszenia – to, co mnie spotkało, jest przypadkiem jednostkowym, więc niezbyt ważnym, bo ja się tym niezbyt martwię, ale jest też znamienne dla postępowań, jakie prowadzone są przeciwko większej liczbie ludzi. W ich imieniu, nie w swoim tu występuję.

To mówiąc, mimo woli podniósł głos. Gdzieś ktoś uniósł ręce, zaklaskał i zawołał:

– Brawo! Czemu nie? Brawo i jeszcze raz brawo!

Kilku z pierwszego rzędu skubało brody, nikt się na ten okrzyk nie obejrzał. K. też nie przypisywał mu znaczenia, a jednak się zachęcił; poczuł, że już niepotrzebne mu powszechne uznanie, bo wystarczy, żeby ogół zastanowił się nad sprawą i tylko czasem ten czy ów dał się przekonać.

– Nie chodzi mi o sukces oratorski – powiedział tknięty tą myślą. – Mógłbym go nawet nie odnieść. Pan sędzia śledczy przemawia pewnie znacznie lepiej, to wiąże się z jego zajęciem. Chodzi mi tylko o publiczne omówienie publicznych nieprawidłowości. Proszę posłuchać: Mniej więcej dziesięć dni temu zostałem zatrzymany, sam fakt zatrzymania śmieszy mnie,

ale to nie ma tutaj nic do rzeczy. Dopuszczono się najścia wobec mnie leżącego rano w łóżku, według słów sędziego nie można wykluczyć, że był nakaz zatrzymania jakiegoś malarza pokojowego, równie jak ja niewinnego, ale że wybrano mnie. Sąsiedni pokój zajęli dwaj gruboskórni strażnicy. Trudno by o lepsze środki ostrożności, gdybym był groźnym rozbójnikiem. W dodatku ci strażnicy, znieprawiona hołota, zadręczali mnie swoim gadaniem, chcieli, żebym ich przekupił, chcieli pod jakimś pozorem wyłudzić ode mnie bieliznę i garderobę, chcieli pieniędzy, żeby przynieść mi rzekomo śniadanie, po tym jak przy mnie bezwstydnie wyjedli moje. Mało tego. Zaprowadzono mnie przed nadzorcę, do trzeciego pokoju. Był to pokój pewnej pani, którą bardzo szanuję, a musiałem patrzeć, jak w związku ze mną, ale bez mojej winy, obecność strażników i nadzorcy w pewnym sensie ten pokój zbrukała. To mogło każdego wyprowadzić z równowagi. A jednak zachowałem spokój i, co potwierdziłby panom nadzorca, gdyby tu był obecny, spytałem go, dlaczegoż to zostałem zatrzymany. A cóż odpowiedział on, którego dotąd widzę przed sobą, siedzącego na krześle wspomnianej pani, jak spoziera niby skrajny okaz tępoty i zadufania? Proszę panów, on w gruncie rzeczy nic nie odpowiedział, pewnie rzeczywiście nic nie wiedział, dokonał zatrzymania i tym się zadowolił. Dodatkowo sprowadził jeszcze do pokoju tej pani trzech podrzędnych pracowników mojego banku, którzy zajmowali się dotykaniem fotografii będących jej własnością i robieniem wśród nich nieporządku. Obecność tych pracowników służyła oczywiście także innemu celowi: podobnie jak osoba wynajmująca mi pokój i jej kucharka, mieli rozgłosić wiadomość o moim zatrzymaniu, zszargać moją reputację, a przede wszystkim zachwiać moją pozycją w banku. I żadna z tych rzeczy ani trochę się nie powiodła, nawet wynajmująca mi pokój zupełnie prosta osoba, niech w duchu uznania wymienię jej nazwisko, jest to pani Grobosch – otóż nawet pani Grobosch okazała się kimś na tyle światłym, żeby zrozumieć, że takie zatrzymanie oznacza nie więcej niż napad, jakiego na ulicy dokonują wyrostki zostawione bez nadzoru. Powtarzam, mnie cała rzecz przyniosła tylko nieprzyjemności i chwilowy kłopot, ale czy nie mogła mieć gorszych skutków?

Przerwał, a kiedy popatrzył na siedzącego w milczeniu sędziego, odniósł wrażenie, że tamten akurat porozumiewawczo spogląda na kogoś w tłumie. K. uśmiechnął się i powiedział:

– Właśnie pan sędzia śledczy daje komuś z was potajemny znak. Są więc

pośród panów tacy, którymi się stąd dyryguje. Nie wiem, czy ten znak miał spowodować syki, czy oklaski, i przez to, że się przedwcześnie zdradzam, świadomie rezygnuję z poznania jego sensu. Jest mi to całkowicie obojętne i publicznie upoważniam pana sędziego, żeby zamiast dyskretnych znaków dawał na głos polecenia płatnym pracownikom poniżej i żeby na przykład raz mówił „sykać”, a kiedy indziej „klaskać”.

Zmieszany albo może zniecierpliwiony sędzia śledczy wiercił się na krześle. Mężczyzna z tyłu, który wcześniej z nim gawędził, nachylił się znowu, żeby ogólnie dodać mu otuchy albo udzielić konkretnej rady. Ludzie na dole rozmawiali cicho, ale żywo. Dwa stronnictwa, które przedtem wydawały się tak odmiennych poglądów, teraz uległy przemieszeniu, jedni wskazywali palcami K., inni – sędziego. Mgiełka w sali była niezwykle uciążliwa i uniemożliwiała nawet dokładniejszą obserwację stojących w głębi. Przeszkadzała pewnie zwłaszcza słuchaczom z galerii, którzy popatrując lękliwie na sędziego, dla lepszej orientacji cicho wypytywali pozostałych uczestników zgromadzenia. Równie cicho im odpowiadano, przysłaniając usta dłonią.

– Już kończę – powiedział K., a ponieważ nie było pod ręką dzwonka, walnął pięścią w stół; tak tym przestraszył sędziego i jego doradcę, że ich głowy odskoczyły od siebie. – Mam do całej sprawy dystans, więc osądzam ją spokojnie, i pod warunkiem, że ten rzekomy sąd choć trochę was obchodzi, mogą panowie bardzo skorzystać na wysłuchaniu mnie teraz. Wspólne omawianie moich wypowiedzi proszę odłożyć na później, bo nie mam czasu i zaraz wychodzę.

Natychmiast nastała cisza; oto jak bardzo panował już nad zgromadzeniem. Nie krzyczeli jeden przez drugiego jak początkowo, nie klaskali nawet, lecz wydawali się przekonani albo bliscy przekonania.

– Nie ulega wątpliwości – mówił K. bardzo cicho, bo cieszyło go napięcie, z jakim całe zgromadzenie nastawiło ucha, cisza, w której podniósł się szmer bardziej zachęcający niż najzarliwsze oklaski – nie ulega wątpliwości, że za wszystkim, czym się ten sąd uzewnętrznia, a więc w moim wypadku za tamtym zatrzymaniem i dzisiejszym przesłuchaniem, stoi wielka organizacja. Organizacja zatrudniająca nie tylko przekupnych strażników, głupawych nadzorców i w najlepszym razie rozgarniętych sędziów śledczych, ale ponadto utrzymująca na pewno ciało sędziowskie wysokiego i najwyższego szczebla z nieodzownym orszakiem niezliczonych woźnych, pisarczyków,

żandarmów i innych pomocników, a może nawet, nie boję się tego słowa, katów. A na czym, panowie, polega sens istnienia tej wielkiej organizacji? Na tym, że się pozbawia wolności niewinne osoby i wszczyna przeciw nim bezsensowne i najczęściej, jak w moim wypadku, bezskuteczne postępowania. Jak wobec takiego bezsensu ciało urzędnicze ma się uchronić przed najgorszą korupcją? Nie sposób, nie potrafiłby tego nawet najwyższy sędzia. Dlatego strażnicy próbują ukraść zatrzymanym koszulę z grzbietu, dlatego nadzorcy wdzierają się do cudzych mieszkań, dlatego, zamiast przesłuchiwać tych niewinnych ludzi, poniża się ich wobec całych zgromadzeń. Strażnicy opowiadali mi o depozytach, gdzie umieszcza się mienie zatrzymanych; już ja chciałbym zobaczyć te depozyty, gdzie dorobek ciężkiej pracy zatrzymanych gnije, chyba że go rozkradną urzędujący w depozycie złodzieje...

Przerwał mu wrzask na końcu sali; żeby cokolwiek zobaczyć, K. przysłonił oczy, bo mętne światło dnia oślepiało, rozbielając parne powietrze. Wrzask miał jakiś związek z praczką, która według niego już od wejścia robiła duże zamieszanie. Teraz trudno było ocenić, czy to jej wina, czy nie. K. zobaczył tylko, że jakiś mężczyzna zaciągnął praczkę do kąta koło drzwi i trzyma ją w uścisku. Ale nie ona wrzeszczała, tylko mężczyzna; z rozciągniętymi szeroko ustami patrzył w sufit. Tymczasem dookoła nich powstał już niewielki krąg ludzi, a bliżej stojący słuchacze z galerii wyglądali na zachwyconych tym, że coś zakłóca w zgromadzeniu nastrój powagi, jaki wprowadził K. On z kolei w nagłym odruchu próbował tam pobiec, myślał, że wszystkim zależy na przywróceniu porządku czy choćby wyproszeniu tych dwojga; ale pierwsze rzędy przed nim trwały niewzruszone, nikt nie drgnął i nikt nie zrobił miejsca. Przeciwnie, zagradzano mu przejście, starcy wysuwali do przodu ramiona, a czyjaś ręka – nie zdążył dojrzeć czyja – chwyciła go z tyłu za kołnierz; K. nie bardzo już myślał o tamtych dwojgu, poczuł, jakby ograniczano jego wolność, jakby teraz naprawdę go jej pozbawiono, i na nic się nie oglądając, zeskoczył z podestu. Stał teraz oko w oko z ich tłumem. Czyżby tych ludzi błędnie ocenił? Czyżby wcześniej zbyt ufał w skuteczność swojego przemówienia? Czyżby udawali, póki mówił, a kiedy teraz przeszedł do wniosków końcowych, mieli już dość udawania? Co za twarze dookoła! Czarne oczka łypały na boki, policzki obwisały jak u pijaków, długie brody były sztywne i rzadkie, kto w takiej chciał zanurzyć dłoń, nie miał w czym i tylko zaciskał palce w próżni. A pod

brodami, co dla niego było najważniejszym odkryciem, na kołnierzach marynarek błyskały odznaki różnej barwy i wielkości. Mieli je wszyscy, jak okiem sięgnąć. Wszyscy, rzekome stronnictwa z prawa i z lewa, stanowili jedno, i kiedy się nagle odwrócił, zobaczył takie same odznaki na kołnierzu sędziego śledczego, który siedział z założonymi rękami i spokojnie patrzył.

– Więc to tak! – zawołał K. i wyrzucił ramiona w górę, nagłe odkrycie domagało się ujścia. – Toż wy wszyscy, jak widzę, jesteście na służbie, wy jesteście tą sprzedajną bandą, przeciwko której wystąpiłem; stłoczyliście się tutaj, żeby słuchać i węszyć, utworzyliście rzekome stronnictwa, jedno klaskało, wystawiając mnie na próbę, i uczyliście się bałamucenia niewinnych ludzi. Więc mam nadzieję, że coś wam z tego przyszło; albo się ubawiliście tym, że ktoś po was oczekiwał obrony niewinności, albo też, puszczaj, bo uderzę – zawołał do jakiegoś dygocącego starca, który szczególnie napierał – albo mieliście z tego naprawdę jakąś naukę. I na tym kończąc, życzę powodzenia w dalszej działalności.

Szybko wziął leżący na skraju stołu kapelusz i poprzez oniemiały, na pewno osłupiały tłum przepchnął się do wyjścia. Jeszcze szybszy okazał się jednak sędzia śledczy, który już tam czekał.

– Chwileczkę – powiedział.

K. stanął z ręką na klamce, ale nie patrzył na niego, tylko na zamknięte drzwi.

– Chciałem jedynie – ciągnął sędzia – zwrócić uwagę na coś, co może jeszcze nie dotarło do pańskiej świadomości, mianowicie, że dzisiaj odebrał pan sobie atut, jakim dla zatrzymanego jest tak czy owak przesłuchanie.

K. zaśmiał się do drzwi.

– Łachudry! – zawołał. – Darujcie sobie wszystkie przesłuchania! – Wyszedł i zaczął zbiegać schodami. Za jego plecami powstał gwar, zgromadzenie odżyło i zaczęło chyba omawiać te zdarzenia jak ludzie, którzy coś studiują.

W pustej sali posiedzeń

Student

Kancelarie

Przez cały tydzień K. czekał dzień po dniu na ponowne wezwanie; nie mógł uwierzyć, żeby jego rezygnację z przesłuchań wzięto dosłownie, a kiedy w sobotę wieczór ciągle nie miał wiadomości, uznał, że go milcząco wezwano w to samo miejsce na tę samą porę. Dlatego w niedzielę wyruszył znowu do tamtej kamienicy; tym razem szedł prosto przed siebie po schodach i korytarzach, niektórzy, pamiętając go, kłaniali mu się w progach, ale nie musiał już nikogo pytać i wkrótce dotarł pod właściwe drzwi. Zapukał, a kiedy się otwarły, ruszył do salki obok, nie patrząc na znajomą kobietę, która ciągle stała przy drzwiach.

– Dzisiaj nie ma posiedzenia – powiedziała.

– Jak może nie być posiedzenia? – odparł z niedowierzaniem. Przekonała go, kiedy otwarła drzwi salki. Była rzeczywiście pusta, a w swojej pustce wyglądała jeszcze żałośniej niż poprzedniej niedzieli. Na stole, który tak samo stał na podeście, leżało kilka książek. – Czy mogę je obejrzeć? – spytał K. bez szczególnej ciekawości, chcąc tylko mieć pożytek z tego, że tu był.

– Nie – odpowiedziała i przyknęła drzwi. – Nie wolno. Są własnością sędziego śledczego.

– Ach tak – pokiwał głową. – To pewnie kodeksy praw, a własnością tego sądownictwa jest wydawanie wyroków na ludzi nie tylko niewinnych, ale i nieświadomych.

– Może tak być – odparła, nie całkiem go rozumiejąc.

– No to idę – powiedział.

– Czy mam sędziemu coś przekazać? – spytała.

– Pani go zna?

– Oczywiście, przecież mój mąż jest woźnym sądu.

Dopiero teraz K. zauważył, że pierwszy pokój, gdzie poprzednio stała tylko balia, jest dzisiaj bawialnią z pełnym umeblowaniem. Kobieta dostrzegła jego zdziwienie:

– Tak, mieszkamy tutaj za darmo, ale w dni posiedzeń musimy ten pokój

opróżniać. Posada męża ma pewne wady.

– Mnie dziwi nie tyle pokój – odpowiedział i spojrział na nią ze złością – ile to, że pani jest mężatką.

– Czy ma pan na myśli zajście na ostatnim posiedzeniu, kiedy zakłóciłam pańską przemowę?

– Oczywiście. To już dzisiaj przebrzmiała historia, ale wtedy byłem naprawdę wściekły. A teraz pani sama powiada, że jest zamężna.

– Pan nic nie stracił, nie kończąc przemówienia. Potem je bardzo niekorzystnie osądzano.

– Być może – odpowiedział, nie podejmując wątku – ale to nie umniejsza pani winy.

– Nie ponoszę żadnej winy w oczach nikogo, kto mnie zna – odparła. – Ten, co mnie wtedy obejmował, już od dawna nie daje mi spokoju. Tak ogólnie nie jestem ponętna, ale dla niego owszem. Tu nie ma ratunku, już nawet mąż się z tym pogodził, jeżeli chce zachować posadę, musi takie rzeczy znosić, bo tamten studiuje prawo i przypuszczalnie będzie miał dużą władzę. Ugania się za mną cały czas, dopiero co poszedł sobie, kiedy pan zapukał.

– To pasuje do całej reszty – odpowiedział K. – I wcale mnie nie zaskakuje.

– Pan tu chciałby co nieco ulepszyć? – spytała przeciągle i badawczo, jakby mówiła rzecz niebezpieczną dla siebie i dla niego. – Domyśliłam się tego już z pańskiego przemówienia, które mnie się bardzo podobało. Ale słyszałam tylko część, sam początek straciłam, a pod koniec leżałam ze studentem na podłodze. – Po chwili oburącz ujęła jego dłoń i powiedziała: – Jak tu ohydnie. Myśli pan, że uda się osiągnąć jakieś ulepszenia?

Uśmiechnął się i obrócił lekko dłoń w jej miękkich dłoniach, mówiąc:

– Właściwie wprowadzanie tutaj ulepszeń, jak to pani nazwała, nie należy do mnie, a pani, mówiąc o czymś takim na przykład sędziemu śledczemu, ściągnęłyby na siebie szyderstwa lub karę. Doprawdy, nie spędzałyby mi snu z powiek potrzeba ulepszeń w tym sądownictwie i na pewno bym się do niego sam nie wtrącał. Ale proszę pamiętać, że jestem rzekomo zatrzymany i właśnie to zatrzymanie zmusza mnie, żebym tu wkroczył dla własnego dobra. A gdybym się jednocześnie przydał pani, to oczywiście bardzo chętnie. Niekoniecznie ze względów charytatywnych, bo także pani może pomóc mnie.

– A w jaki sposób?

– Na przykład, pokazując mi teraz książki na stole.

– Ależ proszę! – zawołała kobieta i czym prędzej go tam zaciągnęła. Były to stare, wyświechtane księgi, jedna z okładek, pęknięta przez pół, trzymała się tylko na włóknach.

– Jaki tu wszędzie brud – powiedział, kręcąc głową, i zanim wyciągnął rękę po księgi, ona fartuchem wytarła z grubsza kurz. Otworzył tę na samym wierzchu i ukazał się nieskromny obrazek. Na kanapie siedzieli nago mężczyzna i kobieta; wyraźnie dawały się poznać nieprzyzwoite intencje rysownika, ale duże błędy warsztatowe sprawiały, że widać było koniec końców tylko mężczyznę i kobietę, którzy zbytnią cielesnością odbijali od tła, siedzieli przesadnie prosto i wskutek błędów perspektywy z trudem się mogli zająć jedno drugim. Nie kartkował dalej, otworzył tylko na karcie tytułowej kolejną księgę; była to powieść pod tytułem *Męki, jakie Małgosi zadawał mąż Jaś*.

– Oto jakie prawa się tutaj studiuje – powiedział K. – Tacy ludzie mają mnie sądzić.

– Pomogę panu. Chce pan?

– Naprawdę mogłaby pani bez narażania się? Mówiła pani przedtem, że mąż jest bardzo zależny od przełożonych.

– Pomogę panu tak czy owak. Siądźmy, to trzeba omówić. Niech pan więcej nie opowiada o moim narażaniu się, ja boję się wtedy, kiedy zechcę. Siądźmy. – Gestem wskazała stopień podestu. – Pan ma ładne, ciemne oczy – powiedziała, kiedy już usiedli, i zadzierając głowę, zajrzała mu w twarz. – Mnie też ludzie mówią, że mam ładne, ale pańskie są znacznie ładniejsze. Uderzyły mnie zresztą, kiedy tylko pierwszy raz pan się tu zjawił. I dlatego później weszłam do sali zgromadzeń, czego nigdy nie robię, a właściwie nawet mam zakaz.

„Więc na tym wszystko polega – pomyślał K. – Robi mi propozycje, jest zepsuta jak wszyscy tutaj dookoła, ma dosyć urzędników sądu, co w końcu zrozumiałe, więc byle nieznajomego wita komplementami o jego oczach”. I wstał bez słowa, jakby te myśli wypowiedział już na głos i jakby tłumaczyły jego zachowanie.

– Wątpię, żeby pani mogła mi pomóc, do tego by trzeba mieć znajomości wśród wysokich urzędników. A pani pewnie zna tylko pracowników podrzędnych, których się tutaj kręcą tłumy. Ich na pewno zna pani bardzo dobrze i mogłaby na nich wymóc niejedno, w to nie wątpię, ale nawet największa rzecz, jaką by się na nich wymogło, nie miałyby najmniejszego

znaczenia, jeżeli chodzi o końcowy wynik procesu. A pani by niepotrzebnie straciła niektórych przyjaciół. Tego nie chcę. Proszę te znajomości podtrzymywać, bo zdaje się, że bardzo ich pani potrzebuje. Mówię to nie bez żalu, bo chcę jednak odwzajemnić jakoś komplement i dodać, że pani też mi się podoba, zwłaszcza kiedy teraz patrzy pani na mnie z takim smutkiem, zresztą nie mając do tego powodu. Ja muszę tych ludzi zwalczać, ale pani należy do ich grona, świetnie się wśród nich miewa i nawet kocha tego studenta, a jeżeli nie, to przynajmniej woli jego niż męża. W pani słowach było to wyraźnie słychać.

– Nie! – zawołała, nie wstając, tylko chwytając jego dłoń, której nie zdążył cofnąć. – Niech pan teraz nie wychodzi, niech pan nie wychodzi z fałszywym sądem o mnie! Czy naprawdę potrafiłby pan teraz wyjść? Czy naprawdę aż tak mało znaczę, że nie zrobi mi pan nawet tej przysługi i nie zostanie pan chociaż na chwilę?

– Źle mnie pani zrozumiała. – Z powrotem usiadł. – Jeżeli zależy pani, żebym został, to chętnie zostanę, przecież mam czas, przyszedłem w oczekiwaniu, że dzisiaj będzie rozprawa. Cokolwiek mówiłem przedtem, chciałem przez to prosić, żeby pani w związku z moim procesem nie podejmowała żadnych kroków. Ale o tę prośbę też niech się pani nie obraża, bo powiem pani, że wynik procesu mnie nic nie obchodzi, a z osądzenia tylko się uśmieję. Pod warunkiem, że w ogóle dojdzie do prawdziwego zamknięcia procesu, w co bardzo wątpię. Myślę raczej, że ciało urzędnicze wskutek zapominalstwa, z lenistwa lub nawet ze strachu przerwało postępowanie albo niedługo je przerwie. Możliwe jednak, że w nadziei na jakieś większe przekupstwo będzie pozornie ciągnęło proces, ale już dziś mogę powiedzieć, że bezskutecznie, bo nikogo nie przekupię. Owszem, wyświadczy mi pani przysługę, kiedy sędziemu albo komukolwiek lubiącemu rozgłaszać ważne wiadomości powie pani, że nie dam się nakłonić do przekupstwa nigdy i żadnymi sztuczkami, których ci panowie znają pewnie całe mnóstwo. Byłyby całkowicie daremne, może to pani wtedy otwarcie powiedzieć. Niewykluczone zresztą, że sami to zauważyli, a nawet jeżeli nie, to wcale tak mi nie zależy, żeby już teraz mieli taką świadomość. To by im tylko oszczędziło pracy; owszem, i mnie by oszczędziło pewnych nieprzyjemności, ale chętnie ścierpię każdą nieprzyjemność, bylebym wiedział, że dla nich będzie ciosem. A już o to się postaram. Czy pani zna sędziego śledczego?

– Oczywiście. O nim nawet myślałam przede wszystkim, kiedy

proponowałam panu pomoc. Nie wiedziałam, że jest tylko niskim urzędnikiem, ale pewnie to prawda, skoro pan tak mówi. Mimo to myślę, że od raportu, jaki dostarcza wyżej, coś tam jednak zależy. A on pisze tyle raportów. Pan mówi, że urzędnicy są leniwi, otóż nie wszyscy, nie ten sędzia śledczy, ten pisze bardzo dużo. Na przykład w ostatnią niedzielę posiedzenie skończyło się dopiero pod wieczór. Wszyscy poszli, a sędzia został w sali, musiałam przynieść mu lampę, mam tylko taką małą, kuchenną, ale jemu wystarczyła i od razu zaczął pisać. Tymczasem przyszedł mój mąż, który tamtej niedzieli miał urlop, wyciągnęliśmy meble, urządziliśmy pokój na nowo, potem jeszcze przyszli sąsiedzi, rozmawialiśmy przy świecy, słowem, zapomnieliśmy o sędzim i poszliśmy spać. Nagle, już chyba w środku nocy, budzę się, a tu przy łóżku stoi sędzia śledczy i przysłania ręką lampę, żeby na męża nie padało światło, zbytek ostrożności, mąż ma taki sen, że nawet światło by go nie zbudziło. Przestraszyłam się, mało nie krzyknęłam, ale sędzia był bardzo grzeczny, uciszał mnie, szeptał, że pisał do tej pory, że odnosi lampę i że nigdy nie zapomni, jak zobaczył mnie śpiącą. Mówię to tylko, żeby pan wiedział, że on pisze naprawdę dużo raportów, zwłaszcza o panu, bo przesłuchanie pana było na pewno jednym z głównych punktów niedzielnego posiedzenia. A przecież takie długie raporty muszą swoje znaczyć. Poza tym, jak pan widzi chociażby po tym zdarzeniu, sędzia śledczy zaleca się do mnie i właśnie teraz, na początku, bo mnie chyba dopiero zauważył, mogę na niego łatwo wpływać. Wczoraj zyskałam kolejny dowód, że mu na mnie zależy. Za pośrednictwem studenta, który jest jego zaufanym i współpracownikiem, przysłał mi w podarunku jedwabne pończochy, niby za sprzątanie sali posiedzeń, ale to pretekst, bo przecież ta praca jest moim obowiązkiem i mąż dostaje za nią pieniądze. Ładne pończochy, niech pan zobaczy – wysunęła nogi, podkasała do kolan suknię i sama na te pończochy spojrzała. – Ładne, ale jednak za delikatne i nie dla mnie...

Urwała, położyła dłoń na dłoni K., jakby go chciała uspokoić, i szepnęła:

– Cicho, Bertold patrzy!

K. uniósł powoli wzrok. W drzwiach stał młody człowiek; był niski, nogi miał nie całkiem proste, a usiłował sobie przydać dostojeństwa rudawą rzadką bródką, w której ciągle przebierał palcami. K. patrzył na niego z ciekawością – to pierwszy student tych nieznanych nauk prawnych, z którym zetknął się bardziej prywatnie i który pewnie osiągnie kiedyś wyższe stanowiska urzędnicze. Student natomiast jakby go nie zauważał,

skinął tylko na kobietę palcem na chwilę wyciągniętym z brody, podszedł do okna, a żona woźnego nachyliła się do K. i wyszeptała:

– Niech pan się nie gniewa, bardzo proszę, i niech pan o mnie źle nie myśli, teraz muszę iść do niego, co za paskudny człowiek, niech pan tylko spojrzysz na te krzywe nogi. Ale zaraz wrócę, a potem pójdę z panem, jeżeli mnie pan zabierze, pójdę, dokąd pan zechce, zrobi pan ze mną, co zechce, będę szczęśliwa, mogąc się stąd wydostać, byle na długo, a najlepiej na zawsze.

Pogładziła go jeszcze po ręce, zerwała się i podbiegła do okna. Mimo woli sięgnął po jej dłoń, sięgnął w próżnię. Ta kobieta rzeczywiście go nęciła i nawet po wnikliwym namyśle nie znalazł mocnego argumentu za tym, żeby się oprzeć jej ponętności. Bez trudu pozbył się chwilowych obiekcji, że ona omota go i zrobi więźniem sądu. Jak by go miała omotać? Czy nie będzie zawsze dosyć wolny, żeby przynajmniej w zakresie swojej sprawy w każdej chwili rozbić cały ten sąd? Czy nie mógłby mieć do siebie tej krzty zaufania? A jej oferta pomocy brzmi szczerze i może mieć wartość. I chyba trudno byłoby o lepszą zemstę na sędzim śledczym i jego poplecznikach, niż gdyby K. zagarnął żonę woźnego. Mogłoby się wtedy zdarzyć, że sędzia po trudach pracy nad kłamliwymi raportami o nim późną nocą zastanie jej łóżko puste. Puste, bo ta kobieta przy oknie będzie już należeć do K., to bujne, gibkie, gorące ciało w ciemnej sukni z surowej, mięsistej materii będzie należeć tylko do niego.

Tak oto wyzbył się zastrzeżeń do niej, a wtedy zniecierpliwiła go cicha rozmowa dwojga przy oknie; zaczął stukać w podest, a potem walić pięścią. Student zerknął na niego ponad ramieniem kobiety, ale się nie spieszył; ba, nawet ją mocniej przycisnął i objął. Ona zwiesiła głowę, jakby zasłuchana, on głośno cmoknął ją w kark, nie robiąc większej przerwy w mówieniu. K. znalazł w tym potwierdzenie tyranii, na którą się skarżyła; wstał i zaczął chodzić po salce. Popatrywał ukosem w stronę okna i rozmyślał nad najszybszym sposobem pozbycia się studenta, więc kiedy już go najwidoczniej rozdrażnił swoimi krokami, a niekiedy wręcz tupotem, nie bez radości przyjął jego słowa:

– Jeżeli jest pan zniecierpliwiony, to proszę wyjść. Można już było wcześniej, nikt by za panem nie tęsknił. Ba, nawet było trzeba, i to natychmiast po moim wejściu, i to czym prędzej.

Przy całej złości, jakiej student pofolgował, na pewno była w tym odezwananiu także dufność przyszłego urzędnika sądu wobec źle widzianej

osoby oskarżonego. K. stanął tuż przed nim i z uśmiechem odparł:

– Jestem zniecierpliwiony, rzeczywiście, ale najłatwiej pozbędę się zniecierpliwienia, kiedy to pan nas opuści. Jeżeli natomiast przyszedł pan postudiować, bo jest pan podobno studentem, to chętnie zrobię miejsce i wyjdę z tą panią. Zresztą, żeby zostać sędzią, musi pan studiować jeszcze długo. Wprawdzie na razie niezbyt dobrze znam wasze sądownictwo, ale przypuszczam, że nie wystarczą tutaj same prostackie przemowy, które pan skądinąd nieprzyzwoicie łatwo wygłasza.

– Niepotrzebnie darowano mu wolność – powiedział student, jakby chcąc wyjaśnić kobiecie obraźliwą odpowiedź K. – To było błędne posunięcie. Mówiłem o tym sędziemu śledczemu. Między przesłuchaniami należałoby go przynajmniej trzymać w jego pokoju. Sędzięgo czasem trudno zrozumieć.

– Szkoda słów – K. wyciągnął rękę w stronę kobiety. – Chodźmy.

– Co takiego? Nie, jej pan nie dostanie.

Z siłą, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, student jedną ręką uniósł żonę woźnego i spoglądając na nią czule, przechylony ruszył do drzwi. Choć zdradzał pewien strach przed K., śmiał jeszcze na złość drugą ręką pieścić ramię kobiety. K. szedł obok, gotów go złapać i nawet w ostateczności podduścić, ale żona woźnego powiedziała:

– To nic nie da, po mnie posłał sędzia śledczy, nie wolno mi pójść z panem, ten mały paskudnik – pogłaskała studenta po twarzy – ten mały paskudnik nie puści mnie.

– A pani nie chce, żeby ją uwolnić! – krzyknął K. i chwycił za bark studenta, na co ten próbował złapać jego dłoń zębami.

– Nie! – zawołała kobieta, chcąc odepchnąć K. – Nie, tylko nie to, co pan chce zrobić? To by mnie zgubiło. Niech pan go puści, proszę, niechże pan go puści. Przecież on tylko wykonuje polecenie i zanosz mi sędziemu.

– Więc niech zmyka, a ja nie chcę pani znać! – wybuchnął K. zawiedziony, szturchnął w plecy studenta, aż ten potknął się, by jednak z radości, że nie upadł, tym zwawiej się ze swoim ciężarem poderwać. K. szedł za nimi powoli, zrozumiał, że to pierwsza niewątpliwa porażka, jaką poniósł w walce z tymi ludźmi. Oczywiście, nie ma się czego bać, doznał porażki tylko dlatego, że stanął do walki. Gdyby nie wychodził z domu i prowadził zwyczajne życie, miałby nad każdym z nich tysiackrotną przewagę, każdego mógłby jednym kopniakiem sprzątnąć z drogi. I wyobraził sobie na przykład arcyśmieszna scenę, kiedy ten studencina, smarkaty waśniak, brodaty

pokurcz klęka przed łóżkiem Elizy, ze złożonymi dłońmi prosząc łaski. Tak mu się to wyobrazenie spodobało, że postanowił zabrać do niej studenta przy pierwszej okazji.

Teraz jednak pospieszył do drzwi wejściowych, zaciekawiony, dokąd student zanieś zonę woźnego, bo chyba nie będzie ulicami niósł jej na ramieniu. Droga okazała się o wiele krótsza. Naprzeciw mieszkania wąskie drewniane schody, których końca nie było widać za zakrętem, prowadziły chyba na poddasze. To tędy student ją wnosił, już powoli, postępując, bo zmęczył go wcześniejszy pośpiech. Żona woźnego pokiwała do K. i wzruszaniem ramion próbowała wyrazić, że nie jest winna uprowadzeniu, ale nie było w tych gestach wielkiego żalu. K. patrzył na nią bez wyrazu jak na nieznaną; nie chciał zdradzić ani rozczarowania, ani że łatwo się z niego otrząśnie.

Tamtych dwoje już znikło, a on ciągle stał w progu. Jak się domyślał, kobieta nie tylko go zdradziła, ale i zwodziła, oświadczając, że student niesie ją sędziemu. Bo przecież sędzia śledczy nie może siedzieć i czekać na jakimś poddaszu. Drewniane schody nic nie wyjaśniały, choćby się na nie najdłużej patrzyło. Nagle u ich wylotu K. zauważył wiszący świstek; podszedł tam i przeczytał napis dziecinnym, niewyrobnym pismem: *KANCELARIE SĄDU PIĘTRO WYŻEJ*. Kancelarie tego sądu tutaj, na poddaszu kamienicy? Taką siedzibą nie budziły zbytniego szacunku, i oskarżonego mogło pocieszyć wyobrażenie, jak niewielkimi pieniędzmi rozporządza sąd, który na kancelarie wybrał miejsce, gdzie lokatorzy, należący i tak do ludzi najbiedniejszych, zwalają rupiecie. Niewykluczone było jednak, że sąd ma pieniądze pod dostatkiem, tylko że ciało urzędnicze garnie je pod siebie, zanim ktokolwiek coś wyda na potrzeby sądu. Dotychczasowe doświadczenia K. potwierdzały ten domysł; ale choć takie rozprężenie poniżałoby oskarżonych, byłoby w gruncie rzeczy jeszcze bardziej pocieszające niż nawet zubożenie sądu. I teraz K. zrozumiał: oto za pierwszym razem wstydzono się wzywać oskarżonego na poddasze i uznano, że lepiej go nękać w mieszkaniu. O ileż lepszą pozycją cieszy się on sam, który w banku ma duży gabinet z przedpokojem, a przez wielką szybę może spoglądać z góry na ruchliwy plac. Owszem, nie czerpie ubocznych dochodów z przekupstwa ani przywłaszczenia i nie może kazać woźnemu, żeby mu przyniósł do biura kobietę. Ale z obu tych rzeczy gotów był zrezygnować, przynajmniej w tym życiu.

Stał jeszcze przed wywieszką, kiedy jakiś mężczyzna wszedł po schodach, przez otwarte drzwi zajrzał do bawialni, skąd widać było także salę posiedzeń, a w końcu spytał, czy K. nie widział tu przed chwilą kobiety.

– Pan jest woźnym sądu, prawda?

– Owszem, ach tak, oskarżony K., teraz i ja poznaję, miło mi. – Mężczyzna ku zaskoczeniu K. wyciągnął na powitanie rękę. – Ale na dzisiaj nie wyznaczono posiedzenia – dodał, nie doczekawszy odpowiedzi.

– Wiem – odparł wreszcie K., wpatrując się w cywilne ubranie woźnego, które prócz kilku zwykłych guzików jako jedyną urzędową odznakę miało dwa złoczone; wyglądały, jakby ktoś je oderwał ze starego płaszcza oficerskiego. – Rozmawiałem przed chwilą z pańską żoną. Nie ma jej tu. Student zaniósł ją sędziemu.

– Widzi pan – odpowiedział woźny. – Co chwila mi ją wynoszą. Dzisiaj bądź co bądź niedziela, mam dzień wolny od pracy, a jednak, byle mnie stąd wyprawić, wysyła się mnie z jakąś na pewno niepotrzebną wiadomością. I nie wysyła się mnie daleko, więc, licząc na to, że wrócę zawczasu, jeżeli się bardzo pospieszę, gnam ile tchu, w urzędzie, dokąd mnie posłano, przez szparę w drzwiach wykrzykuję wiadomość tak zdyszany, że pewnie jej nie rozumieją, wracam pędem, a tu student już mnie ubiegł, on ma krótszą drogę, wystarczy, że zejdzie z poddasza. Gdybym nie był taki zależny, tobym go dawno rozgniół o ścianę. Tutaj, koło wywieszki. O tym ciągle marzę. Tutaj przygnieciony, nie sięga podłogi, ręce rozłożone, palce rozstawione, krzywe nogi wygięte w kabłąk, a dookoła bryzgi krwi. Ale to na razie tylko marzenie.

– Czyżby nie było innego sposobu? – spytał K. z uśmiechem.

– Mnie o żadnym nie wiadomo. I teraz jest jeszcze gorzej, dotychczas nosił ją tylko do siebie, a teraz, czego się od dawna bałem, nosi ją też sędziemu.

– A czy to nie też wina pańskiej żony? – spytał K., ledwo nad sobą panując, bo też poczuł zazdrość.

– Ależ owszem. Przede wszystkim jej wina. To żona uczepiła się studenta. On sam gania za wszystkimi spódniczkami. Już choćby w tej kamienicy wyrzucali go z pięciu mieszkań, do których się zakradał. Ale moja żona jest najładniejsza w całym domu, a ja jeden nie mogę się sprzeciwić.

– Skoro tak, to rzeczywiście nie ma sposobu.

– Jak to nie ma? Kiedy ten tchórz student spróbuje dotknąć mojej żony, trzeba by mu spuścić takie baty, żeby się nigdy więcej nie ośmielił. Mnie

jednak nie wolno, a inni nie wyświadczą mi tej przysługi, bo wszyscy się boją jego władzy. Mógłby to zrobić tylko taki mężczyzna jak pan.

– Czemu niby ja? – spytał K. ze zdumieniem.

– Bo pan jest oskarżony.

– Owszem, ale tym bardziej mogę się bać, że student będzie miał wpływ jeżeli nawet nie na wynik procesu, to na wstępne śledztwo.

– Tak, oczywiście – odpowiedział woźny, jakby pogład K. był równie słuszny, jak jego własny. – Ale u nas się z reguły nie prowadzi procesów bez perspektyw.

– Jestem innego zdania – odparł K. – Ale to nie przeszkadza, żebym kiedyś zaaplikował studentowi małą kurację.

– Byłbym ogromnie wdzięczny – odpowiedział trochę oficjalnie woźny, nie bardzo chyba licząc na spełnienie swoich najgorętszych pragnień.

– Być może u was – ciągnął K. – na to samo zasłużyli jeszcze inni pracownicy, a może nawet wszyscy.

– Tak, tak – odpowiedział woźny, jakby szło o jakąś oczywistość. Po czym spojrzał na K. ufnym wzrokiem, jakim przy całej uprzejmości nie patrzył wcześniej, i dodał:

– No i ludzie się stale buntują. – Ale widocznie ta rozmowa zaczęła już woźnego krępować, skoro ją przerwał, mówiąc:

– Pora, żebym się zameldował w kancelarii. Pójdzie pan ze mną?

– Nic tam po mnie.

– Obejrzy pan kancelarie. Kto zwróci na pana uwagę? Nikt.

– A czy w nich jest cokolwiek do oglądania? – zapytał K. niezdecydowanym tonem, chociaż miał wielką ochotę pójść.

– Cóż, myślałem, że pana zaciekawią.

– Dobrze – powiedział w końcu K. – Pójdę z panem. – I pognał schodami prędzej niż woźny.

Wchodząc do środka, omal nie upadł, bo za drzwiami był jeszcze jeden stopień.

– Nie bardzo się liczą z gośćmi – powiedział.

– Nie liczą się wcale – odparł woźny. – Niech pan tylko zobaczy poczekalnię.

Był to długi korytarz, skąd do poszczególnych komórek poddasza prowadziły grubo ciosane drzwi. Choć nie docierało światło z zewnątrz, nie było całkiem ciemno, bo niektóre komórki nie miały litych ścian i od

korytarza oddzielały je gołe, sięgające sufitu drewniane kraty; przenikało tamtędy trochę światła i czasem dali się zobaczyć urzędnicy, którzy pisali coś przy biurkach albo nawet stali przy kratkach i przez szpary obserwowali ludzi na korytarzu. Ludzi tych było mało, pewnie dlatego, że niedziela. Robili bardzo skromne wrażenie. W niemal równych odległościach siedzieli na długich drewnianych ławkach, ustawionych rzędami po obu stronach korytarza. Wszyscy byli w zaniedbanych ubraniach, mimo że u większości wyraz twarzy, postawa, kształt zarostu oraz inne, trudniej uchwytnie szczegóły zdradzały przynależność do klas wyższych. Nie było wieszaków, więc pewnie jeden za przykładem drugiego poodkładali kapelusze pod ławki. Widząc K. i woźnego, siedzący najbliżej drzwi wstali w ukłonie, na co kolejni także uznali, że trzeba się ukłonić, i tym sposobem wszyscy przez nich mijani wstawali z miejsc. Ani przez chwilę nie stali prosto, plecy mieli pochylone, kolana zgięte, stali jak uliczni żebracy. K. zaczekał na woźnego, idącego trochę za nim, i powiedział:

– Jak oni muszą być upokorzeni.

– Tak. Są oskarżeni, wszyscy, których pan tu widzi, są oskarżeni.

– Naprawdę? Więc to moi koledzy – odparł K. i zwrócił się do najbliższego stojącego, którym był wysoki, szczupły, mocno posiwiały mężczyzna:

– Na co pan tutaj czeka? – zagadnął go uprzejmie. Ale niespodziewane pytanie speszyło czekającego, widok tym bardziej przykry, że ten wyraźnie światowy człowiek kiedy indziej na pewno panował nad sobą i niełatwo tracił poczucie przewagi nad wieloma ludźmi. Jednak teraz nie umiał odpowiedzieć na tak łatwe pytanie i patrzył na innych, jakby mieli obowiązek mu pomóc i jakby nikt nie mógł od niego wymagać odpowiedzi, kiedy tej pomocy braknie. Wreszcie podszedł do nich woźny i chcąc uspokoić mężczyznę oraz dodać mu animuszu, powiedział:

– To było tylko pytanie, na co pan czeka. Proszę odpowiedzieć.

Znajomy chyba głos woźnego podziałał lepiej:

– Ja czekam... – zaczął mężczyzna i utknął. Wybrał taki początek widocznie po to, żeby jak najdokładniej odpowiedzieć na zadane pytanie, ale teraz nie znajdował dalszego ciągu. Niektórzy czekający przybliżyli się i obstąpili ich trójkę, na co woźny rzucił:

– Idźcie stąd, idźcie, nie stójcie w przejściu.

Cofnęli się nieco, ale nie wrócili na poprzednie miejsca. Tymczasem zapytany zebrał myśli i odpowiedział nawet lekko uśmiechnięty:

– Miesiąc temu złożyłem w swojej sprawie kilka wniosków dowodowych i czekam na ich rozpatrzenie.

– Pan chyba się bardzo stara – powiedział K.

– Tak, przecież chodzi o moją sprawę.

– Nie każdy rozumuje tak jak pan. Ja też na przykład jestem oskarżony, ale jako żywo ani nie złożyłem wniosków dowodowych, ani nie podjąłem innych tego rodzaju kroków. Czy pana zdaniem to potrzebne?

– Nie bardzo wiem – odpowiedział mężczyzna, znów niepewny swego; wyraźnie uważał, że K. z niego żartuje, więc ze strachu przed kolejnym błędem najchętniej chyba powtórzyłby całą wcześniejszą odpowiedź. Jednak widząc w oczach K. zniecierpliwienie, odparł tylko: – Co do mnie, złożyłem wnioski dowodowe.

– Czyżby nie wierzył pan, że jestem oskarżony?

– Ależ owszem, a jakże – odpowiedział mężczyzna, odsuwając się trochę na bok, w jego słowach jednak nie było takiej wiary, lecz sam strach.

– Więc pan mi nie wierzy? – spytał znowu K. i nieświadomie zachęcony pokorą mężczyzny chwycił go za ramię, jakby chciał go zmusić do uwierzenia. Nie chciał mu zadać bólu, dotknął go bardzo lekko, a jednak tamten krzyknął, jakby nie ujęły go dwa palce, ale rozżarzone cęgi. Ten śmiechu wart krzyk już na dobre zraził K.; jeżeli ludzie nie wierzą, że też jest oskarżony, to tym lepiej, może tamten wziął go nawet za któregoś z sędziów. Na pożegnanie chwycił czekającego mocno, pchnął go na ławkę i poszedł dalej.

– Oskarżeni w większości są tacy drażliwi – powiedział woźny.

Za nimi niemal wszyscy czekający zgromadzili się przy mężczyźnie, który już nie krzyczał, i pewnie go wypytywali o szczegóły zajścia. Naprzeciw K. szedł strażnik, rozpoznawalny głównie po szabli, której pochwa z barwy przynajmniej wyglądała jak aluminiowa. Tak zdziwiła K., że aż jej dotknął. Strażnik, którego sprowadził krzyk, dopytywał teraz o całe zdarzenie. Woźny próbował go w paru słowach uspokoić, ale strażnik oświadczył, że jednak sprawdzi wszystko sam, zasalutował i poszedł dalej, stawiając bardzo spieszne, ale drobne, ograniczone pewnie podagrą kroki.

Po chwili K. przestał zwracać uwagę na niego i całe towarzystwo na korytarzu, zwłaszcza gdy zobaczył, że w połowie jego długości można przejściem bez drzwi skrócić w prawo. Spytał woźnego, czy to właściwa droga, i zakręcił na jego skinienie głową. Sprzykrzyło mu się chodzenie krok

albo dwa przed woźnym sądu, w takim miejscu mogło to wyglądać jak doprowadzanie zatrzymanego. Przystawał więc i czekał, ale woźny ciągle szedł trochę w tyle. Żeby skończyć z tą niemiłą sytuacją, K. powiedział wreszcie:

– No tak, widziałem, jak to wygląda, i chcę już wyjść.

– Jeszcze nie widział pan wszystkiego – rzucił od niechcienia woźny.

– Nie chcę widzieć wszystkiego – odpowiedział K., zresztą czując naprawdę zmęczenie. – Chcę już wyjść, tylko którądy?

– Pan chyba jeszcze nie pobłądził? – zdumiał się woźny. – Pójdzie pan tędy, a potem w prawo korytarzem prosto do drzwi.

– Niech pan pójdzie ze mną, niech mi pan pokaże kierunek, inaczej nie trafię, tyle tu dróg.

– Jest jedna droga – odparł woźny już tonem wyrzutu. – Nie mogę z panem wracać, muszę wreszcie przekazać tę wiadomość, a przez pana już i tak mi zeszło dużo czasu.

– Niech pan pójdzie ze mną! – powtórzył K. ostrzej, jakby wreszcie przyłapał woźnego na nieprawdzie.

– Niechże pan tak nie krzyczy – wyszeptał woźny. – Tu wszędzie są biura. Jeżeli nie chce pan wracać sam, to proszę jeszcze kawałek pójść ze mną albo zaczekać tutaj, aż się zamelduję, i wtedy chętnie z panem wrócę.

– Nie, pójdzie pan ze mną teraz, nie będę czekał.

K. nie zdążył nawet obejrzeć pomieszczenia, w którym się znalazł, i obrócił wzrok dopiero, kiedy otwarły się jedne z wielu drewnianych drzwi dookoła. Wysła zza nich jakaś dziewczyna, którą pewnie sprowadziło jego głośne odezwanie, i zapytała:

– Słucham szanownego pana?

Daleko za nią w półmroku widać było, że jeszcze zbliża się jakiś mężczyzna. K. spojrział na woźnego. To on mówił, że na K. nikt nie zwróci uwagi, a tymczasem przyszło tych dwoje i tylko patrzeć, kiedy ciało urzędnicze zaciekawi się nim i zażąda, żeby wytłumaczył swoją obecność. Aprobata i zrozumienie znalazłoby jedynie to, że jako oskarżony chce poznać datę następnego przesłuchania, ale tym właśnie się nie chciał tłumaczyć, zwłaszcza że prawda była inna, bo przyszedł z czystej ciekawości albo – co jeszcze trudniej przyznać – z chęci upewnienia się, czy to sądownictwo od wewnątrz wygląda równie ohydnie jak od zewnątrz. Jego domysły znalazły potwierdzenie, głębiej nie chciał w to wnikać, dość przytłoczony wszystkim,

co zobaczył, nie czuł się na siłach, żeby stanąć przed jakimś wyższym urzędnikiem, gdyby taki wynurzył się zza którychkolwiek drzwi; chciał już wyjść, z woźnym albo w ostateczności sam.

Ale tylko stał bez słowa, robiąc chyba dziwne wrażenie, skoro dziewczyna i woźny patrzyli na niego tak, jakby w ciągu minuty miała się w nim dokonać wielka przemiana i jakby nie chcieli stracić tego widoku. W drzwiach stanął mężczyzna, którego K. wcześniej zauważył w głębi; trzymał się on niskiego nadproża i kołysał lekko na czubkach palców jak zniecierpliwiony widz. Ale to dziewczyna pierwsza poznała, że zachowanie K. wynika z lekkiej niedyspozycji, przyniosła krzesło i zapytała:

– Nie chce pan usiąść?

Usiadł bez namysłu, a chcąc się poczuć jeszcze pewniej, oparł łokcie na poręczach.

– Ma pan lekkie zawroty głowy, prawda? – spytała. Widział teraz blisko przed sobą jej twarz o surowym wyrazie, jak to u niektórych kobiet w rozkwicie młodości. – Proszę się nie martwić, tutaj to nic nadzwyczajnego, mało kto nie dostaje takiego ataku, kiedy przychodzi pierwszy raz. Pan po raz pierwszy? Więc właśnie, nic nadzwyczajnego. Słońce nagrzewa dach i od gorącego drewna powietrze jest takie ciężkie i stęchłe. Dlatego tutejsze pomieszczenia nie bardzo się nadają na biura, mają wprawdzie dużo innych zalet, ale takie powietrze, że w dni o dużej frekwencji, czyli przez większość tygodnia, nie bardzo jest czym oddychać. I jeżeli jeszcze weźmie pan pod uwagę, że lokatorzy często rozwieszają tu bieliznę do suszenia, czego trudno im całkiem zabronić, to się pan nie zdziwi, że trochę panu niedobrze. Ale w końcu człowiek się z tym powietrzem oswaja. Za drugim albo trzecim razem nie zauważy pan, że jest ciężkie. Czy już panu lepiej?

Nie odpowiadał, zbyt źle się czuł, będąc przez nagłe osłabnięcie zdany na tych ludzi, a odkąd poznał przyczyny swoich mdłości, nie miał się lepiej, tylko jeszcze gorzej. Dziewczyna zaraz to spostrzegła; chcąc go orzeźwić, wzięła oparty o ścianę drążek i uchyliła okienko w dachu, umieszczone ponad głową K. i wychodzące na otwartą przestrzeń. Jednak wpadło tyle sadzy, że czym prędzej je zamknęła i chusteczką oczyściła dłonie K., który był zbyt zmęczony, żeby o to zadbać samemu. Miał ochotę spokojnie tu posiedzieć do chwili, kiedy nabierze sił do wyjścia, ale mógł ich nabrać tym szybciej, im mniej by na niego zwracano uwagę. A jeszcze dziewczyna powiedziała:

– Tutaj pan nie może zostać, tutaj utrudniamy ruch. – Jaki znowu ruch, spytał spojrzaniem. – Jeżeli pan chce, pójdziemy do izby chorych. Proszę mi pomóc – powiedziała do mężczyzny w drzwiach, który się zaraz przybliżył. Ale K. nie chciał, żeby go zaprowadzono ani do izby chorych, ani dokądkolwiek; im dalej zajdzie, tym będzie gorzej. Powiedział więc:

– Jakoś pójde – i rozleniwiony przesiadywaniem na krześle, rozedrgany podniósł się. Ale nie ustał na nogach. – Jednak nie – pokręcił głową i z westchnieniem usadowił się znowu na krześle. Pomyślał, że woźny nawet teraz wyprowadziłby go bez trudu, tyle że chyba dawno sobie poszedł; K. spojrzął na wprost, ale między stojącymi przed nim dziewczyną i mężczyzną nie było widać woźnego.

– Myślę sobie – powiedział mężczyzna, który zadziwiał eleganckim strojem, zwłaszcza szarą kamizelką o długich, spiczastych połach – że niedyspozycja tego pana wynika z tutejszej atmosfery, więc najdogodniej dla niego i najlepiej byłoby wyprowadzić go nie do izby chorych, tylko w ogóle poza kancelarie...

– Otóż to! – K. tak się ucieszył, że trochę wpadł mu w słowo. – Na pewno zaraz mi się polepszy, nie czuję takiego znów osłabienia, wystarczy trochę mnie wesprzeć pod ramiona, nie sprawię państwu wielkiego kłopotu, to zresztą niedługa droga, proszę tylko podprowadzić mnie do drzwi, a przysiądę na schodach i zaraz dojdę do siebie, nigdy dotąd nie miałem takiej zapaści, ona i dla mnie jest niespodzianką. Bądź co bądź jako urzędnik też się oswoiłem z powietrzem w biurach, ale tu, jak sami państwo mówią, jest wyjątkowo nieprzyjemnie. Więc może będą państwo łaskawi podprowadzić mnie kawałek, bo mam zawroty głowy i słabo mi, kiedy sam wstaję.

Uniósł ramiona, żeby ułatwić obojgu wzięcie go pod pachy. Ale mężczyzna nie usłuchał prośby, tylko, spokojnie trzymając ręce w kieszeniach spodni, wybuchnął śmiechem i powiedział do dziewczyny:

– Widzi pani, więc jednak trafiłem w sedno. Ten pan źle się czuje tylko tutaj, nie ogólnie.

Dziewczyna też się uśmiechnęła, ale koniuszkami palców trąciła mężczyznę w ramię jak kogoś, kto przesadza w żartach.

– Ależ co pani myśli – mówił dalej wciąż ze śmiechem. – Przecież wyprowadzę tego pana.

– To dobrze – odparła, na chwilę schylając kształną głowę. – Niech się

panu nie wydaje, że ten śmiech coś znaczy – powiedziała do znów posmutniałego K., który patrzył gdzieś przed siebie i zdawał się nie oczekiwać wyjaśnień. – Ten pan... Chyba mogę przedstawić? – Mężczyzna przyzwalająco skinął dłonią. – Otóż ten pan to doradca stron. Udziela wszelkich potrzebnych wskazówek czekającym, a ponieważ publiczność nie zna zbyt dobrze naszego sądownictwa, domagają się wielu wskazówek. Zna odpowiedź na wszystkie pytania, jeżeli panu kiedyś przyjdzie ochota, proszę go wypróbować. Ale to nie jedyna jego zaleta, drugą jest elegancki strój. My, to znaczy ciało urzędnicze postanowiło kiedyś sprawić go doradcy, bo właśnie on pierwszy rozmawia ze stronami, a od początku trzeba robić godne wrażenie. My, pozostali, jak pan widzi choćby po mnie, ubieramy się, niestety, bardzo staromodnie i źle; nie bardzo zresztą miałyby sens jakiegokolwiek wydatki na strój, bo niemal bez przerwy jesteśmy w kancelariach, tu nawet nocujemy. Ale, jak wspomniałam, uznaliśmy, że doradcy przydałoby się ładne ubranie. A ponieważ nie mogliśmy go dostać od naszego prezydium, które jest pod tym względem trochę dziwne, zrobiliśmy składkę, my i strony też, dzięki czemu kupiliśmy mu to ładne ubranie i jeszcze inne. Już niby zadbalismy o jak najlepsze wrażenie, kiedy on je znowu psuje tym śmiechem i płoszy ludzi.

– Tak właśnie jest – powiedział mężczyzna drwiącym tonem. – Lecz nie rozumiem, czemu pani, w dodatku na siłę, ujawnia temu panu wszystkie nasze sekrety, skoro on wcale nie chce o nich słuchać. Niech pani tylko spojrzy, jak siedzi, wyraźnie pochłonięty sobą.

K. zaprzeczyłby, ale nawet tego mu się nie chciało; dziewczyna miała pewnie dobre intencje, myślała, że go zabawi rozmową albo pozwoli mu pozbierać myśli, ale wybrała nieskuteczny sposób.

– Musiałam wytłumaczyć mu pański śmiech, przecież był obraźliwy.

– Myślę, że wybaczyłby mi nawet gorszą obrazę, bylebym go wreszcie wyprowadził.

K. nie mówił nic, nie patrzył na tych dwoje, pozwalał, żeby rozprawiali o nim jak o rzeczy; to mu nawet najbardziej odpowiadało. Aż nagle poczuł na jednym ramieniu dłoń doradcy stron, a na drugim – dziewczyny.

– No – powiedział doradca – wstajemy, panie słabeusz.

– Dziękuję państwu stokrotnie. – Mile zaskoczony K. powoli się uniósł i przesuwając ręce nieznanym, pokazał, jak go najlepiej podtrzymać.

– To będzie wyglądać tak, jakby mi szczególnie zależało na ukazaniu

doradcy w dobrym świetle – mówiła mu na ucho dziewczyna, kiedy zbliżali się do korytarza – ale choćby ktoś tak pomyślał, powiem prawdę. On nie jest bez serca, nie ma obowiązku wyprowadzać chorych stron, a jednak robi to, jak pan widzi. Zapewne nikt z nas nie jest bez serca, zapewne wszyscy byśmy chętnie pomagali, ale jako urzędnicy sądu łatwo robimy wrażenie ludzi bez serca, którzy nigdy nikomu nie pomogą. Mnie to aż boli.

– Nie chce pan tutaj sięść? – spytał doradca. Byli już na korytarzu i właśnie mijali oskarżonego, którego K. wcześniej zagadywał, a przed którym się teraz trochę zawstydził. Wtedy stał przed nim tak pewnie, a w tej chwili zaledwie z pomocą dwojga ludzi, bez kapelusza, bo balansowały nim rozcapierzone palce doradcy, ze zburzoną fryzurą, z włosami opadającymi na spocone czoło. Ale oskarżony zdawał się nic nie dostrzegać, pokornie stał przed doradcą stron, patrzącym ponad jego głową, i tylko próbował usprawiedliwić swoją obecność:

– Ja wiem, że dzisiaj jeszcze za wcześnie na rozpatrzenie moich wniosków. Ale przyszedłem, bo pomyślałem, że mógłbym tu poczekać, jest niedziela, przecież mam czas, a tutaj nie przeszkadzam.

– Nie musi pan się tak usprawiedliwiać – odpowiedział doradca. – Taka dbałość bardzo się chwali, wprawdzie zabiera pan tu niepotrzebnie miejsce, ale na razie, póki pańska obecność nie zacznie mi zawadzać, nie będę panu stawiał przeszkód w dokładnym śledzeniu sprawy. Kto się napatrzy ludzi, którzy haniebnie zaniedbują obowiązki, ten nabiera cierpliwości do takich jak pan. Niech pan siada.

– Jak on umie rozmawiać ze stronami – szepnęła dziewczyna.

K. skinął głową, ale zaraz się wzdrygnął, kiedy doradca znowu spytał:

– Nie chce pan tutaj sięść?

– Nie, nie będę odpoczywał.

Odpowiedział najdobitniej jak mógł, ale w rzeczywistości dobrodziejstwem byłoby dla niego usiąść, dostał jakby morskiej choroby. Czuł się niby na statku rozhuśtanym przez morze. Miał wrażenie, że o te drewniane ściany wali woda, że z głębi korytarza dochodzi szum wody napływającej nagłymi falami, że korytarz się kołysze na boki, a siedzące pod ścianami strony unoszą się i opadają. Tym trudniejszy do pojęcia wydawał się spokój dziewczyny i mężczyzny, którzy go prowadzili. Był na nich zdany, gdyby puścili go, padłby jak kłoda. Ich małe oczy rzucały przenikliwe spojrzenia, czuł miarowe kroki obojga, lecz nie stawiał nóg jak oni, bo raczej go nieśli

krok za krokiem. Zauważył w końcu, że coś do niego mówią, ale nie rozumiał ich; słyszał tylko wszechobecny hałas, przez który zdawał się przebijać wysoki, niezmienny ton jak głos syreny.

– Głośniej – wyszeptał ze zwieszoną głową i zawstydził się na myśl, że mówią dostatecznie głośno, choć dla niego niezrozumiale. Aż nareszcie, jakby przed nim rozdarła ścianę, powiało świeżym powietrzem, a nad uchem usłyszał słowa:

– Najpierw chce do wyjścia, ale później można sto razy mówić, że to już tutaj, a on ani drgnie.

Zobaczył, że stoi przed drzwiami, które otworzyła dziewczyna. Poczuł, jakby nagle wracały mu siły; żeby wstępnie zasmakować wolności, czym prędzej stanął na stopniu schodów i już stamtąd pożegnał się z wychylnymi za nim towarzyszami drogi.

– Najmocniej dziękuję – powtarzał, mocno ścisnął raz po raz ich dłonie i przestał dopiero, widząc, że tamci, przyzwyczajeni do zaduchu w kancelariach, chyba źle znoszą względnie świeże powietrze dolatujące z zewnątrz. Nie bardzo potrafili odpowiedzieć, a dziewczyna być może spadłaby ze schodów, gdyby nie zamknął błyskawicznie drzwi. Chwilę jeszcze stał bez ruchu, przyglądał włosy, patrząc w kieszonkowe lusterko, podniósł kapelusz leżący na najbliższym podeście, rzucony tam pewnie przez doradcę; a wreszcie zbiegł schodami tak rześko i w takich susach, że aż się tej odmiany wystraszył. Jego mocne na ogół zdrowie jeszcze nigdy nie robiło mu takich niespodzianek. A może ciało chce się przeciw niemu zbuntować i wszcząć nowy proces, skoro K. tak łatwo znosi stary? Nie odrzucał myśli, żeby przy najbliższej okazji pójść do lekarza, ale jednej porady umiał sobie udzielić sam: postanowił, że w przyszłości niedzielne przedpołudnia będzie wykorzystywał lepiej.

Batożnik

Wieczorem któregoś z następnych dni K. siedł korytarzem dzielącym jego biuro od głównych schodów, tym razem wychodził niemal ostatni, już tylko w dziale ekspedycji dwaj woźni pracowali w małym kręgu światła żarówki; aż nagle zza drzwi nieznanego mu pomieszczenia, które zawsze sobie wyobrażał tylko jako rupieciarnię, usłyszał jęki. Zdumiony przystanął, dla pewności nastawiając jeszcze ucha; przez chwilę była cisza, a potem – znowu usłyszał jęki. Najpierw chciał iść po któregoś z woźnych, bo może przyda się świadek, ale później ogarnęła go tak nieposkromiona ciekawość, że szarpnięciem otworzył drzwi. Jak sobie trafnie wyobrażał, była to rupieciarnia. Za progiem leżały stare, nieprzydatne formularze i gliniane butelki po atramencie, poprzewracane i puste. A w głębi niskiej izby stali trzej skuleni mężczyźni. Światło dawała przytwierdzona do półki świeca.

– Co wy tu wyczyniacie? – spytał głosem rwącym się ze zdenerwowania, ale cichym.

Jeden z mężczyzn, który wyraźnie rządził pozostałymi i pierwszy rzucił się w oczy, ubrany był w strój z ciemnej skóry, a szyję aż do piersi i całe ramiona miał nagie. Nie odpowiedział. Ale tamci dwaj zawołali:

– Proszę pana! Mamy dostać baty, bo wielmożny pan się poskarżył na nas przed sędzią śledczym.

I dopiero teraz K. zobaczył, że to rzeczywiście strażnicy Franciszek i Wilhelm, a ten trzeci trzyma jakąś pytę i chce ich wybatożyć.

– Otóż nie – odpowiedział K., wpatrując się w nich. – Nie skarżyłem się na was, tylko mówiłem, co zaszło w moim mieszkaniu. A wasze zachowanie raczej nie było wzorowe.

– Proszę pana! – mówił Wilhelm, kiedy tymczasem Franciszek wyraźnie próbował się za nim schować przed tym trzecim. – Gdybyś pan wiedział, jak nam źle płacą, to byś nas łagodniej osądzał. Ja mam na utrzymaniu rodzinę, a ten tu Franciszek chciał się żenić, człowiek dorabia, jak może, z samej pracy nie nastarczy, nawet najcięższej, mnie skusiła pańska elegancka bielizna, oczywiście, że to bezprawne, tego strażnikom nie wolno, ale jest tradycja, że bieliznę dostają strażnicy, zawsze tak było, niech mi pan wierzy, to w końcu można zrozumieć, bo co jeszcze warte takie rzeczy dla

nieszczęśliwca, który jest zatrzymany. Ale publiczna skarga znaczy, że teraz nastąpi kara.

– Nie wiedziałem tego, co teraz mówicie, i bynajmniej nie żądałem waszego ukarania, chodziło mi tylko o zasadę.

– Słyszysz, Franciszek? – Wilhelm zwrócił się do drugiego strażnika. – Nie mówiłem, że ten pan nie żądał naszego ukarania? Słyszysz, nawet nie wiedział, że dostaniemy za to karę.

– Nie daj się wzruszyć takim gadaniem – powiedział do K. ten trzeci. – Kara jest równie sprawiedliwa, jak nieuchronna.

– Niech go wielmożny pan nie słucha – zaczął mówić Wilhelm, przerwał jedynie, kiedy dostał cios w rękę, szybko podniósł ją do ust i ciągnął: – Karzą nas tylko dlatego, że pan złożył na nas doniesienie. Inaczej nic by się nam nie stało, nawet gdyby wiedziano, cośmy zrobili. Czy to się nazywa sprawiedliwość? My dwaj, a zwłaszcza ja, przez długi czas bardzo się sprawdziliśmy, wielmożny pan sam przyzna, żeśmy pełnili straż jak należy, to znaczy, jak oczekują organa, więc mieliśmy nadzieję zajść wyżej i niedługo pewnie też byśmy zostali batożnikami jak ten tutaj, który akurat miał szczęście, że na niego nikt nie złożył doniesienia, bo to się zdarza naprawdę bardzo rzadko. Ale teraz, proszę pana, wszystko przepadło, koniec z naszym rozwojem zawodowym, zdegradują nas do służby jeszcze dużo gorszej niż służba strażnicza, a za chwilę dostaniemy te strasznie bolesne baty.

– Czyżby to aż tak bolało? – K. dotknął pyty, którą właśnie batożnik przed nim wywijał.

– Mamy rozebrać się do naga – powiedział Wilhelm.

– Ach tak. – K. dokładniej przyjrzał się batożnikowi; był ogorzały jak marynarz i miał zdrową, groźną twarz. – Czy nie byłoby jakiejś możliwości, żeby tym dwóm oszczędzić batów? – spytał go.

– Nie – batożnik z uśmiechem potrząsnął głową. – Rozbierać się! – rozkazał strażnikom, a do K. powiedział: – Nie dawaj im za bardzo wiary. Strach przed batami trochę ich ogłupia. To, co na przykład ten tutaj – wskazał na Wilhelma – opowiadał o swoim niedoszłym rozwoju zawodowym, jest po prostu śmieszne. Spójrz, jaki on tłusty, w tym tłuszczu pierwsze uderzenia zginą. Wiesz, czemu jest taki tłusty? Ma zwyczaj wyjadać wszystkim zatrzymanym śniadania. Tobie też wyjadł? No właśnie, mówiłem. A mężczyzna z takim brzuchem nigdy, przenigdy nie zostanie batożnikiem,

wykluczone.

– Tacy batoźnicy też bywają – stwierdził Wilhelm, rozpinając pasek u spodni.

– Nie! – To mówiąc, batoźnik ciął go pytą w szyję tak, że Wilhelm zadygotał. – Nie słuchaj, tylko się rozbieraj!

– Gdybyś ich puścił, hojnie bym się zrewanżował – powiedział K., odwracając wzrok, bo niektóre transakcje najlepiej zawierać, kiedy obie strony patrzą w ziemię, i wyjął portfel.

– Więc jeszcze na mnie chcesz złożyć doniesienie i mnie też zafundować baty. O nie!

– Miejże rozum. Gdybym wtedy żądał kary dla tych dwóch, to bym teraz ich nie wykupywał. Mógłbym zwyczajnie zatrzaskać te drzwi, nic nie widzieć, nic nie słyszeć i pójść sobie do domu. A mnie tymczasem naprawdę zależy na ich uwolnieniu; gdybym się wtedy domyślał, że na nich spadnie czy choćby może spaść kara, to nigdy bym nie podał ich imion. Bo nie ich uważam za winnych, winna jest organizacja, winni są wysocy urzędnicy.

– Otóż to! – zawołali strażnicy i zaraz dostali pytą po gołych już plecach.

– Gdybyś miał tu batożyć kogoś z wysokich sędziów – K. przygiął unosząc się znowu pytą – to naprawdę nie broniłbym ci walić jak popadnie, na odwrót, jeszcze bym ci dopłacił, żebyś umocnił się w słusznym dziele.

– To, co mówisz, brzmi, owszem, przekonująco – odpowiedział batoźnik – ale nie dam się przekupić. Najęli mnie do batożenia, więc batożę.

Strażnik Franciszek, który dotychczas liczył chyba na skuteczność zabiegów podjętych przez K. i był raczej powściągliwy, teraz, już tylko w spodniach, podszedł do drzwi, klękawszy, uwiesił się jego ramienia i wyszeptał:

– Jeżeli wielmożny pan nie wyjedna pobłażania dla nas obu, to proszę uwolnić chociażby mnie. Wilhelm jest ode mnie starszy, pod wszystkimi względami mniej wrażliwy i już raz kilka lat temu dostał lekkie baty, a mnie jeszcze nie spotkała ta hańba, i przecież to Wilhelm, mój nauczyciel w dobrym i złym, nakłaniał mnie do tamtych postępów. Pod bankiem moja biedna narzeczona czeka, jak to się skończy, a mnie tak niemiłosiernie wstydy. – Otarł zażawioną twarz w marynarkę K.

– Więcej nie czekam – powiedział batoźnik, oburącz ujął pytą i uderzył Franciszka, przykucnięty w kącie Wilhelm zaś patrzył ukradkiem, bojąc się obrócić głowę. A wtedy z ust Franciszka wyrwał się krzyk, nieprzerwany

i niezmienny, krzyk jakby nie człowieka, ale dręczonego instrumentu, rozbrzmiał w całym korytarzu, słyszał go chyba cały bank, „nie krzycz!”, zawołał K., nie mógł się więcej powstrzymać i z napięciem patrząc w kierunku, skąd na pewno przyjdą woźni, pchnął Franciszka, pchnął go niezbyt mocno, a jednak oszołomiony strażnik osunął się na podłogę i skulony szukał na niej czegoś dłońmi, ale nie umknął uderzeniom, nawet na ziemi dosięgła go pyta, kiedy się pod nią wił, jej koniec równomiernie płynął to w górę, to w dół. I już w oddali ukazał się woźny, a parę kroków za nim drugi. K. zatrzaskał drzwi, stanął przy wychodzącym na podwórze oknie i je otworzył. Krzyk ustał. Żeby nie dopuścić woźnych bliżej, zawołał:

– To ja!

Odpowiedziało mu wołanie:

– Dobry wieczór, panie prokurencie! Czy coś się stało?

– Nie, nie, to tylko krzyczy pies na podwórzu. – Woźni nie ruszyli się, więc dodał: – Mogą panowie wracać do pracy.

Wyjrzał przez okno, nie chcąc zaczynać dłuższej rozmowy. Kiedy po chwili znowu rzucił okiem w głąb korytarza, woźnych już nie było. Ale K. dalej stał przy oknie, nie miał odwagi, żeby wejść do rupieciarni, ani ochoty, żeby iść do domu. Patrzył na małe, czworokątne podwórze w dole; dookoła znajdowały się pomieszczenia biurowe, we wszystkich oknach panowała już ciemność, tylko do tych na samej górze spływała poświata księżyca. Z wysiłkiem próbował przeniknąć wzrokiem ciemności w kącie podwórza, gdzie stało kilka wsuniętych jeden za drugi ręcznych wózków. Dręczyło go, że nie zdołał zapobiec batożeniu, ale to nie jego wina, co innego, gdyby Franciszek tak nie krzyczał – owszem, ciosy na pewno bardzo bolały, ale w rozstrzygającej chwili trzeba nad sobą panować – gdyby tak nie krzyczał, K. jeszcze by przekonał batożnika albo co najmniej miałby dużą szansę go jakimś sposobem przekonać. Skoro ciało urzędnicze najniższego szczebla to sama hołota, dlaczego właśnie batożnik, piastujący najbardziej niehumanitarny urząd, miałby stanowić wyjątek? Zresztą K. wyraźnie zauważył błysk w jego oczach na widok banknotu; mężczyzna wziął się do prawdziwego batożenia tylko po to, żeby podbić stawkę. A przecież K. nie skąpiłby łapówki, naprawdę mu zależało na uwolnieniu strażników, skoro już raz podjął walkę z zepsuciem w tym sądownictwie, było czymś oczywistym, że wkroczył także w tę sprawę. Ale od chwili, kiedy Franciszek podniósł krzyk, ze wszystkim naturalnie koniec. K. nie mógł dopuścić, żeby woźni przyszli nie

wiadomo z kim jeszcze i przyłapali go na pertraktacjach z tym towarzystwem w rupieciarni. Trudno wymagać od niego aż takich poświęceń. Jeżeli już, to nawet prościej byłoby, gdyby wtedy sam się rozebrał i zaoferował batożnikowi w zamian za strażników. Tamten skądinąd nie przyjąłby pewnie tego zastępstwa, bo bez żadnej korzyści dla siebie rażąco by uchybił swoim obowiązkom, uchybił może podwójnie, jeżeli K. w trakcie postępowania jest nietykalny dla pracowników sądu. Ale mogą tu obowiązywać odrębne postanowienia. W każdym razie K. mógł tylko zatrzaskać drzwi, choć i przez to bynajmniej nie odsunął od siebie wszystkich zagrożeń. To, że na koniec jeszcze pchnął Franciszka, było pożałowania godne i dałoby się usprawiedliwić tylko zdenerwowaniem.

Z daleka usłyszał kroki woźnych; żeby nie wzbudzić w nich podejrzeń, zamknął okno i poszedł w stronę głównych schodów. Pod drzwiami rupieciarni przystanął, nasłuchując. Było cicho. Może tamten wybatożył strażników na śmierć, przecież miał władzę, by zrobić z nimi, co zechce. K. już sięgał do klamki, ale cofnął rękę. Pomóc nie zdołałby już nikomu, a zaraz przyszliby woźni. Jednak poprzysiągł sobie, że jeszcze zgłosi skargę i zrobi z tego sprawę, a na prawdziwych winowajców, na tych wysokich urzędników, z których dotąd ani jeden nie śmiał mu się pokazać, w miarę możliwości ściągnie stosowną karę. Wychodząc już po schodach banku na otwartą przestrzeń, starannie obserwował wszystkich przechodniów, ale nawet w oddali nie widać było dziewczyny, która by na kogoś czekała. Wzmianka Franciszka o narzeczonej okazała się wybaczalnym oczywiście kłamstwem, mającym tylko wzbudzić większą litość.

Nawet nazajutrz K. nie przestawał myśleć o strażnikach, był rozproszony i żeby uporać się z pracą, musiał zostać jeszcze dłużej niż poprzedniego dnia. Kiedy, wracając, mijał rupieciarnię, jakby z nawyku otworzył jej drzwi. Po tym, co zobaczył zamiast oczekiwanej ciemności, nie mógł ochłonąć. Wszystko było bez zmian, jak w chwili, kiedy otworzył drzwi poprzedniego wieczora. Formularze i butelki po atramencie tuż za progiem, batożnik z pytaniem, dwaj strażnicy jeszcze ubrani, na półce świeca, i obaj, skarżąc się, zawołali:

– Proszę pana!

Prędko zatrzaskał drzwi i jeszcze walnął w nie pięściami, jakby od tego miały się lepiej zamknąć. Bliski płaczu pospieszył do woźnych, którzy najspokojniej kopiowali jakieś papiery, a zobaczywszy K., znieruchomieli zdumieni.

– Może byście wreszcie sprzątnęli tę rupieciarnię! – krzyknął. – Przecież toniemy w plugastwie!

Woźni podjęli się zrobić to nazajutrz; K. skinął głową, późnym wieczorem trudno było zmuszać ich do pracy, choć właściwie wcześniej miał taki zamiar. Przysiadł, żeby przez chwilę mieć ich blisko siebie, przerzucił trochę kopii dla upozorowania, że je sprawdza, a kiedy zobaczył, że woźni nie mają śmiałości wyjść z nim razem, wrócił zmęczony i rozkojarzony do domu.

Stryj

Lenka

Pewnego popołudnia, kiedy K. był właśnie bardzo zajęty korespondencją, między dwoma woźnymi wnoszącymi urzędowe pisma wcisnął się do gabinetu stryj Karol, drobny właściciel ziemski z prowincji. K. nie zląkł się na ten widok aż tak bardzo, jak wcześniej lękał się na myśl, że stryj przyjedzie. Mniej więcej od miesiąca był tego pewien. Już wtedy zdawało mu się, że widzi, jak stryj, trochę zgarbiony, z przygniecioną panamą w lewej dłoni wyciąga z daleka prawą rękę, jak ją z nieoględnym pośpiechem podaje K. ponad biurkiem i wszystko na swojej drodze przewraca. Stryj zawsze się spieszył, bo prześladowała go fatalna myśl, że każdy pobyt w stolicy, trwający tylko jeden dzień, prócz załatwienia planowanych rzeczy trzeba wykorzystać do ubicia interesu albo do jakiejś rozmowy bądź rozrywki. K., który jako jego dawny wychowanek miał wobec stryja szczególnie zobowiązania, musiał mu wtedy we wszystkim pomagać i zapewniać u siebie nocleg. Nazywał go „zmorą z prowincji”.

Po przywitaniu stryj, który wbrew zachętom K. nie miał czasu, żeby usiąść w fotelu, poprosił o krótką rozmowę w cztery oczy.

– To konieczne. – Z trudem przełknął ślinę. – Konieczne dla mojego spokoju.

K. odesłał woźnych i kazał im nikogo nie wpuszczać.

– Czego ja się dowiaduję, Józefie! – wykrzyknął stryj, kiedy zostali sami.

Siadł na biurku i dla wygody podścielił sobie na ślepo różne papiery. K. milczał; wiedział, co będzie, ale oderwany od żmudnej pracy, w pierwszej chwili poddał się miłemu znużeniu. Patrzył przez okno na przeciwną stronę ulicy, widoczną z jego miejsca tylko jako mały, trójkątny wycinek, skrawek pustej ściany między dwiema witrynami.

– Ty sobie wyglądasz oknem! – Stryj uniósł ręce. – Na miły Bóg, Józefie, odpowiedzże mi! Czy to prawda, czy to może być prawda?

– Kochany stryju – K. otrząsnął się z roztargnienia – w ogóle nie wiem, o co stryjowi chodzi.

– Józefie – powiedział stryj ostrzegawczym tonem – o ile wiem, zawsze mówiłeś prawdę. Czy mam rozumieć twoje ostatnie słowa jako zły znak?

– Domyślam się, o co chodzi – odparł posłusznie K. – Pewnie stryj słyszał o moim procesie.

– Otóż to. – Stryj powoli pokiwał głową. – Słyszałem o twoim procesie.

– Ale od kogo?

– Erna pisała mi w liście – mówił stryj. – Nie widzisz się z nią, niestety, nie bardzo się o nią troszczysz, a mimo to się dowiedziała. Dzisiaj dostałem list i oczywiście od razu przyjechałem. Z tego jednego powodu, ale ten chyba wystarczy. Mogę ci przeczytać fragment, który ciebie dotyczy. – Wyjął z portfela list. – O, tutaj. Erna pisze: „Józefa już dawno nie widziałam, w zeszłym tygodniu wstąpiłam raz do banku, ale był tak zajęty, że mnie do niego nie wpuszczono, czekałam chyba z godzinę, jednak potem musiałam wracać, bo miałam lekcję fortepianu. Bardzo bym chciała z nim porozmawiać, może niedługo zdarzy się okazja. Na imieniny przysłał mi wielkie pudło czekoladek, to było bardzo miłe i grzeczne. Nie pamiętałam o tym wtedy, pisząc do Was, i przypomniałam sobie dopiero teraz, kiedy spytaliście. Bo trzeba wam wiedzieć, że na pensji czekoladki od razu znikają, ledwo ktoś sobie uświadomi, że je dostał, a już po nich. Ale co do Józefa, to chciałam jeszcze coś powiedzieć. Jak wspomniałam, w banku nie wpuszczono mnie do niego, bo właśnie prowadził rozmowę z jakimś panem. Przez pewien czas czekałam spokojnie, a potem zapytałam woźnego, czy długo będą rozprawiać. Powiedział, że być może długo, bo pewnie chodzi o ten proces, jaki się toczy przeciwko panu prokurentowi. Zapytałam, jaki znowu proces, czy woźny się nie pomylił, a on na to, że się nie pomylił, że proces, i to ciężki, ale że nic więcej nie wie. I że sam chętnie by panu prokurentowi pomógł, gdyby tylko wiedział jak, bo to człowiek dobry i sprawiedliwy, i oby tylko się o niego zatroszczyły jakieś wpływowe osobistości. I że na pewno tak będzie, i wszystko się dobrze skończy, ale na razie z humoru pana prokurenta wygląda na to, że sprawy nie stoją dobrze. Ja oczywiście nie wzięłam tych słów zbyt poważnie, próbowałam uspokoić prostodusznego woźnego, zabroniłam mu rozgłaszać sprawę i wszystko uważam za zwykłą plotkę. Mimo to warto może, żebyś, kochany Ojczy, przy najbliższej wizycie wszystko zbadał, Tobie będzie łatwo dowiedzieć się szczegółów i w razie potrzeby jednak zadziałać przez Twoich możnych, wpływowych znajomych. A gdyby, co przecież bardzo możliwe, okazało się, że nie ma takiej potrzeby, to w każdym razie Twoja córka się ucieszy, że będzie mogła Cię niedługo znów uściskać”. Dobre dziecko – powiedział stryj

po skończeniu lektury i otarł z oczu łzy.

K. pokiwał głową. Przez to całe zamieszanie ostatnio całkiem zapomniał o Ernzie, nawet o jej urodzinach zapomniał, a historię z czekoladkami zmyśliła, najwyraźniej chcąc ochronić go przed stryjem i stryjenką. To rozczulające, i w nagrodę nie wystarczy przysyłać jej regularnie biletów do teatru, co właśnie postanowił; jednak czuł, że teraz by się nie nadawał do wizyt na pensji i pogawędek z siedemnastoletnią uczennicą gimnazjum.

– I co powiesz? – spytał stryj, który dzięki listowi zapomniał o całym pośpiechu i zdenerwowaniu, a teraz chyba czytał go na nowo.

– Tak, stryju. To prawda.

– Prawda? – wykrzyknął stryj. – Jak to prawda? Co niby jest prawdą? Jaki proces? Chyba nie karny?

– Karny.

– A ty tu sobie siedzisz taki spokojny, mając na głowie karny proces? – Stryj coraz bardziej podnosił głos.

– Im będę spokojniejszy, tym lepiej dla jego wyniku – odpowiedział K. ze znużeniem. – Niech się stryj nie obawia.

– Mnie to nie uspokaja! Józefie, kochany Józefie, pomyśl o sobie, o naszej rodzinie, o naszym dobrym imieniu! Dotychczas byłeś naszą chlubą, teraz nie możesz się stać naszą hańbą. Nie podoba mi się twoje zachowanie. – Stryj, patrząc na niego, przekrzywił głowę. – To nie jest postawa niewinnie oskarżonego człowieka w pełni sił. Chcę ci pomóc, więc prędko powiedz, o co chodzi. Oczywiście o bank?

– Nie. – K. wstał. – Ale kochany stryj za głośno mówi, za drzwiami pewnie stoi woźny i podsłuchuje. To dla mnie krępujące. Lepiej wyjdźmy. Wtedy na wszystkie stryja pytania odpowiem najlepiej jak umiem. Dobrze wiem, że jestem winien rodzinie obrachunek.

– Słusznie! – krzyczał stryj. – Bardzo słusznie, tylko pospiesz się, Józefie, pospiesz!

– Muszę jeszcze wydać parę poleceń. – K. zatelefonował po swojego zastępcę i po chwili przyszedł młody człowiek. Choć nie mogło budzić wątpliwości, kto go wezwał, zdenerwowany stryj wskazał na K., który stał przed biurkiem. Ten, sięgając po różne pisma, zaczął cichym głosem informować zastępcę, słuchającego z chłodną uprzejmością, co dzisiaj po jego wyjściu jest jeszcze do zrobienia. Przeszkadzał im stryj; najpierw stanął obok, robił wielkie oczy i nerwowo przygryzał wargi, a mimo że nie słuchał,

to już dosyć przeszkadzał samym pozorem słuchania. Następnie zaczął chodzić po gabinecie, raz po raz przystawał przy oknie albo którymś obrazie i wydawał okrzyki w rodzaju: „Mnie się to w głowie nie mieści!” albo: „Niech mi kto powie, co teraz będzie!”. Młody człowiek udawał, że nic nie zauważa; spokojnie dosłuchał poleceń, zrobił też trochę notatek i w końcu wyszedł, skłoniwszy się im obu; stryj właśnie pokazał mu plecy, wyglądał oknem i rozpostarłszy ręce, miał zasłony. Ledwo drzwi się zamknęły, wykrzyknął:

– Nareszcie ten pajac sobie poszedł, więc my też możemy iść. Nareszcie!

Niestety, mimo że w westybulu stało kilku urzędników oraz woźnych i akurat przechodził wicedyrektor, stryj nie dał się odwieść od zadawania pytań związanych z procesem.

– Więc teraz, Józefie, opowiedz o tym procesie, ale szczerze – zaczął, niedbale salutując w odpowiedzi na ukłony stojących dokoła. K. rzucił parę zdawkowych uwag, zaśmiał się lekko i dopiero na schodach oznajmił stryjowi, że nie chciał mówić szczerze przy tych ludziach.

– Słusznie, ale teraz mów. – Stryj słuchał ze schyloną głową, krótko i spieszenie pociągając dym z cygara.

– Przede wszystkim, stryju, to nie jest proces przed zwykłym sądem.

– Niedobrze.

– Słucham? – K. spojrzał na niego.

– Chciałem powiedzieć, że to niedobrze – powtórzył stryj.

Stali już na otwartej przestrzeni. Zdawało się jednak, że portier podsłuchuje, więc K. pociągnął stryja w dół schodów; zagarnął ich żywy ruch uliczny. Stryj wziął K. pod rękę i przestał tak usilnie wypytywać o proces, kawałek drogi uszli nawet w milczeniu.

– Ale jak to się stało? – spytał w końcu stryj i przystanął tak raptownie, że idący za nim ludzie ze strachem uskoczyli. – Przecież coś takiego nie przychodzi nagle, tylko się długo szykuje, musiały być jakieś oznaki, czemu nie napisałeś do mnie? Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, w pewnym sensie nadal jestem twoim przybranym ojcem i do dzisiaj się tym chlubiłem. Oczywiście, teraz też ci pomogę, ale kiedy proces jest już w toku, będzie bardzo trudno. Tak czy owak najlepiej, żebyś wziął krótki urlop i przyjechał do nas na wieś. Trochę zresztą zmizerniałeś, teraz to widzę. Na wsi się wzmocnisz, warto byłoby, na pewno czeka cię wysiłek. W dodatku trochę się wymkniesz sądowi. Tu mają rozmaite środki władcze, które siłą rzeczy,

rutynowo stosują też wobec ciebie, a na wieś musieliby dopiero delegować organa albo próbowaliby tam na ciebie wyrzucić presję tylko listowną, telegraficzną, telefoniczną. Wtedy będzie oczywiście słabsza, co nie da ci wprowadzić wolności, ale pozwoli odetchnąć.

– Przecież mogą mi zakazać wyjazdów – powiedział K., po tych słowach stryja podchwytyjąc trochę jego rozumowanie.

– Nie przypuszczam, żeby mieli to zrobić – odparł w zamyśleniu stryj. – Przez twój wyjazd nie zaznaliby aż tak wielkiego uszczerbku władzy.

– Myślałem – K. wziął go pod rękę, żeby znów nie przystanął – myślałem, że stryj przypisze całej sprawie jeszcze mniejsze znaczenie niż ja, a tymczasem stryj tak się zmartwił.

– Józefie! – wołał stryj, wywijał się i chciał przystanąć, ale K. go nie puszczał. – Jaka w tobie przemiana, zawsze miałeś takie rozeznanie i czyżbyś właśnie teraz je stracił? Czy chcesz ten proces przegrać? Czy wiesz, co to oznacza? To oznacza, że będziesz po prostu przekreślony. I że to pograży całą rodzinę albo ją co najmniej do cna upokorzy. Józefie, weź się w garść! Twoja obojętność wyprowadza mnie z równowagi. Kiedy się na ciebie patrzy, można nieomal uwierzyć przysłowiu, że „ktoś z takim procesem już przegrał z kretelem”.

– Kochany stryju, irytacja tutaj nic nie da, jak nie dałaby i z mojej strony. Irytacją nie wygrywa się procesów, proszę trochę docenić moje doświadczenie, podobnie jak ja bardzo cenię stryjowe, choć teraz na przykład stryj mnie zaskakuje. Skoro stryj mówi, że rodzina ucierpi na procesie, czego nie pojmuję, ale to mniejsza – skoro tak, chętnie go we wszystkim usłucham. Ale nawet zgadzając się ze stryjowymi słowami, nie uważam pobytu na wsi za najkorzystniejszą rzecz, ponieważ oznaczałby ucieczkę i poczucie winy. Poza tym tu wprowadzić bardziej mnie gnębią, ale i łatwiej mogę sam się zajmować sprawą.

– Słusznie – odpowiedział stryj takim tonem, jakby wreszcie zaczęli znajdować porozumienie. – Proponowałem to, bo uważałem, że twoja obojętność tu, na miejscu, zagraża sprawie i że lepiej będzie, kiedy wezmę się do pracy zamiast ciebie. Ale najlepiej oczywiście, żebyś sam się jak najenergiczniej do niej zabrał.

– Czyli w tym bylibyśmy zgodni. A czy stryj mógłby mi na początek podsunąć jakiś pomysł?

– Muszę się oczywiście jeszcze zastanowić. Weź pod uwagę, że już od

dwudziestu lat spędzam czas głównie na prowincji, a wtedy słabnie wycucie w tych kwestiach. Rozmaite ważne powiązania z osobistościami, które mogą tu mieć lepsze rozeznanie, same się rozluźniły. Jestem tam na prowincji trochę osamotniony, przecież wiesz. Tak naprawdę człowiek widzi to dopiero przy takich okazjach. Zresztą twoja sprawa trochę mnie zaskoczyła, choć po liście od Erny coś w tym rodzaju przeczuwałem, a dziś na twój widok nabrałem pewności. Ale tak czy owak, najważniejsze teraz to nie tracić czasu.

Już mówiąc to, stanął na palcach i skinął na automobil, a teraz wykrzykiwał szoferowi jakiś adres i jednocześnie wciągał K. do środka.

– Adwokat Fawor, bo do niego jedziemy, był moim szkolnym kolegą – powiedział. – To nazwisko pewnie ci coś mówi? Nie? Dziwna rzecz. Przecież on dużo znaczy jako obrońca biednych ludzi. I mam do niego wielkie zaufanie, zwłaszcza jako człowieka.

– Zgodzę się na wszelkie kroki, jakie stryj podejmie – odparł K., choć natarczywy pośpiech stryja mu nie dogadzał. Wątpliwą przyjemnością było jechać w roli oskarżonego do obrońcy biednych. – Nie wiedziałem, że w takiej sprawie także można wziąć adwokata.

– Ależ to oczywiste. Czemuż by nie? A teraz, żebym był we wszystko wprowadzony, opowiedz mi, co się wydarzyło.

K. zaczął opowiadać i nie przemilczał niczego; wobec opinii stryja, że ten proces to jedna wielka hańba, nie mógł sobie pozwolić na inny protest niż tylko całkowita szczerść. Nazwisko panny Bzykier wspomniał tylko raz i przelotnie, ale to nie umniejszało jego szczerści, bo panna Bzykier nie miała z procesem żadnego związku. Opowiadając, wyglądał oknem i zauważył, że zbliżają się akurat do przedmieścia, gdzie są kancelarie sądu; zwrócił na to uwagę stryjowi, ale on w takiej zbieżności nie widział nic szczególnego. Auto przystanęło przed ciemną kamienicą. Stryj zadzwonił do pierwszych drzwi na parterze; kiedy czekali, wyszczerzył w uśmiechu duże zęby i szepnął:

– Ósma, niezwykajna pora jak na wizyty stron. Ale Fawor nie będzie miał mi tego za złe.

Przez judasz wyjrzało dwoje dużych czarnych oczu. Popatrzyły na obu gości, po czym znikły, ale drzwi nie otwarły się. Stryj i K. utwierdzili się wzajemnie w tym, że widzieli oczy.

– Jakaś nowa pokojówka, która się boi obcych. – Stryj zapukał jeszcze raz. Oczy znów się ukazały, teraz wyglądały na trochę smutne; ale może takie

złudzenie wywoływał nieosłonięty płomień gazowy tuż nad głowami, który płonął z silnym sykiem, lecz dawał mało światła.

– Proszę otworzyć! – Stryj załomotał pięścią w drzwi. – Swoi do pana mecenasa!

– Pan mecenas jest chory – odezwał się szept za nimi. Wiadomość tę oznajmił im niezwykle cicho jakiś pan w szlafroku, stojący w progu mieszkania na drugim końcu korytarzyka.

Stryj, rozwścieczony długim czekaniem, odwrócił się raptownie i zawołał:

– Chory? Powiada pan, że chory? – i ruszył do niego groźnie, jakby chorobą był ten pan.

– Już otwarte – powiedział tamten, wskazał drzwi adwokata, ściągnął poły szlafroka i znikł. I rzeczywiście, drzwi były otwarte, a w przedpokoju, ubrana w długi biały fartuch, stała ze świecą w ręku dziewczyna; K. rozpoznał te ciemne, trochę wypukłe oczy.

– Na przyszłość proszę otwierać wcześniej! – rzucił stryj zamiast przywitania, a ona lekko dygnęła. – Chodź, Józefie – powiedział do K., który powoli przesunął się koło dziewczyny.

– Pan mecenas jest chory – oznajmiła, kiedy stryj, niewiele myśląc, pospieszył do którychś drzwi.

Odwróciła się, żeby zamknąć drzwi wejściowe, tymczasem K. ciągle patrzył na nią zdziwiony; miała lalkowatą twarz, krągłością odznaczały się nie tylko blade policzki i podbródek, lecz także skronie i skraj czoła.

– Józefie! – zawołał znowu stryj, a ją zapytał: – To ta choroba serca?

– Myślę, że tak – odpowiedziała dziewczyna, która zdążyła pójść przodem ze świecą i otworzyć drzwi pokoju. W jego kącie, dokąd nie docierało jeszcze światło, na łóżku uniósł twarz ktoś z długą brodą.

– Lenko, kto przyszedł? – zapytał adwokat, który jeszcze nie poznawał gości, bo raził go blask świecy.

– Twój stary przyjaciel Albert – powiedział stryj.

– Ach, Albert. – Mecenas opadł na poduszki, jakby wobec tego gościa nie trzeba było nic udawać.

– Czyżby naprawdę było aż tak źle? – Stryj przysiadł na skraju łóżka. – Nie wierzę. To atak twojej choroby sercowej, minie jak poprzednie.

– Możliwe – odparł cicho adwokat. – Ale jest gorzej niż kiedykolwiek. Oddycham z trudem, nie mogę spać i z każdym dniem tracę siły.

– Ach tak. – Stryj dużą dłonią przygniół panamę do kolana. – To zła

wiadomość. Nawiasem mówiąc, czy masz dobrą opiekę? Tak smutno u ciebie, tak ciemno. Ostatnim razem byłem tu dosyć dawno i wydawało mi się, że jest przyjemniej. Ta twoja panienczka też jakaś nie najweselsza, chyba że udaje.

Dziewczyna wciąż jeszcze stała ze świecą blisko drzwi; o ile cokolwiek dało się wyczytać z jej nijakiego spojrzenia, to nawet usłyszawszy te słowa o sobie, patrzyła nie na stryja, tylko raczej na K. Stał oparty o krzesło, które przysunął blisko dziewczyny.

– Ktoś tak chory jak ja potrzebuje spokoju. Mnie smutno nie jest – powiedział adwokat i po chwili dorzucił: – A Lenka ładnie się mną opiekuje i jest dobra.

Ale stryja to nie przekonało, był do opiekunki wyraźnie uprzedzony i choć nie odpowiedział adwokatowi, śledził ją surowym spojrzeniem, kiedy teraz podeszła do łóżka, odstawiła świecę na stolik nocny, pochyliła się nad chorym i uładzając poduszki, o czymś z nim szeptała. Stryj wstał, zaczął chodzić za jej plecami, nie bardzo licząc się z chorym, a gdyby chwycił opiekunkę z tyłu za ubranie i odciągnął od łóżka, K. nie byłby zdziwiony. On sam przyglądał się wszystkiemu spokojnie, choroba adwokata była mu nawet na rękę; wcześniej nie zdołał ostudzić stryjowego zapału do swojej sprawy, teraz chętnie przyjmował okoliczności, które bez jego udziału chwilowo ten zapal tłumili. Aż nagle stryj, być może tylko chcąc ją obrazić, powiedział:

– Zechce panienka zostawić nas na chwilę samych, muszę omówić z przyjacielem sprawę osobistą.

Schylona głęboko nad chorym opiekunka, która właśnie wygładzała prześcieradło przy ścianie, odwróciła tylko głowę i uderzająco innym tonem niż stryj, na zmianę zachłystujący się złością lub wylewny, najspokojniej odparła:

– Widzi pan, jaki chory jest mecenas, on nie może omawiać żadnych spraw.

Być może tylko dla wygody powtórzyła sformułowanie stryja, ale nawet osoba postronna mogłaby odebrać to jako drwinę, a stryj oczywiście zachnął się jak ukłuty żądłem.

– Ty przekłeta... – zagulgotał ze złością, na początek dosyć niewyraźnie, ale K., choć oczekiwał czegoś podobnego, przestraszył się i podbiegł do stryja ze stanowczym zamiarem zatkania mu oburącz ust. Szczęściem jednak z za dziewczyny podniósł się chory, a stryj przybrał posępny wyraz twarzy, jakby przeżywał coś obrzydliwego, i wreszcie spokojniej powiedział:

– Myśmy jeszcze nie postradali rozumu, jeśli się czegoś domagam, to nie rzeczy niemożliwej. Proszę, niech już panna wyjdzie!

Opiekunka stała przy łóżku obrócona do stryja; K. miał wrażenie, jakby jedną ręką głaskała dłoń adwokata.

– Przy Lence możesz mówić wszystko – powiedział chory wyraźnie proszącym tonem.

– To nie jest moja tajemnica, to nie mnie dotyczy. – Stryj odwrócił się, jakby, nie zamierzając wdawać się w dalsze dyskusje, zostawiał tamtym chwilę do namysłu.

– A kogo? – spytał adwokat gasnącym głosem i opadł na łóżko.

– Mojego bratanka, którego przyprowadziłem. – Stryj przedstawił go: – Prokurent Józef K.

– O! – chory z wyraźnym ożywieniem wyciągnął do niego dłoń. – Proszę wybaczyć, nie zauważyłem pana. Idź, Lenko – zwrócił się do opiekunki, która nie stawiała już oporu, i podał jej rękę, jakby chodziło tu o rozstanie na dłużej. – A więc – powiedział wreszcie do stryja, który zbliżył się udobruchany – nie przyszedłeś odwiedzić mnie w chorobie, ale w interesach. – Jakby przedtem obezwładniało go wyobrażenie odwiedzin w chorobie, teraz najwidoczniej nabrał sił, cały czas opierał się na łokciu, co na pewno było dosyć męczące, i pociągał kosmyk pośrodku brody.

– Ledwo sobie poszła ta wiedźma – powiedział stryj – a już wyglądasz znacznie zdrowiej... – Przerwał, wyszeptał: – Założę się, że podsłuchuje! – i skoczył do drzwi. Jednak za drzwiami nikogo nie było, a stryj, który uznał fakt, że nikt nie podsłuchuje, za jeszcze większą złośliwość, nie wrócił zawiedziony, lecz tylko rozgoryczony.

– Nie poznałeś się na niej – odparł adwokat, więcej nie biorąc opiekunki w obronę; może chciał przez to wyrazić, że jej obrony nie potrzeba. Ale ze znacznie większym przejęciem ciągnął: – Co się tyczy sprawy twojego szanownego bratanka, szczęśliwy byłbym, gdyby starczyło mi sił na to niezwykle trudne zadanie; obawiam się bardzo, że ich nie starczy. W każdym razie nie zaniecham żadnych kroków, gdybym sam nie podołał, można by przecież dokooptować jeszcze kogoś. Szczerze mówiąc, ta sprawa zanadto mnie interesuje, żebym potrafił zrezygnować z jakiegokolwiek w niej udziału. Jeżeli moje serce tego nie wytrzyma, to przynajmniej znajdzie tutaj godną okazję, żeby do końca zaniemóc.

K. miał poczucie, że z jego całej przemowy nie rozumie ani słowa. Spojrzał

na stryja, żeby od niego uzyskać wyjaśnienie, ale on ze świecą w ręku siedział na nocnym stoliku, skąd butelka z lekarstwem zdążyła się już stoczyć na dywan, potakiwał głową wszystkiemu, co mówił adwokat, na wszystko się zgadzał i co chwila spojrzeciami wzywał K. do podobnej zgody. Czyżby już kiedyś stryj mówił mecenasowi o procesie? Niemożliwe, wszelkie dotychczasowe oznaki przemawiały przeciw temu.

– Nie rozumiem – powiedział K.

– Słucham? – spytał adwokat równie zdumiony i zmieszany. – Czyżbym to ja źle pana zrozumiał? Być może się pospieszyłem. A o czym chciał pan ze mną porozmawiać? Myślałem, że o swoim procesie?

– Oczywiście – odparł stryj i zwrócił się do K.: – O co ci chodzi?

– Tak, chciałem porozmawiać o moim procesie, ale gdzie pan słyszał o nim i o mnie?

– No cóż, w końcu jestem obrońcą. – Adwokat się uśmiechnął. – Obracam się wśród ludzi sądu, w tych kręgach człowiek omawia różne procesy, a co ciekawsze pamięta, zwłaszcza kiedy mają związek z bratankiem przyjaciela. Toż nic w tym dziwnego.

Stryj ponownie zapytał K.:

– O co ci chodzi? Taki jesteś niespokojny.

– Pan obraca się w tych kręgach? – spytał K.

– Tak.

– Pytasz jak dziecko – powiedział stryj.

– A gdzieżbym się miał obracać, jeżeli nie wśród ludzi mojego fachu? – dodał adwokat. Zabrzmiało to tak przekonująco, że K. zamilkł. „Przecież pana miejscem pracy jest sąd w Pałacu Sprawiedliwości, a nie tamten sąd na poddaszu” – miał ochotę powiedzieć, ale się na to nie zdobył.

– Niech pan weźmie pod uwagę – rzucił mecenas mimochodem, jakby wyjaśniał niepotrzebnie jakąś oczywistość – niech pan weźmie pod uwagę, że z bywania w tych kręgach czerpię dla mojej klienteli korzyści, wielkie i różnorodne, nie zawsze nawet można o nich opowiadać. Owszem, teraz mnie trochę upośledza choroba, ale mimo to goszczą u mnie bliscy przyjaciele z sądu, dzięki czemu wiem coś niecoś. Wiem być może więcej niż niejeden z tych, którzy w najlepszym zdrowiu spędzają całe dnie w sądzie. I na przykład teraz mam miłego gościa – mówiąc to, wskazał ciemny kąt pokoju.

– A gdzie? – spytał K. w odruchu zaskoczenia i z lekka grubiańsko.

Rozejrzał się niepewnie, światło małej świecy nie docierało do przeciwległej ściany. Rzeczywiście, w kącie powstał jakiś ruch. W blasku świecy, którą stryj teraz uniósł, widać było siedzącego przy stolczku starszego pana. Przedtem chyba nie oddychał, skoro tak długo pozostawał niezauważony. Teraz wśród ceregieli wstał, najwyraźniej niezadowolony, że zwrócono na niego uwagę. Mogło się zdawać, że gestami jak machanie skrzydełek odpędza wszelkie prezentacje i przywitania, że ani trochę nie chce przeszkadzać swoją obecnością oraz usilnie prosi o ponowne przeniesienie w ciemność i niepamięć. Ale na to już nie mogło być zgody.

– Boście nas akurat zaskoczyli – wyjaśnił adwokat i skinieniem zachęcił tego pana, żeby podszedł, co ten zrobił, ociągając się i rozglądając, a jednak nie bez dostojeństwa. – Pan naczelnik... Ach tak, przepraszam, nie przedstawiłem, to mój przyjaciel Albert K., to jego bratanek, prokurent Józef K., a to pan naczelnik kancelarii; otóż pan naczelnik był uprzejmy mnie odwiedzić. Wartość takiej wizyty doceni w pełni tylko ktoś wtajemniczony, kto wie, jak bardzo pan naczelnik jest zarzucony pracą. A jednak przyszedł, spokojnie sobie rozmawialiśmy, o ile na to pozwalało moje osłabienie; nie zabroniliśmy Lence wpuszczania gości, bo nikt nie był spodziewany, jednak woleliśmy zostać sami, aż nagle dobiegły nas, Albercie, twoje łomoty, pan naczelnik odsunął się z krzesłem i stolczkiem do kąta, ale teraz okazuje się, że być może, a raczej jeżeli takie panów życzenie, będziemy mieli do omówienia pewną wspólną sprawę i że śmiało możemy znowu sięść razem. Panie naczelniku – skłonił głowę, uśmiechnął się służalczo i wskazał stojące blisko łóżka krzesło z poręczami.

– Niestety, mogę zostać już tylko parę minut – powiedział uprzejmie naczelnik, rozsiadając się i wyjmując zegarek. – Zajęcia mnie wzywają. Ale tak czy owak, nie przepuszczę okazji, żeby zawrzeć znajomość z przyjacielem przyjaciela.

Skłonił lekko głowę przed stryjem, który, bardzo chyba zadowolony z nowej znajomości, jednak z natury niezdolny do uniżonego zachowania, wtórował mu śmiechem pełnym zakłopotania, lecz głośnym. Nieładny widok! K. mógł wszystko spokojnie obserwować, bo nikt nie zwracał na niego uwagi; naczelnik kancelarii, skoro już dał się wyciągnąć z kąta, zdominował rozmowę, pewnie swoim stałym zwyczajem; mecenas, którego początkowa słabość miała służyć chyba tylko wypłoszeniu nowych gości, słuchał uważnie z dłonią przy uchu; stryj trzymał świecę, balansował nią na

udzie mimo zatroskanych spojrzeń adwokata i po chwili, wolny od zakłopotania, już tylko zachwycony wsłuchiwał się w wymowne słowa naczelnika i wpatrywał w towarzyszące im faliste, łagodne gesty. K., oparty o poręcz w nogach łóżka, może nawet rozmyślnie przez naczelnika zlekceważony, służył starszym panom tylko za słuchacza. Nie wiedział zresztą, o czym mowa, i myślał bądź o opiekunce i złym potraktowaniu jej przez stryja, bądź o tym, czy już kiedyś naczelnika nie widział, może nawet w zgromadzeniu, kiedy pierwszy raz był przesłuchiwany. Choćby mu się tak tylko wydawało, to na pewno do starszych panów z rzadkimi brodami, zgromadzonych wtedy w pierwszym rzędzie, naczelnik kancelarii doskonale by pasował.

Wtem na dźwięk jakby tłukącej się w przedpokoju porcelany wszyscy nastawili ucha.

– Zobaczę, co się stało. – K. wyszedł bez pośpiechu, jakby dając im szansę, żeby go powstrzymali. Ledwo stanął w przedpokoju i spróbował połapać się w ciemnościach, a już na jego dłoni, jeszcze leżącej na klamce, spoczęła czyjaś o wiele mniejsza dłoń i cicho zamknęła uchylone drzwi. Czekala tam na niego opiekunka.

– Nic się nie stało – wyszeptała. – Rzuciłam tylko talerzem o ścianę, żeby pana stamtąd wywabić.

– Ja też myślałem o panie – odparł skrzepowany.

– Tym lepiej. Proszę za mną.

Po paru krokach dotarli do drzwi z matową szybą, które przed nim otwarła.

– No, niech pan wejdzie.

Był to na pewno gabinet mecenasa; z tego, co dało się zobaczyć w księżycowym świetle, rozjaśniającym tylko niewielkie prostokąty na podłodze przy dwóch dużych oknach, wypełniały go ciężkie, stare meble.

– Proszę – opiekunka wskazała ciemną skrzynię z rzeźbionym w drewnie oparciem. K., siadając, jeszcze się rozglądał; w wysokim, dużym gabinecie adwokata ludzie biedni musieli mieć poczucie, że się gubią. K. wyobrażał sobie kroczyki klientów ciągnących w stronę olbrzymiego biurka. Ale po chwili zapomniał o tym i zapatrzył się na opiekunkę, która siedziała bardzo blisko, niemal go przyciskając do bocznego oparcia.

– Myślałam, że pan wyjdzie do mnie sam, a nie dopiero na moje wezwanie – powiedziała. – Dziwna rzecz. Już od wejścia bez przerwy pan na mnie patrzył, ale potem kazał mi czekać. A poza tym, niech mi pan mówi Lenka –

dorzuciła jednym tchem, jakby w tej rozmowie nie było ani chwili do stracenia.

– Proszę bardzo. A tę dziwną rzecz, panno Lenko, łatwo wytłumaczyć. Po pierwsze, wypadło raczej, żebym słuchał gadania starszych panów, a nie wychodził sobie bez powodu; po drugie, nie jestem śmiały, tylko raczej nieśmiały, a panna Lenka też bynajmniej nie sprawiała wrażenia, że ją można w jednej chwili podbić.

– Nie o to chodzi – położyła rękę na oparciu i obrzuciła go spojrzeniem. – Ja się panu nie spodobałam i teraz pewnie też się nie podobam.

– Podobać się to niewiele by znaczyło – odpowiedział wymijająco.

– O! – uśmiechnęła się, a ostatnie jego słowa i ten cichy okrzyk dały jej pewną przewagę. Dlatego na chwilę zamilkł. Przyzwyczajwszy się do ciemności w gabinecie, rozróżniał już rozmaite szczegóły wyposażenia. Zaciekawiony zwłaszcza dużym obrazem wiszącym na prawo od drzwi, wychylił się, żeby go lepiej widzieć. Obraz przedstawiał mężczyznę w todze sędziego; siedział on na wysokim tronie, którego złocenia w wielu miejscach odbijały od tła. Niezwyčajne było to, że sędzia nie zasiadał tam ze spokojem i dostojeństwem, ale że, oparty na lewym ramieniu, prawe miał uniesione i tylko dłonią obejmował poręcz, jakby za chwilę, może z oburzeniem, miał się gwałtownym ruchem poderwać i powiedzieć coś rozstrzygającego lub nawet obwieścić wyrok. Oskarżonego należało się pewnie domyślać u stóp schodów, których najwyższe, okryte żółtym kobiercem stopnie było jeszcze na obrazie widać.

– Może to mój sędzia. – K. wskazał go palcem.

– Znam go. – Opiekunka też tam spojrzała. – Często tu bywa. Obraz pochodzi z czasów jego młodości, tyle że sędzia nigdy nie mógł choćby podobnie wyglądać. Jest małego wzrostu, ale szalenie próżny jak wszyscy tutaj, więc kazał się na obrazie wydłużyć. Jednak ja też jestem próżna i bardzo niezadowolona, że się panu w ogóle nie podobam.

Co do tej ostatniej sprawy K. odpowiedział przygarnięciem Lenki; złożyła mu potulnie głowę na ramieniu. A co do wcześniejszej kwestii zapytał:

– Jaką on ma rangę?

– To sędzia śledczy – zaczęła się bawić palcami obejmującej ją ręki.

– Znów tylko śledczy – odpowiedział zawiedziony. – Urzędnicy wyższych rang się ukrywają. Ale przecież siedzi na tronie.

– To wszystko zmyślane – odparła z twarzą schyloną nad jego palcami. –

W rzeczywistości siedzi na kuchennym krześle i na złożonej w kostkę, starej końskiej derce. Ale czy pan naprawdę myśli tylko o swoim procesie? – dodała przeciągle.

– Nie, wcale nie. Pewnie nawet myślę o nim za mało.

– Pan robi inny błąd. Jest pan zbyt nieustępliwy. Tak słyszałam.

– A kto tak powiedział? – K. czuł na piersi jej ciało i spoglądał z góry na ciemne, bujne, mocno splecione w węzeł włosy.

– Mówiąc to panu, za dużo bym zdradziła. Proszę, niech pan nie wypytuje o nazwiska, tylko niech pan naprawi błąd i więcej nie będzie taki nieustępliwy, bo przed tym sądem nie ma obrony, trzeba się przyznać. Niech pan przy najbliższej okazji wyzna wszystko. Dopiero wtedy jest możliwość, żeby się wywinąć, dopiero wtedy. Ale ona też nie istnieje bez czyjejś pomocy, tyle że o to może pan się nie martwić, ja będę panu pomocą.

– Panna ma dobre rozeznanie w tym sądzie i oszustwach, jakich tu trzeba – odparł, a ponieważ za mocno do niego lgnęła, posadził ją sobie na kolanach.

– Tak jest dobrze – powiedziała i rozsiadła się wygodnie, poprawiając bluzkę i wygładzając spódnice. Objęła K. za szyję, odchyliła się i długo na niego patrzyła.

– A jak się nie przyznam, to nie będzie mi panna mogła pomóc? – zapytał na próbę. „Werbuję sobie pomocnice – pomyślał zdumiony – najpierw panna Bzykier, potem żona woźnego, a w końcu ta mała opiekunka, która mnie w jakiś niepojęty sposób pragnie. Siedzi mi na kolanach, jakby tu było jej miejsce!”

– Nie. – Pokręciła głową. – Wtedy nie będę mogła panu pomóc. Ale pan przecież nie chce mojej pomocy, panu nie zależy na niej, pan jest uparty i nie daje się przekonać. – Po chwili spytała: – Czy pan ma jakąś pannę? Czy się kochacie?

– Nie.

– Właśnie że tak.

– Ach, prawda. Pomyśleć, że się jej wyparłem, a przecież nawet noszę przy sobie fotografię.

Poprosiła, żeby ją pokazał, i siedząc na kolanach K., zaczęła studiować migawkowe zdjęcie. Elizę uchwycono po wirowym tańcu, jaki lubiła tańczyć w winiarni, sfałdowana obrotem spódnica jeszcze wokół niej frunęła, ręce opierały się na biodrach; Eliza, prężąc szyję, patrzyła roześmiana gdzieś w bok. Z fotografii nie dało się poznać, do kogo ten śmiech był skierowany.

– Ma ciasny gorset. – Lenka wskazała, gdzie jej zdaniem było to widać. – Nie podoba mi się, niezgrabna i bez ogłady. Ale może dla pana jest łagodna i uprzejma, na to by ze zdjęcia wyglądało. Takie silne, wysokie dziewczyny nieraz umieją tylko być łagodne i uprzejme. Ale czy byłyby dla pana gotowa do poświęceń?

– Nie. Ona nie jest łagodna ani uprzejma, ani by nie była dla mnie gotowa do poświęceń. I dotychczas żadnej takiej rzeczy od niej nie wymagałem. Ba, nawet jeszcze nie przyglądałem się temu zdjęciu tak dokładnie jak panna Lenka.

– Więc ona niezbyt pana obchodzi i się nie kochacie.

– Owszem. Nie cofam moich słów.

– Więc jeżeli nawet, to nie żał byłoby panu ją stracić albo wybrać sobie inną, na przykład mnie.

– Niewykluczone – uśmiechnął się. – Możliwe, ale ona w porównaniu z panną Lenką ma wielką zaletę: Nie wie o moim procesie, a nawet gdyby wiedziała, nie myślałaby o nim. Nie próbowałaby mnie namawiać do ustępliwości.

– To nie zaleta – odparła Lenka. – Jeżeli ona nie ma innych zalet, to jestem dobrej myśli. Czy ma jakieś wady fizyczne?

– Wady fizyczne?

– Tak, bo ja mam taką małą wadę, niech pan patrzy.

Rozstawiła środkowy i serdeczny palec prawej dłoni, błonka między tymi krótkimi palcami sięgała prawie ich górnych stawów. W ciemności K. nie od razu zauważył, co ona pokazuje, więc powiodła jego dłonią, żeby to poznał dotykiem.

– Jaki wybryk natury! – Obejrzał całą dłoń i dodał: – Jakie miłe pazurki!

Patrzyła nie bez dumy, jak zdziwiony rozchyłał i łączył jej dwa palce, a w końcu je przelotnie ucałował i puścił.

– O! – krzyknęła natychmiast. – Pan mnie pocałował!

Z rozchylonymi ustami szybko klękała na jego udach. Ze zgrozą podniósł wzrok, teraz, kiedy była tak blisko, szedł od niej gorzki, pobudzający, jakby korzenny zapach; przygarnęła jego głowę, nachyliła się i zaczęła go gryźć i całować w szyję, gryźć nawet jego włosy.

– Pan wybrał mnie! – wołała raz po raz. – Sam pan widzi, jednak pan wybrał mnie! – Aż nagle się jej osunęło kolano, krzyknęła, omal nie upadła na dywan, K. próbował ją utrzymać, objął i wtedy coś go do niej ściągnęło. –

Teraz – powiedziała – jesteś mój.

Jej ostatnie słowa brzmiały zaś: – Tu masz klucz, przychodź, kiedy chcesz. – I jeszcze na odchodnym trafił go w plecy zabłąkany pocałunek. Kiedy K. stanął w bramie, z lekka padało, chciał wyjść na środek ulicy, żeby może zobaczyć jeszcze Lenkę w oknie, kiedy nagle z czekającego przed domem samochodu, którego w roztargnieniu nawet nie zauważył, wypadł stryj, złapał K. za ramiona i przycisnął do bramy, jakby chciał go tam przygwoździć.

– Chłopcze! – zawołał. – Jak mogłeś! Strasznie zaszкодziłeś swojej sprawie, która była na dobrej drodze. Chowasz się z jakąś plugawą istotą, zresztą wyraźnie kochanką mecenasa, i na całe godziny gdzieś przepadasz. Nawet nie szukasz wymówki, nic nie ukrywasz, nie, jesteś zupełnie szczery, lecisz do niej i zostajesz z nią. A my siedzimy razem, stryj, który się trudzi dla ciebie, adwokat, którego trzeba dla ciebie pozyskać, a zwłaszcza nacelnik kancelarii, osobistość, która w obecnym stadium twojej sprawy wręcz nią zawiaduje. Naradzamy się, jak ci pomóc, ja muszę robić ceregiele z mecenasem, on znowu z naczelnikiem, a ty miałbyś w końcu wszelkie powody, żeby mnie chociaż wesprzeć. A tymczasem się gdzieś podziewasz. Trudno przecież coś takiego ukryć, cóż, obaj panowie, uprzejmi, obyci, nie wspominają o tym, oszczędzają mnie, ale wreszcie nawet oni nie potrafią się przełamać, a ponieważ nie mogą mówić o sprawie, więc milkną. Siedzimy w ciszy długie minuty, nasłuchując, czy wreszcie jednak nie przyjdiesz. Wszystko nadaremnie. W końcu nacelnik kancelarii, który został znacznie dłużej, niż pierwotnie chciał, wstaje, żegna się, wyraźnie nade mną boleje, ale nie może mi pomóc, w jakiejś niepojętej życzliwości czeka jeszcze trochę w drzwiach, po czym wychodzi. Ja oczywiście byłem szczęśliwy, że poszedł, mnie już zatykało. Chory mecenas jeszcze gorzej to zniósł, on, zacności człowiek, nie mógł mówić, kiedy się z nim żegnałem. Być może przyczyniłeś się do jego zupełnej zapaści i przyspieszasz śmierć kogoś, na kogo jesteś zdany. A mnie, swojemu stryjowi, każesz godzinami czekać na tym deszczu, aż cały przemokłem, dotknij tylko.

Adwokat

Fabrykant

Malarz

Pewnego zupełnie zimowego przedpołudnia, kiedy za oknem w mętym świetle padał śnieg, K., mimo wczesnej pory już bardzo zmęczony, siedział w biurze. Żeby uchronić się przynajmniej przed urzędnikami niskiej rangi, kazał wcześniej woźnemu ich nie wpuszczać, mówiąc, że ma do zrobienia pewną większą pracę. Ale zamiast pracować, kręcił się na krześle, wolno przesunął po biurku kilka przedmiotów, a później, z ramieniem bezwiednie wciąż wyciągniętym na blacie, ze zwieszoną głową znieruchomiał.

Nie odstępowała go już myśl o procesie. Często się zastanawiał, czy nie warto by opracować pisma obrończego dla przedłożenia go sądowi. Chciał tam przedstawić krótki życiorys i w co ważniejszych przypadkach oświadczyć, z jakich pobudek wynikał dany czyn oraz czy zgodnie z jego obecnym osądem zasługuje na potępienie lub aprobatę, a także przytoczyć argumenty za jednym bądź za drugim. Przedkładając takie pismo, niewątpliwie wyszedłby na tym lepiej, niż broniąc się tylko za pośrednictwem adwokata, który zresztą był daleki od ideału. K. nawet nie wiedział, jakie podjął kroki; na pewno niezbyt liczne, on sam już od miesiąca nie był proszony na kolejną konsultację, a z wcześniejszych nie wyniósł wrażenia, żeby ten człowiek mógł wiele osiągnąć. Mecenas przede wszystkim niemal wcale go nie wypytywał. A przecież tyle byłoby pytań do postawienia. Najważniejsze to pytać. K. miał poczucie, jakby wszystkie niezbędne pytania umiał zadać sam. Tymczasem adwokat najwyżej coś opowiadał albo w milczeniu siedział naprzeciw niego, pewnie ze względu na przytępiony słuch pochylał się trochę nad biurkiem, pociągał za kosmyk w brodzie i patrzył na dywan, może właśnie na miejsce, gdzie kiedyś leżeli K. z Lenką. Czasami udzielał mu jałowych upomnień, jakie się daje dzieciom. Nudna i pusta gadanina, za którą K. w końcowym rozliczeniu nie zamierzał dać ani grosza. Adwokat, upokorzywszy go do woli, zaczynał z kolei dodawać K. animuszu. Opowiadał, ile to już podobnych procesów całkowicie lub częściowo wygrał, procesów, które, cóż, może i były

w rzeczywistości łatwiejsze niż ten, ale na pozór jeszcze gorzej rokowały. Tutaj, w biurku – to mówiąc, pukał w którąś szufladę – ma ich wykaz, tyle że samych pism nie może pokazać, przykro mu, tajemnica urzędowa. Ale dzięki podobnym procesom zdobył wielkie doświadczenie, jasne, i teraz K. na tym korzysta. Oczywiście, mecenas od razu wziął się do pracy, pierwsza prośba do sądu już prawie gotowa. A jest bardzo ważna, bo pierwsze wrażenie, jakie zrobi obrona, określa często kierunek całego postępowania. Jednak, niestety, K. musi wiedzieć, że czasem sąd nie czyta pierwszej prośby. Odkłada się ją zwyczajnie do akt i wyjaśnia, że chwilowo przesłuchanie i obserwacja oskarżonego są ważniejsze niż całe słowo pisane. A kiedy petent wykazuje upór, dodaje się informację, że, oczywiście, przed wydaniem decyzji, z chwilą zebrania wszystkich materiałów zostanie zbadany całokształt akt, a więc i pierwsza prośba do sądu. Ale, niestety, to na ogół też nieprawda, pierwszą prośbę raczej ktoś zapodziewa lub nawet zaprzepaszcza, a choćby się do końca uchowała, wtedy i tak – co jednak adwokat wie tylko z pogłosek – wtedy i tak jej zwykle nikt nie czyta. Smutne to wszystko, ale nie takie znów bezzasadne, bo niech K. weźmie pod uwagę, że postępowanie jest niejawnie, może być jawne, kiedy sąd uzna taką potrzebę, ale w prawie nie ma zapisu o żadnym nakazie jawności. W związku z powyższym oskarżony i obrona nie mają dostępu także do pism sądu, zwłaszcza do aktu oskarżenia, tak że w ogóle albo przynajmniej w szczegółach nie wiadomo, czego pierwsza prośba ma dotyczyć, i jeżeli zawiera cokolwiek ważnego dla sprawy, jest to czysty przypadek. Prośby naprawdę adekwatne i mające wartość dowodową można sporządzać dopiero później, w toku przesłuchań oskarżonego, kiedy wyraźniej się zaznaczą albo dadzą odgadnąć poszczególne punkty oskarżenia z ich uzasadnieniem. Oczywiście, że wobec takiego stanu rzeczy obrona jest w bardzo niedogodnej i trudnej sytuacji. Ale to też zamierzone. Bo w gruncie rzeczy prawo na obronę nie zezwala, tylko się nie sprzeciwia jej istnieniu, i trwają spory nawet o to, czy z odnośnego fragmentu prawa można wyczytać choćby taki brak sprzeciwu. I dlatego, ściśle biorąc, ten sąd nie uznaje żadnych adwokatów, a wszyscy, którzy przed nim występują w takim charakterze, to w gruncie rzeczy adwokaci pokątni. Co oczywiście dla całej adwokatury jest wielkim poniżeniem, i niech K. przy kolejnej wizycie w kancelarii zajrzy do pokoju adwokatów, bo to warto zobaczyć chociaż raz. Pewnie go przestraszy grono, jakie się tam zbiera. Już samo pomieszczenie przydzielone tym ludziom, ciasne i niskie, ukazuje

pogardę sądu dla nich. Światło wpada tam jedynie okienkiem, położonym tak wysoko, że kto chce wyjrzeć, ten nie dość, że nawdycha się dymu z komina przed nosem i okopci sobie twarz, to jeszcze musi najpierw znaleźć kolegę, który go weźmie na barana. I żeby podać kolejny przykład panujących tam warunków: w podłodze izby już od ponad roku jest dziura, nie taka, żeby człowiek nią zleciał, ale taka, że się zapada jedną nogą. Pokój adwokatów jest na drugiej kondygnacji poddasza, więc kiedy się ktoś zapada, noga przez podłogę zawisa nad kondygnacją pierwszą, i to właśnie nad korytarzem, gdzie czekają strony. Nie jest przesadą, kiedy w kręgach adwokackich określa się ten stan rzeczy mianem hańby. Reklamacje wnoszone do prezydium nie dają najmniejszego skutku, natomiast adwokatom najsurowiej wzbroniono zlecać w tym pokoju jakiegokolwiek naprawy na własny koszt. Ale taki sposób traktowania adwokatów też jest jakoś uzasadniony. Chodzi o to, żeby w miarę możliwości wykluczyć obronę i żeby wszystko było na głowie oskarżonego. W gruncie rzeczy nie takie złe podejście, ale trudno o większy błąd, niż gdyby stąd wnioskować, że przed tym sądem oskarżonemu niepotrzebni adwokaci. Przeciwnie, przed żadnym innym sądem nie są tak potrzebni jak przed tym. Bo zwykle postępowanie bywa utajnione nie tylko przed ogółem, ale i przed oskarżonym. O tyle, o ile istnieje możliwość utajnienia, oczywiście, ale ona istnieje w znacznej mierze. Nawet oskarżony nie może wejrzeć w pisma sądu i bardzo trudno też wnioskować z przesłuchań o pismach będących ich podstawą, trudno zwłaszcza oskarżonemu, który przecież jako strona nie rozumie swobodnie, a z nadmiaru kłopotów nie może zebrać myśli. I tu właśnie wkraczają obrońcy. Na ogół nie mogą być przy samych przesłuchaniach, więc dopiero później wypytują oskarżonego o ich przebieg, w miarę możliwości jeszcze pod drzwiami pokoju przesłuchań, i z takiej relacji, często już niejasnej, wyciągają rzeczy przydatne w obronie. Ale nie to jest najważniejsze, bo tam niewiele się można dowiedzieć, choć oczywiście, jak zwykle, człowiek bystry dowie się więcej niż inni. Tak czy owak, najważniejsze pozostają osobiste znajomości adwokata, głównie na nich polega wartość obrony. A chyba K. przekonał się już z własnych doświadczeń, że na najniższym z niskich szczebli sądu organizacja jest niedoskonała, że bywają tam pracownicy nieobowiązkwowi albo przekupni, przez których zwartość i niedostępność sądu doznaje pewnego uszczerbku. Do nich się przeważnie pchają adwokaci, przekupują ich i podpytują, ba, przynajmniej

w dawniejszych czasach, zdarzały się nawet przypadki kradzieży akt. Trudno zaprzeczyć, że doraźnie wszystko to przynosi oskarżonemu wręcz zaskakujące korzyści, nimi chlubią się i wabią nową klientelę adwokaci drobni, ale dla postępów procesu takie korzyści nic nie znaczą albo znaczą coś niedobrego. A istotną wartość mają tylko szczere stosunki osobiste, i w dodatku z wyższymi urzędnikami, oczywiście tylko wyższymi niskiego szczebla. Jedynie one pozwalają wpłynąć na dalszy tok procesu, owszem, z początku bardzo nieznacznie, ale potem coraz wyraźniej. Potrafi to bardzo niewielu adwokatów, i tutaj K. bardzo korzystnie wybrał. Może jeden albo dwaj adwokaci potrafią się jeszcze wykazać podobnymi znajomościami jak mecenas Fawor. Ale oni nie zwracają uwagi na to całe grono w pokoju adwokackim i nic nie mają z nim wspólnego. A tym bliższe są ich powiązania z urzędnikami. Często nawet nie ma potrzeby, żeby mecenas Fawor chodził do sądu, w przedpokojach czekał na przypadkowe zjawienie się sędziów śledczych i zależnie od ich humoru osiągał cel tylko pozornie albo wcale. Ależ nie, przecież K. sam widział, że urzędnicy, i to nieraz dość wysokiej rangi, przychodzą sami, życzliwie udzielają informacji, jednoznacznych lub co najmniej łatwych do odczytania, omawiają następne stadia procesów, ba, nawet się w niektórych wypadkach dają przekonać i przychyłają do cudzego zdania. Cóż, kiedy właśnie pod tym względem nie należy urzędnikom zbyt ufać; mimo swoich stanowczych zapewnień, że są teraz przychylni obronie i że zmienią swoje zamiary wobec oskarżonego, potrafią zaraz pójść do kancelarii i na dzień następny wydać postanowienie wręcz odwrotne w treści, nieraz jeszcze znacznie surowsze niż w pierwotnym zamyśle, co do którego rzekomo się rozmyślili. Oczywiście, nawet gdyby skądinąd obrona nie dbała o ich przychylność, to i tak nie mogłaby się takim decyzjom przeciwstawiać, bo cokolwiek by mówili urzędnicy, mówią w cztery oczy, i nie wynikają stąd żadne oficjalne konsekwencje. Z drugiej strony, owszem, prawdą jest, że jeżeli urzędnicy komunikują się z obroną, rzecz jasna z obroną fachową, to raczej nie z przyjaźni ani dla filantropii, w pewnym sensie bowiem są z kolei zależni od obrońców. I w tym się właśnie uwidaczniają wady takiej organizacji sądu, która zakłada od samego początku tajność sądzienia. Urzędnicy są dobrze przygotowani do zwykłego procesu, taki raczej sam toczy się własnym torem i tylko czasami trzeba go popchnąć; jednak za mało stykają się z ludnością i bywają często bezradni wobec przypadków bardzo łatwych i wyjątkowo trudnych, bo dzień i noc

żyją w swoim ciasnym prawie, nie mają dobrego rozeznania co do stosunków między ludźmi, a przy takich procesach odczuwają ten brak dotkliwie. Wtedy przychodzą po radę do adwokata, a za nimi woźny niesie ściśle tajne skądinąd akta. Tym właśnie oknem, już w poczuciu beznadziei, wyglądał na ulicę niejeden urzędnik, jakiego nikt by się tutaj nie spodziewał, a tymczasem za biurkiem mecenas studiował akta, żeby udzielić mu cennej rady. Nawiasem mówiąc, właśnie przy takich okazjach widać, z jak niebywałą powagą panowie ci traktują swoją profesję i w jaką wpadają rozpacz, kiedy z natury rzeczy nie umieją podołać pewnym trudnościom. Zresztą w ogóle są w niełatwym położeniu, niech nikt nie myśli, że w łatwym, to byłoby krzywdzące. Rangi w sądzie rosną w nieskończoność, a ich porządku nie ogarnie nawet ktoś wtajemniczony. I w dodatku postępowanie przed izbami sądu jest na ogół tajne także dla urzędników niskiego szczebla, więc rzadko mogą oni śledzić dalszy tok rozpatrywanych przez siebie przypadków; często jakaś sprawa pojawia się w zasięgu ich widzenia, a nie wiedzą, skąd się wzięła, po czym przechodzi dalej, a nie wiedzą dokąd. Dlatego omija ich nauka, jaką czerpie się ze studiowania kolejnych stadiów procesu, z końcowej decyzji i przesądających o niej argumentów. Rozpatrują proces tylko w zakresie dozwolonym im przez prawo, a o dalszym ciągu, czyli o wynikach własnej pracy, wiedzą zwykle mniej niż obrona, która z reguły komunikuje się z oskarżonym niemalże do zamknięcia procesu. Więc i w tej kwestii mogą się dowiedzieć od obrony wielu ciekawych rzeczy. Czy K., biorąc to wszystko pod uwagę, dziwi się jeszcze urzędnikom, że są rozdrażnieni i że czasami, czego każdy doświadczył, okazują to stronom w obraźliwy sposób? Wszyscy urzędnicy są rozdrażnieni, choćby wyglądali na spokojnych. Jasne, że cierpią na tym zwłaszcza adwokaci drobni. Na przykład krąży taka opowieść, która sprawia wrażenie najzupełniej prawdziwej: Pewien urzędnik sądu, cichy i dobrotliwy starszy pan, studiował kiedyś cały dzień i noc bez przerwy trudną sprawę, którą zagmatwały zwłaszcza prośby do sądu, składane przez adwokata; ci urzędnicy są naprawdę pracowici jak nikt inny. I oto nad ranem, po całej dobie raczej bezowocnej pracy, starszy pan podszedł do drzwi wejściowych, tam się zasadził i każdego wchodzącego adwokata zrzucał ze schodów. Adwokaci zbierali się poniżej na podeście i radzili, co tu zrobić. Z jednej strony nie mogą w zasadzie rościć sobie praw do wpuszczenia ani tym samym podejmować wobec urzędnika żadnych kroków prawnych, a także, jak już

była mowa, pilnują, żeby nie narazić się ciału urzędniczemu. Jednak z drugiej strony każdy dzień nieobecności w sądzie jest dla nich zmarnowany, więc bardzo im zależało na dostaniu się do środka. Uzgodnili w końcu, że starszego pana trzeba zmęczyć. Co chwila kolejny wysłany przez nich adwokat wbiegał na górę, po czym, stawiając jak największy, lecz bierny opór, dawał się zrzucić na dół, gdzie koledzy go łapali. Mniej więcej godzinę trwało, zanim starszy pan, który się przecież napracował przez noc, rzeczywiście miał już dosyć i wrócił do swojej kancelarii. Tamci na dole, w pierwszej chwili nie mogąc w to uwierzyć, wysłali najpierw jednego, żeby sprawdził, czy na pewno za drzwiami nikogo nie ma. Dopiero potem zaczęli się przez nie wsuwać, i to pewnie bez najmniejszego szemrania. Bo nawet drobny adwokat jakoś ogarnia całość sytuacji, i wszyscy adwokaci są jak najdalsi od tego, żeby próbować jakichkolwiek ulepszeń w sądzie lub o nie występować; tymczasem – co znamienne! – niemal wszyscy oskarżeni, nawet zupełnie prostoduszni ludzie, już w chwili objęcia ich procesem myślą o propozycjach ulepszeń, na czym nieraz trwonią czas i siły, zamiast jedno i drugie wykorzystać inaczej i lepiej. A jedynie słuszna rzecz to zgoda na istniejącą sytuację. Nawet gdyby się ulepszyło jakiś szczegół, chociaż wiara w taką możliwość jest nonsensownym zabobonem – nawet wtedy by się w najlepszym razie działo coś dla przyszłych przypadków, a sobie by się niepomrotnie zaszkodziło, zwracając uwagę ciała urzędniczego, które jest mściwe. Grunt to nie zwracać na siebie uwagi! Grunt to zachować spokój, choćby wszystko szło nie po naszej myśli! I w miarę możliwości zrozumieć jedno: wielki organizm sądu trwa, by tak rzec, w zawieszeniu, a kto samorzutnie wprowadza dokoła siebie zmiany, ten traci punkt oparcia i osuwa się coraz niżej, kiedy tymczasem wszystko się ze wszystkim wiąże, ten wielki organizm sam sobie łatwo takie drobne zaburzenie wynagradza w innym zakresie i trwa niezmienny, a nawet możliwe, że jeszcze bardziej zwarty, bardziej czujny, surowy i zły. Trzeba zostawić robotę adwokatowi, zamiast przeszkadzać. Cóż, niewiele pomoże wypominanie, zwłaszcza kiedy i tak się komuś nie objaśni całego znaczenia pewnych kwestii – a jednak należy powiedzieć, że K. bardzo sobie zaszkodził zachowaniem wobec naczelnika kancelarii. Ten wpływowy człowiek raczej byłby już do skreślenia z listy osób, u których można podjąć starania w jego sprawie. Wzmianki o tym procesie, choćby ot, luźno rzucone, naczelnik najwyraźniej z rozmysłem puszcza mimo uszu. Bo doprawdy, ci urzędnicy są nieraz jak

dzieci. Często czują się urażeni byle błahostkami, do których jednak zachowanie K., niestety, nie należało, a wtedy przestają rozmawiać nawet z serdecznymi przyjaciółmi, odwracają się na ich widok i wszelkimi sposobami prowadzą robotę przeciwko nim. Aż tu któregoś razu w poczuciu, że i tak wszystko stracone, człowiek odważy się na jakiś żarcik, a on nie wiezieć dlaczego nagle ich rozśmieszy i przejedna. Cóż, są zarazem trudni i łatwi w obcowaniu, co do tego nie ma żadnych reguł. Dziw bierze czasem, że jedno i to średnio długie życie wystarczy, żeby się w tym wszystkim trochę połapać i osiągać w swojej pracy jakie takie sukcesy. Bywają jednak, jak to u każdego, mroczne chwile, człowiek ma wtedy poczucie, że nic a nic nie działał, odnosi wrażenie, że tylko procesy od początku korzystnie przesądzone korzystnie się zakończyły, co nastąpiłoby nawet bez niczyjej pomocy, i że wszystkie inne procesy są przegrane, mimo wszystkich zabiegów, wszystkich wysiłków, wszystkich pozornych drobnych sukcesów, z których miało się tyle radości. A wtedy człowiek już niczego nie jest pewien i nawet nie śmiałby zaprzeczyć, że właśnie swoją pomocą sprowadził na manowce dobrze z natury biegnące procesy. Owszem, to także rodzaj wiary w siebie, ale jedyny, jaki wtedy zostaje. Takie nastroje, bo to, rzecz jasna, nic więcej nie jest – takie nastroje grożą adwokatom zwłaszcza wtedy, kiedy nader daleko i zadowolająco posunął jakiś proces, a nagle każe im się wypuścić go z rąk; gorsza rzecz nie może się chyba zdarzyć adwokatowi. Nie sprawia tego bynajmniej oskarżony, tak raczej nigdy nie bywa, oskarżony, który raz najął danego adwokata, musi przy nim trwać, cokolwiek by się działo. Skoro zaczął korzystać z pomocy, to jak się nagle ostoi sam jeden? Przyczyną nie jest więc oskarżony, lecz taki obrót procesu, że adwokatowi nie wolno już za nim podążać. I proces, i oskarżony, i wszystko zostaje mu zwyczajnie odebrane, a wtedy nie pomogą choćby najlepsze znajomości z urzędnikami, bo oni też nic nie wiedzą. Cóż, proces wchodzi wtedy w stadium, kiedy już nie wolno w nim udzielać pomocy, kiedy go rozpatrują niedostępne izby sądu, kiedy dla adwokata nawet oskarżony jest kimś nieosiągalnym. Któregoś dnia człowiek przychodzi do domu, a tu leżą na biurku jego rozliczne prośby do sądu, które z wielką pieczołowitością i nadzieją przedstawiał w danej sprawie, zwrócone, bo nie wolno ich przenieść w następne stadium procesu, są już nic niewartymi świstkami. Przy czym nie musi to jeszcze oznaczać przegranej, ależ skąd, w każdym razie nie istnieje żaden rozstrzygający argument za takim przypuszczeniem, tyle że

człowiek już nic o procesie nie wie ani się nie dowie. No tak, ale podobne przypadki zdarzają się na szczęście tylko wyjątkowo, i choćby nawet proces pana K. stanowił jeden z nich, na razie do tego stadium daleko. Więc mecenas ma jeszcze najróżniejsze okazje do działania i niech już K. będzie spokojny, że zawsze z nich korzysta. Prośby, jak się rzekło, jeszcze nie wręczył, ale na nią przyjdzie czas, znacznie ważniejsze są wstępne konsultacje z kompetentnymi urzędnikami, a one już miały miejsce. Szczerze powiedziawszy, z różnym skutkiem. Lepiej chwilowo nie zdradzać szczegółów, które by tylko niekorzystnie wpłynęły na K., wzbudzając w nim za duże nadzieje albo lęki; dość, że niektórzy wypowiadali się bardzo przychylnie i okazywali wielką życzliwość, kiedy tymczasem inni wyrażali się mniej przychylnie, jednak bynajmniej nie odmawiali pomocy. Na ogół więc rezultaty są bardzo pomyślne, tyle że nie należy stąd wyciągać pochopnych wniosków, bo wstępne konsultacje przed rozprawą zawsze się podobnie zaczynają i dopiero późniejszy rozwój sprawy ukazuje ich wartość. W każdym razie nic jak dotąd straconego, i gdyby jeszcze mimo wszystko pozyskać naczelnika kancelarii, a wysiłki w tym kierunku nie ustają, wtedy całość byłaby, jak mówią chirurdzy, „czystą raną” i bez obawy można by czekać na rozwój wypadków.

Przemowy takie jak ta wygłaszał adwokat bez końca. Powtarzały się przy każdej wizycie. Sprawa niezmiennie robiła postępy, nigdy jednak nie można było wyjawic ich natury. Pierwsza prośba do sądu była, owszem, w trakcie pisania, ale jeszcze niegotowa, co zwykle za następnym przyjściem okazywało się bardzo pomyślnym faktem, ponieważ na przekór wcześniejszym przewidywaniom ostatni okres akurat wyjątkowo nie sprzyjał jej wręczeniu. Kiedy K. wycieńczony tym gadaniem rzucał czasami, że nawet jak na wszystkie trudności, sprawa posuwa się bardzo powoli, w odpowiedzi słyszał, że wcale nie tak bardzo, że natomiast owszem, obydwaj byliby już w innym miejscu, gdyby w porę zasięgnął porady adwokata. Niestety, tego zaniedbał, co prócz opóźnienia powoduje jeszcze inne straty.

Jedynym dobroczynnym urozmaiceniem tych wizyt była Lenka, która pilnowała, żeby właśnie wtedy przynosić herbatę mecenasowi. Po czym, niby to patrząc, jak nisko pochylony adwokat z dziwną zachłannością napełnia filiżankę i pije, stawała za plecami K., tak żeby mógł po kryjomu ująć jej rękę. Panowało całkowite milczenie. K. trzymał jej dłoń w swojej, Lenka czasem ośmielała się lekko pogłodzić jego włosy, mecenas pił herbatę.

– Jeszcze tu jesteś? – pytał, kiedy dopijał.

– Chciałam zabrać naczynia – odpowiadała. Ostatni uścisk rąk, zanim adwokat wytarł usta i z nową siłą zabrał się do zagadywania K.

Czy chciał pocieszyć go, czy pogрузić w rozpacz? Tego K. nie wiedział, wkrótce natomiast nabrał pewności, że jego obrona nie jest w dobrych rękach. Mecenasa, chociaż wyraźnie chce siebie wysunąć na pierwszy plan i jeszcze nigdy nie prowadził pewnie procesu tak wielkiego jak jego zdaniem proces K., być może nie mija się z prawdą. Ale jedno jest podejrzane: to jego nieustanne podkreślanie osobistych znajomości z urzędnikami. Czy aby wyzyska je tylko na korzyść K.? Ani razu nie omieszkał wspomnieć, że to urzędnicy pośledni, czyli na bardzo podrzędnych stanowiskach, tacy, dla których przyszłej pozycji może mieć znaczenie określony przebieg procesów. A jeżeli w tym celu wykorzystują mecenasa, oczywiście zawsze ze szkodą dla oskarżonych? Owszem, być może nie zawsze tak robią, to mało prawdopodobne, pewnie bywają z kolei procesy, w trakcie których za przysługi ze strony adwokata urzędnicy działają po jego myśli, bo przecież musi im zależeć także na podtrzymaniu nieposzlakowanej opinii mecenasa. Ale jeżeli tak rzecz wygląda, to jak wpływają na proces K., proces według mecenasa bardzo trudny, a więc ważny i od samego początku skupiający wielką uwagę sądu? Trudno raczej wątpić, co robią. Oznaką jest choćby to, że po miesiącach trwania procesu wciąż nie została wręczona pierwsza prośba i że według informacji adwokata wszystko znajduje się w stadium początkowym – co oczywiście skutecznie pozwala wprawić oskarżonego w stan bezradnego uspienia, a następnie zniemacka uderzyć w niego decyzją albo chociażby powiadomieniem, że niepomysłnie dla niego zakończone śledztwo przekazano wyższym organom.

Trzeba koniecznie, żeby sam wkroczył w sprawę. Był o tym niezbitcie przekonany właśnie w chwilach wielkiego zmęczenia, jak w to śnieżne przedpołudnie, kiedy w bezwolnej głowie kołatały mu się najróżniejsze myśli. Nie żywił już pogardy dla procesu. Mógłby go łatwo zlekceważyć, gdyby żył sobie sam na świecie, chociaż wtedy proces na pewno by się nie zaczął. Ale odkąd stryj go zaciągnął do adwokata, odgrywają tu rolę względy rodzinne; pozycja K. jest już trochę związana z przebiegiem procesu, sam o nim wspominał niektórym znajomym, nieostroźnie i z jakąś niepojętą satysfakcją, inni dowiedzieli się z nieznanych źródeł, zależnie od stanu procesu chwiejne są też relacje z panną Bzykier – słowem, K. nie ma już

wyboru między zgodą lub niezgodą na proces, jest nim objęty i musi się bronić. Póki czuje zmęczenie, póty źle z nim.

Chwilowo jednak nie należy przesadnie się martwić. Dzięki swoim zdolnościom K. stosunkowo szybko zyskał w banku wysoką pozycję i ją zachował, zdobywając powszechne uznanie; teraz wystarczy, że te zdolności trochę wykorzysta w procesie, a wszystko się bez wątpienia dobrze skończy. Żeby cokolwiek zdziałać, trzeba przede wszystkim odrzucić z góry myśl o jakiegokolwiek winie. Żadnej winy nie ma. Jego proces to nic innego jak jedna z wielkich transakcji, jakie nieraz już zawierał z pożytkiem dla banku, w takiej transakcji z reguły tkwią różne niebezpieczeństwa i wystarczy, że się im zwyczajnie zapobiegnie. W tym celu jednak nie należy igrać z myślą o jakiejś tam winie, tylko uparcie myśleć o własnej korzyści. Z tego względu nie obejdzie się bez cofnięcia mecenasowi pełnomocnictwa, możliwie szybko, najlepiej jeszcze tego samego dnia wieczorem. Zgodnie z opowieściami adwokata będzie to wprawdzie rzecz niesłychana i pewnie bardzo obraźliwa, ale K. w swoich zabiegach wokół procesu nie ścierpi przeszkód ze strony własnego obrońcy. A kiedy już się go pozbędzie, musi natychmiast złożyć prośbę do sądu i choćby codziennie nalegać na jej uwzględnienie. W tym celu oczywiście nie wystarczy, żeby jak tamci siadał w korytarzu i odkładał kapelusz pod ławkę. On sam albo kobiety, albo jacyś inni posłańcy muszą dzień po dniu oblegać urzędników i zmuszać ich, żeby zamiast wyglądania zza krat na korytarz siadali przy biurku i studiowali jego prośbę. Tych wysiłków nie można poniechać, wszystko trzeba zorganizować i nadzorować; niechże ten sąd raz jeden trafi na oskarżonego, który wie, jak się broni swoich praw.

Ale choć nie zawaha się przed wykonaniem tego planu, jednak niezwykle trudno będzie sporządzić prośbę do sądu. O tym, że być może napisze ją sam, jeszcze jakiś tydzień wcześniej myślał wyłącznie jak o wstydlivej konieczności; o trudności z tym związanej nie myślał wcale. Teraz przypomniał sobie, jak pewnego przedpołudnia zawałony pracą odłożył nagle wszystko, jak z myślą o prośbie wziął blok biurowy, żeby próbnie naszkicować zarys rozumowania, a później może go udostępnić ospałemu adwokatowi, i jak w tej samej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu dyrekcji, po czym, śmiejąc się głośno, wszedł wicedyrektor. Bardzo spieszyło to K., choć wicedyrektor oczywiście o prośbie do sądu nie wiedział i nie śmiał się z niej, tylko z giełdziarskiego dowcipu, który dopiero co słyszał,

a którego zrozumienie wymagało rysunku; i oto wicedyrektor pochylił się nad biurkiem K., wyjął ołówek z jego dłoni i zaczął kreślić na bloku mającym służyć pisaniu prośby.

Dzisiaj K. nie pamiętał, co to wstyd. Prośbę trzeba wnieść. Jeżeli, co bardzo prawdopodobne, nie znajdzie czasu w biurze, będzie ją pisał nocami w domu. Jeżeli nawet noce nie wystarczą, weźmie urlop. Byle się nie zatrzymać w pół drogi, bo to największy bezsens nie tylko w interesach, ale we wszystkim i zawsze. Jednak prośba będzie oznaczała pracę wprost bez końca. Nawet ktoś z natury nieszczególnie skrupulatny mógłby łatwo pomyśleć, że nigdy nie będzie z nią gotowy. Nie z lenistwa ani chytryści, przez które może adwokat nie napisał jeszcze prośby – ale dlatego, że nie znając istniejącego oskarżenia ani tym bardziej ewentualnych jego poszerzeń, trzeba z całego życia przypomnieć sobie najdrobniejsze czyny i fakty, przedstawić je oraz od wszystkich stron zbadać. A jeszcze jaka to smutna robota. Może kiedyś, po przejściu na emeryturę, byłaby dobrym zajęciem dla zdziecinniałego umysłu i sposobem na spędzanie długich dni. Ale teraz, kiedy K. musi skupiać się tylko na pracy, kiedy może zajść jeszcze wyżej i już zagraża wicedyrektorowi, przez co każda godzina mija niezwykle szybko, oraz kiedy, jak to młody człowiek, w krótkie wieczory i noce chciałby sobie użyć – teraz miałyby zaczynać układanie takiej prośby do sądu. I znowu od rozmyślań przechodził do żalów. Byle z tym skończyć, na pół świadomie namacał palcem guzik, połączony z elektrycznym dzwonkiem w przedpokoju. Nacisnął go i spojrzął na ścienny zegar. Była jedenasta, prześnił dwie godziny, tyle cennego czasu, po którym oczywiście czuł jeszcze większe wycieńczenie niż na początku. Ale tego czasu nie zmarnował, podjął pewne decyzje, a one mogą mieć swoją wartość. Woźny razem z pocztą przyniósł karty wizytowe dwóch panów, którzy już dosyć długo czekali. Byli to bardzo ważni klienci banku i właściwie pod żadnym pozorem nie wypadało ich na takie czekanie narażać. Dlaczego nie pora, by K. ich przyjął, zdawali się obaj pytać poprzez zamknięte drzwi, i dlaczego, pytali dalej, pracowity prokurent przeznaczają najlepsze godziny służbowe na cele osobiste? Zmęczony poprzednią sprawą i zmęczony na myśl o następnej wstał, żeby przyjąć pierwszego z nich.

Był to pewien fabrykant, niski, żwawy pan, z którym się dobrze znali. Przeprosił, że przeszkadza w ważnej pracy, K. przeprosił natomiast, że kazał mu tak długo czekać. Lecz już te przeprosiny wygłosił tak machinalnie i z tak

falszywą intonacją, że gdyby fabrykant nie był bez reszty zaprzątnięty swoją transakcją, musiałby coś zauważyć. On jednak ze wszystkich kieszeni powyciągał spieszenie kalkulacje i tabele, rozpostarł je przed K., objaśnił rozmaite pozycje, poprawił drobny błąd rachunkowy zauważony już pobieżnym rzutem oka, przypomniał o podobnej transakcji, jaką obaj zawarli mniej więcej rok wcześniej, nadmienił, tak na marginesie, że tym razem o tę transakcję zabiega, nie szczędząc ofiar, pewien inny bank, aż zamilkł, żeby usłyszeć jego zdanie. K. z początku nawet śledził słowa fabrykanta, myśl o ważnej transakcji też go zaprzątnęła, ale, niestety, nie na długo; wkrótce zaniechał słuchania, chwilę jeszcze potakiwał głową na co głośniejsze okrzyki, po czym i z tego zrezygnował, poprzestając na oglądaniu łysiny schylonej nad papierami i zapytywaniu siebie, kiedy tamten wreszcie zrozumie, że cała ta przemowa na nic. I kiedy fabrykant istotnie umilkł, K. odebrał to jako zachętę do przyznania się, że nie potrafi słuchać. Widząc jednak napięcie w oczach fabrykanta, gotowego najwyraźniej na każdą replikę, z żalem zrozumiał, że trzeba ciągnąć rozmowę o interesach. Schylił więc głowę jak na rozkaz i zaczął po tych papierach wodzić tam i nazad ołówkiem, tu czy ówdzie zatrzymując się i wpatrując w którąś cyfrę. Fabrykant domyślił się zastrzeżeń; a może jednak te liczby nie były decydujące ani jednoznaczne? W każdym razie zakrył papiery dłonią, przysunął się do K. i od nowa rozpoczął ogólny opis transakcji.

– To nie będzie łatwe. – K. ściągnął usta, a ponieważ jedyną uchwytą rzeczą były zasłonięte właśnie papiery, więc nie mając się już czego złapać, opadł na boczną poręcz fotela. I tylko kątem oka patrzył, jak otwierają się drzwi od gabinetu dyrektora, a w nich staje niewyraźna, widoczna jakby za woalem postać wicedyrektora. K. nie rozmyślał nad tym dłużej, lecz z radością obserwował natychmiastowy efekt. Otóż fabrykant poderwał się z krzesła i pospieszył na spotkanie wicedyrektora; K. najchętniej byłby go jeszcze mocno ponaglił, w obawie, że wicedyrektor zniknie. Zbyteczna obawa – obaj spotkali się, podali sobie ręce i podeszli do jego biurka. Fabrykant uskarżał się, że nie napotkał ze strony prokurenta zbyt wielkiej przychylności dla transakcji, i pokazywał na K., który pod spojrzeniem wicedyrektora schylił się nad papierami. Kiedy fabrykant przystąpił z kolei do pozyskiwania wicedyrektora, K. poczuł, jakby ci dwaj oparali o biurko mężczyźni, których wyobraził sobie wyolbrzymionych, nad jego głową rozprawiali o nim samym. Dyskretnym spojrzeniem próbował wy badać, co

się tam wyżej dzieje; wziął z biurka jakiś papier i powoli wstając, podsunął go na rozpostartej dłoni obu panom. Nie miał w tym konkretnego celu, działał w poczuciu, że podobnie będzie musiał się zachować pewnego dnia po ukończeniu wielkiej prośby do sądu, która zdejmie z niego cały ciężar. Wicedyrektor, bez reszty zajęty rozmową, ledwie na ten papier spojrzął, nie przeczytał go nawet pobieżnie, bo co ważne dla jakiegoś prokurenta, to nieważne dla niego, wyjął papier z ręki K., rzucił „dziękuję, wszystko już wiem” i spokojnie odłożył go na biurko.

K. posłał mu z ukosa karcące spojrzenie. Wicedyrektor jednak go nie zauważył, a jeżeli nawet, to się jeszcze rozochocił; co chwila wybuchał śmiechem, wyraźnie speszył fabrykanta pewną ciętą ripostą, czym prędzej uwolnił go od zakłopotania kontrargumentem wobec własnych słów, a na koniec zaprosił do swojego biura obok, gdzie mogliby sprawę sfinalizować.

– W pełni doceniam wagę takiej transakcji. A panu K. – mówił, właściwie nadal zwracając się do samego fabrykanta – będzie z pewnością na rękę, jeżeli mu ulżymy. Rzeczą wymaga spokojnego namysłu, a on się wydaje dzisiaj bardzo przeciążony, i zresztą w przedpokoju ludzie czekają już od kilku godzin.

K. zdołał na tyle zapanować nad sobą, że odwrócił się od wicedyrektora i swój uśmiech skierował tylko do fabrykanta; po czym, oparty dłońmi o biurko jak subiekt za ladą, już tylko biernie patrzył, jak obaj panowie, nie przestając mówić, zabierają papiery z biurka i znikają w gabinecie dyrektora. Fabrykant powiedział mu jeszcze ode drzwi, że się nie żegna, oczywiście później przedstawi K. wyniki rozmowy i jeszcze powie mu o pewnej drobnej sprawie.

K. nareszcie został sam. Nie zamierzał bynajmniej zapraszać kogokolwiek z czekających i nawet nie bardzo do niego dotarła przyjemna myśl, że siedzą za drzwiami przekonani, jakoby dalej prowadził rozmowę z fabrykantem i jakoby przez to nawet woźny nie miał tutaj wstępu. Podeszedł do okna, usiadł na parapecie i jedną ręką trzymając się uchwyty, patrzył na plac. Śnieg jeszcze padał, ciągle się nie rozwidniało.

Siedział w ten sposób długo, nie wiedząc, czym się właściwie martwi, w pewnej chwili tylko wydawało mu się, że słyszy z przedpokoju szmer, i odtąd z pewnym strachem oglądał się czasami na drzwi. Nikt ich jednak nie otworzył, więc poczuł ulgę, podeszedł do umywalki, opłukał się zimną wodą, i mając już wolniejszą głowę, z powrotem zasiadł przy oknie. Dostrzegając już,

że decyzja wzięcia obrony w swoje ręce jest większej wagi, niż myślał pierwotnie. Dopóki składał obronę na adwokata, dopóty proces w gruncie rzeczy niezbyt go dotykał; obserwowany z daleka, nie dosięgał K. bezpośrednio, dzięki czemu mógł on zawsze sprawdzić, jak jego sprawa stoi, ale zawsze mógł się też potulnie wycofać. Teraz natomiast, kiedy swoją obronę poprowadzi sam, co najmniej przez jakiś czas będzie bezbronny wobec sądu; owszem, w efekcie osiągnie dla siebie całkowite i ostateczne uwolnienie, ale najpierw się wystawi na znacznie większe niż dotąd niebezpieczeństwo. Gdyby miał co do tego wątpliwości, rozwiąłoby je dzisiejsze spotkanie z fabrykantem i wicedyrektorem. Jak beczynnie siedział, oszołomiony samą decyzją, że przejmie obronę! A co będzie później? Ależ go teraz czekają dni! Czy znajdzie drogę, która go przez to wszystko poprowadzi do szczęśliwego końca? Czy staranna obrona – a wszystko inne byłoby bez sensu – czy staranna obrona nie oznacza zarazem konieczności jak najściślejszego odgroźnienia się od wszelkich innych spraw? Czy przetrwa to szczęśliwie? I jak zdoła wszystko wykonać, pracując w banku? Tu przecież chodzi nie tylko o prośbę do sądu, na którą być może wystarczyłby urlop, chociaż akurat teraz wystąpienie o urlop wymagałoby dużej odwagi; tu chodzi o cały proces, a niepodobna przewidzieć, ile to potrwa. Ależ mu w jego karierze zawodowej rzucono kłodę pod nogi!

I teraz miałby pracować w banku? Spojrzał na biurko. Teraz miałby przyjmować strony i prowadzić z nimi rozmowy? Kiedy toczy się proces, kiedy nad odnośnymi pismami siedzą wysoko na poddaszu urzędnicy sądu, miałby pilnować bankowych transakcji? Czyż to nie wygląda jak tortura dozwolona przez sąd, która wiąże się z procesem i mu towarzyszy? I czy ktokolwiek w banku, wyrokując o jakości pracy K., uwzględni jego szczególne położenie? Nikt nigdy. Niektórzy słyszeli o jego procesie, choć jeszcze nie jest pewne, ile o nim wiadomo ani komu. Oby nie wicedyrektorowi; ale do niego chyba nie doszła jeszcze żadna pogłoska, inaczej byłoby aż nadto wyraźnie widać, jak bez cienia koleżeństwa czy ludzkich uczuć robi z niej użytek przeciwko K. A dyrektor? Owszem, dyrektor jest mu życzliwy, na wiadomość o procesie może by próbował, o ile to w jego mocy, wywalczyć dla K. jakieś ułatwienia, ale pewnie bez skutku, bo coraz bardziej ulega wicedyrektorowi, który nie ma już tak silnej przeciwwagi w osobie K. i który wykorzystuje chorowitość dyrektora do umocnienia swojej władzy. Więc na co K. może liczyć? Choćby podobne

rozważania osłabiały jego odporność, trzeba patrzeć na wszystko bez złudzeń, tak jasno, jak to w obecnej chwili możliwe.

Bez szczególnego powodu, byle na razie nie wracać do biurka, odemknął okno. Otworzyło się z trudem, musiał przekręcić klamkę oburącz. I wtedy całą wysokością i szerokością okna napłynęła mgła przemieszana z dymem, wypełniając gabinet lekkim zapachem spalenizny. Przywiało nawet kilka płatków śniegu.

– Brzydka ta jesień – powiedział za plecami K. fabrykant, który niepostrzeżenie wrócił od wicedyrektora.

K. skinął głową i z niepokojem spojrzął na teczkę, z której zaraz pewnie wyciągnie papiery, żeby przedstawić mu wynik pertraktacji z wicedyrektorem. Fabrykant jednak, podążając za wzrokiem K., klepnął w teczkę i bez jej otwierania dodał:

– Chciałby pan usłyszeć, jak poszło. Średnio. Mam w teczce już prawie zawartą umowę. Uroczy człowiek ten pański wicedyrektor, ale nie taki znów niegroźny.

Roześmiany potrząsał dłonią K., chcąc rozśmieszyć i jego. Ale ten uznał z kolei za podejrzanę, że fabrykant nie pokazuje papierów, a w jego słowach nie znalazł nic do śmiechu.

– Panu prokurentowi chyba dokucza ta pogoda. Wygląda pan dzisiaj na przygnębionego.

– Owszem. – K. dotknął skroni. – Ból głowy, kłopoty rodzinne.

– Bardzo słusznie – odparł fabrykant, człowiek prędko, który nikogo nie umiał spokojnie wysłuchać. – Każdy dźwiga swój krzyż.

K. mimo woli zrobił krok w stronę drzwi, jakby go chciał odprowadzić, ale fabrykant powiedział:

– Miałbym jeszcze dla pana drobną wiadomość. Bardzo się boję, że może akurat dzisiaj sprawiam kłopot, ale ostatnio dwa razy byłem u pana i zawsze o niej zapomniałem. Jeżeli dalej będę zwlekał, to niewykluczone, że wiadomość już się nie przyda. A byłoby szkoda, bo może jednak ma jakąś wartość.

Zanim K. zdążył odpowiedzieć, fabrykant przysunął się blisko, zgiętym palcem lekko stuknął go w pierś i cicho spytał:

– Pan ma proces, prawda?

K. odsunął się i zawołał:

– Mówił panu wicedyrektor!

– Ależ nie! Skąd miałby wiedzieć?

– A pan? – spytał K., wracając do równowagi.

– Ja się czasem dowiaduję pewnych rzeczy z sądu. Tak jest właśnie z wiadomością, którą mam dla pana.

– Iluż jest ludzi powiązanych z tym sądem! – powiedział K., zwiesiwszy głowę, i podprowadził go do biurka. Usiedli jak przedtem i fabrykant zaczął mówić:

– Niestety, nie mam panu zbyt wiele do powiedzenia. Ale w takich sprawach nie należy lekceważyć najmniejszego drobiazgu. A poza tym bardzo mi zależy na tym, żeby panu pomóc, choćby w najskromniejszy sposób. Przecież dotychczas dobrze nam się współpracowało, prawda? No właśnie.

K. chciał przeprosić za swoje zachowanie podczas dzisiejszej narady, ale fabrykant nie pozwalał sobie przerwać; wcisnął teczkę pod pachę na znak, że się spieszy, i ciągnął:

– O pańskim procesie wiem od niejakiego Titorellego. Jest malarzem, Titorelli to tylko pseudonim artystyczny, jego prawdziwego nazwiska nawet nie znam. Już od lat przynosi mi czasem do biura niewielkie obrazki, za które daję mu zawsze coś w rodzaju jałmużny, bo trochę z niego żebrak. To zresztą ładne obrazki, pierwotne pustkowia i tym podobne. Zdążyliśmy się obaj przyzwyczaić do takich sprzedaży, szły gładko. Jednak po pewnym czasie wizyty zaczęły się za często powtarzać, wytknąłem mu to, wdaliśmy się w rozmowę, ciekawiło mnie, jak się utrzymuje z samego malowania, i oto ku swojemu zdumieniu usłyszałem, że głównym źródłem dochodu jest dla niego malowanie portretów. Bo, jak mówi, pracuje dla sądu. A dla którego, spytałem. I opowiedział mi o tym sędzie. Pan chyba najlepiej wyobrazi sobie, jak mnie te opowieści zdumiały. Odtąd przy każdej jego wizycie dowiaduję się nowin z sądu i dzięki nim stopniowo zyskuję pewne rozeznanie. Co prawda, Titorelli jest gadatliwy i często muszę go przeganiać, dlatego że nieraz na pewno kłamie, a przede wszystkim dlatego, że ktoś, kto jak ja prowadzi interesy i ugina się pod ciężarem własnych trosk, nie bardzo jeszcze może się przejmować cudzymi sprawami. Ale to tak na marginesie. Przyszło mi na myśl, że może Titorelli trochę by panu pomógł, zna wielu sędziów i nawet jeśli sam ma niewielkie wpływy, jednak doradziłby, jak zyskać dostęp do różnych wpływowych ludzi. A gdyby nawet jego rady nie były decydującej wagi, jednak moim zdaniem dużo by znaczyły, gdyby uzyskał je

akurat pan. Bo z pana jest niemal adwokat. Ciągle mawiam: prokurent K. to niemal adwokat. O tak, już ja się o pana proces nie martwię. To co, pójdzie pan do Titorellego? Z mojego polecenia na pewno zrobi wszystko, co w jego mocy. Myślę, że naprawdę warto, żeby pan poszedł. Rzecz jasna, niekoniecznie dzisiaj. Kiedyś tam, przy okazji. Ale niech pan, tyle jeszcze powiem, niech pan się nie czuje ani trochę zobowiązany tym, że akurat ja tak radzę. Nie, jeżeli pan nie widzi sam takiej potrzeby, to na pewno lepiej Titorellego pominąć. Możliwe, że ma pan już dokładny plan, a malarz mógłby go pokrzyżować. Nie, wtedy oczywiście proszę nie iść w żadnym wypadku. A zresztą, pewnie trzeba samozaparcia, żeby zasięgać rady u takiego indywiduum. Cóż, jak pan uważa. Proszę, to moja listowna rekomendacja, a to adres.

K. zawiedziony wziął list i schował do kieszeni. Jakąkolwiek odniósłby korzyść z tej rekomendacji, niewspółmiernie więcej traci przez fakt, że malarz opowiada ludziom o jego procesie i że wie o nim fabrykant, który właśnie ruszył do wyjścia. K. ledwo się wobec niego zdobył na kilka słów podziękowania.

– Pójdę – powiedział, zegnając go przy drzwiach. – Albo, ponieważ jestem teraz bardzo zajęty, napiszę do Titorellego, żeby zechciał któregoś dnia przyjść do mojego biura.

– Wiedziałem, że pan znajdzie najlepsze z rozwiązań – odparł fabrykant. – Jednak myślałem, że raczej będzie pan unikał zapraszania kogoś takiego właśnie tutaj na rozmowę o swoim procesie. Poza tym nie zawsze dobrze jest powierzać innym listy do ludzi w rodzaju Titorellego. Ale pan wszystko na pewno rozważył i wie, na co może sobie pozwolić.

K. skinął głową i odprowadził go jeszcze do przedpokoju. Jednak mimo pozornej równowagi ducha był przerażony sobą. O liście do Titorellego mówił niby tylko dla okazania, że ceni sobie rekomendację fabrykanta i że zastanawia się nad możliwością rozmowy z malarzem; ale gdyby rzeczywiście uznał, że z pomocy Titorellego warto skorzystać, nie zawahałby się przed napisaniem takiego listu. A dopiero dzięki słowom fabrykanta odkrył, jakie groziłyby mu wtedy niebezpieczeństwa. Czyżby nie bardzo mógł już polegać na własnym rozumie? Skoro możliwe, że niedwuznacznym listem zaprosiłby do banku jakąś mętną postać i oddzielony zaledwie drzwiami od wicedyrektora prosiłby o rady w związku ze swoim procesem, skoro tak, to czy nie jest także możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że

przegapia inne niebezpieczeństwa albo je na siebie ściąga? Nie zawsze miałyby go kto przestrzec. I akurat teraz, kiedy musi pokazać jak największą siłę, ujawnia się jeszcze, nieznanne mu wcześniej, zwątpienie we własną przytomność umysłu. Czyżby w związku z procesem miał odczuć taką samą trudność jak z wykonywaniem biurowej pracy? Nie pojmował już, jak w ogóle mógł myśleć o takim liście i o zapraszaniu Titorellego do banku.

Kręcił jeszcze nad tym głową, kiedy podszedł woźny i zwrócił mu uwagę na trzech panów siedzących na ławce w przedpokoju. Już od dawna czekali, aż K. ich przyjmie. Kiedy teraz rozmawiał z woźnym, wstali i każdy szukał sposobu, żeby go najpierw dopaść. Skoro w banku tak niegrzecznie kazano im tracić w poczekalni czas, oni także już nie dbali o grzeczność.

– Panie prokurencie... – zdążył powiedzieć jeden.

Ale K. tymczasem posłał po swoje palto woźnego i teraz, ubierając się z jego pomocą, mówił do wszystkich trzech:

– Najmocniej przepraszam, ale chwilowo, niestety, nie mam czasu panów przyjąć. Przykro mi bardzo, muszę zaraz wyjść w służbowej sprawie. Sami panowie widzieli, jak długo mnie właśnie zajmowano. Czy byliby panowie uprzejmi przyjść jeszcze raz jutro albo kiedykolwiek indziej? A może byśmy omówili te kwestie telefonicznie? Albo proszę teraz krótko powiedzieć, o co chodzi, a ja dam obszerną odpowiedź na piśmie. Jednak najlepiej byłoby, gdyby panowie w niedługim czasie przyszli.

Zdumieni tymi propozycjami trzech panowie, którzy mieliby się w takim razie niepotrzebnie naczekać, oniemiała patrzyli po sobie.

– Więc jesteśmy umówieni? – spytał K. odwrócony do woźnego, który przyniósł mu z kolei kapelusz. Spoza otwartych drzwi jego gabinetu widać było, że pada teraz śnieg o wiele gęstszy. K. postawił kołnierz palta i zapiął się pod szyję.

Wtedy właśnie z sąsiedniego gabinetu wyszedł wicedyrektor, z uśmiechem spojrzał na K., w palcie prowadzącego rozmowę z trzema panami, i spytał:

– Pan prokurent wychodzi?

– Tak. – K. wyprężył się. – Mam pewną służbową sprawę. – Ale wicedyrektor zwrócił się już do tamtych:

– A panowie szanowni, zdaje się, długo czekają?

– Jesteśmy już umówieni – powiedział K.

Ale nic nie mogło dłużej powstrzymać trzech panów; obstąpili go, stwierdzając, że nie czekali by godzinami, gdyby sprawa nie była ważna i nie

wymagała omówienia teraz, wyczerpująco i w cztery oczy. Wicedyrektor przez chwilę ich słuchał, patrzył, jak K. trzyma kapelusz i gdzieś strzepuje z niego kurz, po czym odpowiedział:

– Ależ panowie, jest bardzo proste wyjście. Jeżeli wystarczy moja osoba, to miło mi będzie w zastępstwie pana prokurenta omówić sprawę każdego z panów. To oczywiste, że wymagają omówienia jak najszybciej. Jesteśmy ludźmi interesu tak samo jak panowie i cenimy ich czas. Czy mogę zaprosić tutaj? – Otworzył drzwi do przedpokoju swojego biura.

Jak ten wicedyrektor umie zawłaszczyć wszystko, czego K. z konieczności zaniecha! Tylko czy teraz nie zaniechał czegoś niepotrzebnie? Kiedy z niejasną i, jak sam przed sobą przyznał, nikłą nadzieją spieszy do jakiegoś nieznanego sobie malarza, tu jego reputacja doznaje trwałego uszczerbku. Skoro dwaj spośród tamtych trzech panów i tak czekają jeszcze za drzwiami, pewnie znacznie lepiej byłoby zdjąć palto i odzyskać choćby ich. Może by nawet podjął taką próbę, ale właśnie zobaczył, że w jego gabinecie wicedyrektor szuka czegoś na półce, jakby był u siebie. K. zdenerwował się i podszedł do drzwi, na co tamten zawołał:

– A, to pan jeszcze nie wyszedł?

Obrócił do niego czerstwą twarz, której bruzdy nie świadczyły o starości, lecz raczej o sile, i znowu zaczął wertować papiery.

– Szukam kopii pewnej umowy, a przedstawiciel kontrahenta twierdzi, że ona się znajduje u pana. Nie zechce mi pan pomóc? – K. zrobił krok, ale wicedyrektor powiedział: – Dziękuję, już znalazłem. – I wrócił do swojego gabinetu z wielkim plikiem pism, który poza tą kopią zawierał oczywiście wiele innych.

„Na razie z nim nie wygram – pomyślał K. – bo mam kłopoty osobiste, ale ich koniec on odczuje pierwszy, już ja się postaram, żeby jak najdotkliwiej”. Czując na myśl o tym pewną ulgę, poprosił woźnego, który tymczasem ciągle jeszcze przytrzymał otwarte drzwi na korytarz, o zgłoszenie przy okazji dyrektorowi jego wyjścia, po czym niemal szczęśliwy, że przez jakiś czas bliżej zajmie się swoją sprawą, opuścił bank.

Pojechał prosto do malarza; mieszkał on na przedmieściu przeciwnym do tego, gdzie znajdowały się kancelarie sądu. Okolica była jeszcze biedniejsza, kamienice jeszcze ciemniejsze, ulice pełne błota, które powoli pływało po stopniałym śniegu. W domu, gdzie mieszkał malarz, było otwarte tylko jedno skrzydło dużej bramy, przez dziurę w drugim skrzydle natomiast, akurat

kiedy zbliżał się K., strzeliła ohydna, żółta, dymiąca ciecz i jakiś szczur umykał przed nią do najbliższego ścieku. U stóp schodów leżało plackiem małe dziecko i płakało, ale było je ledwo słychać w zagłuszającym wszystko łomocie, jaki dobiegał z warsztatu blacharskiego po drugiej stronie bramy. Drzwi warsztatu były otwarte, trzech czeladnicy otaczali półkolem jakiś obrabiany właśnie przedmiot i walili w niego młotami. Wielki płat białej blachy wiszący na ścianie rzucał blade światło, które wpadało pomiędzy dwóch czeladników, rozjaśniało fartuchy i twarze. K. rozejrzał się bardzo nieuważnie, chciał czym prędzej mieć wszystko z głowy i wrócić do banku, kiedy tylko wybada krótko malarza. Jeżeli z tej wizyty cokolwiek wyniknie, to lepiej mu dzisiaj pójdzie dalsza praca. Na trzecim piętrze musiał zwolnić kroku, brakło mu tchu, stopnie podobnie jak piętra były wysokie ponad zwykłą miarę, a malarz mieszkał podobno w izbie na poddaszu, na samej górze. W dodatku panował wielki zaduch, klatka schodowa nie miała pośrodku duszy, do wąskich stopni z obu stron przylegały ściany, w których tylko gdzieniegdzie wysoko znajdowały się okienka. Kiedy przystanął, akurat z któregoś mieszkania wybiegło na schody kilka dziewczynek i ze śmiechem pospieszyły dokądś wyżej. Powoli za nimi ruszył, dogonił jedną, która się potknęła i została w tyle, a kiedy szli tak obok siebie, spytał:

– Czy tu mieszka malarz Titorelli?

Dziewczynka, może trzynastoletnia i trochę garbata, szturchnęła K. łokciem i zadzierając głowę, spojrzała na niego spode łba. Ani jej wiek, ani wada fizyczna nie przeszkadzały temu, że była już na wskroś zepsuta. Nawet się nie uśmiechnęła, tylko z powagą spoglądała przenikliwym, wyzywającym wzrokiem. Udał, że nie dostrzega jej zachowania, i spytał:

– Czy znasz malarza Titorellego?

Skinęła głową i odpowiedziała pytaniem:

– A pan do niego w jakiej sprawie?

Uznał, że warto będzie szybko dowiedzieć się o Titorellim czegoś więcej.

– Chcę, żeby mnie namalował.

– Namalował? – Otworzyła przesadnie usta, trąciła go dłonią, jakby powiedział rzecz niezwykle zaskakującą lub niestosowną, podkasła oburącz i tak już bardzo krótką sukienkę i czym prędzej pognęła za innymi dziewczynkami, których niewyraźne krzyki ginęły gdzieś wysoko. Jednak za następnym zakrętem schodów znowu je wszystkie spotkał. Widocznie dowiedziały się od garbuski o jego zamiarach i teraz czekały. Stały po

bokach, przywarłszy do ścian, tak żeby mógł przejść wygodnie środkiem, i dłońmi wygładzały sobie fartuszki. W ich twarzach i w tym, że utworzyły taki szpaler, widać było mieszaninę dziecinności i zdrożności. U samej góry, na czele dziewczynek, które właśnie ze śmiechem zwierzały szeregi za plecami K., stała przewodząca im teraz garbuska. To dzięki niej trafił od razu do Titorellego. Chciał się bowiem dalej pięć prowadzącymi prosto schodami, a ona pokazała, że musi wybrać ich odgałęzienie. Było szczególnie wąskie, bardzo długie, nigdzie nie zakręcało i, widoczne w całej długości, kończyło się wysoko drzwiami do pracowni malarza. Drzwi te, w odróżnieniu od schodów stosunkowo dobrze widoczne dzięki skośnemu okienku w dachu i padającemu z góry światłu, zrobiono z niemalowanych desek, na których czerwoną farbą, szerokimi pociągnięciami pędzla wymalowano nazwisko Titorelli. K. ze swoim orszakiem był zaledwie w połowie schodów, kiedy na górze najwyraźniej za sprawą rozbrzmiewających licznie kroków uchyliły się drzwi, a w ich szczelinie mignął ubrany chyba w samą koszulę nocną mężczyzna.

– O! – zawołał na widok nadchodzącego tłumu i znikł. Garbuska zaklaskała z radości, a pozostałe dziewczynki pchały K., żeby go popędzić.

Zanim doszli do szczytu schodów, malarz otworzył nagle drzwi na oścież i z głębokim ukłonem zaprosił K. do środka. Dziewczynki natomiast odganiał, nie chciał wpuścić ani jednej, choć bardzo nalegały i próbowały się tam wdrzeć, jeżeli nie za jego zgodą, to wbrew niemu. Pod wyciągniętym ramieniem malarza wśliznęła się tylko garbuska, jednak ten dopadł ją, złapał za sukienkę, okręcił w powietrzu, po czym odstawił za drzwi między inne dziewczynki, które nie śmiały przekroczyć progu, nawet kiedy na chwilę opuścił swoje stanowisko. K. nie wiedział, co o tym sądzić, bo wszystko działo się jakby w porozumieniu. Dziewczynki przy drzwiach wyciągały jedna zza drugiej szyje, wykrzykiwały do Titorellego rozmaite żartobliwe słowa, których K. nie rozumiał; malarz także przed chwilą się śmiał, kiedy trzymana przez niego garbuska aż frunęła. Teraz natomiast zamknął drzwi, powtórzył ukłon, wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Artysta malarz Titorelli.

K. wskazał drzwi, za którymi szeptały dziewczynki, i spytał:

– Zdaje się, że w kamienicy bardzo pana lubią?

– Ach, te smarkule! – odpowiedział malarz, daremnie próbując się zapiąć pod szyją. Był bosy, a prócz nocnej koszuli miał na sobie tylko obszerne,

kremowe spodnie lniane, przytrzymane paskiem, którego długa końcówka luźno zwisała. – Te smarkule to dla mnie prawdziwe utrapienie – ciągnął, dając za wygraną z zapinaniem koszuli, po tym jak odpadł ostatni guzik. Przystawił krzesło i nakłonił K., żeby usiadł. – Kiedyś namalowałem jedną, której tu dzisiaj nawet nie ma, i od tamtego czasu wszystkie mnie prześladują. Kiedy jestem u siebie, mają tutaj wstęp wyłącznie za moją zgodą, ale jak tylko wyjdę, zawsze w środku przesiaduje choćby jedna. Kazały do moich drzwi dorobić klucz, który sobie pożyczają. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie to uciążliwe. Przychodzę, dajmy na to, z pewną panią, żeby ją namalować, otwieram własnym kluczem drzwi i widzę, jak przy tamtym stoliku garbuska czerwieni sobie usta pędzlem, a jej braciszki i siostrzyczki, których ma doglądać, kręcą się po kątach i je zanieczyszczają. Albo nie dalej jak wczoraj zdarzyło mi się, że wracam późnym wieczorem, proszę zatem wybaczyć mój stan i nieporządek w pokoju, otóż wracam późnym wieczorem i właśnie się kładę, a tu coś mnie szczypie w nogę; zaglądam pod łóżko i wyciągam znowu którąś z tych istot. Nie wiem, czemu tak się do mnie garną, zauważył pan chyba przed chwilą, że ich tutaj nie przywabiam. W pracy też mi oczywiście przeszkadzają. Gdyby nie to, że korzystam z tej pracowni za darmo, już dawno bym się wyprowadził.

Właśnie w tej chwili za drzwiami jakiś łagodny i zalękniony głosik zawołał:

– Titorelli, czy możemy już wejść?

– Nie.

– Ja sama też nie? – spytał głosik.

– Też nie. – Malarz stanął przy drzwiach i zamknął je na klucz.

K. tymczasem obejrzał pokój, a raczej nędzny pokoik; sam nigdy nie wpadłby na pomysł nazwania go „pracownią”. Nie dało się tutaj postawić więcej niż dwa długie kroki ani wzdłuż, ani w szerz. Podłoga, ściany i sufit, wszystko było z drewna, między deskami widniały wąskie szpary. Pod przeciwległą ścianą stało łóżko, zawalone różnobarwną pościelą. W środku pokoju na sztalugach znajdował się obraz osłonięty koszulą, której rękawy dyndały tuż nad ziemią. Za plecami K. miał okno, skąd we mgle niewiele było widać poza ośnieżonym dachem sąsiedniego domu.

Obrót klucza w zamku przypomniał mu o zamiarze rychłego wyjścia. Wyciągnął z kieszeni list fabrykanta i wręczył go malarzowi, mówiąc:

– Dowiedziałem się o panu od wspólnego znajomego i przyszedłem z jego

polecenia.

Malarz pobieżnie przeczytał list i rzucił go na łóżko. Gdyby nie to, że z całą pewnością fabrykant mówił o Titorellim jako swoim znajomym, biednym człowieku zdanym na jego jałmużnę, można by teraz pomyśleć, że malarz nie zna fabrykanta albo go co najmniej nie pamięta. Na dodatek spytał jeszcze:

– Czy mam namalować pański portret, czy sprzedać jakieś obrazy?

K. spojrział na niego zdumiony. O czym właściwie mówi list polecający? Dotąd przyjmował jako oczywistość, że o jedynym celu jego wizyty, a jest nim zasięgnięcie wiadomości co do procesu. Aż nazbyt pochopnie tu przyszedł! Ale teraz musiał Titorellemu jakoś odpowiedzieć, więc popatrzył na sztalugi i spytał:

– Pan właśnie pracuje nad obrazem?

– Tak. – Malarz w ślad za listem rzucił na łóżko wiszącą dotąd na sztalugach koszulę. – To portret. Niezła robota, ale jeszcze nie całkiem gotowa.

Przypadek sprzyjał K., okazja porozmawiania o sędzie sama się nadarzyła, bo portret najwyraźniej przedstawiał sędziego. Uderzająco zresztą przypominał obraz w gabinecie adwokata. Tamten wprawdzie powstał w technice olejnej, a ten naszkicowany był nikłym, niewyraźnym pastelem i przedstawiał też inną osobę, tęgiego mężczyznę z czarną krzaczastą brodą, która po bokach zarastała policzki. Poza tym jednak portrety niezbyt się różniły, bo także ten sędzia obejmował mocno poręczę tronu i właśnie chciał się podnieść groźnym ruchem.

K. w pierwszej chwili omal nie powiedział: „Toż to sędzia!”. Jednak powstrzymał się i stanął przed obrazem, jakby chciał go szczegółowo przestudiować. Nie mógł sobie wytłumaczyć, co to za olbrzymia postać stoi pośrodku nad oparciem tronu, i spytał o nią Titorellego.

– Ona jeszcze wymaga dopracowania. – Malarz wziął ze stolika pastelową kredkę i zrobił trochę kresek na obrzeżach postaci, co jednak nie dodało jej wyrazistości w oczach K. – To sprawiedliwość – powiedział wreszcie.

– Teraz ją poznaję, tu widzę opaskę na oczach, tu wagę. Ale czyżby miała skrzydła u stóp i biegła?

– Owszem, musiałem ją tak namalować na zlecenie, to właściwie sprawiedliwość i bogini zwycięstwa w jednym.

– Niedobre połączenie – odparł K. z uśmiechem. – Sprawiedliwość musi trwać bez ruchu, inaczej waga się zawaha i nie zapadnie sprawiedliwy wyrok.

- Stosuję się tutaj do życzeń zleceniodawcy.
- Tak, oczywiście – odpowiedział K., który swoją poprzednią uwagą nie chciał nikogo urazić. – Namalował pan taką postać, jaka rzeczywiście stoi nad tronem.
- Nie. Nie widziałem ani postaci, ani tronu, to wszystko zmyślenie, ale podano mi, co mam namalować.
- Jak to? – K. udał, że nie do końca malarza rozumie. – To przecież sędzia, który siedzi na sędziowskim krześle.
- Tak, ale nie sędzia wysoki, i nigdy nie siedział na takim tronie.
- A mimo to każe się malować w tak uroczystej postawie? Przecież zasiada tu jak prezes sądu.
- Cóż, to próżni panowie. Ale na taki sposób portretowania dostają zgodę zwierzchności. Każdego z nich wiążą tutaj ściśle przepisy. Niestety, akurat po tym obrazie trudno dokładnie osądzić, w jakim stroju i na czym siedzi sędzia, pastele nie nadają się do takich przedstawień.
- Właśnie – powiedział K. – Dziwne, że ten obraz jest malowany pastelem.
- Sędzia sobie tak zażyczył – odparł malarz. – To dla jakiejś pani.
- Od patrzenia na obraz nabrał widocznie chęci do pracy: podwinął rękawy koszuli, wziął do ręki parę kredek i K. zobaczył, jak pod ich drżącymi końcami powstaje wokół głowy sędziego czerwony cień, rozchodzący się promieniście ku brzegom obrazu. Stopniowo otoczyła głowę gra kontrastów, podobna do klejnotu albo wysokiego odznaczenia. Jednak postać powyżej miała w tle nadal jasność, nieznacznie tylko zabarwioną, i dzięki niej się wyjątkowo ofensywnie wybijała; przypominała już nie boginię sprawiedliwości ani nawet zwycięstwa, ale boginię łowów. K. mimo woli zaciekał się pracą malarza, aż w końcu zaczął sobie wyrzucać, że już tak długo tu jest, a nic właściwie nie zdziałał w swojej sprawie.
- Jak się nazywa ten sędzia? – spytał nagle.
- Tego nie wolno mi powiedzieć – odparł Titorelli; nisko pochylony nad obrazem, wyraźnie zaniedbał gościa, któremu w chwili powitania okazywał takie względy. K. odebrał to zachowanie jako kaprys i poczuł złość, bo przez nie tracił czas.
- Pan jest pewnie zaufanym sądu? – spytał.
- Titorelli odłożył szybko kredki, wyprostował się, otarł jedną dłoń o drugą i z uśmiechem spojrzał na K.
- Tylko bez ogródek proszę! Przecież w tym liście polecającym jest

napisane, że chce pan się czegoś dowiedzieć o sądzie, a tymczasem pan mnie najpierw zjednuje rozmową o moich obrazach. Ale nie mam o to żalu, bo nie mógł pan wiedzieć, że ze mną tak nie wypada. Przepraszam, nie! – uciął ostro, kiedy K. próbował coś wtrącić. – A skądinąd – ciągnął – słusznie pan zauważył, jestem zaufanym sądu.

Zrobił przerwę, jakby dając K. czas na pogodzenie się z tym faktem. Zza drzwi znowu słychać było dziewczynki. Przypuszczalnie tłoczyły się przy dziurce od klucza, a możliwe, że widziały wewnątrz pokoju także przez szpary między deskami. K. wstrzymał się od jakichkolwiek przeprosin, żeby malarz nie odszedł od tematu, a nie chcąc jednocześnie, żeby się wyniośle zamknął w sobie, zapytał:

– Czy to posada oficjalna?

– Nie – odpowiedział Titorelli krótko, jakby ta myśl odjęła mu mowę. Ale K. nie pozwalał mu zamilknąć, mówiąc:

– Cóż, nieraz na takiej posadzie ma się większe wpływy niż na oficjalnej.

– Tak jest właśnie ze mną. – Malarz ściągnął brwi i skinął głową. – Rozmawiałem wczoraj z fabrykantem o pańskim przypadku, pytał mnie o możliwość pomocy, odpowiedziałem: „Niech ten człowiek kiedyś do mnie przyjdzie”, i miło mi tak szybko pana widzieć. Zdaje się, że sprawa mocno pana obchodzi, co mnie oczywiście nie dziwi. Może by pan przede wszystkim zdjął palto?

Mimo że K. nie zamierzał zostać długo, prośba ta była mu bardzo na rękę. Powietrze w pokoju wydawało się coraz cięższe, zdziwiony nieraz już popatrywał na żelazny piecyk w kącie, z pewnością nieużywany; ten zaduch był czymś niewytłumaczalnym. Kiedy zdejmował palto, a później rozpiął marynarkę, malarz mówił przepaszającym tonem:

– Mnie jest potrzebne ciepło. Bardzo tu miło, prawda? Pokój ma pod tym względem świetne położenie.

K. nie odpowiedział, ale właściwie nie ciepło mu doskwierało, tylko raczej zaduch, utrudniający wprost oddychanie; pokój chyba dawno nie był wietrzony. Jeszcze dotkliwszą niewygodę odczuł, kiedy Titorelli kazał mu sięść na łóżku, samemu zajmując miejsce przed sztalugami na jedynym tutaj krześle. Ponadto malarz, mylnie chyba rozumiejąc przycupnięcie K. na krawędzi łóżka, poprosił, żeby się rozgościł, a widząc wahanie, wstał i sam wepchnął go głęboko między piernaty i poduszki. Następnie wrócił na krzesło i wreszcie zadał pierwsze rzeczowe pytanie, po którym

K. o wszystkim innym zapomniał:

– Czy pan jest niewinny?

– Tak. – K. poczuł wprost radość z własnej odpowiedzi, zwłaszcza że udzielił jej osobie prywatnej, a więc bez ponoszenia żadnych konsekwencji. Jeszcze nikt nie pytał go tak otwarcie. Chcąc zasmakować tej radości do końca, uzupełnił: – Jestem całkowicie niewinny.

– Ach tak? – Titorelli, jakby nad czymś rozmyślając, opuścił głowę. Nagle ją uniósł i dodał: – Jeżeli pan jest niewinny, to przecież bardzo prosta sprawa.

Twarz K. spochmurniała; ten rzekomo zaufany człowiek sądu odezwał się jak dziecko, które nic nie wie.

– Moja niewinność nie upraszcza sprawy. – To mówiąc, K. mimo wszystko nie mógł stłumić uśmiechu i powoli kręcił głową. – Rzecz polega na wielu subtelnościach. Sąd gubi się w nich, a na koniec wyciąga wielką winę skądś, gdzie jej z początku nie było.

– Jasne, jasne – odparł malarz, jakby K. niepotrzebnie zakłócał tok jego rozumowania. – Ale pan jednak jest niewinny?

– No tak.

– To najważniejsze – odpowiedział Titorelli. Przy całej stanowczości, z jaką odrzucał kontrargumenty, nie było jasne, czy go nie przekonują, czy tylko nie obchodzą. K. postanowił najpierw tego dociec i powiedział:

– Pan oczywiście dużo lepiej ode mnie zna sąd, ja wiem niewiele ponad to, co słyszałem, zresztą od bardzo różnych ludzi. Ale wszyscy byli zgodni w jednym: że sąd nie wytacza oskarżeń lekkomyślnie, że kiedy już to robi, jest mocno przekonany o winie oskarżonego, a od tego przekonania bardzo trudno sąd odwieść.

– Trudno? – malarz wyrzucił ramię do góry. – Nie sposób go odwieść kiedykolwiek. Gdybym namalował tu na płótnie wszystkich sędziów jednego przy drugim, a pan by się przed tym płótnem bronił, lepiej by panu poszło niż przed prawdziwym sądem.

– Tak – powiedział K. do siebie, zapominając, że miał tylko wy badać malarza.

Znowu któraś dziewczynka za drzwiami zaczęła pytać:

– Titorelli, czy on by sobie nie poszedł?

– Cicho! – zawołał malarz w stronę drzwi. – Nie widzicie, że mam z tym panem rozmowę?

Ale dziewczynka nie dała się zbyć, tylko spytała:

– Będiesz go malował? – A kiedy Titorelli nie odpowiadał, dorzuciła: – Proszę, nie maluj go, to taki brzydki człowiek. – Słowa te poparł zgiełk niezrozumiałych okrzyków. Malarz skoczył do drzwi, uchylił je, tak że widać było wyciągnięte, błagalnie złożone ręce dziewczynek, i powiedział:

– Jeżeli nie będziecie cicho, to was wszystkie zrzucę ze schodów. Siadajcie tu na stopniach i zachowujcie się spokojnie. – Nie od razu chyba usłuchały, skoro wydał komendę: – Na stopnie! Siad! – Dopiero potem zapadła cisza.

– Przepraszam pana – powiedział i z powrotem się przybliżył. K. przez cały czas nie spojrzał nawet na drzwi, tak żeby malarz sam postanowił, czy i jak się za nim ujmie. I dalej siedział bez ruchu, kiedy Titorelli pochylił się i nie chcąc być słyszany z zewnątrz, wyszeptał mu do ucha: – Te dziewczynki także tworzą sąd.

– Jak to? – K. odsunął głowę i spojrzał na malarza. A on siadł na krześle i półzartem wyjaśnił:

– Bo wszystko tworzy sąd.

– Tego jeszcze nie zauważyłem – odpowiedział krótko K.; ta ogólnikowa uwaga malarza odebrała poprzedniej myśli całą niepokojącą wymowę. Mimo to K. przez chwilę patrzył w stronę drzwi, za którymi dziewczynki siedziały teraz cicho na schodach. Tylko jedna przez szparę między deskami wetknęła źdźbło słomy i powoli nim wodziła tam i z powrotem.

– Pan, zdaje się, jeszcze nie ma rozeznania co do tego sądu – powiedział Titorelli; nogi miał szeroko rozsunięte i czubkami stóp klaskał o podłogę. – Ale nie będzie potrzebne, bo jest pan niewinny. Ja jeden pana wyciągnę.

– Jak pan chce to zrobić? Przed chwilą sam pan mówił, że sąd jest całkowicie niepodatny na argumenty.

– Tylko na argumenty, które przytoczy się przed sądem – malarz uniósł wskazujący palec, jakby K. nie zauważał jakiegoś subtelного rozróżnienia. – Co innego jednak, kiedy się tego spróbuje poza sądem jawnym, czyli w pokojach narad, w korytarzach albo na przykład choćby tu w pracowni.

Tym razem słowa malarza wydawały się bardziej przekonujące albo wręcz zgodne ze wszystkim, co K. wcześniej słyszał od innych. Ba, budziły nawet duże nadzieje, bo jeżeli, jak to przedstawiał adwokat, dzięki osobistym znajomościom rzeczywiście tak łatwo pokierować sędzią, wtedy znajomości malarza z próżnymi sędziami mają wyjątkową, a w każdym razie nie byle jaką wagę. I łatwo będzie włączyć Titorellego do kręgu pomocników, jakich K. powoli gromadzi wokół siebie. W banku chwalony był za talenty

organizatorskie, a tu, gdzie zdany jest na własne siły, ma okazję poddania ich najwyższej próbie. Malarz obserwował wrażenie, jakie jego deklaracja wywarła na K., po czym z pewną troską w głosie spytał:

– Czy nie dziwi pana, że mówię trochę jak prawnik? Tak na mnie wpływa nieustanne obcowanie z urzędnikami sądu. Oczywiście niejedno przez to zyskuję, ale w dużej części tracę artystyczny polot.

– A od czego się zaczęły pańskie znajomości z sędziami? – spytał K., chcąc pozyskać zaufanie Titorellego, zanim go tak po prostu zatrudni.

– Zwyczajnie je odziedziczyłem. Już mój ojciec malował dla sądu. Tę posadę się zawsze dziedziczy. Z nowych ludzi nie byłoby tutaj pożytku. W portretowaniu rozmaitych szczebli urzędniczych ustalono bowiem tyle różnych, wielorakich i przede wszystkim tajnych reguł, że nie przedostają się do niczyjej wiadomości poza pewnymi rodzinami. W tamtej szufladzie na przykład mam zapiski ojca, których nikomu nie pokazuję. A tylko ktoś, kto je zna, nabywa umiejętności malowania sędziów. Ale nawet gdybym te zapiski zgubił, pamiętałbym tyle reguł, które sam jeden mam w głowie, że nikt nie mógłby podważyć moich praw do tego stanowiska. Bo przecież każdy sędzia chce, żeby go malowano tak jak dawnych, wielkich sędziów, a tylko ja tak umiem.

– Pozazdrościć – odparł K., myśląc o swoim stanowisku w banku. – Więc pańska posada jest nienaruszalna?

– Tak, nienaruszalna – malarz z dumą wzruszył ramionami. – Dzięki temu od czasu do czasu ośmielam się pomóc jakiemuś nieszczęśliwcowi, który ma proces.

– A jak pan to robi? – spytał K., jakby to nie jego malarz nazwał „nieszczęśliwcem”. Titorelli jednak nie dał się odwieść od zaczętego wątku:

– W pańskim wypadku na przykład, ponieważ jest pan całkowicie niewinny, podejmę następujący krok.

Kolejne wzmianki o jego niewinności zaczynały już K. niecierpliwić. Miał wtedy wrażenie, że Titorelli z góry zakłada korzystny wynik procesu, przez co jego starania oczywiście spełzną na niczym. Mimo tych wątpliwości pohamował się jednak i nie przerwał malarzowi. Wiedział, że z jego pomocy nie zrezygnuje, to już postanowił, i zresztą nie wątpił w nią bardziej niż w pomoc adwokata. Stanowczo ją nawet wolał, bo propozycja malarza brzmiała bardziej prostolinijnie i szczerze.

Titorelli przysunął krzesło bliżej łóżka i stłumionym głosem ciągnął:

– Zapomniałem spytać najpierw, jakiego pan sobie życzy rodzaju uwolnienia od zarzutów. Są trzy rodzaje, a mianowicie: uniewinnienie rzeczywiste, uniewinnienie pozorne lub odwlekanie. Oczywiście najlepsze jest uniewinnienie rzeczywiste, tyle że nie mam na nie najmniejszego wpływu. Moim zdaniem w ogóle nie istnieje osoba, która by taki wpływ miała. Tu przypuszczalnie rozstrzyga tylko niewinność oskarżonego. Jednak pan mógłby się na to zdać, bo jest pan niewinny. A wtedy niepotrzebna byłaby ani moja, ani czyjakolwiek pomoc.

Słyszając tak przejrzysty wywód, K. w pierwszej chwili osłupiał, potem jednak równie cicho powiedział:

– Myślę, że pan sobie przeczy.

– Jak to? – spytał wyrozumiale Titorelli, odchylił się na krześle i uśmiechnął. K. poczuł, jakby w odpowiedzi miał teraz ujawnić malarzowi sprzeczności nie w jego słowach, ale w samych postępowaniach, jakie prowadzi sąd. A jednak się nie wycofał i powiedział:

– Swoje wcześniejsze stwierdzenie, że sąd jest niepodatny na argumenty, zawęził pan później do sądu jawnego, a teraz mówi pan nawet, że człowiek niewinny przed sądem nie potrzebuje pomocy. Już w tym tkwi pierwsza sprzeczność. Wcześniej natomiast powiedział pan, że można osobiście wywierać nacisk na sędziów, a teraz zaprzecza pan, jakoby kiedykolwiek nacisk na kogoś mógł przynieść, jak pan to nazywa, „uniewinnienie rzeczywiste”. W tym tkwi sprzeczność druga.

– Te sprzeczności są łatwe do wyjaśnienia – odparł malarz. – Mowa o dwóch różnych rzeczach, które musi pan odróżnić: o tym, co napisane w prawie, i o tym, co wiem z własnych doświadczeń. Nie czytałem prawa, ale w nim oczywiście z jednej strony napisano, że człowieka niewinnego uwalnia się od zarzutów, jednak z drugiej strony nie napisano, że można wywierać nacisk na sędziów. Otóż ja dowiedziałem się czegoś akurat przeciwnego. Nie wiem o żadnym uniewinnieniu rzeczywistym, wiem natomiast o niejednokrotnym wywieraniu nacisków. Możliwe oczywiście, że w żadnej ze znanych mi spraw nie zachodził przypadek niewinności. Ale czy to prawdopodobne? Tyle przypadków, a niewinności ani jednej? Już jako dziecko uważnie słuchałem ojca, kiedy w domu opowiadał o procesach, sędziowie, którzy przychodzili do jego pracowni, także opowiadali o sądzie, w naszych kręgach nie mówi się o niczym innym, kiedy tylko nadarzała się możliwość pójścia do sądu, zawsze z niej korzystałem, przysłuchiwałem się

niezliczonym procesom w ich ważnych stadiach i jeśli były jawne, śledziłem je, a muszę przyznać, że nie trafiłem na ani jedno uniewinnienie rzeczywiste.

– A zatem ani jedno rzeczywiste – powiedział K. jakby do siebie i do swoich nadziei. – Więc potwierdza się opinia, jaką już miałem wcześniej o tym sądzie. I wszystko jest tym bardziej bezcelowe. Za cały ten sąd wystarczyłby jeden kat.

– Niech pan nie uogólnia – powiedział Titorelli z niezadowoleniem. – Przecież mówiłem tylko na podstawie własnych doświadczeń.

– Więcej nie trzeba. Chyba że słyszał pan o dawniejszych uniewinnieniach rzeczywistych?

– Owszem, podobno bywały, tylko bardzo trudno to stwierdzić. Końcowe decyzje sądu nie są ani publicznie ujawniane, ani dostępne nawet sędziom, wskutek czego o dawnych przypadkach dochowały się tylko legendy. Owszem, nawet często opisują uniewinnienia rzeczywiste, można tym legendom wierzyć, ale nie sposób dowieść ich prawdziwości. Mimo to zasługują na uwagę, niewątpliwie zawierają ziarno prawdy, a poza tym są bardzo piękne, sam namalowałem na ich kanwie parę obrazów.

– Legendy nie zmienią mojego zdania – powiedział K. – Chyba nie można się na nie powołać przed sądem?

– Nie, nie można – odparł Titorelli ze śmiechem.

– W takim razie szkoda na nie słów. – K. postanowił na razie przyjmować bez zastrzeżeń każde stwierdzenie malarza, choćby brzmiało nieprawdopodobnie i przeczyło cudzym relacjom. Nie miał teraz czasu na sprawdzanie czy tym bardziej podważanie wszystkiego, co ten powie; i tak już byłoby wielkim sukcesem, gdyby go skłonił do jakiegokolwiek, nawet niekoniecznie rozstrzygającej pomocy. Dlatego dodał: – Zostawmy uniewinnienie rzeczywiste, wymienił pan jeszcze dwie inne możliwości.

– Uniewinnienie pozorne i odwlekanie. O nic innego nie może chodzić. Ale zanim pomówimy dalej, czy nie zechce pan zdjąć marynarki? Panu chyba gorąco.

– Tak – odpowiedział K., dotychczas nie zwracał uwagi na nic prócz objaśnień malarza, teraz jednak od samego przypomnienia o tym skwarze pot oblał mu czoło. – To trudno znieść.

Malarz pokiwał głową, jakby dobrze tę niedogodność rozumiał.

– Czy nie można by otworzyć okna? – spytał K.

– Nie, nie można, to tylko szyba wprawiona na stałe.

K. uświadomił sobie, że przez cały czas z nadzieją czekał, aż Titorelli albo on sam się zerwie i otworzy okno. Gotów był wdychać otwartymi ustami choćby tę mgłę. Czując, że mu zupełnie brak powietrza, doznawał zawrotu głowy. Trącił dłonią pierzynę i słabym głosem powiedział:

– Tak jest przecież niewygodnie i niezdrowo.

– O nie – odparł malarz w obronie swojego okna. – Ta szyba, choć pojedyncza, trzyma ciepło lepiej niż podwójne okna dzięki temu, że się nie otwiera. Nie muszę tak często wietrzyć, bo tutaj ciągnie spomiędzy wszystkich desek, ale w razie potrzeby otwieram jedno lub nawet obydwie drzwi.

Po takim wyjaśnieniu K., czując pewną ulgę, rozejrzał się w poszukiwaniu innych drzwi. Titorelli zauważył to:

– Są za panem, musiałem je zastawić łóżkiem. – Dopiero teraz K. zobaczył małe drzwi w ścianie. – Bo wszystko tu o wiele za małe jak na pracownię – dodał malarz, jakby chciał uprzedzić przyganę ze strony K. – Urządziłem pokój tak jak mogłem. Oczywiście łóżko stoi w bardzo złym miejscu. Tędy na przykład wchodzi zawsze sędzia, którego teraz maluję, i dałem mu klucz od tych drzwi, żeby mógł czekać w pracowni, nawet kiedy mnie nie ma. A zazwyczaj wchodzi wcześniej rano, kiedy jeszcze śpię. Oczywiście otwarcie drzwi tuż nad uchem wyrywa mnie za każdym razem z najgłębszego snu. Straciłby pan wszelki szacunek dla sędziów, słysząc przekleństwa, jakimi go częstuję, kiedy mi rano przechodzi po łóżku. Mógłbym niby odebrać mu klucz, ale wtedy byłoby jeszcze gorzej. Tutaj przy odrobinie wysiłku każde drzwi można wyważyć.

Słuchając tych słów, K. zastanawiał się, czy zdjąć marynarkę; w końcu to zrobił, zrozumiałwszy, że inaczej tu długo nie wysiedzi, ale marynarkę położył sobie na kolanach, żeby się w nią ubrać, jeżeli kiedyś ta rozmowa się skończy.

I zaraz jedna z dziewczynek zawołała:

– Zdjął marynarkę! – Słysząc było, jak wszystkie cisną się do szpar, chcąc obejrzeć to widowisko na własne oczy.

– Dziewczynki myślą, że będę pana malował i że dlatego się pan rozbiera – powiedział malarz.

– Ach tak – odparł K., którego to średnio ubawiło, bo mimo że siedział teraz w niepełnym stroju, nie poczuł się wyraźnie lepiej. Trochę opryskliwie spytał: – Jak pan nazwał te dwie inne możliwości? – Znowu zapomniał ich

nazw.

– Uniewinnienie pozorne i odwlekanie – odpowiedział Titorelli. – Wybór między nimi należy do pana. Jedno i drugie można uzyskać z moją pomocą, oczywiście nie bez pewnego trudu; różnica jest taka, że uniewinnienie pozorne wymaga wzmożonych, ale krótkotrwałych wysiłków, a odwlekanie – dużo mniejszych, ale ciągłych. Więc weźmy najpierw uniewinnienie pozorne. Gdyby pan go sobie życzył, napiszę na arkuszu zaświadczenie o pańskiej niewinności. Ojciec mi przekazał jego wzór, którego nikt nie może zakwestionować. I z tym zaświadczeniem obejdę znanych sobie sędziów. Na początek przedłożę je sędziemu, którego teraz maluję. Kiedy dziś wieczór przyjdzie na kolejny seans, oświadczę, że jest pan niewinny, i za pańską niewinność poręcę. Jednak nie będzie to poręka czysto formalna, ale rzeczywista, wiążąca. – W oczach malarza znać było jakby żal o to, że K. chce go takim poręczeniem obciążyć.

– To byłaby naprawdę wielka uprzejmość – odparł K. – I czy wtedy sędzia uwierzy panu, a mimo to tylko pozornie uwolni mnie od zarzutów?

– Tak jak mówiłem – odpowiedział Titorelli. – Zresztą nie jest bynajmniej pewne, że uwierzy mi każdy sędzia, niektórzy na przykład zażądają, żebym pana przyprowadził. Wtedy musiałby pan ze mną pójść. Ale to już połowa sukcesu, zwłaszcza że przedtem oczywiście dokładnie panu opowiem, jak się zachować przed odnośnym sędzią. Gorzej z sędziami, którzy już na wstępie mnie odprawiają, tak też się czasem zdarzy. Oczywiście nie zaniecham kolejnych prób, ale w końcu z tych sędziów trzeba będzie zrezygnować, i zresztą będzie wolno, bo tutaj żaden z nich sam nie rozstrzyga. Więc kiedy zdobędę podpisy dostatecznie wielu sędziów, pójdę z moim zaświadczeniem do tego, który akurat będzie prowadził pański proces. Być może dostanę i jego podpis, a wtedy wszystko potoczy się jeszcze trochę szybciej niż zwykle. Zresztą wtedy już, ogólnie biorąc, nie ma zbyt wielkich przeszkód, to czas, kiedy oskarżony jest najlepszej myśli. Dziwne, ale prawdziwe: w okresie przed uniewinnieniem pozornym ludzie są lepszej myśli niż po nim. Nie trzeba wtedy szczególnej fatygi. Sędzia otrzyma w takim zaświadczeniu porękę pewnej liczby sędziów i mogąc, rzecz jasna, po wypełnieniu różnych formalności, bez obawy uwolnić pana od zarzutów, zrobi tę przysługę mnie oraz innym znajomym. A pan się znajdzie poza sądem i będzie wolny.

– Więc wtedy będę wolny – powiedział K. z wahaniem.

– Tak – odparł malarz – ale wolny tylko pozornie albo, ściśle mówiąc, wolny tymczasowo. Bo najniżsi sędziowie, do których należą moi znajomi, nie mają uprawnień do ostatecznego uwolnienia od zarzutów, ma je tylko najwyższy, całkowicie niedostępny dla pana, dla mnie i dla nas wszystkich sąd. Jak to tam wygląda, nie wiemy i, nawiasem mówiąc, nawet nie chcemy wiedzieć. Więc tego wielkiego uprawnienia nasi sędziowie nie mają, nie uwalniają od oskarżenia, mogą natomiast je zawiesić. Znaczy to, że przy uniewinnieniu pozornym chwilowo zdejmuje się z pana oskarżenie, ale ono dalej nad panem wisi i może nabrać mocy ze skutkiem natychmiastowym, kiedy tylko z góry nadejdzie nakaz. Dzięki moim bliskim powiązaniom z sądem mogę też panu powiedzieć, jak się zewnątrz, w przepisach dla kancelarii, przejawia różnica między uniewinnieniem rzeczywistym a pozornym. Przy rzeczywistym akta procesu należy wycofać z postępowania, znikają one całkowicie i zniszczone zostają nie tylko oskarżenie, ale także proces oraz nawet uwolnienie, zniszczone zostaje wszystko. Inaczej przy uniewinnieniu pozornym. Co do akt nie zachodzi żadna zmiana prócz tej, że je wzbogaca jeszcze zaświadczenie o niewinności, uniewinnienie i jego uzasadnienie. Poza tym jednak nie zostają wycofane z postępowania, lecz zgodnie z wymogiem nieustannego ruchu w kancelariach przekazywane są do wyższych sądów, wracają do niższych i tym sposobem, w większym czy mniejszym zasięgu, wśród większych czy mniejszych zastojów wędrują tam i z powrotem. Te drogi są nie do przewidzenia. Z zewnątrz może to czasem wyglądać tak, jakby akta odeszły dawno w niebyt, a wszystko w niepamięć, i jakby orzeczono całkowite uwolnienie od zarzutów. Wtajemniczony w to nie uwierzy. Nigdy nie giną akta, nigdy sąd nie puszcza niczego w niepamięć. Pewnego dnia, kiedy tego nikt nie oczekuje, któryś sędzia bierze akta uważniej do ręki, rozpoznaje, że w danym wypadku oskarżenie jeszcze zachowało żywotność, i zarządza natychmiastowe zatrzymanie. Przyjąłem tutaj, że między uniewinnieniem pozornym a ponownym zatrzymaniem mija długi czas, to możliwe i wiem o takich przypadkach, ale równie możliwe jest, że ktoś uwolniony wraca z sądu, w domu zaś czekają już pełnomocnicy, żeby drugi raz go zatrzymać. A wtedy oczywiście kończy się dla niego wolność.

– I proces zaczyna się od nowa? – zapytał K. z pewnym niedowierzaniem.

– Owszem, od nowa zaczyna się proces, ale tak jak poprzednio są sposoby, żeby uzyskać uniewinnienie pozorne. Trzeba znowu zebrać siły i nie dawać

za wygraną. – Ostatnie zdanie Titorelli powiedział chyba pod wrażeniem tego, że K. się trochę skulił.

– Ale – spytał K. malarza, jakby chcąc uprzedzić wyjawienie kolejnej tajemnicy – ale czy nie trudniej uzyskać to uniewinnienie niż za pierwszym razem?

– W tym względzie nie da się powiedzieć nic pewnego. Być może chodzi panu o to, czy kolejne zatrzymanie nie wpływa na niekorzystny dla oskarżonego wyrok sędziów? Tak nie jest. Bądź co bądź drugie zatrzymanie przewidują oni już wtedy, kiedy orzekają o takim uwolnieniu od zarzutów. Więc ta okoliczność raczej nie ma znaczenia. Nieraz jednak z mnóstwa innych przyczyn sędziowie mogą się inaczej usposobić i zmienić swój prawny osąd o danym przypadku, dlatego zabiegi o drugie uniewinnienie muszą być dostosowane do nowych okoliczności i równie usilne jak przed pierwszym uwolnieniem.

– Ale przecież to drugie znowu nie jest ostateczne. – K. pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Po nim następuje trzecie zatrzymanie, po trzecim uniewinnieniu czwarte zatrzymanie i tak dalej. To się zawiera w samym pojęciu uniewinnienia pozornego. – K. milczał. – Zdaje się, że ono panu nie dogadza – ciągnął Titorelli. – Może odpowiedniejsze byłoby odwlekanie. Objasnić panu jego istotę?

K. skinął głową. Malarz siedział rozparty na krześle, i wsunąwszy dłoń pod rozchyloną koszulę, gładził sobie pierś oraz boki.

– Odwlekanie – powiedział i chwilę patrzył przed siebie, jakby szukał najtrafniejszego objaśnienia – odwlekanie polega na tym, że proces utrzymywany jest ciągle w najniższym stadium. Dla uzyskania tego oskarżony i jego doradca procesowy, zwłaszcza doradca, muszą pozostawać w nieprzerwanej osobistej styczności z sądem. Powtarzam, nie wymaga to aż takiego wysiłku, jak starania o uniewinnienie pozorne, wymaga natomiast znacznie większej uwagi. Trzeba stale mieć proces na oku, należy w regularnych odstępach i przy wszelkich dodatkowych okazjach chodzić do odnośnego sędziego i wszelkimi sposobami zabiegać o jego życzliwość; jeżeli się go nie zna osobiście, wtedy, nie zaprzestając bezpośrednich konsultacji ze swoim sędzią, trzeba prosić znajomych sędziów o wywarcie na niego nacisku. Jeżeli się niczego pod tym względem nie zaniedba, można być w miarę pewnym, że proces nie wyjdzie poza pierwsze stadium. Wprawdzie proces nie ustaje, ale oskarżony jest niemal tak samo bezpieczny od

osądzenia jak wtedy, kiedy byłby wolny. Odwlekanie daje większą pewność jutra niż uniewinnienie pozorne, oskarżonego omija groza nagłych zatrzymań i obawa, że akurat w najmniej sprzyjających okolicznościach będą go czekały takie same zabiegi i zamęt, jak przy staraniach o uniewinnienie pozorne. Ale również odwlekanie ma dla oskarżonego pewne wady, których nie wolno lekceważyć. Nie mam na myśli faktu, że tutaj oskarżony nigdy nie jest wolny, bądź co bądź przy uniewinnieniu pozornym też w ścisłym sensie wolny nie jest. Chodzi o inną wadę. Proces nie może stanąć w miejscu bez chociażby pozornej przyczyny. Trzeba więc, żeby wokół niego zewnątrz się coś działo. Trzeba, żeby niekiedy wydawano różne rozporządzenia, przesłuchiowano oskarżonego, prowadzono dochodzenie i tak dalej. Ot, proces musi stale obracać się w niewielkim kręgu, do jakiego zostaje sztucznie ograniczony. Oczywiście pociąga to za sobą pewne dokuczliwości dla oskarżonego, ale nie takie znowu straszne. To wszystko przecież tylko pozory, przesłuchania są na przykład bardzo krótkie, kiedy ktoś w danej chwili nie ma na nie czasu lub ochoty, wystarczy się czymś usprawiedliwić, a nawet z niektórymi sędziami można ustalić te zarządzenia na długi okres, w gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby od czasu do czasu oskarżony zgłosił się do swojego sędziego.

Zanim jeszcze Titorelli dopowiedział te słowa, K. przełożył marynarkę przez ramię i wstał.

– Już wstaje! – rozległo się wołanie za drzwiami.

– Już pan idzie? – spytał malarz, który także wstał. – Ani chybi powietrze pana zniechęciło. Jak mi przykro. Mógłbym panu jeszcze niejedno powiedzieć. Z konieczności bardzo się streszczałem. Jednak mam nadzieję, że mówiłem zrozumiale.

– Ależ tak – odparł K., który zmuszał się do słuchania Titorellego z takim trudem, że aż go rozboleła głowa. Malarz mimo tej twierdzącej odpowiedzi jeszcze wszystko podsumował, jakby chcąc go przed wyjściem pocieszyć:

– Obie metody mają tę wspólną cechę, że uniemożliwiają osądzenie oskarżonego.

– Ale i jego rzeczywiste uwolnienie od zarzutów – odparł K. tak cicho, jakby się tego odkrycia wstydział.

– Trafił pan w sedno – powiedział bez namysłu malarz.

K. położył rękę na palcie, ale nawet włożenie marynarki było za trudną decyzją. Miał chęć złapać wszystkie swoje rzeczy i wybiec na świeże

powietrze. Do ubrania się nie skłoniły go nawet dziewczynki, choć już do siebie zawczasu wołały, że się ubiera. Titorelli próbował sobie jakoś wytłumaczyć jego stan, mówiąc:

– Pan chyba jeszcze nie wybrał żadnej z moich propozycji. Aprobuję to. Nawet nie radziłbym teraz wybierać. Wszystko wymaga rozważenia. Różnice są niezwykle subtelne. Chociaż nie można też tracić za dużo czasu.

– Niedługo znów przyjdę – odpowiedział K., który w porywie stanowczości włożył marynarkę, przerzucił przez ramię palto i spiesznie stanął przy drzwiach, za którymi właśnie wszczął się krzyk. Zdawało mu się, że widzi rozkrzyczane dziewczynki przez drzwi.

– Ale proszę dotrzymać słowa – odparł malarz, który nie ruszył się z miejsca. – Inaczej przyjdę do banku i sam dopytam.

– Niechże pan otworzy. – K. szarpał klamkę, z oporu poznając, że dziewczynki ją przytrzymują.

– Żeby pana miały napastować? Niech pan skorzysta raczej z tego wyjścia. – Titorelli wskazał drzwi za łóżkiem.

K. przytaknął i błyskawicznie zawrócił. Malarz jednak nie otworzył drugich drzwi, tylko wczołgał się pod łóżko i stamtąd powiedział:

– Jeszcze chwileczkę. Nie zobaczyłby pan obrazu, który mam do sprzedania?

K. nie chciał być nieuprzejmy, malarz okazał mu szczerą troskę i obiecał dalszą pomoc, a on zapomniał porozmawiać o wynagrodzeniu, przez co teraz nie mógł zbyć Titorellego i czekał na pokazanie obrazu, choć aż się rwał do wyjścia. Malarz wyciągnął spod łóżka stertę nieoprawionych obrazów, pokrytych takim kurzem, że kiedy spróbował go zdmuchnąć, przed oczami K. długo wzbijały się zapierające dech tumany.

– Pierwotne pustkowia – powiedział i wręczył K. obraz. Przedstawiał on dwa wątle drzewa, które z dala od siebie rosły w ciemnej trawie. Tłem były zachodzące słońce i wielobarwny zmierzch.

– Ładne. Kupuję. – K. nierozważnie rzucił tę zbyt zdawkową odpowiedź i ucieszył się, kiedy malarz, zamiast mieć mu ją za złe, podniósł drugi obraz, mówiąc:

– A oto inna wersja. – Może i w zamierzeniu była inna, jednak wobec tamtej nie dało się zauważyć najmniejszej różnicy; tu drzewa, tu trawa, a tam zachodzące słońce i zmierzch. Ale K. o to nie dbał.

– Ładne krajobrazy. Kupię obydwie i powieszę u siebie w biurze.

– Chyba się panu spodobał ten motyw. – Titorelli wyciągnął trzeci obraz. – Dobrze się składa, że mam jeszcze jeden zbliżony. – Ale kolejny widok pierwotnych pustkowi nie był zbliżony, tylko taki sam. Malarz wykorzystywał umiejętnie okazję do sprzedania starych obrazów.

– Ten też wezmę. Ile kosztują wszystkie trzy?

– O tym pomówimy następnym razem – odparł Titorelli. – Panu się spieszy, a przecież będziemy w stałej łączności. Zresztą miło mi, że obrazy się panu podobają, proszę wziąć wszystkie, jakie tu leżą pod spodem. To same pierwotne pustkowia, dużo ich już namalowałem. Niektórzy ludzie odrzucają takie obrazy, bo za ponure, a inni właśnie tę ponurość lubią, i pan do nich należy...

– Niech pan wszystkie obrazy spakuje! – przerwał mu K., nie mając już głowy do zawodowych opowieści biedującego malarza. – Jutro po nie przyjdzie mój woźny.

– Nie trzeba – odpowiedział Titorelli. – Mam nadzieję, że znajdę tragarza, który pójdzie z panem teraz. – Wreszcie przechylił się nad łóżkiem i otworzył drzwi. – Niech pan śmiało stąpnie na pierzynę, tak robi każdy, kto tędy wchodzi.

K. i bez tej zachęty nie krępował się, zdążył nawet postawić na łóżku nogę, aż nagle ją cofnął, kiedy zobaczył coś za drzwiami.

– Co to?

– A co tak pana dziwi? – odpowiedział nie mniej zdziwiony pytaniem Titorelli. – To kancelarie sądu. Nie wiedział pan? Przecież są niemal na każdym poddaszu, dlaczego tu akurat miałyby nie być kancelarii? Ich częścią jest nawet moja pracownia, którą mi udostępnił sąd.

K. poczuł strach nie tyle przed faktem, że i tutaj zastał kancelarie, ile głównie strach przed sobą, przed własną niewiedzą w sprawach sądu. Uważał, że dla oskarżonego podstawowa reguła zachowania to być przygotowanym na każdą niespodziankę, nie patrzeć bez pojęcia w prawo, kiedy po lewej stoi sędzia; a właśnie tę regułę stale łamał. Z ciągnącego się przed nim korytarza biło powietrze, wobec którego to w pracowni wydawało się rześkie. Pod ścianami stały takie same ławki jak w kancelarii właściwej dla K. Widocznie co do urządzenia tych wnętrz istniały dokładne przepisy. Chwilowo czekało tu niewiele stron. Jakiś mężczyzna z twarzą w ramionach pólleżał na ławce i zdawało się, że śpi; drugi stał w półmroku u końca korytarza. K. przestąpił wreszcie łóżko, w ślad za nim poszedł Titorelli

z obrazami. Po chwili napotkali woźnego, K. poznał to po cywilnej marynarce z rzędem zwykłych guzików i jednym złotym u dołu; malarz polecił tamtemu, żeby towarzyszył K. i niósł obrazy. K. raczej się słaniał, aniżeli szedł, do ust przyciskał chusteczkę. Byli już blisko wyjścia, kiedy nagle z naprzeciwka runęły na nich dziewczynki; więc i to nie było mu oszczędzone. Najwidoczniej zobaczywszy, że otwarto drugie drzwi pracowni, wybrały okreśną drogę, żeby tędy się wdrzeć do środka.

– Nie mogę pana dalej odprowadzić! – zawołał ze śmiechem malarz oblegany przez dziewczynki. – Do zobaczenia! I niech się pan za długo nie namyśla!

K. nawet się za nim nie obejrzał. Wziął pierwszą dorożkę, jaka mijała go na ulicy. Bardzo chciał się pozbyć woźnego, złoty guzik nieustannie bił go w oczy, choć poza tym nie zwracał pewnie niczyjej uwagi. Usłużny woźny chciał sięść obok dorożkarza, ale K. go stamtąd przegonił. Dawno minęło południe, kiedy podjechał pod bank. Miał ochotę zostawić obrazy w dorożce, jednak bał się, że któregoś razu malarz zażąda ich okazania. Dlatego polecił je zanieść do swojego pokoju i zamknął w najniższej szufladzie biurka, żeby co najmniej na parę dni uchronić obrazy przed wzrokiem wicedyrektora.

Kupiec Blockbaum

Wymówienie adwokatowi

Wreszcie K. postanowił, że jednak cofnie pełnomocnictwo adwokatowi. Wzięło w nim górę przekonanie o takiej potrzebie, choć nie dały się zagłuszyć wątpliwości, czy ma rację. W dniu, kiedy miał się spotkać z mecenasem, decyzja kosztowała K. dużo energii; szło mu w pracy wyjątkowo powoli, zeszło do bardzo późna i dopiero po dziesiątej stanął wreszcie przed drzwiami adwokata. Zanim do nich zadzwonił, myślał jeszcze, czy nie lepiej wymówić telefonicznie albo listownie, osobista rozmowa będzie na pewno bardzo nieprzyjemna. Nie zrezygnował z niej jednak; wymówienie w innej formie Fawor przyjmie do wiadomości milcząco albo w kilku oficjalnych słowach, i jeżeli Lenka nie wyciągnie czegoś więcej, K. nie dowie się, jak mecenas odebrał wymówienie ani jak widzi jego potencjalne skutki, a przecież zdanie adwokata ma tu swoją wagę. Kiedy natomiast K. siądzie naprzeciw i zaskoczy go wymówieniem, to choćby nie wydobył z mecenasa wielu słów, z twarzy i zachowania zgadnie wszystko. Możliwe nawet, że da się przekonać, dalszą obronę powierzy jednak jemu i cofnie wymówienie.

Pierwszy dzwonek do drzwi adwokata był jak zwykle daremny. „Lenka mogłaby się szybciej ruszać” – pomyślał K. Ale i tak dobrze będzie, jeżeli nikt się nie wtrąci z sąsiedztwa, jak zazwyczaj, kiedy nagabywał go sąsiad w szlafroku albo kto inny. Znów naciskając guzik, obejrzał się na tamte drzwi, ale tym razem też były zamknięte. Wreszcie u adwokata ukazało się w judaszu dwoje oczu – jednak nie oczy Lenki. Ktoś odemknął drzwi, ale przytrzymał je chwilę, zawołał w głąb mieszkania „to on!” i dopiero potem otworzył. K. napierał, słysząc już, jak w drzwiach tamtego mieszkania obraca się prędko klucz. Kiedy więc mu wreszcie otwarto, wprost runął do przedpokoju i zobaczył jeszcze, jak korytarzem pomiędzy pokojami ucieka w koszuli Lenka, ostrzeżona wołaniem otwierającego drzwi. Przez chwilę patrzył za nią, po czym się obejrzał. Niski, wychudzony mężczyzna z brodą trzymał świecę.

– Pan tu pracuje? – spytał K.

– Nie. Jestem tutaj gościem, mecenas to mój pełnomocnik. Ja w kwestii

prawnej.

– Bez marynarki? – K. gestem pokazał jego niepełny ubiór.

– Ach, przepraszam – mężczyzna się oświecił, jakby sam po raz pierwszy zobaczył swój stan.

– Lenka jest pana kochanką? – spytał zwięźle K. Stał w lekkim rozkroku, ze splecionymi z tyłu dłońmi, w których trzymał kapelusz. Już choćby dzięki posiadaniu grubego płaszcza czuł nad tym mizernym człowieczkiem wielką przewagę.

– Na Boga! – powiedział tamten i uniósł rękę do twarzy w geście przestachu. – Nie, skądże, proszę tak nie myśleć!

– Wygląda pan przekonująco – powiedział K. z uśmiechem – a mimo to proszę ze mną. – Dał kapeluszem znak, żeby szedł pierwszy. – Jak pan się nazywa? – spytał w drodze.

– Blockbaum, kupiec Blockbaum. – Człowieczek przy tej prezentacji obejrzał się na K., który jednak nie dał mu przystanąć.

– Czy to pana prawdziwe nazwisko?

– Oczywiście – zabrzmiała odpowiedź. – A dlaczego pan wątpi?

– Myślałem, że z pewnych przyczyn prawdziwe pan zatai. – K. miał takie poczucie swobody, jakie miewa się poza tym tylko w obcych stronach, kiedy bez słowa na swój temat wywyższa się nisko urodzonych obojętną rozmową o sprawach tych ludzi, mogąc ich w każdej chwili poniżyć. Pod gabinetem adwokata stanął, otworzył drzwi i zawołał do posłusznie idącego przed siebie kupca: – Bez pośpiechu! Niech pan zaświeci tutaj.

Myślał, że może tu się schowała Lenka; polecił Blockbaumowi przeszukać wszystkie kąty, ale gabinet był pusty. Przed wizerunkiem sędziego przytrzymał kupca z tyłu za szelki. – Czy pan go zna? – Wskazał obraz palcem. Blockbaum uniósł świecę, zmrużonymi oczami spojrzał na portret i powiedział:

– To sędzia.

– Wysoki sędzia? – K. wysunął się przed kupca, żeby z boku zaobserwować wrażenie, jakie zrobi na nim obraz. Blockbaum patrzył z podziwem.

– Wysoki.

– Pan nie ma dużego rozeznania. To najpodrzedniejszy z podrzędnych sędziów śledczych.

– Teraz przypominam sobie. – Kupiec opuścił świecę. – Też o nim słyszałem.

– Ależ oczywiście! – zawołał K. – Zapomniałem, oczywiście, że pan musiał o nim słyszeć.

– A niby czemu, niby czemu? – dopytywał Blockbaum, kiedy tymczasem K. gestami zagonił go do drzwi, a na korytarzu powiedział:

– Pan wie, gdzie Lenka się schowała?

– Schowała? Nie wiem, ale pewnie jest w kuchni i gotuje zupę dla mecenasa.

– Dlaczego nie powiedział pan od razu?

– Owszem, prowadziłem w tamtą stronę, ale pan mnie zawrócił – odpowiedział Blockbaum, jakby speszony sprzecznymi poleceniami.

– Skoro pan taki sprytny, to proszę prowadzić!

Jeszcze nigdy nie był w tej kuchni, zaskakująco dużej i bogato wyposażonej. Choćby sam piec wielkością trzy razy przerastał zwyczajne; innych szczegółów nie dało się zauważyć, bo kuchnię oświetlała tylko lampka wisząca u wejścia. Przy piecu stała Lenka, jak zawsze w białym fartuchu, i wbijała jajka do garnka postawionego na palniku spirytusowym.

– Dobry wieczór, Józefie – powiedziała, spoglądając na niego z ukosa.

– Dobry wieczór – odpowiedział, pokazując Blockbaumowi stojące w kącie krzesło, na którym też kupiec siadł. K. podszedł z tyłu do Lenki, przechylił się przez jej ramię i spytał:

– Kto to jest?

Objęła K., mieszając drugą ręką zupę, przeciągnęła go na wprost siebie i powiedziała:

– To taki żałosny człowiek, biedny kupiec, niejaki Blockbaum. Popatrz na niego.

Spojrzeli obydwójce. Siedział na krześle wskazanym mu przez K. i po zdmuchnięciu świecy, której światło już nie było potrzebne, ścisnął palcami knot, żeby zapobiec dymowi.

– Byłaś w koszuli. – K. obrócił jej głowę w stronę pieca. Milczała. – To twój kochanek? – Chciała sięgnąć po garnek z zupą, ale ujął jej ręce, mówiąc: – Odpowiadaj!

– Chodź do gabinetu, a wszystko ci wyjaśnię.

– Nie. Chcę, żebyś to wyjaśniła tutaj.

Złapała go za szyję i chciała pocałować, ale odsunął Lenkę i powiedział:

– Nie chcę, żebyś mnie teraz całowała.

– Józefie – spojrzała mu w oczy prosząco, a przy tym szczerze – chyba nie

jesteś zazdrosny o pana Blockbauma. – Po czym zwróciła się do kupca: – Rudolfku, może byś mi jednak pomógł, widzisz, że mnie się podejrzewa, zostaw tę świecę.

Można by przypuszczać, że Blockbaum nie zwracał na nic uwagi, a tymczasem we wszystko był wtajemniczony:

– Nawet nie wiem, o co miałby pan być zazdrosny – ripostował niezbyt przytomnie.

– Ja właściwie też nie wiem. – K. spojrział na kupca z uśmiechem. Lenka się głośno roześmiała. Korzystając z nieuwagi K., wzięła go pod rękę i wyszeptwała:

– Daj mu już spokój, przecież widzisz, co to za człowiek. Trochę się nim zajęłam, dlatego że to dla mecenasa ważny klient, i tylko dlatego. A jak ty? Czy chcesz teraz jeszcze rozmawiać z mecenasem? Dzisiaj bardzo źle się ma, ale jeżeli chcesz, to cię zamelduję. A noc, jestem pewna, spędzisz u mnie. Zresztą długo do nas nie przychodziłeś, nawet mecenas o ciebie pytał. Nie zaniedbuj procesu! Ja też mam dla ciebie różne wiadomości. Ale najpierw zdejmij płaszcz!

Pomogła K. zdjęć płaszcz i razem z kapeluszem powiesiła w przedpokoju, po czym wróciła i zamieszała w garnku.

– Czy najpierw cię zameldować, czy podać mu zupę?

– Najpierw mnie zamelduj. – K. czuł złość; wcześniej miał zamiar dokładnie omówić z Lenką swoją sprawę, a zwłaszcza wątpliwą decyzję o cofnięciu pełnomocnictwa, ale później się zniechęcił obecnością Blockbauma. Teraz jednak uznał, że kwestia jest zbyt ważna, żeby ten kupczyk miał na nią rozstrzygająco wpłynąć; dlatego, choć Lenka już wyszła na korytarz, zawołał ją:

– A jednak najpierw podaj mu zupę. Niech nabierze sił, mam z nim do pomówienia.

– Pan też jest klientem mecenasa – powiedział ze swojego kąta kupiec, cicho i jakby dla upewnienia. Słowa te nie zostały dobrze przyjęte. K. odpowiedział:

– Co to pana obchodzi?

Lenka odparła Blockbaumowi:

– Cicho bądź. – Potem zwróciła się do K.: – Więc najpierw mu podam zupę. – I napełniła talerz. – Ale wtedy grozi to, że chwilę potem zaśnie, on zasypia chwilę po jedzeniu.

– Nie zaśnie po wszystkim, co mu powiem. – K. dawał stale do zrozumienia, że zamierza z adwokatem rozpatrzyć ważną sprawę, chciał, żeby spytała, jaką mianowicie, i dopiero wtedy poprosiłby Lenkę o radę. Ale ona tylko ściśle spełniała wydawane jej polecenia. Niosąc tacę, umyślnie potrąciła go lekko i wyszeptowała:

– Zamelduję cię, kiedy tylko zje, chciałabym, żebyś jak najszybciej był z powrotem.

– No idź już, idź.

– Może byś tak był grzeczniejszy? – W progu jeszcze się odwróciła z tacą w rękach.

Patrzył za nią; teraz już był zdecydowany, zwolni adwokata, i chyba nawet lepiej, że nie zdążył pomówić o tym z Lenką, ona nie ogarnia całej sprawy i odradzałaby na pewno wymówienie, może by nawet chwilowo powstrzymała K., lecz on, dalej nękany wątpliwościami, po jakimś czasie jednak urzeczywistniłby swój zamiar, bo jest aż nadto uzasadniony. A im wcześniej go urzeczywistni, tym większej zapobiegnie szkodzie. Może zresztą kupiec będzie miał na ten temat coś do powiedzenia.

K. odwrócił się; ledwo Blockbaum to zobaczył, już chciał wstać.

– Niech pan siedzi. – K. przystawił obok drugie krzesło. – Czy od dawna jest pan klientem mecenasa?

– Tak, od bardzo dawna.

– A od ilu lat już pana reprezentuje?

– Nie wiem, co pan ma na myśli. W interesach jest moim pełnomocnikiem, odkąd objąłem skład zbożowy, czyli od jakichś dwudziestu lat, a w moim własnym procesie, o który panu pewnie chodzi, reprezentuje mnie też od początku, to już z górą pięć lat. Tak, grubo ponad pięć – dodał kupiec po chwili i wyciągnął stary portfel. – Tu mam to zapisane, jeżeli pan chce, podam dokładne daty. Trudno wszystko pamiętać. Mój proces trwa być może znacznie dłużej, zaczął się krótko po śmierci żony, czyli ponad pięć i pół roku temu.

K. przysunął się bliżej.

– Więc adwokat prowadzi też zwykłe sprawy? – Niebywale go pocieszyło, że można łączyć oba sądy i rodzaje wiedzy prawnej.

– Tak – powiedział Blockbaum, po czym szepnął: – Mówi się nawet, że w nich jest lepszy niż w tamtych. – Ale zaraz, jakby żałując tych słów, położył rękę na ramieniu K. – Bardzo proszę, niech mnie pan nie zdradzi.

K. dla uspokojenia klepnął go po udzie:

- Nie, ja nie z tych, co zdradzają.
- Bo on jest mściwy.
- Tak wiernego klienta na pewno nie skrzywdzi.
- Ależ owszem. Kiedy się zdenerwuje, nie zna różnicy, a zresztą tak naprawdę nie jestem mu wierny.
- Jak to nie?
- Czy mam się panu zwierzyć? – spytał z powątpiewaniem kupiec.
- Myślę, że może pan.
- No cóż, trochę się panu zwierzę, ale niech pan mi także powie jakąś tajemnicę, żebyśmy się wobec mecenasa nawzajem trzymali w szachu.
- Bardzo pan ostrożny, ale tajemnica, którą wyjawię, zupełnie pana uspokoi. Więc na czym polega pańska niewierność wobec mecenasa?
- Ja mam... – powiedział Blockbaum, wahając się, i takim tonem, jakby miał wyznać jakąś nieuczciwość. – Ja mam prócz niego jeszcze innych adwokatów.
- To przecież nie takie straszne – odparł K. z pewnym rozczarowaniem.
- W tym wypadku owszem – kupiec po tym wyznaniu wciąż nie mógł ochłonąć, ale dzięki ostatnim słowom K. bardziej mu zaufał. – To zabronione. A tym bardziej zabronione jest najmowanie dodatkowo adwokatów pokątnych. A tak właśnie zrobiłem, prócz niego mam jeszcze pięciu pokątnych.
- Pięciu? – zawołał K., zdumiony dopiero liczbą. – Pięciu prócz niego?

Blockbaum skinął głową:

- A jeszcze prowadzę rozmowy z szóstym.
- Przyda się panu aż tylu?
- Przyda się każdy adwokat.
- Nie objaśniłby pan tego bliżej?
- Chętnie. Przede wszystkim nie chcę przegrać procesu, to chyba oczywiste. Nie mogę więc lekceważyć niczego, co rokuje nadzieje na jakąkolwiek korzyść dla mnie, a choćby te nadzieje były nikłe, nigdy ich nie porzucam. Dlatego cały majątek wydałem na proces. Wycofałem na przykład pieniądze z mojego składu zbożowego, wcześniej jego biura zajmowały prawie całe piętro, dzisiaj wystarcza izdebka w oficynie, gdzie pracuję razem z uczniem. W tym, że tak podupadł mój skład, zawinił oczywiście nie tylko ubytek pieniędzy, ale także ubytek siły roboczej. Kto zajmuje się swoim

procesem, temu trudno się zajmować czymś jeszcze.

– Więc pan także sam działa w sądzie? Właśnie o tym chętnie bym coś usłyszał.

– O tym niewiele potrafię powiedzieć – odparł kupiec. – Owszem, z początku podejmowałem i takie próby, ale wkrótce ich zaniechałem. To zbyt wyczerpujące, a przynosi niewielki skutek. Przynajmniej dla mnie samodzielne prowadzenie rozmów i działanie w sądzie okazały się niemożliwością. Wielkim wysiłkiem jest już samo przesiadywanie tam i czekanie. Zresztą sam pan poznał ciężkie powietrze w kancelariach.

– Skąd pan wie, że w nich byłem?

– Akurat siedziałem w poczekalni, kiedy pan przechodził.

– Co za przypadek! – zawołał K. z przejęciem, zapominając o śmieszności Blockbauma. – Więc pan mnie widział! Kiedy przechodziłem, pan siedział w poczekalni. Tak, raz tamtędy przechodziłem.

– To nie taki przypadek. Siedzę w niej niemal codziennie.

– Mnie też pewnie często wypadnie tam pójść, tyle że już nie będę raczej przyjmowany z takimi honorami jak wtedy. Wszyscy wstawali. Chyba myśleli, że jestem sędzią.

– Nie – odparł kupiec. – Kłanialiśmy się woźnemu. Dobrze wiedzieliśmy, że pan jest oskarżonym. Takie wiadomości rozchodzą się bardzo szybko.

– Więc już było wiadomo. Ale w takim razie moje zachowanie mogło wyglądać na pychę. Czy ludzie tak nie mówili?

– Nie. Wręcz odwrotnie, tyle że mówili głupstwa.

– Ale jakie?

– Czemu pan pyta? – Blockbaum się zezłościł. – Pan, najwyraźniej nie znając jeszcze tamtych ludzi, mógłby to niewłaściwie odebrać. Niech pan pamięta, że w trakcie postępowania często mowa jest o rzeczach, których rozum już nie ogarnia, że człowiek na wiele rzeczy nie ma zwyczajnie siły ani głowy i wynagradza to sobie wiarą w zabobony. Miałem teraz na myśli innych, mimo że sam wcale nie jestem lepszy. Na przykład wielu poznaje rzekomo wynik procesu z twarzy oskarżonego, zwłaszcza z rysunku ust. Właśnie oni twierdzili, że z pańskich ust wnoszą o szybkim i pewnym wyroku skazującym. Powtarzam, to śmiechu wart zabobon, w większości wypadków przeczą mu fakty, ale kiedy się w tym gronie spędza życie, trudno takie przekonania odrzucić. Gdyby pan wiedział, jak silnie ten zabobon nieraz działa. Zagadnął pan tam pewnego mężczyznę, prawda? A on z trudem

odpowiedział. Oczywiście, tam wiele rzeczy może speszyc, ale jedną był dla niego widok pańskich ust. Jak później opowiadał, wydawało mu się, że widzi na nich także oznakę własnego skazania.

– Na moich ustach? – K. wyciągnął kieszonkowe lusterko i się przejrzał. – Nic szczególnego w nich nie widzę. A pan?

– Też nie. Ani trochę.

– Jacy ci ludzie są zabobonni! – zawołał K.

– Nie mówiłem?

– Czyżby się tak często spotykali i wymieniali poglądy? Dotychczas trzymałem się zupełnie na uboczu.

– Na ogół się nie spotykają – odpowiedział kupiec. – Nie mieliby możliwości, tylu ich jest. Rzadko też łączy ich wspólność interesów. Kiedy czasem jakaś grupa w taką wspólność uwierzy, okazuje się to wkrótce pomyłką. Przed tym sądem nie można nic osiągnąć wspólnie. On bada każdy przypadek osobno, to przecież najwnikliwszy sąd. Nie, wspólnie nic nie można osiągnąć, tylko pojedynczy człowiek zdoła czasem po kryjomu coś, o czym inni słyszą dopiero później, a jak to zdołał, nikt nie wie. Dlatego nie ma współdziałania, czasem wprawdzie można się spotkać w poczekalniach, ale tam rzadko coś bywa omawiane. A zabobony istnieją od dawien dawna i mnożą się po prostu same.

– Widziałem tych panów w poczekalni. Uderzyło mnie ich daremne czekanie.

– Daremne nie jest czekanie. Daremne są tylko działania w pojedynkę. Jak mówiłem, teraz prócz tego adwokata mam jeszcze pięciu. Ktoś by pomyślał, że pora im już pozostawić całą sprawę, i ja początkowo tak myślałem. Ale to błąd. Teraz mogę ją pozostawić adwokatom w mniejszym stopniu niż kiedyś mogłem jednemu. Pan tego chyba nie rozumie?

– Nie. – K., chcąc przyhamować potok jego słów, położył uspokajającym gestem dłoni na dłoni Blockbauma. – Prosiłbym tylko, żeby pan trochę wolniej mówił, bo to wszystko bardzo ważne dla mnie rzeczy, a nie całkiem nadażam.

– Dobrze, że pan przypomniał. W końcu jest pan nowy, świeży. Pański proces liczy pół roku, prawda? Tak, tak, słyszałem o nim. Jaki świeży proces! A ja te rzeczy przemyślałem już mnóstwo razy, dla mnie są czymś najoczywistszym na świecie.

– Pan jest chyba zadowolony z takiego zaawansowania swojego procesu? –

K. nie chciał pytać wprost, jak stoją sprawy kupca. Nie dostał też wyraźnej odpowiedzi.

– Tak, ciągnę proces pięć lat – odrzekł Blockbaum i zwiesił głowę. – To nie byle jakie dokonanie.

Zamilkł na chwilę. K. nasłuchiwał, czy już nie nadchodzi Lenka. Z jednej strony nie chciał, żeby przyszła, bo miał jeszcze do kupca dużo pytań i wołał, żeby ich obu nie zastała na tak poufnej rozmowie; jednak z drugiej strony zły był, że mimo jego obecności tak długo tkwi u adwokata, o wiele dłużej, niż wymaga tego podanie zupy.

– Pamiętam jeszcze – zaczął znowu Blockbaum i K. wsłuchał się w jego słowa – ten czas, kiedy mój proces liczył mniej więcej tyle, ile teraz pański. Wtedy miałem tylko tego adwokata, ale nie bardzo byłem z niego zadowolony.

„Teraz się wszystkiego dowiem” – pomyślał K. i pokiwał głową z ożywieniem, jakby to mogło zachęcić kupca do podzielenia się wszelką cenną wiedzą.

– Mój proces – ciągnął Blockbaum – nie postępował, wprawdzie wyznaczano przesłuchania, na każde przychodziłem, zbierałem materiał, zostawiałem w sądzie księgi kupieckie, co zresztą później okazało się nawet niepotrzebne, wprawdzie chodziłem do adwokata, on składał różne prośby do sądu...

– Różne prośby?

– Tak, oczywiście.

– To dla mnie bardzo ważne – powiedział K. – W moim wypadku ciągle pracuje nad pierwszą. Jeszcze nic nie zrobił. Haniebnie lekceważy mnie, teraz to widzę.

– Fakt, że prośba jeszcze nie jest gotowa – odpowiedział kupiec – może mieć rozmaite uzasadnione przyczyny. Zresztą moje prośby do sądu okazały się później nic niewarte. Dzięki przychylności pewnego urzędnika jedną nawet czytałem. W gruncie rzeczy było to uczone pustosłowie. Przede wszystkim mnóstwo łaciny, której nie rozumiem, poza tym wielostronicowe ogólne inwokacje do sądu, pochlebstwa pod adresem poszczególnych urzędników, niewymienionych wprawdzie z nazwiska, ale na pewno rozpoznawalnych dla kogoś wtajemniczonego, dalej przechwałki adwokata, który się jednocześnie czołgał przed sądem jak pies, a w końcu analizy podobnych jakoby przypadków prawnych z przeszłości. Jednak analizy, o ile

mogłem je prześledzić, były zrobione bardzo pieczołowicie. Bo nie chciałybym też tutaj wyrokować o tym, jak mecenas pracuje, zresztą czytałem tylko jedną z wielu próśb, ale w każdym razie chcę powiedzieć, że nie widziałem w moim procesie żadnych postępów.

– A jakie postępy chciał pan widzieć?

– Roztropne pytanie – odparł z uśmiechem Blockbaum. – W trakcie takiego postępowania bardzo rzadko je widać. Ale wtedy tego nie wiedziałem. Jestem kupcem, a wówczas jeszcze byłem nim znacznie bardziej, chciałem zauważalnych postępów, tak żeby cała sprawa zmierzała już do końca albo się przynajmniej rozwijała jak należy. Zamiast tego wzywano mnie tylko na przesłuchania, przeważnie tej samej treści, miałem już całą litanię gotowych odpowiedzi, kilka razy w tygodniu gońcy sądu przychodzili do mojego składu, do mieszkania albo w inne miejsca, gdzie mogli mnie zastać, oczywiście przeszkadzali, dzisiaj przynajmniej pod tym względem jest lepiej, zawiadomienie przez telefon przeszkadza znacznie mniej, ale wtedy pogłoski o procesie zaczęły krążyć nawet wśród moich kontrahentów, a zwłaszcza wśród krewnych, czyli pod każdym względem ponosiłem szkody, jednak nie było najdrobniejszych oznak, żeby w krótkim czasie miała się odbyć chociażby pierwsza rozprawa przed sądem. Poskarżyłem się więc mecenasowi. Przedstawił mi wprawdzie długie wyjaśnienia, ale stanowczo odmówił spełnienia moich życzeń, no bo przecież nikt nie ma wpływu na wyznaczenie terminu, a złożenie w tej sprawie ponaglącej prośby, czego się domagałem, byłoby rzeczą wręcz niesłychaną i zgubiłoby mnie i jego. Pomyślałem sobie, że czego nie chce albo nie potrafi zrobić on, zrobi inny adwokat. I zacząłem się za takim rozglądać. Uprzedzam od razu: żaden kolejny nie osiągnął dla mnie wyznaczenia rozprawy głównej ani go nie żądał; to istotnie jest niemożliwe, nawet przy pewnym zastrzeżeniu, o którym jeszcze powiem, a więc mecenas Fawor nie wprowadził mnie tutaj w błąd, jednak na ogół nie żałowałem zwrócenia się do innych adwokatów. Pan też być może niejedno słyszał od mecenasa o adwokatach pokątnych, pewnie wspominał o nich z pogardą, i rzeczywiście na nią zasługują. Ile razy ich jednak opisuje i porównuje ze sobą czy swoimi kolegami, w jego słowa wkrada się pewien drobny błąd, na który, nawiasem mówiąc, zwracam pana uwagę. Otóż adwokatów ze swojego kręgu nazywa dla odróżnienia „wielkimi”. Tak nie jest, oczywiście każdy, kto zechce, może sam siebie nazwać adwokatem „wielkim”, ale tutaj rozstrzygają bądź co bądź zwyczaje

sądu. Zgodnie z nimi, prócz adwokatów pokątnych istnieją jeszcze drobni i wielcy. Jednak mecenas i jego koledzy to jedynie adwokaci drobni, a wielcy, mnie znani tylko ze słyszenia, górują nad nimi rangą nieporównanie bardziej niż adwokaci drobni nad pokątnymi, których traktuje się tak pogardliwie.

– Adwokaci wielcy? Któż to taki? – spytał K. – Jak do nich dotrzeć?

– Więc pan jeszcze nigdy nie słyszał o adwokatach wielkich. Nie ma chyba oskarżonego, który usłyszałby i potem nie śnił o nich. Niech pan się lepiej nie da uwieść takim snom. Kim oni są, tego nie wiem, a dotrzeć do nich raczej nie można. Nie znam przypadku, o którym byłoby z pewnością wiadomo, że w niego wkroczyli. Czasem bronią kogoś, ale samemu się tego nie osiągnie mimo najlepszej woli, oni bronią tylko tego, kogo chcą bronić. Jednak żeby się zajęli czyjąś sprawą, musi ona chyba wyjść poza niski sąd. Zresztą lepiej o nich nie myśleć, bo w przeciwnym razie, jak sam doświadczyłem, konsultacje z innymi adwokatami, ich rady i pomoc wydają się człowiekowi czymś tak odrażającym i jałowym, że najchętniej by wszystko rzucił i położył się do łóżka, niczego nie przyjmując już do wiadomości. A to z kolei byłoby największą głupotą, i w łóżku nie zaznałoby się długo spokoju.

– I czy nie myślał pan wtedy o adwokatach wielkich?

– Przez krótki czas. – Kupiec się znów uśmiechnął. – Niestety, trudno całkiem o nich zapomnieć, takim myśлом sprzyja zwłaszcza noc. Ale wtedy chciałem przecież natychmiastowych sukcesów. Dlatego zacząłem chodzić do adwokatów pokątnych...

– Aleście tu przysiedli nos w nos! – zawołała Lenka, która wróciła z tacą i stała w progu. Siedzieli rzeczywiście tuż obok siebie, przy najmniejszym ruchu zderzyliby się głowami, niewysoki Blockbaum jeszcze zgarbił plecy, przez co K., chcąc go dosłyszeć, także się nisko pochylił.

– Chwileczkę! – zawołał do niej i machnął niecierpliwie ręką, którą trzymał dotąd na dłoni kupca.

– Ten pan chciał, żebym opowiedział mu o moim procesie – powiedział do Lenki Blockbaum.

– A opowiadaj sobie, opowiadaj – mówiła do kupca czule, jednak z pewnym poczuciem wyższości; K. obserwował to z dezaprobatą, dostrzegał teraz w tym człowieku pewne zalety, a co najmniej doświadczenie, którym Blockbaum umiał się podzielić. Lenka go chyba mylnie osądzała. K. ze złością patrzył, jak zabrała kupcowi trzymaną przez niego świecę, jak wytarła

jego dłoń własnym fartuchem, a następnie przy nim klękała, żeby zdrapać odrobinę wosku, która ze świecy skapnęła Blockbaumowi na spodnie.

– Zaczął pan mówić o adwokatach pokątnych – powiedział K. i nic nie mówiąc, odciągnął rękę Lenki.

– O co ci chodzi? – spytała, lekko go szturchnęła i dalej robiła swoje.

– Tak, o adwokatach pokątnych – odpowiedział kupiec i potarł czoło, jakby nad czymś rozmyślał. Żeby mu pomóc, K. powiedział:

– Chciał pan natychmiastowych sukcesów i dlatego zaczął chodzić do adwokatów pokątnych.

– Zgadza się – odpowiedział kupiec, ale zaraz urwał. „Chyba nie chce mówić o tym przy Lence”, pomyślał K. i tłumiąc ciekawość, chwilowo przestał nalegać.

– Zameldowałaś mnie? – spytał Lenkę.

– Oczywiście. Czeka na ciebie. Blockbaumowi już daj spokój, z nim równie dobrze możesz porozmawiać potem, on tu zostaje.

K. jeszcze się zawahał.

– Pan tu zostaje? – spytał kupca, chciał usłyszeć odpowiedź od niego, nie chciał, żeby Lenka mówiła o Blockbaumie jak o nieobecny, był dzisiaj pełen skrytej złości na nią. I znów odpowiedziała sama:

– On często tutaj sypia.

– Sypia? – zawołał K.; myślał, że kupiec poczeka tylko, aż on odbędzie szybko rozmowę z adwokatem, i że później obaj z Blockbaumem wyjdą i szczegółowo, swobodnie o wszystkim pomówią.

– Tak – odparła Lenka. – Nie każdy jest dopuszczany przed mecenasa o dowolnej porze jak ty, Józefie. Wcale cię nie dziwi, że on mimo choroby przyjmie cię nawet o jedenastej wieczór. Bo uważasz za oczywistość wszystko, co dla ciebie robią przyjaciele. Cóż, robią to chętnie. W każdym razie ja nie oczekuję i nie potrzebuję twojej wdzięczności, byleś mnie kochał.

„Ciebie kochać? – pomyślał w pierwszej chwili K. i dopiero potem przemknęło mu przez głowę: – No tak, kocham ją”. Nie dbając jednak o nic, powiedział:

– Jestem jego klientem, dlatego mnie przyjmuje. Gdyby nawet coś takiego wymagało czyjejś pomocy, wtedy by trzeba co krok i żebrać, i dziękować.

– Jaki on dzisiaj okropny, prawda? – spytała kupca. „Teraz ja jestem tym nieobecny”, pomyślał K. i nawet się trochę zezłościł na Blockbauma, kiedy ten podjął nieuprzejmy ton Lenki, mówiąc:

– Mecenas przyjmuje go i z innych powodów. Otóż jego przypadek jest ciekawszy niż mój, a postępowanie dopiero się zaczyna, może na razie nie zdołano go aż tak pogmatwać, więc jeszcze zaprzęta mecenasa. Później to się zmieni.

– Tak, tak – Lenka spojrzała na kupca ze śmiechem. – Ależ on gada! – zwróciła się do K. – Nie wierz ani jednemu jego słowu. Jest miły, ale gadatliwy. Może dlatego mecenas go nie cierpi. W każdym razie przyjmuje go tylko wtedy, kiedy jest w dobrym humorze. Bardzo się starałam to zmienić, ale nie sposób. Wyobraź sobie, że czasem Blockbauma melduję, a mecenas przyjmuje go dopiero na trzeci dzień. Ale kiedy z chwilą wezwania nie ma Blockbauma na miejscu, wtedy wszystko na nic i trzeba go meldować na nowo. Dlatego za moją zgodą tutaj sypia, bo bywało, że mecenas dzwonił na niego w nocy. Więc od pewnego czasu Blockbaum nawet nocą czeka w gotowości. Z kolei teraz, kiedy okazuje się, że jest na miejscu, mecenas odwołuje czasem polecenie i go nie przyjmuje.

K. spojrzął na kupca pytająco. Blockbaum skinął głową, i być może z zawstydzenia nie zważając na słowa, równie szczerze jak we wcześniejszej rozmowie powiedział:

– Tak, z czasem popada się w silną zależność od adwokata.

– On się skarży tylko na niby – powiedziała Lenka. – Nieraz przyznawał, że bardzo lubi tu sypiać. – Podeszła do jakichś drzwiczek i je otworzyła. – Czy chcesz zobaczyć jego sypialnię?

K. zbliżył się i od progu zajrzał do niskiego pomieszczenia bez okien, całkowicie zastawionego wąskim łóżkiem, do którego był dostęp tylko przez poręcz w jego nogach. U szczytu, w zagłębieniu ściany, stały w rygorystycznym porządku świeca, kałamarz, pióro i stos papierów, być może pism procesowych.

– Pan nocuje w służbówce? – K. obrócił się w stronę kupca.

– Lenka mi tu zrobiła miejsce. To duże ułatwienie.

Patrzył na Blockbauma dłuższą chwilę; może jednak pierwsze wrażenie co do kupca było trafne, owszem, ma on doświadczenie dzięki długo trwającemu procesowi, ale płaci za nie dużą cenę. Poczul, że nie może więcej znieść jego widoku.

– W takim razie zaciągnij go do łóżka! – zawołał do Lenki, jednak chyba nie zrozumiała. Już miał pójść do adwokata, wymówić mu, a dzięki temu uwolnić się także od Lenki oraz Blockbauma; jednak zanim doszedł do

drzwi, kupiec odezwał się cicho:

– Panie prokurencie... – K. odwrócił się z wyrazem złości na twarzy. – Zapomniał pan o swoim przyrzeczeniu. – Blockbaum prosząco wychylił się na krzesło w jego stronę. – Miał mi pan jeszcze powiedzieć o jakiejś tajemnicy.

– Prawda – odpowiedział K. i musnął wzrokiem także Lenkę, która na niego uważnie patrzyła. – Niech pan posłucha, mimo że to za chwilę już nie będzie tajemnica: idę do mecenasa, żeby go zwolnić z mojej obrony.

– Zwalnia go! – zawołał kupiec, poderwał się z krzesła, uniósł ramiona, zaczął biegać po kuchni i wykrzykiwać: – Zwalnia mecenas!

Lenka chciała się rzucić na K., ale między nich zaplątał się Blockbaum i za karę wymierzyła cios jemu. Z zaciśniętymi pięściami pobiegła śladem K., który jednak ją znacznie wyprzedził. Kiedy go dogoniła, wchodził już do pokoju adwokata. Domykał za sobą drzwi, ale Lenka przytrzymała jedno skrzydło stopą, chwyciła K. za rękę i próbowała zawrócić. Jednak on ścisnął jej przegub tak mocno, że z jękiem go puściła. W pierwszej chwili nie odważyła się wejść do pokoju, a on tymczasem zamknął drzwi na klucz.

– Czekam na pana już bardzo długo – powiedział leżący w łóżku adwokat, odłożył na nocny stolik urzędowe pismo, które właśnie czytał przy świecy, nasadził na nos okulary i przenikliwie zza nich spojrzął. K. zamiast przeprosić odparł:

– Za chwilę wyjdę.

Ponieważ nie były to słowa przeprosin, mecenas je zlekceważył i powiedział:

– Drugi raz pana tak późno nie przyjmę.

– Ja właśnie w sprawie z tym związanej.

Adwokat spojrzął pytająco.

– Niech pan siada.

– Skoro pan sobie życzy. – K. przysunął krzesło do nocnego stolika i usiadł.

– Zdawało mi się, że pan zamknął drzwi?

– Tak, ze względu na Lenkę. – K. nie zamierzał oszczędzać nikogo.

Mecenas jednak zapytał:

– Czyżby się panu znowu narzucała?

– Narzucała?

– Tak – adwokat roześmiał się, rozkaszał, a po ustaniu kaszlu znów roześmiał. – Pan już chyba zauważył, że się narzuca? – spytał, klepiąc K. po

dłoni, którą on w roztargnieniu oparł na nocnym stoliku, a teraz szybko cofnął. – Dla pana to nie ma znaczenia – dodał, nie słysząc odpowiedzi. – Tym lepiej. Inaczej pewnie musiałbym pana przeprosić. To takie dziwactwo Lenki, które jej zresztą dawno wybaczyłem, a mówię o nim tylko dlatego, że przed chwilą zamknął pan drzwi. Oczywiście, pan jest ostatnim, któremu by to trzeba objaśniać, ale patrzy pan z taką zgrozą, więc jednak objaśnię: dziwactwo polega na tym, że dla Lenki oskarżeni są najczęściej piękni. Wszystkich nagabuje, wszystkich kocha i, zdaje się, wszyscy oni też ją kochają; czasem, kiedy jej pozwolę, zabawia mnie opowieściami o tym. Mnie ta cała rzecz nie dziwi, jak zdaje się dziwić pana. Dla kogoś, kto ma dobre oko, oskarżeni są piękni naprawdę często. To ciekawe zjawisko, pewnego rodzaju osobliwość przyrodnicza. Oczywiście oskarżenie nie zmienia nikogo zewnętrznie w uchwytny i wyraźny sposób. Nie jest tak jak przy sprawach przed zwykłym sądem, oskarżeni na ogół nadal prowadzą dotychczasowy tryb życia, i jeżeli mają dobrego adwokata, który o nich dba, wtedy proces nie bardzo ich upośledza. A jednak ktoś, kto ma doświadczenie, rozpozna ich co do jednego w największym tłumie. Zapyta pan, po czym. Moja odpowiedź nie zadowoli pana, ale cóż: oskarżeni są po prostu najpiękniejsi. Nie pięknieją wskutek winy, bo przecież nie wszyscy ją ponoszą, a w każdym razie mnie jako adwokatowi nie wypadłoby tak twierdzić, nie pięknieją też wobec czekającej ich kary, bo przecież nie wszyscy jej później podlegają, więc może to wynikać tylko ze wszczętego postępowania, które ich czymś naznacza. Owszem, wśród tych pięknych mężczyzn niektórzy się swoją pięknnością wyróżniają. Ale piękni są wszyscy, nawet Blockbaum, ta nędzna glista.

Kiedy adwokat kończył mówić, K. był całkiem spokojny, a nawet przy ostatnich jego słowach wyraziście kiwał głową, bo właśnie kolejny raz utwierdził się w opinii, że tamten próbuje go zająć ogólnikami, które nie mają nic do rzeczy, i odwieść od głównej kwestii: od tego, co faktycznie zrobił w jego sprawie. Mecenas widocznie zauważył większą niż zwykle stanowczość z jego strony, bo umilkł, żeby go dopuścić do słowa, a ponieważ K. dalej milczał, więc zapytał:

- Czy dzisiaj przyszedł pan w jakimś konkretnym celu?
- Tak. – K. przysłonił ręką świecę, żeby go lepiej widzieć. – Chciałem powiedzieć, że niniejszym cofam panu moje pełnomocnictwo.
- Czy dobrze pana rozumiem? – Adwokat się trochę uniósł i jedną rękę

oparł na poduszkach.

– Myślę, że dobrze – odpowiedział K. tak wyprężony, jakby siedział na czatach.

– Cóż, taki plan też możemy omówić – powiedział mecenas po chwili.

– To już nie jest tylko plan.

– Niewykluczone, jednak może nie działajmy pochopnie. – Adwokat używał liczby mnogiej, jakby nie zamierzał darować K. wolności i jakby chciał dla niego pozostać jeżeli już nie pełnomocnikiem, to choćby doradcą.

– Nie działałam pochopnie. – K. powoli się podniósł i stanął za krzesłem. – Działam po dojrzałym i chyba nawet za długim namyśle. Ta decyzja jest ostateczna.

– W takim razie, jeżeli wolno, jeszcze kilka słów. – Mecenas odgarnął pierzynę i siadł na brzegu łóżka. Jego odsłonięte, pokryte siwym owłosieniem nogi dygotały z zimna. Poprosił o podanie mu koca z kanapy. K. przyniósł go, mówiąc:

– Pan się niepotrzebnie naraża na przeziębienie.

– Mam aż nadto ważny powód – odparł adwokat, otulając górną część ciała pierzyną, a później kocem owijając nogi. – Pański stryj jest moim przyjacielem, a pana także z biegiem czasu polubiłem. Szczerze to przyznaję. Nie mam się czego wstydzić.

Te ckliwe słowa starca były K. bardzo nie na rękę, zmuszały go do obszerniejszych wyjaśnień, których by chętnie uniknął; a poza tym przyznawał sam przed sobą, że zbiły go z tropu, choć żadną miarą nie zmieniają jego decyzji.

– Dziękuję za życzliwość – powiedział. – Doceniam też to, że zajmował się pan moim procesem o tyle, o ile pan mógł i uważał za korzystne dla mnie. Nabrałem jednak ostatnio przekonania, że to nie wystarczy. Nigdy oczywiście nie próbowałbym do tej opinii przekonywać pana, o ileż starszego i bardziej doświadczonego niż ja, i jeżeli mimo woli czasem próbowałem, to przepraszam, ale sam pan się wyraził, że sprawa jest aż nadto ważna, a moim zdaniem należy w nią wkroczyć znacznie mocniej niż dotychczas.

– Rozumiem to. Jest pan zniecierpliwiony.

– Nie jestem zniecierpliwiony – K. odpowiedział z pewnym rozdrażnieniem i przestał aż tak bardzo uważać na słowa. – Być może zauważył pan, że kiedy stryj i ja przyszedliśmy z pierwszą wizytą, proces niezbyt mnie obchodził i nie myślałem o nim ani chwili, póki mnie do tego nie zmuszano. Ale stryj upierał

się, żebym powierzył panu pełnomocnictwo, a ja zrobiłem to, chcąc mu wyświadczyć uprzejmość. I odtąd należało chyba oczekiwać, że jeszcze ubędzie mi kłopotu, bo pełnomocnictwo powierzamy adwokatowi dla częściowego odciążenia się od procesu. A stało się odwrotnie. Nigdy wcześniej nie miałem z procesem takich zmartwień, jak od czasu, kiedy pan mnie reprezentuje. Kiedy byłem sam, nie podejmowałem żadnych kroków w swojej sprawie, ale prawie jej nie odczuwałem, teraz natomiast mam pełnomocnika, powstały wszelkie warunki, żeby się coś wreszcie wydarzyło, z rosnącym napięciem czekałem ciągle na pańskie działania, ale ich nie doczekałem. Owszem, dostawałem od pana różne wiadomości o sądzie, jakich być może nie dostałbym od nikogo innego. Ale one nie wystarczą teraz, kiedy proces coraz bardziej daje mi się we znaki.

Mówiąc to wszystko, K. wstał, odepchnął krzesło i schował ręce w kieszeniach marynarki.

– Począwszy od pewnego etapu działań – powiedział adwokat cicho i spokojnie – nie dzieje się nic wyraźnie nowego. Ile razy w podobnych momentach strony procesowe podobnie jak pan stawały przede mną i podobnie mówiły.

– To znaczy, że wszystkie podobne do mnie strony tak samo jak ja miały rację. To wcale nie przeczy słuszności moich słów.

– Nie chcę przeczyć słuszności pańskich słów. Chcę natomiast dodać, że po panu oczekiwałemby większej władzy sądenia niż po innych, zwłaszcza że dawałem panu głębszy wgląd w to sądownictwo i w moją działalność, niż zwykle daję go stronom. A oto widzę, że mimo wszystko nie ma pan do mnie dosyć zaufania. Nie ułatwia mi pan życia.

Ależ się ten mecenas przed nim upokarza! Bez żadnego względu na prestiż zawodowy, który właśnie w ten sposób najłatwiej pewnie osłabić. I czemu tak robi? Zdawałoby się, że jako wzięty adwokat i w dodatku człowiek zamożny nie musi szczególnie się martwić utratą ani zarobku, ani klienta. Poza tym jest schorowany i niechby raczej sam zadbał o ujmowanie sobie pracy. A mimo wszystko trzyma K. przy sobie. Czemu? Czy osobiście współczuje stryjowi, czy może naprawdę uważa ten proces za coś niezwykłego i ma nadzieję, że dzięki niemu wyróżni się w oczach K. albo – czego przecież nie można bynajmniej wykluczyć – w oczach przyjaciół z sądu? Choć K. natrętnie świdrował go wzrokiem, po adwokacie nic nie było znać. Zdawało się raczej, że umyślnie przybrał nieprzenikniony wyraz

twarży, by poczekać na efekt swoich słów. Ale najwidoczniej zbyt korzystnie dla siebie odczytał milczenie K., skoro ciągnął:

– Zauważył pan pewnie, że mam dużą kancelarię, a nikogo w niej nie zatrudniam. Kiedyś było inaczej, przez jakiś czas pomagało mi kilku młodych prawników, ale dzisiaj pracuję sam. Wynikło to częściowo stąd, że ograniczyłem się do kwestii tego rodzaju co pańska, a trochę także stąd, że zacząłem je coraz lepiej rozumieć. Uznałem, że jeżeli nie chcę zgrzeszyć przeciwko klientom i zadaniu, jakiego się podjąłem, nie mogę powierzać tej pracy nikomu innemu. A decyzja o samodzielnym jej wykonywaniu miała oczywiste skutki: Musiałem odrzucać prawie wszystkie prośby o podjęcie się czyjejś obrony, a ulegałem tylko w sprawach, które mnie szczególnie poruszyły; cóż, dosyć kręci się wokół kreatur, nie trzeba daleko szukać takich, co chwycą byle ochłap, jaki rzucę. Poza tym z przemęczenia się rozchorowałem. A jednak tej decyzji nie żałuję, możliwe, że należało częściej odmawiać obrony, niż to robiłem, ale prowadzenie kolejnych spraw procesowych i powodzenie w nich pokazywało, że trzeba i warto się im oddawać bez reszty. Kiedyś znalazłem piękne określenie różnicy, jaka istnieje między reprezentowaniem klienta w zwykłym przypadku prawnym i w takim jak ten. Napisane było: w tym pierwszym przypadku adwokat aż do chwili wydania wyroku prowadzi klienta na cienkiej nici, a w tym drugim cały czas go dźwiga na swoich barkach i nie zszedł aż do wyroku albo nawet dłużej. Tak właśnie jest. Ale nie całkiem słusznie powiedziałem, że nigdy nie żałuję tej wielkiej pracy. Kiedy wcale nie jest doceniana, tak jak z pańskiej strony, wtedy cóż, zaczynam jej żałować.

Te słowa raczej zniecierpliviły K., niż go przekonały. Jakby w ich tonie słyszał, że jeżeli ustąpi, znowu się zaczną nieustanne obietnice, opowieści o kolejnej prośbie do sądu, o urzędnikach sądu oraz ich lepszym obecnie nastroju, ale także o wielkich trudnościach powstających przy tej pracy, krótko mówiąc – że mecenas sięgnie po swoje wszystkie znane aż do obrzydzenia sposoby, żeby znowu go łudzić niejasnymi nadziejami i dręczyć niejasnymi groźbami. Należało temu zapobiec raz na zawsze. Spytał:

– Jakie działania podejmie pan w mojej sprawie, jeżeli nie cofnę pełnomocnictwa?

Adwokat zniósł posłusznie nawet to obraźliwe pytanie i odparł:

– Będę ciągnął te, które już podjąłem.

– Wiedziałem. Od tej chwili dalsze słowa są zbędne.

– Zrobię jeszcze jedną próbę – powiedział mecenas, jakby wszystko, czym K. był tak rozjątrzony, nie spotkało K., lecz jego. – Domyślam się bowiem, co pana podkusiło nie tylko do błędnego osądu mojej pomocy prawnej, lecz w ogóle do takiego zachowania: otóż, mimo że jest pan oskarżony, traktuje się pana za dobrze albo, ściśle mówiąc, lekceważąco, wyraźnie lekceważąco. Nawet za tym ostatnim przemawia pewien argument: nieraz lepiej być w kajdanach niż być wolnym. Ale chciałbym panu jednak pokazać, jak się traktuje innych oskarżonych, może wyciągnie pan z tego naukę. Wezwę teraz mianowicie Blockbauma, niech pan otworzy drzwi i siądzie tutaj przy nocnym stoliku.

– Proszę bardzo. – K. zrobił, czego tamten żądał, zawsze był skory do nauki. Chcąc się jednak zabezpieczyć, na wszelki wypadek jeszcze spytał: – Tylko czy przyjął pan do wiadomości, że cofam pełnomocnictwo?

– Tak, ale może pan to choćby dzisiaj odwołać.

Adwokat położył się, okrył pierzyną aż po brodę i obrócił do ściany. Następnie pociągnął za dzwonek.

Na ten znak zjawiała się natychmiast Lenka; spojrzeniami próbowała szybko wy badać, co się zdarzyło, a widząc, że K. spokojnie siedzi przy łóżku adwokata, sama się uspokoiła. Skinęła porozumiewawczo głową i uśmiechnęła się do drętwo patrzącego na nią K.

– Sprowadź Blockbauma – powiedział adwokat. A ona, zamiast go przyprowadzić, stanęła tylko w drzwiach i zawołała:

– Blockbaum! Do mecenas!

Następnie, korzystając chyba z tego, że adwokat leży twarzą do ściany i na nic nie zwraca uwagi, wśliznęła się za krzesło K. Zaczęła go rozpraszać, przechylała się ponad oparciem albo dyskretnie, bardzo łagodnie przegarniała mu włosy i głaskała policzki. Żeby to przerwać, złapał ją w końcu za rękę, a Lenka tylko chwilę mu się wyrywała.

Blockbaum zaraz się pojawił na wezwanie, stał jednak w progu i zdawało się, że rozważa, czy wejść. Uniósł brwi i przechylił głowę, jakby nasłuchując ponownego rozkazu. K. mógł zachęcić go do wejścia, jednak postanowił, że zerwie ostatecznie nie tylko z adwokatem, ale i ze wszystkim, co jest w tym mieszkaniu, więc zamarł bez ruchu. Milczała nawet Lenka. Blockbaum spostrzegł, że go co najmniej nikt nie wygania, i na czubkach palców, z napiętą twarzą, chowając za siebie zaciśnięte dłonie, wszedł. Dla zapewnienia sobie odwrotu zostawił drzwi otwarte. Nie patrzył wcale na K.,

tylko na wysoką pierzynę; nie było spod niej widać adwokata, leżącego blisko ściany. Ale dał się słyszeć jego głos:

– Blockbaum?

Dla kupca, który tymczasem uszedł spory kawałek, odezwanie to było jak szturchnięcie w pierś, a potem w plecy; zachwiał się, stanął nisko schylony i odparł:

– Służę.

– Czego chcesz? – powiedział adwokat. – Przeszkadzasz mi.

– Czy nie wołano mnie? – spytał Blockbaum raczej siebie niż jego, obronnym gestem uniósł dłonie i zbierał się do ucieczki.

– Wołano, a jednak mi przeszkadzasz. – Po chwili adwokat dodał: – Zawsze mi przeszkadzasz.

Odkąd adwokat zaczął mówić, kupiec nie spoglądał więcej na łóżko, ale raczej patrzył przed siebie, w kąt, i tylko słuchał, jakby widok mówiącego za bardzo go już olśniewał i był nie do zniesienia. Ale i słuchanie sprawiało mu trudność, bo mecenas mówił w stronę ściany, a na dodatek cicho i szybko.

– Mam sobie pójść, proszę pana?

– Skoro jesteś, to trudno. Zostań. – Blockbaum zaczął drzeć, przez co miało się wrażenie, że mecenas nie spełnia teraz jego pragnień, tylko raczej grozi mu batem. – Wczoraj byłem u trzeciego sędziego, który jest moim przyjacielem – ciągnął adwokat – i stopniowo skierowałem rozmowę na ciebie. Czy chcesz wiedzieć, co mówił?

– Ależ tak, proszę. – Ponieważ mecenas nie odpowiadał, Blockbaum powtórzył prośbę i nachylił się, jakby chciał klęknąć. Aż nagle K. oburzony krzyknął na kupca:

– Co ty robisz? – Ponieważ Lenka chciała go powstrzymać, złapał ją za drugą rękę. W tym uścisku nie było miłości, i opiekunka, jęcząc, usiłowała się wywinąć. Ale karę za jego okrzyk poniósł Blockbaum. Adwokat zapytał:

– Kto jest twoim obrońcą?

– Moim obrońcą jest pan.

– A oprócz mnie?

– Nikt oprócz łaski pana.

– Więc nikogo innego nie słuchaj. – Kupiec przytaknął i gwałtownie potrząsając głową, mierzył K. złymi spojrzeniami. Gdyby jego zachowanie przełożyć na słowa, byłyby to prostackie wyzwiska. I z tym człowiekiem K. chciał po przyjacielsku rozmawiać o swojej sprawie!

– Nie będę ci więcej przeszkadzał – powiedział K. rozparty na krześle. – Padaj na klęczki albo się czołgaj na czworakach, wyczyniaj sobie co chcesz, mnie to nie obchodzi.

A jednak Blockbaum miał swój honor, przynajmniej wobec K., bo wymachując pięściami, podszedł do niego i zawołał na tyle głośno, na ile śmiał przy adwokacie:

– Proszę ze mną nie rozmawiać w ten sposób, tak nie wolno! Dlaczego mnie pan obraża? I w dodatku przy panu mecenasie, który tylko z miłosierdzia pozwala nam obu tutaj być! Pan szanowny, też oskarżony i też mający proces, nie jest lepszym człowiekiem niż ja, a jeżeli mimo to pozostał „panem”, to ja tak samo, jeżeli nawet nie bardziej. I oczekuję takiego zwracania się do mnie, już zwłaszcza z pańskiej strony. A jeżeli pan uważa za przywilej, że wolno mu tutaj spokojnie siedzieć i słuchać, kiedy ja tymczasem według pańskiego określenia czołgam się na czworakach, jeżeli tak, to przypominam o starej prawniczej sentencji: dla podejrzanego ruch jest lepszy niż spoczynek, bo kto się nie rusza, ten nigdy nie wie, czy nie znajduje się właśnie na szali, na której go ważą razem z jego grzechami.

K. nic nie mówił, tylko zdumiony wbił wzrok w tego człowieka, któremu się pomieszało w głowie. Jakie w nim zaszły zmiany już choćby przez ostatnią godzinę! Czy on przez proces tak się miota od ściany do ściany i nie dostrzega, gdzie przyjaciel, a gdzie wróg? Czy nie widzi, że adwokat rozmyślnie go upokarza, tym razem tylko dla popisania się władzą przed K., którego pewnie też chce ujarzmić? A jeżeli kupiec nie ma tej świadomości lub mu ona nie pomaga, bo Blockbaum za bardzo się boi mecenas, to z kolei skąd ma tyle sprytu, a może odwagi, żeby oszukiwać go i przemilczać najmowanie jeszcze innych adwokatów? I czemu śmie napadać K., skoro on w każdej chwili może zdradzić jego tajemnicę? Ale kupiec pozwolił sobie na jeszcze więcej: stanął przy łóżku i zaczął się skarżyć na K.:

– Czy pan, proszę pana mecenas, słyszał, jak ten człowiek ze mną rozmawia? Jego proces trwa ledwie godziny, a on już chce dawać nauki mnie, człowiekowi mającemu proces od pięciu lat. I jeszcze mnie wyzywa. Nic nie wie, a wyzywa mnie, który na miarę moich wątłych sił dokładnie przestudiowałem, co nakazują zwyczaje sądu, przyzwoitość i obowiązek.

– Nie przejmuj się nikim – powiedział adwokat – i rób, co uważasz za stosowne.

– Otóż to. – Blockbaum, jakby sam sobie dodawał otuchy, rzucił spojrzenie

z ukosa i klęknął przy łóżku. – Już klęczę, adwokacie mój. – Ale mecenas milczał. Kupiec ostrożnie pogładził pierzynę. Panowała cisza, wreszcie Lenka, wyzwoliwszy się z uchwytu K., powiedziała:

– Sprawiasz mi ból. Zostaw mnie. Idę do Blockbauma.

Poszła i siadła na skraju łóżka. Kupiec bardzo się ucieszył i z ożywieniem poprosił zaraz gestami, żeby się za nim wstawiła. Zapewne potrzebował bardzo pilnie wiadomości od adwokata, ale być może wyłącznie do użytku pozostałych pięciu. Lenka widać dobrze знаła sposoby na mecenasa – wskazała jego dłoń i ściągnęła usta jak do pocałunku. Blockbaum wykonał zalecenie, całując tę dłoń, po czym, zachęcony przez Lenkę, powtórzył to jeszcze dwa razy. Ale Fawor ciągle milczał. W końcu Lenka, ukazując piękne kształty, schyliła się głęboko do twarzy mecenasa, żeby pogłaskać jego długie, białe włosy. I jednak wymogła odpowiedź:

– Waham się, czy mu to wyjawić – odparł adwokat i widać było, jak trochę kręci głową, pewnie chcąc silniej zaznać dotyku jej dłoni. Kupiec miał głowę zwieszoną, jakby, słuchając, naruszał jakieś przykazanie.

– Dlaczego się wahasz? – spytała Lenka. K. miał wrażenie, jakby słyszał wyuczoną rozmowę, która nieraz się powtarzała i będzie powtarzać, i która tylko dla Blockbauma nigdy nie przestanie być czymś nowym.

– Jak on się dzisiaj sprawował? – spytał adwokat, zamiast odpowiedzieć. Lenka przed wyrażeniem opinii spojrzała na Blockbauma, chwilę obserwując, jak unosi do niej ręce i je błagalnie styka. Wreszcie z powagą skinęła głową i zwróciła się do mecenasa:

– Był spokojny i pilnie pracował.

Stary kupiec, mężczyzna z długą brodą, błagał dziewczynę o świadectwo na jego korzyść. Nic, nawet skryte zamiary, nie mogło go usprawiedliwić w oczach drugiego człowieka. Swoim widokiem niemal poniżał patrzącego. Jak adwokat mógł myśleć, że takim pokazem zjedna sobie K.? Gdyby nie fakt, że już go wcześniej zniechęcił, osiągnąłby to dzięki trwającej właśnie scenie. Więc metoda, którą mecenas na szczęście nie zdążył urobić K., powoduje, że klient w końcu zapomina o całym świecie i pragnie tylko dowlec się tym bezdrożem do końca procesu. Oto już nie klient adwokata, lecz jego pies. Gdyby mecenas kazał mu wpełznąć pod łóżko jak do budy i stamtąd zaszczekać, on by to zrobił z radością. K. słuchał badawczo z takim poczuciem przewagi, jakby mu polecono chłonać wszystko, co tu mówią, i gdzieś wyżej złożyć o tym doniesienie i raport.

– Co przez cały dzień robił? – spytał adwokat.

– Nie chciałam, żeby mi przeszkadzał w pracy, więc go zamknęłam w służbówce, gdzie zresztą zwykle przebywa. Chwilami patrzyłam przez okienko, co robi. Cały czas klęczał na łóżku, na parapecie miał rozłożone pisma z sądu, które mu pożyczyłeś, i czytał. To zrobiło na mnie dobre wrażenie, bo okno wychodzi tam na szyb wentylacyjny i ledwo daje światło. A mimo to Blockbaum czytał, co pokazało mi, jak jest posłuszny.

– Miła dla mnie wiadomość – odpowiedział adwokat. – A czy rozumiał, co czyta?

Kupiec podczas tej rozmowy bez przerwy poruszał ustami, widocznie formułował odpowiedzi, jakich spodziewał się po Lence.

– Co do tego nie mogę nic powiedzieć na pewno. W każdym razie widziałam, że czyta wnikliwie. Przez cały dzień wodził palcem po tej samej stronie, linijka po linijce. Ilekroć do niego zaglądałam, wzdychał, jakby miał z czytaniem dużą trudność. Pisma, które mu pożyczyłeś, nie są pewnie zbyt zrozumiałe.

– Oczywiście, że nie są. I nie przypuszczam, żeby cokolwiek z nich rozumiał. Mają mu tylko dać pojęcie o tym, jak trudną walkę toczę w jego obronie. A za kogo ją toczę? Śmiech powiedzieć: za Blockbauma. Niechże pojmie i to. Czy studiował bez przerwy?

– Niemal bez przerwy. Tylko raz poprosił o wodę do picia. Wtedy mu przez okienko podałam szklankę. Później, o ósmej, wypuściłam go i nakarmiłam.

Kupiec musnął K. spojrzeniem, jakby właśnie opowiadano o nim chlubne rzeczy, które nawet na K. muszą zrobić wrażenie. Wyglądało na to, że jest już dobrej myśli, swobodniej się poruszał i przesuwiał na kolanach w różne strony. Tym wyraźniej było widać, jak zamiera na słowa adwokata:

– Chwalisz go, ale właśnie dlatego tak przykro mi opowiadać o sędzim. Otóż mówił on nieprzychylnie zarówno o samym Blockbaumie, jak o jego procesie.

– Nieprzychylnie? Jak to możliwe? – spytała Lenka. Kupiec patrzył na nią z takim napięciem, jakby oczekiwał, że ona zdoła i teraz obrócić na jego korzyść dawno już wypowiedziane słowa sędziego.

– Owszem, nieprzychylnie. Kiedy zacząłem o Blockbaumie mówić, był nawet niemile dotknięty: „Niech pan nie opowiada o Blockbaumie”. „To mój klient” – odparłem. „Daje się pan wykorzystywać” – odrzekł. „Nie uważam jego sprawy za przegraną” – powiedziałem. „Daje się pan wykorzystywać” –

powtarza na to sędzia. „Nie przypuszczam” – odpowiedziałem, „Blockbaum przykłada się do procesu i pilnuje własnej sprawy. Niemalże u mnie mieszka, byle tylko być na bieżąco. Nie zawsze się spotyka taką gorliwość. Owszem, to człowiek nieokrzesany, przykry w obejściu i plugawy, ale pod względem procesowym nienaganny”. Powiedziałem, że nienaganny, umyślnie przesadziłem. Na co sędzia odparł: „Blockbaum to zwykły spryciarz. Nabrał dużego doświadczenia i umie odwlekać proces. Ale wiedzę ma znacznie mniejszą niż spryt. Co powiedziałby, gdyby usłyszał, że jego proces jeszcze się wcale nie zaczął, gdyby oznajmić mu, że nawet nie dano znaku dzwonkiem na rozpoczęcie procesu”. Spokój, Blockbaum! – powiedział adwokat do kupca, który niepewnie podnosił się już z klęczek, chcąc najwidoczniej prosić o jakieś objaśnienie.

Po raz pierwszy mecenas obszerniej zwrócił się wprost do niego. Zmęczonymi oczami to błędził dookoła, to patrzył na Blockbauma, który pod jego spojrzeniem znowu się osunął na kolana.

– Ta wypowiedź sędziego nie ma dla ciebie żadnego znaczenia – mówił adwokat. – Już się tak nie przerażaj byle słowem. Jeżeli to się powtórzy, nic więcej ci nie zdradzę. Nie można zacząć zdania, żebyś nie popatrzył na człowieka tak, jakby właśnie zapadał na ciebie ostateczny wyrok. Wstydzilibyś się przed moim klientem! Na dodatek podkopujesz zaufanie, jakim on mnie darzy. O co ci chodzi? Jeszcze żyjesz, jeszcze jesteś pod moją ochroną. Bezsensowne lęki! Gdzieś tam wyczytałeś, że w niektórych przypadkach wyrok końcowy zapada nieprzewidzianie, z dowolnych ust w dowolnym czasie. To przy wielu zastrzeżeniach oczywiście prawda, ale tak samo prawdą jest, że twoje lęki mnie brzydzą i że upatruję w nich braku należytego zaufania. Co ja znów takiego powiedziałem? Powtórzyłem wypowiedź jednego z sędziów. Jak wiesz, wokół postępowania w sądzie narasta nieprzenikniony czasem gąszcz poglądów. Na przykład ten akurat sędzia przyjmuje za początek postępowania inny moment niż ja. Zwykła różnica poglądów, i tyle. W pewnym stadium procesu zgodnie ze starym obyczajem daje się znak dzwonkiem. Zdaniem tego sędziego proces się zaczyna właśnie wtedy. Trudno, żebym teraz opowiadał o wszystkim, co przemawia przeciw temu pogładowi, zresztą byś nie zrozumiał, ale niech ci wystarczy, że przemawia przeciw niemu niejedno.

Stropiony kupiec rozgarniał palcami futro leżącego przed łóżkiem dywanika; przestraszony tym, co orzekł sędzia, roztrząsał już tylko jego

słowa, i chwilami zapominając o poddaństwie wobec adwokata, zastanawiał się nad sobą.

– Blockbaum! – powiedziała ostrzegawczym tonem Lenka i podciągnęła go lekko za kołnierz marynarki. – Zostaw już to futro i słuchaj, co mówi mecenas.

W katedrze

K. dostał zadanie, żeby pokazać kilka zabytków bardzo ważnemu kontrahentowi z Włoch, który jeszcze nigdy nie był w tym mieście. Innym razem poczułby się na pewno zaszczycony, ale teraz, kiedy już z największym trudem zachowywał reputację w banku, podjął się tej misji z wielką niechęcią. Gnębiła go każda chwila nieobecności w biurze; wprawdzie nie udawało mu się wykorzystywać czasu tak jak kiedyś, godzinami nieraz ledwo pozorował pracę, ale tym bardziej martwił się, ilekroć był od niej odrywany. Wicedyrektor ciągle czyhał, i K. wyobrażał go sobie wtedy w swoim gabinecie, jak siaduje przy biurku, jak przegląda jego urzędowe pisma, jak zaprasza i odbiera mu wieloletnich, zaprzyjaźnionych klientów, ba – może nawet jak wykrywa błędy, których mnóstwo groziło K. teraz na każdym kroku, a których już nie potrafił unikać. Skoro więc ostatnio jakiś przypadek sprawiał, że ciągle musiał odbywać służbowe rozmowy na mieście albo nawet krótkie podróże, to takie choćby najzaszczytniejsze misje nasuwały pytanie, czy aby nie wyprawiano K. dla skontrolowania jego pracy biurowej albo czy go w każdym razie nie uważano za mniej potrzebnego. Przeważnie mógł bez trudu odmówić, ale nie śmiał, bo jeżeli jego obawy były choć trochę uzasadnione, to przez odmowę by się zdradził. Dlatego z pozorną obojętnością brał te zadania na siebie i raz nawet zataił ciężkie przeziębienie, ponieważ akurat panowała deszczowa, jesienna pogoda, a nie chciał, żeby go ktoś zaczął powstrzymywać przed męczącym służbowym wyjazdem na dwa dni. Ledwo ze wściekłym bólem głowy wrócił, dowiedział się, że do oprowadzania nazajutrz kontrahenta z Włoch wybrano jego. Miał wielką ochotę się wymówić chociażby od tego zadania, przede wszystkim nie było ściśle związane z interesami, ważne skądinąd obowiązki towarzyskie wobec kontrahenta niewiele znaczyły dla K., ponieważ wiedział, że albo się wykaże efektywną pracą, albo, choćby nawet niespodziewanym trafem oczarował Włocha, nie przetrwa na stanowisku, i ponieważ z chwilą porzucenia pracy biurowej czuł zawsze lęk, że nie zostanie do niej przywrócony – lęk przesadny, jak sam wyraźnie widział, a mimo to dojmujący. W tym wypadku jednak nie sposób było przekonująco uzasadnić odmowy – język włoski znał wprawdzie nienadzwyczajnie, ale dostatecznie,

a o wszystkim rozstrzygnął fakt, że posiadał kiedyś pewną wiedzę w dziedzinie historii sztuki, co z wielką przesadą rozgłaszano w banku, ponieważ przez jakiś czas, zresztą tylko ze względów służbowych, należał do Miejskiego Stowarzyszenia Ochrony Zabytków. Tymczasem z pogłosek wiadomo było, że Włoch to miłośnik sztuki, i dlatego przydzielenie mu K. jako przewodnika uważano za oczywistość.

Nazajutrz bardzo deszczowym i burzliwym rankiem K., zły na myśl o czekającym go dniu, przyszedł do biura już o siódmej, żeby chociaż chwilę popracować, zanim tamten oderwie go od wszystkich spraw. Połowę nocy spędził na przygotowaniach, studiując podręcznik włoskiego, i teraz czuł dużą senność; ciągnęło go nie tyle biurko, ile parapet okna, gdzie ostatnio siadywał zbyt chętnie, teraz jednak zwalczył pokusę i zabrał się do pracy. Niestety, w tej samej chwili wszedł woźny z wiadomością, że pan dyrektor kazał zobaczyć, czy pan prokurent jest już u siebie, a jeżeli tak, to bardzo prosi do salonu recepcyjnego, bo przyszedł ten pan z Włoch.

– Już idę – K. wsadził do kieszeni mały słownik, wziął pod pachę album o atrakcjach miasta, który przygotował sobie z myślą o nieznanym, i przez biuro wicedyrektora poszedł do pokoju dyrektora. Czuł się szczęśliwy, że dzięki tak wczesnemu przyjsciu do biura jest od razu do usług, czego na pewno nikt nie oczekiwał. Oczywiście, biuro wicedyrektora było jeszcze puste jak w środku nocy, być może po niego też posłano, ale bez skutku. Kiedy K. wszedł do salonu, obaj panowie wstali z głębokich foteli. Dyrektor wyraźnie się ucieszył jego przyjsciem i z życzliwym uśmiechem dokonał prezentacji, roześmiany Włoch mocno potrząsnął ręką K. i nazwał kogoś „rannym ptaszkiem”; K. nie bardzo rozumiał, o kim on mówi, a w dodatku było to jakieś dziwne wyrażenie, którego sens odgadł dopiero po chwili. Odpowiedział paroma gładkimi zdaniem, a tamten przyjął je znowu śmiechem, co chwila nerwowo gładząc stalowosiwe, krzaczaste wąsy. Najwyraźniej były perfumowane, aż kusiły, żeby się zbliżyć i powąchać. Kiedy usiedli i zaczęli wstępną rozmowę, K. z dużym niezadowoleniem zauważył, że rozumie Włocha bardzo wrywkowo. Chwilami mówił on spokojnie i prawie całkiem zrozumiale, ale były to rzadkie wyjątki, zwykle zalewał ich istnym potokiem słów, jakby z lubością kręcąc przy tym głową. I zawsze wtedy brnął w jakiś dialekt, dla K. już niepodobny do języka włoskiego, lecz zrozumiały dla dyrektora, który nim nawet władał; to jednak było do przewidzenia, skoro kontrahent pochodził z południowych Włoch,

gdzie dyrektor spędził kilka lat. Tak czy inaczej, K. uświadomił sobie, że raczej nie będzie mu dane się porozumieć z Włochem, bo nie ułatwiały tego ani jego równie słabo rozumiała francuszczyzna, ani ruchy niewidocznych pod wąsami ust. Przeczuwał już rozmaite niezręczne sytuacje; na razie dał za wygraną i nie próbował kontrahenta zrozumieć, szkoda było wysiłku przy dyrektorze, któremu przychodziło to tak łatwo; poprzestał na niechętnym obserwowaniu, jak tamten spoczywał w fotelu, głęboko, a przy tym swobodnie, jak ciągle poprawiał kusą, mocno wciętą marynarkę i jak w pewnej chwili, unosząc ramiona i potrząsając luźno dłońmi, próbował przedstawić coś, czego K., choć wychylony wodził bez przerwy spojrzeniem za gestami Włocha, nie zdołał się domyślić. Sam nic nie robił, śledził tylko machinalnie wymianę zdań, czuł wracającą senność i raz nawet, szczęśliwie zawczasu, zauważył ku swojej zgrozie, że w roztargnieniu już miał się podnieść, obrócić na pięcie i wyjść. Wreszcie kontrahent spojrzał na zegarek i raptownie wstał. Pożegnawszy się z dyrektorem, napał na K., przez co nie mógł on bez cofnięcia fotela zrobić najmniejszego ruchu. To, że K. także pod względem językowym znalazł się w potrzebie, dyrektor poznał na pewno po jego oczach; zaczął się wtrącać do rozmowy tak mądrze i subtelnie, że pozornie dorzucał tylko drobne rady, a naprawdę w największym skrócie objaśniał wypowiedzi Włocha, niestrudzenie wpadającego mu w słowo. Dzięki dyrektorowi K. dowiedział się, że kontrahent ma jeszcze pewne interesy do załatwienia, że cóż, niestety, mało mu zostanie czasu, że zresztą bynajmniej nie zamierza w pośpiechu oblecieć wszystkich zabytków, tylko, oczywiście jeżeli pan prokurent się zgodzi, bo decyzja należy do niego – woli raczej zwiedzić samą katedrę, ale za to gruntownie. Ogromnie cieszy się na zwiedzanie w towarzystwie tak uczonej i miłej osoby – miał na myśli K., zajętego wyłącznie puszczeniem mimo uszu wypowiedzi Włocha i wyławianiem słów dyrektora – a jeżeli to byłby dogodny czas, prosi o przyjscie do katedry za dwie godziny, powiedzmy, o dziesiątej. Ma nadzieję, że sam zdoła być tam punktualnie. K. stosownie odpowiedział, Włoch uściśnął dłoń dyrektorowi, jemu i znów dyrektorowi, a kiedy za nim szli do drzwi, wciąż jeszcze mówił coś przez ramię. K. chwilę został. Dyrektor, wyglądający dzisiaj na szczególnie zbolałego, poczuwał się do jakiegoś usprawiedliwienia, stanął tuż obok i oznajmił mu poufnie, że najpierw zamierzał pójść z kontrahentem sam, ale że później postanowił wysłać K.; przyczyn nie podał. I niech K. się nie peszy, że z początku czegoś

nie rozumie, z każdą chwilą będzie lepiej, a jeżeli nawet nie, to trudno, Włochowi nie zależy tak bardzo na tym, żeby go ktoś rozumiał. A zresztą, K. nadspodziewanie dobrze zna włoski i na pewno świetnie sobie poradzi. To usłyszał na pożegnanie. Czas, jaki mu jeszcze został, spędził na wypisywaniu ze słownika rzadkich wyrazów potrzebnych przy zwiedzaniu katedry. Była to niezwykle uciążliwa praca, woźni wnosili pocztę, urzędnicy przychodzili z różnymi zapytaniami, a widząc, że jest zajęty, stawali w drzwiach, ale tkwili tam, póki ich nie wysłuchał, wicedyrektor nie marnował okazji do przeszkadzania, często wchodził, wyjmował z ręki K. słownik i najwyraźniej bezmyślnie kartkował, nawet strony za każdym otwarciem drzwi zjawiały się w półmroku przedpokoju i choć nie wiedziały, czy je widać, próbowały niepewnymi ukłonami zwrócić na siebie uwagę; dookoła K. trwał cały ten ruch, a on tymczasem zestawiał potrzebne sobie wyrazy, później wyszukiwał je w słowniku, później wypisywał, później próbował wymawiać i w końcu zapamiętywać. Jednak chyba do reszty zawiodła go tak dobra dawniej pamięć, chwilami, wściekły na kontrahenta, który naraził go na cały ten wysiłek, niezłomnie postanawiał zarzucić wszystkie przygotowania i chował słownik gdzieś pod papierami; potem jednak uświadamiał sobie, że przecież w katedrze nie może, milcząc, prowadzić Włocha tylko do kolejnych dzieł sztuki, więc jeszcze bardziej wściekły wyciągał słownik od nowa.

Dokładnie o wpół do dziesiątej zbierał się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon, to Lenka chciała powiedzieć mu dzień dobry i zapytać o samopoczucie; podziękował krótko i wspomniał, że nie przedłuża rozmowy, bo jedzie do katedry.

– Do katedry?

– No tak, do katedry.

– A czemu do katedry?

Ledwo zaczął jej to zwięźle wyjaśniać, stwierdziła:

– Gonią cię.

Nie znosił, kiedy ktoś wbrew jego oczekiwaniom i woli okazywał mu litość; pożegnał się w dwu słowach, ale odwieszając słuchawkę, powiedział pół do siebie, pół do dalekiej dziewczyny, której już nie słyszał:

– Tak, gonią mnie.

Zrobiło się już późno, istniała groźba, że nie dotrze na czas. Jechał samochodem; w ostatniej chwili przypomniał sobie jeszcze, że rano nie miał okazji wręczyć Włochowi albumu, który teraz trzymał na kolanach, przez

całą drogę z niepokojem bębniąc w niego palcami. Deszcz osłabł, ale wilgoć, chłód i ciemności były takie, że w katedrze niewiele zobaczą i tylko K. od stania długo na zimnej posadzce jeszcze się bardziej przeziębii.

Ciasny plac katedralny był pusty; K. pamiętał, jak już we wczesnym dzieciństwie uderzało go, że zasłony w oknach przyległych domów są niemal zawsze zaciągnięte. Przy dzisiejszej pogodzie było to jednak łatwiej zrozumieć niż kiedy indziej. Pusta wydawała się także katedra, oczywiście nikomu nie powstało w głowie, żeby tu teraz przyjść. Przemierzył spieszenie obie nawy boczne i napotkał tylko starą kobietę, która, otulona w ciepłą chustę, klęcząc, patrzyła w obraz Madonny. Po chwili jeszcze zobaczył z daleka kulawego sługę kościelnego, jak znika za drzwiczkami w ścianie. K. przyjechał punktualnie, dokładnie z chwilą jego wejścia biła jedenasta, ale Włocha jeszcze nie było. Wrócił do głównego wejścia, postać tam niezdecydowany, po czym w deszczu okrążył katedrę, żeby sprawdzić, czy tamten nie czeka może przy którymś bocznym wejściu. Nie było go nigdzie. Czyżby dyrektor źle zrozumiał podaną godzinę? Bo zresztą jak tego człowieka zrozumieć? Ale tak czy inaczej wypadało, żeby K. co najmniej pół godziny zaczekał. Czuł zmęczenie, więc postanowił usiąść; wszedł do katedry, na jednym ze stopni zauważył skrawek jakiejś tkaniny przypominającej chodnik, czubkiem buta zaciągnął go pod pobliską ławkę, owinął się szczelniej płaszczem, podniósł kołnierz i usiadł. Z braku zajęcia otworzył album, zaczął go kartkować, jednak po chwili przestał, bo tak pociemniało, że spojrzawszy w pobliską nawę boczną, już mało co rozróżniał.

Daleko na ołtarzu głównym skrzył się światłem duży trójkąt świec, K. nie miał pewności, czy je wcześniej widział. Być może zapalono świece dopiero teraz. Sług kościelnych się nie zauważa, ich profesją jest robota po cichu. W pewnej chwili mimowolnie się odwrócił i niedaleko za sobą zobaczył wysoką, grubą świecę, która płonęła przytwierdzona do kolumny. Jakkolwiek pięknie wyglądała, nie wystarczała do rozświetlenia obrazów, zwłaszcza na pograżonych w mroku ołtarzach bocznych, i raczej ten mrok zwielokrotniała. Nie przychodząc, Włoch postąpił nieuprzejmie, ale i roztropnie; nic by nie zobaczyli, musieliby się zadowolić co najwyżej obejrzeniem kilku obrazów cał po calu w świetle elektrycznej latarki K. Dla zbadania, czego można by się wtedy spodziewać, podszedł do bocznej kapliczki nieopodal, wspiął się po kilku stopniach i przechylony nad niską marmurową balustradą oświetlił

ołtarz. Przeszkadzało mu pełgające na tle obrazu światło wieczystej lampki. Pierwsze, co zobaczył i po części odgadł, to był przedstawiony na samym skraju obrazu wysoki rycerz w zbroi. Opierał się na mieczu wbitym przed sobą w nagą ziemię, skąd wyrastało tylko gdzieniegdzie źdźbło trawy. Jakby obserwował uważnie jakieś wydarzenie rozgrywające się przed jego oczami. Dziwne było, że tak stoi, zamiast podejść bliżej. Być może go wyznaczono do pełnienia straży. K., który już od dawna nie oglądał obrazów, wpatrywał się w rycerza długo, mimo że przy tym bez przerwy mrugał, bo latarka raziała go swoim zielonym światłem. Kiedy nim omiółt pozostałą część obrazu, zobaczył, że to złożenie Chrystusa do grobu, w tradycyjnym ujęciu, ale nowszej daty. Schował latarkę do kieszeni i wrócił na swoje miejsce.

Chyba nie było już po co czekać na Włocha, ale na zewnątrz lał pewnie deszcz, a ponieważ wbrew oczekiwaniom K. nie czuł zbytniego chłodu, więc postanowił, że jeszcze zostanie. Niedaleko widział główną ambonę, a na jej okrągłym daszku przymocowane dwa półleżące, złote i puste krzyże, których wierzchołki się nakładały. Zewnętrzną stronę balustrady i jej przejście do kolumny nośnej wyrzeźbiono w listowie, w którym zanurzały ręce aniołki, jedno w locie, inne w bezruchu. Podszedł i obejrzał ambonę od wszystkich stron; kamień poddano niezwykle starannej obróbce, chwytając jakby i utrwalając głęboką ciemność w tle liści; włożył rękę w taki prześwit i ostrożnie dotknął kamienia, dotychczas nie miał pojęcia o istnieniu tej ambony. Wtem przypadkowo dostrzegł, że za najbliższym rzędem ławek stoi kościelny w czarnym, fałdzistym, obwisłym ubraniu, z tabakierą w lewej ręce, i że na niego patrzy. „Czego on chce? – pomyślał. – Czyżbym wydawał mu się podejrzany? A może chciałby dostać napiwek?”. Kościelny zauważył, że K. go widzi, i prawą ręką, trzymając jeszcze w dwóch palcach szczyptę tabaki, wskazał w nieokreślonym kierunku. Trudno było zrozumieć to zachowanie; K. odczekał, ale tamten wciąż dokądś pokazywał i dla potwierdzenia kiwał głową.

„Czego on chce?” – pomyślał K., tutaj nie śmiał o to głośno zapytać; w końcu wyciągnął portmonetkę i zaczął za najbliższą ławką przeciskać się w jego stronę. Ale kościelny odmownie machnął ręką, wzruszył ramionami i kulejąc, odszedł. Stawiał spieszne kroki, podobne do tych, którymi K. w dzieciństwie próbował naśladować jazdę na koniu. „Zdziecinniały starzec, ledwo jeszcze ma dosyć rozumu, żeby posługiwać w kościele – pomyślał. – Jak przystaje, kiedy ja stanę, i jak czyha, póki nie ruszę dalej!”.

Z uśmiechem przeszedł za nim całą boczną nawę do wysokości ołtarza głównego, umyślnie się nie rozglądając, mimo że kościelny ciągle coś wskazywał; te gesty miały na celu tylko zmylenie tropu. W końcu jednak zostawił starca w spokoju, żeby go nie nastraszyć i na wypadek przyjścia Włocha nie spłoszyć takiej zjawy.

W poszukiwaniu miejsca, gdzie zostawił album, wkroczył do nawy głównej i wtedy przy jednej z kolumn zauważył boczną ambonę, która niemal przytykała do ławek prezbiterium. Prosta, z nagiego, jasnego kamienia, była tak mała, że z daleka wyglądała jak pusta jeszcze nisza, przeznaczona do umieszczenia w niej posągu. Kaznodzieja na pewno nie zdołałby się cofnąć na krok od balustrady. Poza tym kamienne sklepienie ambony, osadzone wyjątkowo nisko, wznosiło się wprawdzie bez ozdób, ale tak łukowato, że mężczyzna średniego wzrostu nie mógłby tam stanąć wyprostowany, lecz jedynie przechylony przez balustradę. Ambona sprawiała wrażenie, że służy tylko dręczeniu kaznodziei; trudno było zrozumieć, na co komu jest potrzebna, skoro istnieje druga, tak duża i kunsztownie zdobiona.

Ta mniejsza pewnie też nie rzuciłaby mu się w oczy, gdyby nie przytwierdzona w niej lampa, jaką się zwykle przynosi na chwilę przed kazaniem. Czyżby teraz ktoś miał je wygłosić? W pustym kościele? Spojrzenie K. ześliznęło się z ambony po przylegających do kolumny schodkach, tak wąskich, jakby służyły nie ludziom, lecz tylko zdobieniu kolumny. I rzeczywiście, pod amboną, co wywołało u K. uśmiech zdziwienia, stał z dłonią na poręczy duchowny, już miał wejść po schodkach, ale jeszcze na niego patrzył. Skinął lekko głową, na co K. się przeżegnał i uklonił, jak wypadało zrobić już wcześniej. Duchowny ruszył zamasyście, po czym drobnymi krokami prędko wszedł na ambonę. Czyżby naprawdę miało się zacząć kazanie? Może jednak kościelnemu nie całkiem odjęło rozum, może chciał nagonić K. do kaznodziei, co w pustym kościele oczywiście było pilnie potrzebne? Ale przecież gdzieś tam przed obrazem Madonny klęczy jeszcze ta stara kobieta, która też mogłaby przyjść. I skoro ma być kazanie, to czemu go nie zapowiadają organy? A one tylko w ciszy i ciemności pobłyskiwały z wysoka.

Pomyślał, czy nie najwyższa pora, żeby wyjść, po rozpoczęciu kazania będzie trudno, wtedy wypadłoby dotrzeć do końca, marnuje czas pracy, od dawna nie ma obowiązku czekać na Włocha; spojrzął na zegarek, była jedenasta. Ale czyżby naprawdę miało się zacząć kazanie? Czyżby on jeden

wystarczył za wiernych? A gdyby tak był przybyszem, który tylko chciał zwiedzić kościół? W gruncie rzeczy nikim innym nie był. To nonsens wyobrazić sobie kazanie teraz, o jedenastej w dzień roboczy i w najbardziej mroczną pogodę. Duchowny, bo na pewno duchownym jest ten młody człowiek o gładko ogolonej, ciemnej twarzy, wszedł na górę widocznie tylko dla zgaszenia lampy, którą zapalono przez pomyłkę.

Tak jednak nie było, duchowny raczej sprawdzał światło i jeszcze je podkreślił, po czym powoli obrócił się w stronę balustrady i ujął od przodu jej ostrą krawędź. Stał tak jakiś czas i nie ruszając głową, patrzył dookoła. K. cofnął się spory kawałek i oparł łokciami o pulpit pierwszej ławki. Rzucając niepewne spojrzenia, przelotnie zobaczył gdzieś kościelnego, który zgarbiony przysiadł spokojnie jak ktoś, kto wypełnił zadanie. Ależ teraz w katedrze panuje cisza! Cóż, K. ją zakłóci, nie zostanie tu dłużej; jeżeli bez względu na okoliczności duchowny ma o pewnej porze obowiązek głoszenia kazań, to dzisiejsze wygłosi równie dobrze bez asysty K., który swoją obecnością na pewno nie zwiększyłby efektu. Pomału ruszył, na palcach przesunął się wzdłuż ławki, aż skręcił w rozległe przejście główne i poszedł nim nadal bez żadnych przeszkód, tyle że od najbliższego kroku kamienna posadzka rozbrzmiewała dźwiękiem, a kolejne przęsła sklepienia słabo, ale bez przerwy niosły go prawem echa. Czuł się trochę opuszczony, kiedy tak szedł, być może obserwowany przez duchownego, sam jeden między pustymi ławkami; w dodatku ogrom katedry sięgał dla niego granic ludzkiej wytrzymałości. Mijając wcześniejsze swoje miejsce, w przelocie porwał zostawiony tam album i go schował. Już wydostawał się z obszaru ławek w stronę wyjścia, kiedy pierwszy raz usłyszał głos duchownego. Głos potężny i wprawny. Jak się rozlegał w katedrze gotowej go chłonać! Ale duchowny nie wołał do wiernych, nie było tu wieloznaczności, nie było ucieczki, zawołał:

– Józefie K.!

K. zastygł bez ruchu i wbił wzrok w ziemię. Jeszcze był wolny, jeszcze mógł pójść do którychś z trojga ciemnych drewnianych drzwiczek przed nim i się ulotnić. Byłby to znak, że nie zrozumiał albo że, owszem, zrozumiał, tylko nic sobie z tego nie robi. A odwracając się, zostanie przyłapany, bo przyzna, że rozumie, jest Józefem K. i – co więcej – że usłucha. Na drugie wołanie oczywiście by sobie poszedł, czekał na nie i czekał, ale wszystko umilkło, więc jednak lekko się obejrzał, tak tylko, żeby zobaczyć, co też robi

duchowny. Stał dalej spokojnie na ambonie, ale wyraźnie zauważył skręt jego głowy. K. byłby jak dziecko bawiące się w chowanego, gdyby się całkiem teraz nie odwrócił. Tak też zrobił, a tamten wezwał go kiwnięciem palca. Pora już była na szczerłość, więc K., gnany także ciekawością i chęcią przyspieszenia sprawy, ruszył w kierunku ambony wielkimi krokami. Stał przy pierwszych ławkach, ale jeszcze za daleko jak dla duchownego, który wyciągnął dłoń i opuszczonym palcem wskazał miejsce tuż pod amboną. K. podszedł znowu posłusznie aż tam, skąd widział go tylko, kiedy mocno zadarł głowę.

– Jesteś Józef K. – Duchowny podniósł w nieczytelnym geście opartą na balustradzie dłoń.

– Tak – odpowiedział K. i pomyślał, że dawniej tak szczerze podawał swoje nazwisko, a teraz ono mu ciąży i, co gorsza, znają je osoby spotykane pierwszy raz; jak przyjemnie było się samemu przedstawiać, żeby człowieka poznali.

– Jesteś oskarżony – powiedział duchowny wyjątkowo cicho.

– Tak. Dano mi znać.

– Więc to ciebie szukam. Jestem kapelanem więzienia.

– Ach tak.

– Sprowadziłem cię tu na rozmowę.

– O tym nie wiedziałem – odparł K. – Przyszedłem pokazać katedrę pewnemu Włochowi.

– Zostaw błahostki na boku. Co trzymasz w ręce? Czy to modlitewnik?

– Nie. Album o atrakcjach miasta.

– Odłóż go. – K. rzucił album tak gwałtownie, że kartki rozchyliły się w locie i zgniecione zaszurały o posadzkę.

– Czy wiesz, że twój proces źle stoi? – spytał kapelan.

– Też mi się tak wydaje. Starłem się, jak mogłem, jednak na razie bez powodzenia. Ale jeszcze nie mam gotowej prośby do sądu.

– Jak sobie wyobrażasz koniec?

– Dawniej myślałem, że to się musi skończyć dobrze, a teraz chwilami mam wątpliwości – odpowiedział K. – Nie wiem, jak to się skończy. A czy ty wiesz?

– Nie wiem, ale boję się, że źle. Jesteś uznawany za winnego. Być może twój proces wcale nie wyjdzie poza niski sąd. Przynajmniej na razie uznaje się twoją winę za dowiedzioną.

– Ale ja nie jestem winien. To pomyłka. Jak w ogóle może być winien człowiek? Ten czy inny, wszyscy tu jesteśmy ludźmi.

– Słusznie – odpowiedział duchowny – tyle że tak mawiają winni.

– Czy i ty mnie pochopnie osądzasz?

– Nie osądzam cię pochopnie.

– Dziękuję ci. Ale wszyscy inni ludzie, którzy biorą udział w tym postępowaniu, pochopnie mnie osądzają i te uprzedzenia wpajają osobom postronnym. Jestem w coraz trudniejszej sytuacji.

– Mylnie rozumiesz fakty – powiedział kapelan. – Wyrok nie zapada w jednej chwili, postępowanie przechodzi w wyrok stopniowo.

– Więc to tak. – K. zwiesił głowę.

– Co chcesz w najbliższym czasie zrobić dla swojej sprawy?

– Poszukam jeszcze pomocy – to mówiąc, K. podniósł głowę, żeby zobaczyć, jak duchowny to osądzi. – Są jeszcze pewne możliwości, których nie wykorzystałem.

– Za bardzo szukasz pomocy, a zwłaszcza u kobiet – powiedział kapelan z dezaprobatą. – Czyżbyś nie widział, że to nie jest prawdziwa pomoc?

– Chwilami, a nawet często gotów jestem ci przyznać rację, ale nie zawsze. Kobiety mają wielką władzę. Gdybym skłonił kilka znajomych kobiet do wspólnej pracy dla mnie, wtedy bym dopiął swego. Zwłaszcza że ten sąd składa się z niemal samych kobieciarzy. Pokaż sędziemu śledczemu z daleka jakąś kobietę, a w pogoni za nią przewróci stół rozpraw i oskarżonego.

Duchowny schylił głowę nad balustradą, jakby dopiero teraz przytłoczył go daszek ambony. Co za chmury na zewnątrz? To już nie był szary dzień, to była głęboka noc. Żaden z wielkich witraży nawet jednym przebłyskiem nie robił wyłomu w tej ciemnej ścianie. I teraz akurat kościelny zaczął gasić kolejno świece w głównym ołtarzu.

– Czy jesteś na mnie zły? – spytał K. – Być może nie znasz sądu, któremu służysz. – Nie dostał odpowiedzi. – Ale mówię tak tylko z własnych doświadczeń – dodał. Na górze ciągle panowała cisza. – Nie chciałem cię urazić.

I wtedy tamten krzyknął:

– Czy nie widzisz na dwa kroki od siebie? – Była w tym złość, ale zarazem przestrach jak u człowieka, który widząc, że ktoś upada, wydaje krzyk wbrew woli i rozumowi.

Obaj na długo zamilkli. K. w świetle lampki mógł wyraźnie zobaczyć

kapelana, który na pewno nie bardzo widział jego w panujących poniżej ciemnościach. Dlaczego tamten nie zszedł z ambony? Nie wygłosił przecież kazania, tylko oznajmił kilka wiadomości, które chyba przyniosłyby więcej szkody niż pożytku, gdyby traktować je poważnie. K. nie wątpił jednak w jego dobre intencje i możliwe, że gdyby duchowny zszedł z ambony, znalazłby z nim porozumienie, możliwe, że otrzymałby jakąś przydatną i decydującą radę – na przykład nie jak wpłynąć na proces, ale jak się z procesu wyrwać, jak go obejść, jak żyć poza procesem. Z pewnością istnieje na to sposób, K. ostatnio nieraz nad nim rozmyślał. A gdyby kapelan taki sposób znał, to może poproszony zdradziłby go, choć sam wchodzi w skład sądu i choć mimo swojej łagodnej natury skrzyczał K., kiedy on coś sądowi zarzucił.

– Czy nie chciałbyś zejść? To przecież nie jest pora głoszenia kazań. Zejdź do mnie.

– Teraz już mogę – tamten, teraz żałując pewnie swojego krzyku, zdjął lampę z haka. – Najpierw musiałem porozmawiać z tobą na odległość. Inaczej zbyt łatwo ulegam naciskom i zapominam, że jestem na służbie.

Już z górnych stopni wyciągnął rękę do K., który czekając przy schodkach, zapytał:

– Czy masz dla mnie trochę czasu?

– Ile tylko potrzebujesz. – Duchowny wręczył mu lampkę, żeby ją niósł. Nawet z bliska nie tracił pewnego dostojeństwa w sposobie bycia.

– Jesteś mi bardzo życzliwy – powiedział K. Chodzili razem po ciemnej nawie bocznej. – Stanowisz wyjątek pośród wszystkich, którzy tworzą ten sąd. Mam do ciebie więcej zaufania niż do któregośkolwiek z nich, mimo że tyłu już znam. Z tobą mogę rozmawiać otwarcie.

– Nie ulegaj złudzeniu.

– Ja złudzeniu? Jakiemu?

– Ulegasz złudzeniu co do sądu – powiedział kapelan. – Pisma wprowadzające do prawa mówią o tym złudzeniu tak: Przed prawem stoi odźwierny. Przed odźwiernym zjawia się mężczyzna z prowincji i prosi o wpuszczenie. Ale odźwierny mówi, że teraz nie może go do prawa wpuścić. Mężczyzna zastanawia się, po czym pyta, czy w takim razie pozwoli mu wejść później. „Możliwe – odpowiada odźwierny – ale teraz nie”. Ponieważ brama do prawa stoi niezmiennie otworem, a odźwierny schodzi na bok, mężczyzna wyciąga szyję, żeby przez bramę zajrzeć do

wnętrza. Na ten widok odźwierny wybucha śmiechem i mówi: „Skoro tak cię korci, spróbuj się dostać do środka, wbrew mojemu zakazowi. Ale pamiętaj: Ja jestem potężny. A jestem zaledwie najniższym z odźwiernych. I sala za salą stoją kolejno odźwierni, jeden potężniejszy od drugiego. Już widok trzeciego nawet dla mnie jest nie do zniesienia”. Takich trudności mężczyzna z prowincji nie oczekiwał, bo przecież, myśli sobie, prawo ma być dostępne każdemu i zawsze; ale teraz, uważniej patrząc na odźwiernego, na jego futro, duży, spiczasty nos, długie, cienkie, czarne wąsy tatarskie, postanawia jednak poczekać na wpuszczenie. Odźwierny daje mu stołek i wskazuje, żeby siadł obok drzwi. Mężczyzna siedzi tam dni i lata. Wiele razy próbuje uzyskać od odźwiernego pozwolenie na wstęp i nuży go tymi prośbami. Odźwierny często robi mu małe przesłuchania, wypytuje o jego rodzinne strony i o wiele innych spraw, ale od niechcienia, jak wypytuje wielcy panowie, a na koniec mówi zawsze, że jeszcze nie może go wpuścić. Mężczyzna, który na tę podróż w niejedno się zaopatrzył, wszystko bez względu na wartość przeznaczona na podkupienie odźwiernego. On to wprawdzie przyjmuje, ale jednocześnie mówi: „Wszystko przyjmuję tylko po to, byś nie pomyślał, że czegokolwiek zaniedbałeś”. W ciągu wielu lat mężczyzna obserwuje odźwiernego niemal bez przerwy. Zapomina o kolejnych odźwiernych, myśląc, że tylko pierwszy jest przeszkodą w dostaniu się do prawa. Przeklina ten nieszczęśliwy traf, w pierwszych latach nieoględnie i głośno, później na starość już tylko pomrukuje pod nosem. Dziecinnieje, a ponieważ w ciągu wieloletnich studiów nad odźwiernym dostrzegł nawet pchły w kołnierzu jego futra, więc także pchły prosi o pomoc i wpłynięcie na odźwiernego. W końcu słabnie mu wzrok i mężczyzna nie wie, czy wokół niego rzeczywiście pociemniało, czy go tylko łudzą oczy. Za to w ciemności dostrzega teraz, że z drzwi prawa bije niegasnący nigdy blask. Już niewiele życia mu zostaje. Przed śmiercią wszystko, czego doświadczył przez ten cały czas, składa się w jego głowie na jedno pytanie, którego dotąd jeszcze nie zadał odźwiernemu. Kiwa na niego, ponieważ nie może już unieść drętwiejącego ciała. Odźwierny musi nisko się pochylić, bo proporcje wzrostu bardzo się zmieniły na niekorzyść mężczyzny. „Co takiego jeszcze chcesz wiedzieć? Jesteś nienasycony” – mówi odźwierny. Mężczyzna pyta: „Przecież do prawa dążą wszyscy, więc czemu przez tyle lat nikt poza mną nie domagał się wpuszczenia?”. Odźwierny dostrzega, że z mężczyzną koniec, i chcąc, żeby odpowiedź dotarła jeszcze do jego głuchących uszu,

wrzeszczy: „Tędy nikt inny nie miał wstępu, bo to wejście było przypisane tylko tobie. Odchodzę, a wejście zamykam”.

– Więc odźwierny łudził mężczyznę – powiedział bez namysłu K., którego ta historia bardzo wciągnęła.

– Nie bądź pochopny – odparł kapelan. – Nie przyjmuj cudzego poglądu bez jego zbadania. Opowiedziałem ci tę historię dosłownie tak, jak brzmi w piśmie. Nie ma w niej nic o złudzeniu.

– Ale przecież jest oczywiste i na początku je trafnie wyczytałeś. Zbawiennego wyjaśnienia odźwierny udzielił mężczyźnie dopiero w chwili, kiedy już nie mogło się przydać.

– Nie został o nie wcześniej poproszony. I pamiętaj, że był zwykłym odźwiernym, a jako taki spełnił swój obowiązek.

– Dlaczego uważasz, że spełnił? Nie spełnił go. Miał być może obowiązek odsyłania wszystkich obcych, ale zarazem wpuszczenia mężczyzny, któremu było przypisane wejście.

– Masz za mało szacunku dla pisma i przeinaczasz tę historię – odpowiedział duchowny. – Zawiera ona dwie istotne deklaracje odźwiernego w kwestii wpuszczenia do prawa, jedną na początku, drugą na końcu. Pierwsza brzmi: „Że teraz nie może go do prawa wpuścić”. Druga brzmi: „To wejście było przypisane tylko tobie”. Gdyby między tymi deklaracjami zachodziła sprzeczność, wtedy miałbyś rację, mówiąc, że odźwierny łudził mężczyznę. Jednak żadna sprzeczność nie zachodzi. Przeciwnie, pierwsza deklaracja nawet wskazuje na drugą. Można by wręcz powiedzieć, że odźwierny wykraczał poza swoje obowiązki, kiedy robił mężczyźnie nadzieje na ewentualne wpuszczenie w przyszłości. Wydaje się, że w danej chwili miał jedynie obowiązek mężczyznę odesłać. I rzeczywiście, interpretatorzy pisma dziwią się nieraz tamtemu napomknieniu odźwiernego, który chyba lubi dokładność i trzyma się ściśle swoich urzędowych zadań. Przez wiele lat nie opuszcza stanowiska i zamyka bramę dopiero na sam koniec; zdaje sobie sprawę z wagi swojej służby, skoro powiada: „Jestem potężny”; żywi cześć dla przełożonych, skoro powiada: „Jestem zaledwie najniższym z odźwiernych”; nie jest gadatliwy, skoro mowa również o tym, że przez tyle lat zadaje tylko pytania „od niechcienia”; nie jest przekupny, skoro o podarunkach mówi: „Wszystko przyjmuję tylko po to, byś nie pomyślał, że czegokolwiek zaniedbałeś”; pełniąc obowiązki, nie popada nigdy ani w czułość, ani w złość, skoro mowa jest, że pozwala mężczyźnie

„nużyć” go prośbami; wreszcie na jego pedantyczny charakter wskazuje także powierzchowność – duży, spiczasty nos, długie, cienkie, czarne wąsy tatarskie. Czy może istnieć odźwierny bardziej obowiązkowy? A jednak odzywają się w nim jeszcze inne cechy, bardzo korzystne dla kogoś proszącego o wpuszczenie, cechy, które pozwalają uwierzyć, że być może odźwierny napomknieniem o przyszłej takiej możliwości trochę wykroczył poza swoje obowiązki. Otóż nie ulega kwestii, że jest trochę prostoduszny, a przez to i trochę zarozumiały. Być może trafnie wypowiada się o potędze, o władzy zarówno własnej, jak dalszych odźwiernych, o ich widoku, którego nawet on nie może znieść, być może, powiadam, ale forma tych wypowiedzi ukazuje, że jego pojęcia są zmaćcone przez prostoduszność i pychę. Interpretatorzy mówią o tym: trafne pojmowanie danej rzeczy nie do końca wyklucza jej mylne rozumienie. A w każdym razie należy zakładać, że choćby odźwierny przejawiał zaledwie odrobinę pychy i prostoduszności, to nie sprzyjają one czujnemu pilnowaniu wejścia, stanowią niedostatki jego charakteru. Na dodatek jeszcze odźwierny wydaje się z natury życzliwy, bynajmniej nie zawsze jest osobą urzędową. Już w pierwszej chwili żartuje, zapraszając mężczyznę, żeby wszedł do środka, wbrew wyraźnemu podtrzymaniu zakazu; a potem go nie odsyła, lecz mowa jest, że daje mu stołek i wskazuje, żeby siadł obok drzwi. Cierpliwe znoszenie prośb mężczyzny przez wszystkie lata, małe przesłuchania, przyjmowanie podarunków, szlachetne przyzwolenie na to, żeby obok mężczyzna głośno przeklinał nieszczęśliwy traf, który postawił tutaj odźwiernego – wszystko to wskazuje na odruchy współczucia. Nie każdy odźwierny by tak postępował. A jeszcze pod koniec na skinienie mężczyzny nisko się pochyła, żeby tamten mógł zadać ostatnie pytanie. Ze słów „jesteś nienasycony” przemawia zaledwie odrobina niecierpliwości, bo przecież odźwierny wie, że ze wszystkim koniec. Niektórzy w objaśnianiu tej kwestii posuwają się nawet dalej i twierdzą, że słowa „jesteś nienasycony” wyrażają swego rodzaju podziw, życzliwy, choć nie wolny od poczucia wyższości. W każdym razie dzięki temu postać odźwiernego rysuje się inaczej, niż myślisz.

– Znasz tę historię dokładniej i dłużej ode mnie – powiedział K. Po chwili milczenia spytał: – Więc uważasz, że nie łudził mężczyzny?

– Nie zrozum źle moich słów – odparł tamten. – Ukazuję ci tylko, jakie są na to poglądy. Nie przykładaj do nich zbytnej wagi. Pismo jest niezmiennie, a w takich poglądach nieraz wyraża się jedynie rozpacz nad jego

niezmiennością. W danym wypadku istnieje nawet pogląd, zgodnie z którym złudzeniu ulega odźwierny.

– To dosyć skrajny pogląd. Czym się go uzasadnia?

– Uzasadnienie – odpowiedział kapelan – bierze za punkt wyjścia prostoduszność odźwiernego. Mówi się, że nie zna on wnętrza prawa, lecz tylko przestrzeń przed wejściem, gdzie musi stale robić obchód. Uważa się, że ma dziecinne wyobrażenia o wnętrzu i że sam czuje strach przed tym, czym chce nastraszyć mężczyznę. Ba, czuje większy strach niż on, bo przecież mężczyzna chce ni mniej, ni więcej tylko wejść, nawet po tym, jak usłyszał o straszliwych odźwiernych we wnętrzu, a odźwierny wejść nie chce, w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Inni mówią wprawdzie, że musiał już tam być, bo przecież kiedyś przyjęto go do służby prawa, co mogło się stać tylko we wnętrzu. Na to można odpowiedzieć, że pewnie mianowano go odźwiernym przez okrzyk z wnętrza i że na pewno nie był tam, przynajmniej nie w głębi, skoro przecież dla niego już widok trzeciego z odźwiernych jest nie do zniesienia. A w dodatku brakuje jakichkolwiek relacji o tym, żeby przez tyle lat, prócz wzmianki o tamtych odźwiernych, powiedział cokolwiek o wnętrzu. Mógł mieć taki zakaz, ale o nim także nie powiedział. Z tego wszystkiego wnioskuje się, że nie wie nic o wyglądzie i znaczeniu wnętrza i że trwa w złudzeniu co do nich, a także co do mężczyzny z prowincji, bo podlega mu, lecz o tym nie wie. Traktuje mężczyznę jak podległego sobie, na co wskazuje wiele oznak, jak pewnie jeszcze pamiętasz. Ale w rzeczywistości jest wobec niego kimś podrzędnym, co widać nie mniej wyraźnie. Przede wszystkim człowiek wolny jest nadrzędny wobec człowieka, którego coś wiąże. A mężczyzna w istocie jest wolny, może iść, dokąd zechce, dostaje tylko zakaz wejścia do prawa, i zresztą tylko od pojedynczego człowieka, od odźwiernego. Jeżeli siada na stołku obok drzwi i pozostaje tam przez resztę życia, robi to z własnej woli, historia ta nie mówi o żadnym przymusie. Odźwiernego natomiast urzędowe zadania wiążą z jego stanowiskiem, nie wolno mu się stamtąd oddalać ani też, jak wszystko wskazuje, wchodzić do wnętrza, nawet gdyby chciał. Ponadto służy on prawu przy tym jednym wejściu, a więc i przy jednym mężczyźnie, któremu wejście jest wyłącznie przypisane. Także z tego względu mu podlega. Należy przyjąć, że w pewnym sensie pełnił przez wiele lat daremną służbę, bo jest powiedziane, że zjawia się przed nim mężczyzna, czyli ktoś w wieku męskim; zanim więc mężczyzna osiągnął swój wiek,

odźwierny dla wypełnienia swojej funkcji czekał, aż tamten raczy się z własnej woli zjawić. Ale także o końcu tej służby stanowi koniec życia mężczyzny, więc odźwierny jest mu podległy do końca. I stale podkreśla się, że najwyraźniej o tym wszystkim nie wie. W takiej niewiedzy nie dostrzega się jednak nic dziwnego, bo zgodnie z tym poglądem odźwierny trwa w jeszcze o wiele gorszym złudzeniu, a dotyczy ono jego służby. Na koniec mianowicie powiada: „Odchodzę, a wejście zamykam”, ale na początku mowa jest, że brama do prawa stoi niezmiennie otworem, a jeżeli niezmiennie, czyli bez względu na długość życia mężczyzny, któremu jest przypisana, to nawet odźwierny nie zdoła jej zamknąć. Rozbieżności dotyczą tego, czy odźwierny, zapowiadając zamknięcie bramy, chce tylko odpowiedzieć jakoś mężczyźnie, czy podkreślić swój służbowy obowiązek, czy może jeszcze w ostatniej chwili wzbudzić w nim skruchę i żal. Zgoda wśród większości panuje natomiast co do tego, że odźwierny nie zdoła zamknąć bramy. Uważają oni nawet, że co najmniej na koniec jest kimś podrzędnym także w swojej wiedzy, bo kiedy mężczyzna widzi blask bijący z wejścia do prawa, on stoi raczej plecami do wejścia i w żaden sposób nie okazuje, żeby dostrzegał jakąś zmianę.

– Mocne argumenty – powiedział K., który chwilami powtarzał sobie półgłosem jego objaśnienia. – Mocne, i teraz też myślę, że odźwierny ulega złudzeniu. Ale przez to nie wyrzekam się tamtego wcześniejszego poglądu, bo jeden z drugim częściowo się pokrywają. Nie jest rzeczą rozstrzygającą, czy odźwierny widzi wyraźnie, czy ulega złudzeniu. Powiedziałem, że ulega mu mężczyzna. Można by w to wątpić, gdyby odźwierny widział wyraźnie, ale gdyby ulegał złudzeniu, to ono by się z konieczności przeniosło na mężczyznę. Odźwierny byłby wtedy wprawdzie nie oszustem, ale jednak kimś tak prostodusznym, że należałoby go natychmiast przegonić ze służby. Bo pamiętaj, że złudzenie, w jakim trwa, jemu samemu nie przynosi żadnej szkody, ale mężczyźnie tysiąckrotnie.

– Tu napotkasz pogląd przeciwstawny – odpowiedział kapelan. – Niektórzy mianowicie mówią, że historia ta nikogo nie uprawnia do osądzania odźwiernego. Jakiegokolwiek robiłby wrażenie, jest jednak sługą prawa, do prawa przynależnym i wyjętym spod ludzkiego osądu. A wtedy nie można go uważać za podległego mężczyźnie. Związanie służbą choćby przy wejściu do prawa to nieporównanie więcej niż życie na wolności w świecie. Mężczyzna dopiero się zjawia przed prawem, odźwierny już tam jest. Prawo go

wyzaczyło do służby, a wątpić w jego dostojęństwo to wątpić w samo prawo.

– Z tym poglądem się nie zgodzę. – K. pokręcił głową. – Bo jeżeli się go podziela, trzeba wszystkie słowa odźwiernego uznać za prawdę, a przecież sam obszernie wykazałeś, że to jest niemożliwe.

– Nie – odpowiedział tamten. – Nie trzeba ich uznawać za prawdę, wystarczy je uznać za konieczność.

– Mętny pogład i smętny. Z kłamstwa czyni się porządek świata.

Tymi słowami K. zakończył, ale o niczym nie zawyrokował. Był zbyt zmęczony, żeby ogarnąć wszystkie wnioski z tej historii, wciągała go zresztą w jakieś niezwyčajne rozumowania, nierzeczywiste kwestie, jako temat rozmowy stosowniejsze dla urzędniczego grona w sądzie niż dla niego. Prosta historia urosła w beład, chciał się od niej oderwać, a kapelan pozwolił na to, dowodząc wielkiego wycucia, i przyjął uwagę K. bez słowa, choć na pewno nie była zgodna z jego poglądem.

Szli jakiś czas w milczeniu, K. trzymał się blisko duchownego, w mroku nie wiedząc, gdzie się znajduje. Lampa, którą niósł, dawno zgasła. Raz tylko jakiś posąg świętego mignął przed nim przebłyskiem srebra i na powrót zamienił się w ciemność. K., nie chcąc być zdanym na kapelana, spytał:

– Czy nie jesteśmy blisko głównego wejścia?

– Nie. Jesteśmy od niego daleko. Chciałbyś już iść?

Chwilowo akurat o tym nie myślał, a jednak odpowiedział bez wahania:

– Owszem, muszę iść. Jestem prokurentem w banku, czekają na mnie, do katedry przyszedłem tylko po to, żeby ją pokazać zagranicznemu kontrahentowi.

– Cóż – duchowny podał mu rękę. – Więc idź.

– Ale sam po ciemku nie wiem, w którą stronę.

– Pójdź w lewo do ściany, potem stale wzdłuż niej, a znajdziesz wyjście – odpowiedział kapelan.

Ledwo się parę kroków oddalił, a już K. zawołał na cały głos:

– Zaczekaj, proszę!

– Czekaam.

– Czyżbyś nic ode mnie więcej nie chciał? – spytał K.

– Nie.

– Wcześniej byłeś mi taki życzliwy – ciągnął K. – i wszystko wyjaśniałeś, a teraz mnie odprawiasz, jakbym cię wcale nie obchodził.

- Przecież musisz iść.
- No tak. Zechciej to zrozumieć.
- Najpierw ty zrozum, kim jestem.
- Jesteś kapłanem więzienia – to mówiąc, K. podszedł bliżej; nie był w banku tak pilnie potrzebny, jak to przedstawił, i śmiało mógł jeszcze zostać.
- To znaczy, że wchodzę w skład sądu – powiedział duchowny. – Więc jak miałbym czegoś od ciebie chcieć? Sąd nic od ciebie nie chce. Przyjmuje cię, kiedy przychodzisz, a kiedy odchodzisz, odprawia cię.

Koniec

W przeddzień trzydziestych pierwszych urodzin K. około dziewiątej wieczór, w porze, kiedy na ulicach jest cicho, do jego mieszkania przyszli dwaj panowie. W surdutach, bladzi i tłuści, w cylindrach jakby przytwierdzonych na stałe. Krótka ceremonia wzajemnego przepuszczania się w progu powtórzyła się na większą skalę przed wejściem do pokoju K. Mimo że mu tych odwiedzin nie zapowiedziano, siedział na krześle blisko drzwi, również na czarno ubrany, i powoli wciągał nowe, ciasne rękawiczki w postawie, w jakiej się oczekuje gości. Wstał i spojrzął na obu z zaciekawieniem.

– Więc to panów do mnie wyznaczono?

Skinęli głowami, pokazując na siebie nawzajem cylindrami w rękę. Przyznał w duchu, że oczekiwał innych gości. Podeszedł do okna i jeszcze wyjrzał na ciemną ulicę. Ciemna też była ciągle większość okien po drugiej stronie, wiele miało zaciągnięte zasłony. Za kratką w jedynym oświetlonym oknie na tym piętrze dwoje małych dzieci, nie umiejąc się jeszcze ruszyć z miejsc, w zabawie sięgało rączkami jedno do drugiego. „Przysłano po mnie starych, podrzędnych aktorów – pomyślał K. i dla pewności się obejrzał. – Wymyślono tani sposób na mnie”. Nagle obrócił się do nich i spytał:

– Panowie grają w którym teatrze?

– Teatrze? – jeden z nich, któremu drgały kąciuki ust, prosił o radę drugiego. Ten przybrał pozę niemowy walczącego z opornym organizmem. „Nie są przygotowani na zadawanie im pytań” – stwierdził K. i poszedł po kapelusz.

Chcieli go wziąć pod rękę już na schodach, ale powiedział:

– Dopiero na ulicy, nie jestem chory.

A jednak już w bramie to zrobili, inaczej niż ktokolwiek, kto z nim dotychczas chodził. Barkami przywarli od tyłu do jego barków, nie zgięli ramion, tylko oplekli nimi proste ramiona K., dłonie przytrzymując wyuczonym, wprawnym, żelaznym chwytem. Szedł pośrodku wyprostowany i wyprężony; wszyscy trzej tworzyli teraz taką jedność, że pobić któregoś znaczyłoby pobić wszystkich – taką jedność, jaką tworzy chyba tylko coś bez życia.

Pod kolejnymi latarniami próbował dokładniej niż w półmroku swojego pokoju obejrzeć towarzyszących mu panów, jakkolwiek to było trudno

wykonalne w tak ścisłym zwarciu. „Pewnie jacyś tenorzy” – pomyślał na widok ciężkich, obwisłych podbródków. Odrazę wzbudziła w nim schludność tych twarzy. Aż widać było, jak czyjaś dłoń je czyściła, sięgnęła w kąciaki oczu, wygładziła górną wargę, zatarła zmarszczki na podbródku.

Zauważywszy to, przystanął, wskutek czego i oni przystanęli; przed sobą mieli otwartą przestrzeń, ozdobioną zielenią bezludny plac.

– Panowie, czemu właśnie was przysłano! – wykrzyknął raczej, niż spytał. Najwidoczniej nie umieli odpowiedzieć, obaj czekali, zwieszając wolną rękę jak pielęgniarze, kiedy chory chce odpocząć. – Dalej nie idę – powiedział na próbę. Nie musieli odpowiadać, wystarczyło, że nie poluźnili chwytu i że spróbowali unieść K., jednak się zaparł. „Już nie będę oszczędzać sił”, pomyślał, „nie mam na co”. Przypomniał sobie, jak muchy na lepie wrywają się pękającymi nóżkami. „Napracują się obaj panowie”.

I wtedy schodami z niżej położonej ulicy wspięła się na plac panna Bzykier. Mimo wielkiego podobieństwa nie było pewności, czy to ona. Ale K. wcale takiej pewności nie pragnął, wystarczyło nagłe uświadomienie sobie, że opór z jego strony nic nie będzie wart. Nie będzie teraz bohaterstwem ani sprzeciw, ani sprawianie trudności tamtym dwóm, ani walka we własnej obronie po to, żeby się nacieszyć ostatnim przebłyskiem życia. Ruszył, a radość, jaką im przez to sprawił, udzieliła się trochę nawet jemu. Pozwalali teraz, żeby obierał kierunek, a obrał ten sam co panna przed nimi; nie żeby ją dogonić czy jak najdłużej widzieć, tylko by pamiętać przestrożę, jaką dla niego oznaczała. „Jedyne, co mi jeszcze pozostaje – mówił sobie, a potwierdzały tę myśl równomierne kroki jego i pozostałych trojga – jedyne, co mi jeszcze pozostaje, to do końca zachować spokój umysłu, zdolność rozgraniczania. Zawsze chciałem czerpać ze świata dwudziestoma garściami i, co gorsza, w celach niegodnych aprobaty. To było niewłaściwe; czy teraz mam pokazać, że nawet roczny proces mnie niczego nie nauczył? Czy na odejście mam odegrać mało pojętnego? Czy każdy ma później opowiadać, że z początkiem procesu chciałem jego zakończenia, a z końcem – rozpoczęcia od nowa? Wolę, żeby tak nikt nie opowiadał. Jestem wdzięczny, że dano mi na tę drogę nic nierozumiejące niemowy, tak żebym sam sobie mówił rzeczy, które są do powiedzenia”.

Panna tymczasem skręciła w boczną ulicę, ale już jej nie potrzebował i zdał się na swoich towarzyszy. Zgodnie we trzech sunęli mostem w blasku księżyca, panowie poddawali się skwapliwie wszystkim jego ruchom, kiedy

zrobił lekki obrót w stronę balustrady, stanęli do niej frontem. Woda, lśniąca i drżąca w księżycowym świetle, opływała niedużą wyspę, gdzie stłoczone piętrzyły się liściaste bryły drzew i krzewów. Pod nimi biegły niewidoczne teraz żwirowe alejki z wygodnymi ławkami, na których niejednego lata wyciągał się i przeciągał K.

– Wcale nie chciałem stanąć – powiedział, zawstydzony skwapliwością swoich towarzyszy. Za jego plecami jeden chyba wytknął drugiemu łagodnie to nieporozumienie, po czym ruszyli dalej.

Szli pod górę ulicami, gdzie czasem daleko, a czasem bardzo blisko stali lub chodzili policjanci. Jeden, z krzaczastymi wąsami, z dłonią na rękojeści szabli zbliżał się jakby rozmyślnie do tej cokolwiek podejrzanej grupki. Panowie przystanęli, policjant już, zdaje się, otwierał usta, aż nagle K. władczy ruchem pociągnął obu dalej. Co chwila dyskretnie patrzył, czy nie są śledzeni, i kiedy policjanta zasłonił narożnik ulicy, ruszył pędem, a tamci dwaj, choć bez tchu, chcąc nie chcąc też z nim popędzili.

Tym sposobem szybko wydostali się z miasta, z którym niemal bezpośrednio graniczyły tutaj pola. Niedaleko całkiem jeszcze miejskiego domu znajdował się mały kamieniołom, porzucony i bezludny. Tu właśnie ci dwaj stanęli, bądź dlatego, że to miejsce od początku było ich celem, bądź też dlatego, że zbyt się zmęczyli, żeby iść dalej. Puścili K., który czekał bez słowa, zdjęli cylindry, rozglądali się po kamieniołomie i ocierali chusteczkami spocone czoła. Na wszystko padał księżycowy blask, pełen naturalności i spokoju, jakich nie ma w sobie żadne inne światło.

Po wymianie uprzejmości związanych z następstwem zadań, których nie rozdzielono widocznie między obu panów, jeden z nich podszedł do K., ściągnął z niego marynarkę, kamizelkę i wreszcie koszulę. K. mimo woli zadrżał, na co tamten kojącym gestem klepnął go lekko po plecach. Potem starannie poskładał jego rzeczy jak coś, co się jeszcze przyda, chociaż nie w najbliższym czasie. Nie chcąc ryzykować, że K. w tę bądź co bądź chłodną noc będzie stał bez ruchu i zmarźnie, pochodził z nim pod ramię, podczas gdy tamten drugi szukał w całym kamieniołomie stosownego miejsca. Kiedy je znalazł, skinął ręką i K. podszedł tam w asyście swojego towarzysza. Było to niedaleko ściany wyrobiska, leżał tam odkruszony kamień. Posadzili K. na ziemi i oparli o kamień, na którym ułożyli mu głowę. Mimo całego ich trudu i swojej uczynnej współpracy K. trwał w postawie bardzo wymuszonej i nieprzekonującej. Jeden z panów uprosił więc drugiego, żeby na chwilę

tylko jemu powierzył układanie K., ale i to nie pomogło. W końcu zostawili go w pozycji nawet nie najlepszej z dotychczasowych. Po czym jeden rozpiął surdut, z pochwy zawieszanej na pasie opinającym kamizelkę wyjął obosieczny rzeźniczy nóż, długi i cienki, uniósł go i zbadał ostrza w świetle. Znow się zaczęły te obrzydliwe grzeczności, nad jego głową obaj podawali sobie nóż i oddawali. K. wiedział już, że sam był wtedy obowiązany chwycić płynący z ręki do ręki nóż i się przebić. Ale tego nie zrobił, tylko patrzył dookoła, póki miał swobodną szyję. Nie sprawdził się na tyle, żeby wyręczyć organa w ich całej pracy; odpowiedzialność za ten ostatni błąd ponosił ktoś, kto mu poskąpił niezbędnej resztki sił. Spojrzenie K. padło na ostatnie piętro domu graniczącego z kamieniołomem. Z szybkością rozbłyskującego światła otwały się tam skrzydła okna i jakiś człowiek, słaby, nikły w górze i w oddali, jednym ruchem wychylił się i jeszcze wyciągnął ramiona. Kto to? Przyjaciel? Ktoś dobry? Ktoś współczujący? Ktoś, kto chce iść na ratunek? Czy to jedna osoba? Czy wszyscy? Może jeszcze jest ratunek? Może istnieją argumenty, o których człowiek zapomniał? Na pewno istnieją. Logika jest niewzruszona, ale nie sprzeciwia się komuś, kto chce żyć. Gdzie sędzia, którego nigdy nie zobaczył? Gdzie wysoki sąd, przed którym nigdy nie stanął? K. uniósł dłonie i rozstawił palce.

Ale jeden z panów położył mu dłonie na gardle, a drugi w serce wbił nóż i dwukrotnie nim obrócił. K. martwiejącymi oczami widział jeszcze, że tuż przed jego twarzą obaj, policzek przy policzku oparci o siebie, obserwują rozstrzygnięcie sprawy.

– Jak pies! – powiedział. Zdawało się, że wstyd go przeżyje.

Fragmenty

Przyjaciółka panny B.

Przez następne dni K. nie zdołał zamienić z panną Bzykier nawet paru słów. Różnymi drogami szukał do niej przystępu, a ona te próby umiejętnie udaremniała. Wracał do domu prosto z biura, nie zapalał u siebie światła i nie ruszał się z kanapy, pochłonięty obserwacją przedpokoju. Kiedy przechodziła służąca i myśląc, że nikogo nie ma, zamykała drzwi, K. po chwili się podnosił i znowu je otwierał. Rano wstawał godzinę wcześniej niż zwykle, żeby spotkać pannę Bzykier sam na sam, kiedy będzie szła do biura. Ale to także się nie udawało. Wreszcie w dwóch listach, wysłanych na jej adres biurowy i domowy, spróbował jeszcze raz usprawiedliwić swoje zachowanie, wyraził nieograniczoną gotowość zadośćuczynienia, obiecał, że nigdy nie przekroczy granic, jakie panna Bzykier mu wyznaczy, i poprosił jedynie o możliwość rozmowy, bo bez tego nie uzyska nic u pani Grobosch; zakończył listy wiadomością, że przez całą najbliższą niedzielę będzie u siebie czekał, aż panna Bzykier jakimś znakiem zapowie spełnienie jego prośby lub chociaż wyjaśni, dlaczego tej prośby nie spełni, skoro przecież obiecał we wszystkim jej usłuchać. Listy nie wróciły, ale też nie nadeszła odpowiedź. W niedzielę natomiast pojawił się dostatecznie wyraźny znak. Wcześniej rano K. przez dziurkę od klucza zauważył wyjątkowe poruszenie w przedpokoju. Powód wkrótce się wyjaśnił: dotychczasowa lokatorka osobnego pokoju, nauczycielka francuskiego, która skądinąd była Niemką i nosiła nazwisko Ponedzalek, wątła, blada, trochę kulejąca dziewczyna, przeprowadzała się do panny Bzykier. Godzinami widać było, jak kuśtyka po przedpokoju. Co chwila okazywało się, że został jeszcze obrusik, sztuka bielizny albo książka, którą trzeba zabrać na nowe miejsce i specjalnie po nią jedną iść.

Odkąd pani Grobosch tak bardzo K. rozgniewała, nie wyręczała się służącą nawet w najmniejszych posługach przy nim, a kiedy teraz przyniosła śniadanie, nie wytrzymał i po pięciu dniach pierwszy raz ją zagadnął:

– Skąd dzisiaj taki hałas w przedpokoju? – Nalał sobie kawy. – Czy nie można by tego zaprzestać? Czy akurat w niedzielę trzeba robić sprzątanie? – Bez podnoszenia oczu zauważył, że pani Grobosch westchnęła jakby z ulgą. Nawet te surowe pytania odebrała bądź jako przebaczenie, bądź jako jego

początek.

– To nie żadne sprzątanie, proszę pana, to tylko panna Ponedzalek wprowadza się do panny Bzykier i przenosi swoje rzeczy. – Nic więcej nie powiedziała, czekając, jak on to przyjmie i czy pozwoli jej mówić dalej. Wystawił ją jednak na próbę, bo mieszał w zadumie kawę i milczał. W końcu spojrzął na nią i zapytał:

– Czy pani już się wyzbyła wcześniejszych podejrzeń co do panny Bzykier? Pani Grobosch tylko na to czekała.

– Proszę pana! – zawołała, wyciągając do niego złożone dłonie. – Pan się niedawno tak przejął jedną przypadkową uwagą. Mnie przecież ani w głowie nie powstało, żeby urazić pana czy kogokolwiek. Chyba już pan prokurent zna mnie dosyć długo i uwierzy temu, co mówię. Nawet pan nie wie, ile się przez ostatnie dni nacierpiałam! Ja miałabym fałszywie oskarżać moich lokatorów! Że też pan sobie coś takiego pomyślał! I powiedział, żebym panu wymówiła! Panu! – Ten ostatni okrzyk zdławiły już łzy; podniosła fartuch do twarzy i głośno zaszlochała.

– Ależ proszę nie płakać, droga pani – wyjrzał oknem, myślał tylko o pannie Bzykier i o tym, że przyjęła do pokoju obcą dziewczynę. – Proszę nie płakać – powtórzył, odwracając się i widząc, że pani Grobosch ciągle płacze. – Ja też wtedy nie chciałem być nieprzyjemny. Ot, jedno źle zrozumiało drugie. To się zdarza nawet starym przyjaciołom.

Pani Grobosch wyjrzała zza fartucha, czy aby naprawdę K. dał się przejednać.

– Cóż – powiedział. – Tak to bywa. – I wnosząc z jej zachowania, że kapitan nic nie zdradził, odważył się jeszcze dodać: – Czyżby pani naprawdę myślała, że mógłbym się z panią poróżnić o jakąś obcą dziewczynę?

– Otóż to, proszę pana. – Niestety pani Grobosch było to, że ledwo poczuła się trochę swobodniej, a już mówiła coś niezręcznego. – Ciągle sobie zadawałam pytanie, czemu pan K. się tak ujmuje za panną Bzykier? Czemu mnie za nią bezsta, chociaż wie, że jakiegokolwiek jego złe słowo nie daje mi spać? Jeżeli chodzi o tę pannę, to przecież mówiłam tylko, co widziałam na własne oczy.

Nie odpowiedział; musiałby od razu wyrzucić ją z pokoju, czego nie chciał. Poprzestał na tym, że zaczął pić kawę, tak żeby odczuła własną zbyteczność. Za drzwiami znowu słychać było, jak panna Ponedzalek, powłócząc nogą, idzie przez cały przedpokój.

– Słyszysz pani? – wskazał na drzwi.

– Tak – westchnęła pani Grobosch. – Chciałam pannie Ponedzalek dać do pomocy służącą i sama pomóc, ale jest uparta, woli wszystko przenieść własnoręcznie. Dziwię się pannie Bzykier. Nieraz i dla mnie jest uciążliwością, że wynajmuję pannie Ponedzalek pokój, a tu jeszcze panna Bzykier bierze ją do siebie.

– To już nie pani zmartwienie. – Rozgniół resztki cukru w filiżance. – Czy pani coś na tym traci?

– Nie, w gruncie rzeczy to mi jest na rękę, zwalnia się pokój i umieszczę w nim kapitana, mojego siostrzeńca. Przez te ostatnie dni, kiedy musiałam go zakwaterować w bawialni, bałam się, że będzie panu przeszkadzał. Nie bardzo się liczy z innymi.

– Ale skądże! – K. wstał. – O niczym takim nie mówię. Pewnie uważa pani, że jestem nadwrażliwy, skoro nie mogę znieść tych... znowu wraca!... tych wędrówek panny Ponedzalek.

Pani Grobosch poczuła się bezsilna.

– Czy mam powiedzieć, proszę pana, żeby odłożyła resztę przeprowadzki na później? Jeżeli pan chce, zaraz tak zrobię.

– A czy ona nie przeprowadza się do panny Bzykier?

– Owszem – odpowiedziała, niezupełnie rozumiejąc, co on ma na myśli.

– No właśnie. Więc musi przenieść rzeczy.

Pani Grobosch tylko skinęła głową. Ta jej niema bezradność, stwarzająca wrażenie przekory, dodatkowo K. rozdrażniła. Zaczął chodzić od okna do drzwi i z powrotem, a przez to nie pozwalał jej się oddalić, co skądinąd by pewnie zrobiła.

Dochodził kolejny raz do drzwi, kiedy ktoś zapukał. To służąca przyniosła wiadomość, że panna Ponedzalek chciałaby zamienić z panem K. parę słów, że czeka w jadalni i prosi, żeby tam przyszedł. Wysłuchał tego w zadumie, po czym skierował na przestraszoną panią Grobosch z lekką szyderczy wzrok. Zdawał się on mówić, że K. już od dawna coś takiego przewidywał i że zaproszenie panny Ponedzalek łączy się w harmonijną całość z udręką, jakiej w to niedzielne przedpołudnie zaznał od jej lokatorów. Odesłał służącą z odpowiedzią, że zaraz będzie, podszedł do szafy garderobianej, żeby zmienić marynarkę, a kiedy pani Grobosch podniosła ciche skargi na tę uciążliwą osobę, w odpowiedzi poprosił tylko, żeby zechciała wynieść naczynia po śniadaniu.

– Ale pan mało co tknął.

– Ach, niech no pani to już wyniesie! – zawołał; wszystko mu jakoś obrzydło, bo wszystko miało mniej czy bardziej posmak panny Ponedzalek.

Idąc przez przedpokój, spojrzął na zamknięte drzwi do pokoju panny Bzykier. Ale proszono go nie tam, lecz do jadalni, której drzwi bez pukania otworzył szarpnięciem klamki.

Było to pomieszczenie z jednym oknem, bardzo długie, ale wąskie. Miejsca w nim wystarczyło tylko na ustawienie dwóch szaf skosem w rogach koło wejścia, całą resztę zaś zajmował długi stół jadalny, który zaczynał się blisko drzwi, a kończył tuż pod wielkim, niemal niedostępnym oknem. Stół już nakryto, i to dla wielu osób, bo w niedzielę jadalni tu obiad prawie wszyscy lokatorzy.

Na widok K. panna Ponedzalek podeszła od okna. Bez słowa ukłonili się jedno drugiemu, a ona, dziwnie jak zawsze zadzierając głowę, powiedziała:

– Nie wiem, czy pan mnie zna.

Ze ściągniętymi brwiami patrzył na nią.

– Owszem, przecież pani mieszka tu od dosyć dawna.

– Ale pana, jak myślę, lokatorzy nie bardzo ciekawią.

– Nie bardzo.

– Zechce pan może usiąść? – Obydwoje w milczeniu odsunęli dwa krzesła u bliższego końca stołu i siedli naprzeciw siebie. Zaraz jednak panna Ponedzalek wstała, żeby przynieść torebkę pozostawioną na parapecie; powłokła się przez cały pokój. Lekko wymachując torebką, wróciła i powiedziała: – Chciałabym tylko zamienić z panem kilka słów w imieniu mojej przyjaciółki. Zamierzała przyjść sama, ale dzisiaj niezbyt dobrze się czuje. Prosi, żeby pan to wybaczył i wysłuchał mnie zamiast niej. Nie powiedziała by panu zresztą nic innego niż ja. Przeciwnie, możliwe nawet, że ja powiem więcej, bo jestem względnie bezstronna. Nie uważa pan?

– A co tu jest do powiedzenia? – odparł K., któremu sprzykrzyło się, że panna Ponedzalek miała spojrzenie zwrócone na jego usta. Rościła sobie prawo panowania nawet nad tym, co dopiero chciał powiedzieć. – Najwidoczniej panna Bzykier nie wyraża zgody na osobiste spotkanie, o które prosiłem.

– Tak jest – odpowiedziała. – A raczej tak wcale nie jest, sformułował pan to dziwnie ostro. Nikt na ogół nie wydaje ani pozwolenia na spotkanie, ani jego zakazu. Ale może się zdarzyć, że ktoś, jak w tym wypadku, nie widzi

potrzeby spotkania. Bo przecież po tych pańskich słowach mogę już mówić otwarcie. Prosił pan moją przyjaciółkę pisemnie albo ustnie o rozmowę. Ona wie, czego miałyby dotyczyć, a przynajmniej tak zakładam, i z niewiadomych mi przyczyn jest przekonana, że nikomu nie przyniosłoby korzyści, gdyby się państwo rozmówili. Zresztą wspomniała mi o tym dopiero wczoraj i tylko przelotnie, zaznaczając, że panu też na pewno niezbyt na takiej rozmowie zależy, bo rzucił pan jej pomysł ot tak, a prędzej czy później sam z siebie, bez dodatkowych uzasadnień zrozumie pan, jak bardzo to wszystko nie ma sensu. Odpowiedziałam, że jakkolwiek może ma ona rację, to jednak dla całkowitej jasności uważałabym za pożyteczne udzielenie panu wyraźnej odpowiedzi. zaproponowałam, że podejmę się takiego zadania, a moja przyjaciółka z pewnym wahaniem na to przystała. Ale mam nadzieję, że działam też w pańskim interesie, bo wszelka niepewność nawet w najdrobniejszej sprawie jest przecież zawsze dojmująca i jeżeli, jak w tym wypadku, można łatwo ją rozwiązać, wtedy warto zrobić to jak najszybciej.

– Dziękuję pani – odpowiedział szybko, powoli wstał, popatrzył na pannę Ponedzalek, potem po stole, potem w okno, słońce oświetlało przeciwległą kamienicę; ruszył do drzwi. Panna Ponedzalek, jakby nie całkiem ufając K., podążyła kilka kroków za nim. Cofnęli się jednak, bo akurat otworzył drzwi i wszedł kapitan Pika. K. pierwszy raz widział go z bliska. Był to wysoki, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o mięsistej, ogorzałej twarzy. Lekko uklonił się obojgu, podszedł do panny Ponedzalek i z uszanowaniem pocałował ją w rękę. Był bardzo zwinny w ruchach. Od uprzejmości kapitana wyraźnie odbijał sposób, w jaki ją wcześniej potraktował K. Pomimo to K. odnosił wrażenie, że nie jest rozgniewana, ale że nawet chętnie by go Pice przedstawiła. Nie miał jednak ochoty na prezentację, nie zdobyłby się na żadne grzeczności wobec kapitana ani panny Ponedzalek; dla niego to ucałowanie ręki połączyło obydwójce w grupę, która pod pozorem niezwykle bezinteresownych i szlachetnych intencji chce go utrzymać z dala od panny Bzykier. Ale odkrył chyba coś więcej, odkrył, że panna Ponedzalek wybrała dobry, chociaż obosieczny sposób: wyolbrzymia znaczenie jego relacji z panną Bzykier, zwłaszcza znaczenie próśb o rozmowę, a jednocześnie usiłuje to przekreślić, jakby wszystko wyolbrzymiał on. Myli się, on nic nie wyolbrzymia, on wie, że panna Bzykier, zwykła pisząca na maszynie panna, prędzej czy później mu się nie oprze. Świadomie nie brał pod uwagę tego, co słyszał o niej od pani Grobosch. Wśród takich rozmyślań wyszedł niemal bez

słowa. Miał wrócić prosto do swojego pokoju, jednak słysząc, jak w jadalni zaśmiała się panna Ponedzalek, wpadł na pomysł zrobienia niespodzianki jej i kapitanowi. Spojrzał dokoła na drzwi najbliższych pomieszczeń, nastawiając ucha, czy nie grozi pojawienie się jakiejś przeszkody; wszędzie panowała cisza, tylko z jadalni dolatywała rozmowa, a z korytarza prowadzącego do kuchni – głos pani Grobosch. Okazja wydawała się dogodna, podszedł do drzwi pokoju panny Bzykier i cicho zapukał. Nie odpowiedział mu najlżejszy szmer, więc zapukał drugi raz, ale nadal bez odzewu. Czyżby spała? Albo może naprawdę źle się czuje? Albo zwyczajnie udaje nieobecność, bo się domyśla, że tak cicho może pukać tylko K.? Uznał, że udaje, zapukał mocniej i w końcu, skoro nie skutkowało pukanie, świadom niestosowności, a też i daremności własnego czynu ostrożnie otworzył drzwi. W środku nie było nikogo. Pokój nie bardzo zresztą przypominał ten, który poznał wcześniej. Do łóżka dostawiono pod ścianą drugie, na trzech krzesłach blisko drzwi piętrzyły się stroje i bielizna, jedna z szaf była otwarta. Prawdopodobnie kiedy panna Ponedzalek zagadywała K. w jadalni, panna Bzykier tymczasem stąd wyszła. Nie wstrząsnęło to nim, nie liczył już za bardzo na spotkanie, podjął próbę głównie na złość pannie Ponedzalek. Z tym większą przykrością jednak zobaczył, zamykając drzwi, że rozmawia ona z kapitanem w progu jadalni. Stali tam być może już od chwili, kiedy zajrzał do pokoju panny Bzykier, starali się nie pokazywać po sobie, że go obserwują, rozmawiali cicho i śledzili ruchy K. tylko takimi spojrzeniami, jakie bezwiednie rzuca się podczas rozmowy. Poczł jednak te spojrzenia dotkliwie, przemknął pod ścianą do swoich drzwi.

Prokurator

K., mimo że dzięki długiej pracy w banku zyskał światowe obycie, nie przestawał darzyć bywalców swojego stolika w piwiarni niezwykłym szacunkiem i sam przed sobą przyznawał, że przynależność do nich bardzo go zaszczyca. Do grona tego, na które składali się głównie sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, dopuszczono również kilku bardzo młodych pomocników adwokackich oraz urzędników, siedzieli jednak na samym końcu stołu i mogli się wtrącać do dyskusji tylko wtedy, kiedy im właśnie zadawano pytania. Służyły one przeważnie ucieście całego grona; zwłaszcza prokurator Narwanski, siedzący zwykle w sąsiedztwie K., lubił w ten sposób zawstydząć młodych ludzi. Kiedy na środku blatu rozpościwał wielką, włochatą dłoń i obracał się w ich stronę, wszyscy już nastawiali ucha. A kiedy ktoś przy tamtym końcu stołu podejmował pytanie, lecz nie potrafił nawet odgadnąć jego istoty, zadumany spoglądał w kufel albo zamiast mówić, poruszał tylko szczękami, bądź kiedy nawet – najgorsze, co może być – w niepowstrzymanym potoku słów przedstawiał pogląd mylny albo niczym niepodbudowany, wtedy starsi panowie z uśmiechem wierceili się na krzesłach, jakby dopiero teraz mieli używanie. Naprawdę poważne rozmowy fachowe zastrzeżone były tylko dla nich.

Do tego grona wprowadził K. pewien adwokat, pełnomocnik prawny banku. Obaj swego czasu musieli prowadzić w biurze długie służbowe narady aż do późnego wieczora, po czym naturalną kolejną rzeczą jadaliby razem kolację, i wtedy K. upodobał sobie bywalców tego stolika. Widział przed sobą same wykształcone, szacowne, w pewnym sensie wpływowe osobistości, które dla odpoczynku trudziły się rozwiązywaniem oderwanych raczej od życia, zawiłych kwestii. Choć sam oczywiście rzadko potrafił zabrać głos, jednak zdobywał liczne wiadomości, mogące się prędzej czy później przydać w banku, a poza tym, co zawsze cenne, wyrabiał sobie znajomości w sądzie. Ale chyba i sam był przy tym stoliku mile widziany. Wkrótce zyskał uznanie jako człowiek biegły w interesach, a jego poglądy w tej dziedzinie, mimo że i wobec nich panowie nie obywali się bez lekkiej ironii, uchodziły za niepodważalne. Kiedy dwaj z nich rozmaicie oceniali jakąś kwestię prawną, nierzadko wydobywali od niego opinię o stanie faktycznym, a potem

nazwisko K. wracało w kolejnych przemowach i replikach, przewijając się nawet w najbardziej abstrakcyjnych analizach sprawy, za którymi już dawno nie nadażał. Stopniowo jednak ogarniał coraz więcej kwestii, zwłaszcza że u swojego boku miał dobrego doradcę w osobie prokuratora Narwanskiego, z którym się zbliżył. Nierzadko nawet odprowadzał go nocą do domu. Długo jednak nie potrafił się przyzwyczaić do chodzenia pod rękę z tym olbrzymim mężczyzną, który mógłby go doskonale ukryć pod swoją peleryną.

Ale z biegiem czasu nawiązali takie porozumienie, że zatarła się między nimi różnica wykształcenia, zawodu i wieku. Utrzymywali równie dobre stosunki, jak ludzie zżyci od zawsze, a jeżeli czasem we wzajemnym obcowaniu ktoś pozornie dominował, to nie prokurator, lecz K., bo zwykle racja była po jego stronie dzięki praktycznym doświadczeniom, których nie sposób nabyć przy stole rozpraw.

Przy stoliku oczywiście dowiedziano się wkrótce o ich przyjaźni, nie bardzo już pamiętano, kto tutaj wprowadził K., bo teraz w razie wątpliwości, z jakiego tytułu zasiada w tym gronie, mógł się słusznie powołać na protekcję Narwanskiego. A dzięki niej znajdował się w wyjątkowo uprzywilejowanym położeniu, bo prokurator budził zarówno szacunek, jak postrach. Śmiałość i lotność jego prawniczego umysłu zasługiwały wprawdzie na wielki podziw, lecz pod tym względem wielu bywalców co najmniej mu dorównywało; nikt jednak nie mógł mu sprostać zajadłością w bronienu własnych opinii. K. miał wrażenie, że jeżeli nawet nie przekonywał on kolejnych oponentów, to przynajmniej napędzał im strachu; niejednego płoszył już choćby wyprężonym wskazującym palcem. Każdy jakby zapominał wtedy, że siedzi w gronie dobrych znajomych i kolegów, że mowa jest wyłącznie o kwestiach teoretycznych i tak naprawdę nic mu nie zagraża; każdy milkł, co śmielszy kręcił głową. Aż nieprzyjemnie było czasem patrzeć, jak Narwanski, uznając, że trudno o jakiegokolwiek uzgodnienia na odległość, odsuwał talerz z jedzeniem i powoli udawał się do oponenta. Bliżej siedzący zadzierali wtedy głowy, żeby obserwować twarz prokuratora. Do takich incydentów dochodziło jednak dosyć rzadko, zwłaszcza że w podniecenie wprawiały go raczej tylko kwestie prawne, i to głównie związane z procesami, które sam wcześniej albo w danej chwili prowadził. Póki nie poruszano takich kwestii, był uprzejmy i spokojny, uśmiechał się życzliwie, a namiętność odczuwał do jedzenia i picia. Bywało nawet, że nie słuchał ogólnej rozmowy, obracał się do K., kładł rękę na oparciu jego krzesła, półgłosem wypytywał o bank, po

czym z kolei opowiadał o własnej pracy lub mówił o znajomościach z paniami, przysparzających mu niewiele mniej fady niż sąd. Nie widziano, żeby w podobny sposób rozmawiał z kimkolwiek innym przy stoliku, i nieraz kiedy chciano coś u Narwanskiego uzyskać – najczęściej pogodzić go z którymś kolegą – wtedy proszono najpierw K. o mediację, a on zawsze spełniał te prośby chętnie i łatwo. Wobec nikogo nie wykorzystywał swoich stosunków z prokuratorem, był bardzo uprzejmy i skromny, a co jeszcze ważniejsze, znał rangę każdego z panów i każdego traktował odpowiednio. Tej zasady uczył go stale Narwanski, który jej właśnie jednej nigdy nie naruszał nawet w najzjadlejszej dyskusji. Dlatego też do młodych ludzi przy końcu stołu, właściwie niemających jeszcze żadnej rangi, kierował się zaledwie w ogólnych słowach, jakby nie były to jednostki, ale jedna, ciasno zbita bryła. Ale właśnie oni otaczali go największą rewerencją, i kiedy koło jedenastej wstawał, żeby iść do domu, już byli do usług, jeden pomagał przy wkładaniu ciężkiej peleryny, a drugi z niskim ukłonem otwierał drzwi, jeszcze je oczywiście przytrzymując, kiedy w ślad za prokuratorem wychodził K.

Początkowo Narwanski pozwalał mu się kawałek odprowadzić albo nawet sam odprowadzał K., później natomiast z reguły kończył wieczory zaproszeniem go do swojego mieszkania. Zwykle jeszcze około godziny siedzieli przy cygarach i wódce. Prokurator tak te wieczory polubił, że nie chciał z nich zrezygnować, nawet kiedy przez kilka tygodni mieszkała u niego niewiasta imieniem Helena. Była tęga i niemłoda, miała żółtawą skórę i czarne loki wijące się wokół czoła. W początkowym okresie K. widywał ją wyłącznie leżącą dość bezwstydnie w łóżku; nie przeszkadzała sobie i podczas rozmowy obu panów czytała powieść w zeszytach. Dopiero późną porą zaczynała się przeciągać, ziewać, a jeżeli nie zdołała zwrócić na siebie uwagi, rzucała zeszytem w Narwanskiego. On z uśmiechem wstawał, K. się żegnał. Z biegiem czasu jednak Helena, która już prokuratora nużyła, zaczęła dotkliwie zakłócać ich posiedzenia. Czekwała zawsze w kompletnym stroju, zwykle w balowej sukni, która jej pewnie wydawała się bardzo wytworna i twarzowa, choć tak naprawdę była niemodna, przeładowana i raziła zwłaszcza rzędami długich frędzli, jakimi ją obwieszono dla ozdoby. K. nie poznał dokładnie wyglądu tej sukni, w pewnym sensie unikał patrzenia na Helenę i całe godziny przesiadywał ze spuszczonej oczami, kiedy chodziła po pokoju kołysząc się krokiem, kiedy siadała blisko niego lub

kiedy w końcu, będąc już na straconej pozycji, w opresji próbowała awansami wobec K. wzbudzić zazdrość prokuratora. W opresji, bez żadnych złych zamiarów, pulchne plecy mając obnażone, pochylała się nad stołem i zbliżała twarz, tak żeby K. musiał podnieść wzrok. Osiągnęła zaledwie tyle, że następnym razem odmówił wizyty, a zanim któregoś wieczora jednak wstąpił, Helena została bezpowrotnie oddalona; przyjął to jako oczywistość. Tego wieczora obaj spędzili ze sobą wyjątkowo dużo czasu, z inicjatywy Narwanskiego uroczyście przeszli na ty, po czym K. wrócił do domu z lekka odurzony paleniem i piciem.

Akurat nazajutrz rano dyrektor banku w trakcie służbowej rozmowy wspomniał, że chyba go widział poprzedniego dnia wieczorem, jeżeli się nie myli, to idącego pod rękę z prokuratorem Narwanskim. Wydawał się tym tak zdumiony, że ze skądinąd zwykłą u niego dokładnością podał nazwę kościoła, przy którym ich jakoby mijał koło studni. Wyrażał się nie inaczej, niż gdyby chciał opisać fatamorganę. K. oświadczył na to, że prokurator jest jego przyjacielem i że istotnie, wczoraj przechodzili obok tego kościoła. Dyrektor uśmiechnął się ze zdziwieniem i kazał mu sięść. Za te właśnie chwile K. tak bardzo go lubił, chwile, kiedy ten wątpy, schorowany, kaszłący, przeciążony skrajnie odpowiedzialną pracą człowiek okazywał troskę o jego przyszłość i pomyślność; a choćby to były tylko wyrachowane pozory troski, jak twierdzili inni urzędnicy po takich samych doświadczeniach, i choćby dyrektor chciał tym sposobem na wiele lat przywiązywać do siebie wartościowych pracowników za cenę dwóch minut – choćby nawet, to zawsze wtedy rozbrajał K. Być może zresztą z nim rozmawiał trochę inaczej: nie zapominał jak zazwyczaj o swojej nadrzędnej pozycji, nie pospolitował się jak kiedy indziej w sytuacjach służbowych, lecz właśnie zapominał o pozycji K. i mówił do niego jak do dziecka lub młodego człowieka, który nic nie wie, który dopiero ubiega się o stanowisko i z niepojętej przyczyny robi na dyrektorze dobre wrażenie. K. oczywiście nie zniósłby takiego traktowania nawet z jego strony, gdyby nie to, że wyczuwał u dyrektora szczerą troskę albo co najmniej odkrywał wtedy taką możliwość i był pod jej nieodpartym urokiem. Dostrzegał tu pewną swoją słabość; wynikała być może stąd, że pod tym względem rzeczywiście miał w sobie jeszcze coś z dziecka, ponieważ nie zdążył zaznać opieki ze strony młodo zmarłego ojca, wkrótce odszedł z domu, a w niedowidzącej z wiekiem matce, która nadal żyła w tamtym niezmiennym miasteczku i którą ostatnio odwiedził jakieś

dwa lata temu, nie starał się wzbudzać czułości, ale ją raczej odrzucał.

– O tej przyjaźni nie wiedziałem – powiedział dyrektor i tylko nikły, przyjazny uśmiech złagodził surowość jego słów.

Do Elizy

Któregoś wieczora tuż przed jego wyjściem wezwano K. przez telefon, żeby natychmiast się stawił w kancelarii sądu. Ostrzeżono go przed nieposłuszeństwem. Te jego niesłychane wypowiedzi, że niby przesłuchania są zbyteczne, że nie dają i nie mogą dać skutku, że on tam więcej nie przyjdzie, że zlekceważy zaproszenia pisemne i telefoniczne, a gońców będzie wyrzucał za drzwi – te wszystkie wypowiedzi zostały wniesione do protokołu i już mu bardzo zaszkodziły. Bo czemu on się nie chce zastosować? Czy nie jest tak, że bez względu na czas i koszty dokłada się starań, żeby w jego pogmatwanej sprawie zaprowadzić ład i porządek? Czyżby chciał to złośliwie utrudniać i doprowadzić do użycia środków gwałtownych, których mu dotychczas oszczędzano? Dzisiejsze wezwanie to ostatnia szansa. Niech robi, co chce, ale niech pamięta, że wysoki sąd nie może pozwolić na kpiny z siebie.

Cóż, kiedy na wieczór K. zapowiedział się u Elizy i choćby dlatego nie mógł stanąć przed sądem; z ulgą myślał, że coś usprawiedliwia jego nieobecność, jakkolwiek było oczywiste, że tych akurat powodów nie podałyby w żadnym wypadku, a bardzo możliwe, że nie poszedłby do sądu, nawet nie mając wieczorem najdrobniejszych innych zajęć. Tak czy owak czuł się usprawiedliwiony i zadał do słuchawki pytanie, co będzie, jeżeli się nie stawi.

– Wtedy się pana znajdzie – brzmiała odpowiedź.

– A czy poniosę karę za to, że nie przyszedłem z własnej woli? – Uśmiechnął się na myśl o tym, co usłyszy.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

– Świetnie. W takim razie dlaczego miałbym się zastosować do dzisiejszego wezwania?

– Nikt raczej nie ściąga na siebie sądu z jego środkami władczymi – odpowiedział słabnący, a wreszcie niknący głos. „Kto tak nie robi, jest nierozważny – pomyślał K. na odchodnym. – Przecież warto się pokusić o poznanie tych środków”.

Bez wahania pojechał do Elizy. Rozparty w kącie dorożki, z rękami w kieszeniach płaszcz – bo zaczynało się już ochładzać – patrzył po

ruchliwych ulicach. Z pewnym zadowoleniem pomyślał, że robi nie byle jaki kłopot sądowi, jeżeli on rzeczywiście pełni swoje czynności. Nie oświadczył wyraźnie, czy się stawi, więc czeka sędzia, czeka być może nawet całe zgromadzenie, tyle że on rozczaruje zwłaszcza galerię i nie przyjdzie. Nie peszy się sądem i jedzie tam, dokąd chce jechać. Poczłł niepewność: a może w roztargnieniu podał dorożkarzowi adres sądu? Głośno rzucił mu adres Elizy; dorożkarz skinął głową, wcześniej usłyszał ten sam. Od tej chwili K. pomału zapominał o sądzie, a w końcu, jak za dawnych czasów, bez reszty pochłoneły go myśli o banku.

Walka z wicedyrektorem

Pewnego dnia rano K. był o wiele bardziej ochoczo i bojowo usposobiony niż zwykle. Jeżeli myślał o sądzie, to z poczuciem, że jakikolwiek ukryty punkt zaczepienia, choćby wymagał szukania po omacku, bez trudu pozwoliłby wyciągnąć na światło dzienne tę nieogarnioną w swojej wielkości organizację i ją rozbić. Niezwyczajny stan ducha podkusił go nawet, by dla omówienia naglącej czas jakiś służbowej sprawy zaprosić wicedyrektora do własnego biura. Podczas każdej takiej narady w ostatnich miesiącach wicedyrektor udawał, że ani trochę nie zmienił stosunku do K. Spokojnie przychodził tak jak dawniej w okresie ich ciągłej rywalizacji, spokojnie słuchał jego wywodów, w kilku szczerych, ba, przyjaznych słowach okazywał zaniepokojenie i być może nieświadomie peszył go tylko jednym: do głębi jestestwa pochłonięty służbową sprawą, ani na chwilę od niej nie odbiegał – kiedy tymczasem K., widząc przed sobą taki wzorzec obowiązkowości, wkrótce krążył myślami gdzieś daleko, a tym samym bez walki oddawał omawianą sprawę wicedyrektorowi. Co gorsza, któregoś razu zauważył tylko, jak tamten wstaje nagle i bez słowa wraca do swojego biura. Nie wiedział, co się dzieje; to mogło oznaczać normalny koniec narady lub równie dobrze jej przerwanie dlatego, że bezwiednie uraził wicedyrektora albo mówił nonsensy, bądź też zaprzątnięty czym innym ewidentnie już przestał słuchać. Niewykluczone też, że wicedyrektor namówił go wtedy do podjęcia jakiejś niepoważnej decyzji, a następnie chciał ją czym prędzej wykonać na szkodę K. Więcej do sprawy nie wracano, K. o niej nie przypominał, wicedyrektor milczał, i nie miała na razie widocznych konsekwencji, a w każdym razie tamto zdarzenie nie odstraszyło K.; kiedy tylko czuł się choć trochę na siłach, przy każdej okazji stawał pod drzwiami wicedyrektora, żeby wejść albo zaprosić go do siebie. Nie pora już, żeby się przed nim chował tak jak wcześniej. Nie liczył więcej na żaden rychły, decydujący sukces, który by go uwolnił od wszystkich trosk naraz i który przywróciłby mu dawną pozycję wobec wicedyrektora. Zrozumiał, że nie może dać za wygraną; jakikolwiek unik, choćby go nakazywały fakty, stworzyłby niebezpieczeństwo, że K. nigdy więcej nie posunie się ani o krok. Niech wicedyrektor nie trwa w przekonaniu, że on jest już skończony, niech

z tym przekonaniem nie siedzi spokojnie w swoim biurze, niech nie zazna spokoju, niech się jak najczęściej dowiadyuje, że K. żyje i że jakkolwiek wyglądałby dzisiaj niegroźnie, to któregoś dnia jak wszystko, co żyje, gotów przejawiać nowe, zaskakujące umiejętności. Czasami wprawdzie powtarzał sobie, że w ten sposób walczy zaledwie o honor, bo nic innego nie zyska, kiedy w swojej słabości znowu stanie do walki z wicedyrektorem, a ten kolejny raz umocni się w poczuciu siły i władzy i poczyni obserwacje, dzięki którym podejmie najważniejsze w danej chwili środki. Ale K. nie umiał zmienić swoich zachowań, ulegał złudzeniom, chwilami niezbitnie wierzył, że właśnie może bez obaw stawić czoło wicedyrektorowi, nie wyciągał nauki z najfatalniejszych doświadczeń, kiedy czegoś nie potrafił dziesięć razy, ufał, że za jedenastym dopnie swego, choć wszystko niezmiennie obracało się przeciw niemu. Ilekroć po takiej naradzie zostawał sam, wyczerpany, spocony, z pustką w głowie, nie wiedział, czy popchnęła go przed wicedyrektora nadzieja, czy desperacja; ale następnym razem spieszył do jego drzwi znowu z tą samą nadzieją.

Tak było i dzisiaj. Wicedyrektor zaraz wszedł, stanął w progu, swoim nowym zwyczajem wyczyścił binokle, po czym dokładniej przyjrzał się K., a następnie, nie chcąc zbyt wyraźnie skupiać uwagi na nim, obejrzał też cały gabinet. To tak, jakby korzystał z okazji do zbadania wzroku. K. wytrzymał te spojrzenia, lekko się nawet uśmiechnął i wskazał mu miejsce. Sam szybko siadł na swoim krześle z poręczami, przysunął się jak najbliżej, spieszenie wziął z biurka niezbędne papiery i zaczął relacjonować wicedyrektorowi sprawę. A on jakby nie słuchał. Biurko K., pierwszorzędnej roboty, miało blat otoczony niewysoką, rzeźbioną w drewnie balustradą, która była solidnie osadzona. Mimo to wicedyrektor sprawiał wrażenie, jakby właśnie zauważył obluzowane miejsce balustrady; dla usunięcia defektu wskazującym palcem wałnął w nią. K. chciał przerwać swoją relację, ale wicedyrektor na to nie pozwolił, bo przecież, jak oświadczył, wszystko słyszy i pojmuje. Wciąż jednak nie dał z siebie wyciągnąć ani jednej uwagi merytorycznej, tymczasem balustrada najwyraźniej domagała się użycia nadzwyczajnych środków, skoro sięgnął do kieszeni po scyzoryk, jako dźwignię wziął linijkę K. i próbował podważyć balustradę, chcąc ją chyba następnie tym głębiej wepchnąć. Sprawozdanie zawierało pewną całkowicie nowatorską propozycję, K. liczył na jej szczególną efektywność w oczach wicedyrektora i zbliżając się teraz do tego miejsca, nie umiał przerwać, oto jak go

zniewalała własna praca czy może raczej – cieszyło coraz rzadsze poczucie, że coś jeszcze w banku znaczy, a takie pomysły są jeszcze w mocy go usprawiedliwić. Może nie tylko w banku, ale i w procesie pomysły byłyby nawet najlepszą obroną, znacznie lepszą od wszystkich innych sposobów, jakich próbował lub jakie planuje. W trakcie pospiesznej relacji nie miał kiedy jednoznacznymi słowami odwieść wicedyrektora od pracy nad balustradą; tylko podczas czytania na głos papierów dwa lub trzy razy ją musnął i tym jakby uspokajającym gestem pokazał na pół bezwiednie, że balustrada nie ma defektu i że nawet gdyby taki występował, to chwilowo słuchanie byłoby ważniejszą, a też i przyzwoitszą rzeczą niż jakiegokolwiek naprawy. Ale wicedyrektor, jak to bywa często z ludźmi żywotnymi, którzy pracują wyłącznie umysłowo, nabrał zapału do rękodziela; właśnie po skutecznym wyciągnięciu kawałka balustrady należało teraz umieścić jej słupki z powrotem w odpowiednich otworach. To było trudniejsze niż cokolwiek przedtem. Wstał i dopiero wtedy spróbował wcisnąć oburącz balustradę w blat. Ale przy całym nakładzie sił się nie udało. K., który czytał swoje papiery na głos i wtrącał jeszcze sporo uwag, dostrzegł ruch wicedyrektora bardzo niewyraźnie. Choć ani przez chwilę nie tracił z oczu jego ubocznych zajęć, pomyślał, że wstaje on w związku z relacjonowaną sprawą, więc sam także się podniósł i wskazując paznokciem jakąś liczbę, chciał wręczyć mu jeden z papierów. Tymczasem wicedyrektor zrozumiał, że nacisk rąk nie wystarczy; niewiele myśląc, przysiadł więc na balustradzie całym swoim ciężarem. Owszem, teraz się powiodło, słupki z chrzęstem weszły w otwory, ale jeden od tego impetu się zgiął, a w innym miejscu delikatna górna listwa pękła.

– Marne drewno – powiedział wicedyrektor ze złością, przestał się zajmować biurkiem i *

Budynek

K. przy różnych okazjach, początkowo bez żadnych konkretnych zamiarów próbował wy badać, gdzie ma siedzibę urząd, z którego wystosowano w jego sprawie pierwsze doniesienie. Dowiedział się tego bez trudu, zarówno Titorelli, jak Hardwilk już na pierwsze pytanie podali mu numer domu. Malarz z uśmiechem, jakim zwykł zawsze kwitować tajne plany nieprzedłożone mu do oceny, uzupełnił informację stwierdzeniem, że akurat ten urząd nic nie znaczy, że wydaje orzeczenia tylko według odgórnych nakazów i że stanowi zaledwie najbardziej widoczną część wielkiego organu oskarżycielskiego, a ten jest niedostępny dla stron. Kto pod jego adresem zgłasza jakieś życzenia – co się oczywiście zawsze zdarza, choć nie zawsze jest mądre – ten może się zwrócić do wspomnianego urzędu niższego szczebla, ale sam nie dotrze do właściwego organu oskarżycielskiego ani mu nigdy tych życzeń nie przekaże.

K. znał już naturę Titorellego, więc nie zaprzeczył i nie pytał dalej, tylko skinął głową i przyjął rzecz do wiadomości. Nie pierwszy raz ostatnio odnosił wrażenie, że malarz jako dręczyciel wynagradza mu z nawiązką brak mecenasa. Różnica polegała na tym, że K. nie był tak bardzo zdany na Titorellego i że zawsze mógł się go bez trudu pozbyć; ponadto malarz miał, choć mniejszą niż z początku, jednak wyjątkową skłonność do zwierzeń, ba, gadulstwa; a w dodatku K. również potrafił dręczyć jego.

I tak też robił w sprawie tego budynku, często mówił o nim Titorellemu tonem niedopowiedzenia, jakby już nawiązał relacje z urzędem, ale jeszcze nie tak trwałe, żeby je bezpiecznie ujawniać, a kiedy malarz domagał się szczegółów, K. nagle odbiegał od tematu i długi czas do niego nie wracał. Znajdował radość w takich drobnych sukcesach, myślał wtedy, że już znacznie lepiej rozumie ludzi z otoczenia sądu, że już igra z nimi, że sam jest bliski wstąpienia w ich szeregi oraz że co najmniej chwilami podobnie jak oni, plasujący się na pierwszym szczeblu sądu, miewa szersze rozeznanie. I nawet jeżeli w końcu straci stanowisko tu na dole, wtedy trudno – zawsze jeszcze będzie szansa schronienia się wśród tamtych ludzi, byle się między nich wśliznął; choćby wskutek ich zbyt niskiej pozycji lub z innych powodów nie zdołali mu pomóc w procesie, mogliby go przygarnąć i ukryć,

a przecież jeżeli przeprowadzi wszystko wystarczająco przemyślnie i dyskretnie, to nie będą się wzbraniaли przed zrobieniem takiej przysługi, zwłaszcza Titorelli, którego był już jednak dobroczyńcą i bliskim znajomym.

Podobnymi nadziejami nie karmił się bynajmniej na co dzień, zwykle miał jeszcze zdolność rozróżniania rzeczy i dbał, żeby nie przeoczyć ani nie przeskoczyć żadnej trudności, jednak czasem, głównie wieczorami, wycieńczony po pracy, czerpał pociechę z najdrobniejszych i zarazem najbardziej wieloznacznych wydarzeń całego dnia. Działo się to zazwyczaj, kiedy leżał na kanapie w swoim biurze, bo bez godziny takiego odpoczynku nie umiał już stamtąd wyjść; w myślach łączył wtedy kolejne obserwacje. Nie poprzestawał jedynie na ludziach związanych z sądem, tutaj w półśnie wszyscy się mieszałi, zapominał wtedy, jak wielką ten sąd wykonuje pracę, czuł się jedynym oskarżonym, wszyscy inni chodzili bezładnie, jak w budynkach sądu chodzą po korytarzach urzędnicy i prawnicy, i nawet najtępsi mieli zwieszane podbródki, wydęte wargi i spojrzenia nieruchome niby w zamyśleniu nad czymś doniosłym. Zawsze się wtedy pojawiali zwartą grupą lokatorzy pani Grobosch, stali jeden przy drugim, głowa przy głowie, z otwartymi ustami jak oskarżycielski chór. Ponieważ od dawna nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, wielu nie znał. Przez tych nieznajomych nie sprawiało mu przyjemności bliższe zadawanie się z całą grupą, a musiał to czasem robić, kiedy szukał panny Bzykier. Obiegał na przykład lokatorów spojrzeniem, aż nagle go napotykało dwoje obcych, lśniących oczu i przytrzymało wzrok na sobie. Wtedy panny Bzykier nie znajdował, ale później, chcąc wykluczyć jakikolwiek błąd, wznawiał poszukiwania i odkrywał ją w samym środku grupy, obejmującą dwóch panów, którzy stali po bokach. Widok ten wyjątkowo mało go poruszał, zwłaszcza że nie był niczym nowym, lecz tylko niezatartym wspomnieniem widzianej raz w jej pokoju fotografii z plaży, a mimo to K. się wtedy płoszył, i choć wracał tu jeszcze niejednokrotnie, teraz szybkimi, długimi krokami przemierzał budynek sądu wzdłuż i wszerz. Zawsze świetnie znał wszystkie pomieszczenia; zagubione korytarze, których nigdy nie mógł widzieć, wydawały mu się swojskie, jakby od dawien dawna były jego mieszkaniem, cisnęły mu się do mózgu kolejne, boleśnie wyraziste szczegóły, na przykład po którymś przedśionku spacerował obcokrajowiec, ubrany niby do walki z bykiem, miał talię wykrojoną jak nożem, kusą, sztywną kurtkę z żółtej grubej koronki, i ani na chwilę nie ustawał w spacerach pod uporczywym

spojrzeniem K., który chyłkiem okrążał go i w zdumieniu oglądał, z wysiłkiem wytrzeszczając oczy. Znał rysunek każdej koronki, każdy feler frędzli, każde drgnienie kurtki, a jednak nie miał dosyć ich widoku. Albo raczej od dawna miał go dosyć, czy ściśle biorąc, nigdy tego widoku nie pragnął, ale nie mógł się od niego uwolnić. „Ależ maskarady urządza ta zagranica!” – myślał, wytrzeszczając oczy coraz bardziej. I był przybocznym tego mężczyzny, póki tylko się wiercił na skórzanej kanapie i póki przyciskał do niej twarz.

Wyjazd do matki

Nagle przy obiedzie pomyślał, żeby odwiedzić matkę. Właśnie mijała wiosna i tym samym trzy lata, odkąd ostatni raz ją widział. Prosiła wtedy, żeby na swoje urodziny przyjechał do niej, a on mimo pewnych przeszkód spełnił tę prośbę i nawet obiecał, że będzie u matki spędzał każde urodziny, czego jednak nie dotrzymał już dwa razy. Ale teraz, choć do urodzin zostało tylko czternaście dni, wolał nie czekać, lecz pojechać natychmiast. Przyznawał jednak przed sobą, że nie istnieją po temu żadne szczególne powody; wręcz przeciwnie, wiadomości, jakie regularnie co drugi miesiąc otrzymywał od kuzyna mającego w tamtym miasteczku skład kupiecki i zarządzającego pieniędzmi K. przysyłanymi dla matki, były pomyślniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Wprawdzie traciła już powoli wzrok, ale tego mógł oczekiwać od czasu diagnoz lekarskich sprzed lat; ogólnie natomiast jej samopoczucie poprawiło się, rozmaite dolegliwości podeszłego wieku ustępowały zamiast przybierać na sile, a w każdym razie matka mniej narzekała. To zdaniem kuzyna mogło mieć przyczynę w czymś, czego drobne oznaki już podczas tamtej wizyty niemile K. uderzyły: otóż ostatnimi laty matka ponad wszelką miarę spobożniała. W jednym z listów kuzyn opisywał obrazowo, jak stara kobieta, która wcześniej ledwo się wlokła, stawia teraz zamasytyste kroki, kiedy ją co niedziela prowadzi do kościoła. A jemu K. mógł wierzyć, bo kuzyn, skłonny zazwyczaj do czarnowidztwa, wyolbrzymiał w swoich sprawozdaniach raczej niedobre wiadomości niż dobre.

Tak czy owak, K. postanowił jechać. Obok innych niewesołych rzeczy stwierdzał u siebie ostatnio pewne wydelikacenie, niepohamowaną czasami skłonność do folgowania własnym chęciom; cóż, w tym wypadku jego przywara posłuży chociaż dobremu celowi.

Dla pozbierania myśli stanął przy oknie, po chwili kazał wynieść jedzenie, wysłał woźnego, żeby zapowiedział pani Grobosch jego wyjazd i przywiózł torbę podróżną, do której niech ona zapakuje, co uzna za potrzebne, następnie wydał na czas własnej nieobecności kilka poleceń służbowych panu Smialkowskiemu, tym razem nie zezłościł się, że urzędnik, jakby znając dobrze swoje zadania i tylko cierpliwie znosząc niepotrzebną ceremonię ich przydziału, już zwyczajowo słucha z niegrzecznie obróconą w bok twarzą; na

koniec poszedł do dyrektora.

Kiedy powiedział, że musi jechać do matki, i poprosił o dwudniowy urlop, dyrektor spytał oczywiście, czy może zachorowała.

– Nie – odpowiedział K. bez dalszych wyjaśnień. Stał na środku gabinetu, z rękami założonymi w tył. Marszcząc czoło, rozmyślał. Może za bardzo się pospieszył z przygotowaniami do wyjazdu? Nie lepiej zostać? Po co tam jedzie? Czy to nie aby jakieś przewrażliwienie? I czy nie zaniedba przez nie tutaj czegoś ważnego, jakiejś okazji do działania, która może się nadarzyć lada dzień i lada chwila po całych tygodniach, kiedy proces, jak się zdawało, stał w miejscu, a do K. nie docierały niemal żadne konkretne wiadomości? I czy nie nastraszy starej kobiety, czego by oczywiście nie chciał, ale co wbrew jego woli może się łatwo zdarzyć, bo teraz wiele rzeczy zdarza się wbrew jego woli? A matka wcale za nim nie tęskni. Wcześniej w listach kuzyna nagłące zaproszenia z jej strony powtarzały się regularnie, po czym dosyć dawno już ustały. Więc nie dla matki jedzie, to jasne. Ale jeżeli jedzie z jakąkolwiek nadzieją dla siebie, jest ostatnim głupcem i tam w końcu zapłaci za to rozpaczą. A jednak, jakby tylko jacyś obcy ludzie chcieli w nim zasiać wątpliwości, podtrzymał postanowienie o wyjeździe – i ocknął się. Dyrektor właśnie przypadkowo albo, co bardziej prawdopodobne, z wyjątkowej subtelności pochylał się nad gazetą; po chwili podniósł wzrok, wstając, podał K. rękę i bez dalszych pytań życzył mu szczęśliwej podróży.

Później K. czekał jeszcze na woźnego, chodził po swoim biurze, kilka razy niemal bez słowa opędział się od wicedyrektora przychodzącego zapytać o powód jego wyjazdu; a kiedy wreszcie dostał torbę, czym prędzej ruszył na dół do zamówionej dorożki. Zbiegał już schodami, kiedy w ostatniej chwili pojawił się na górze urzędnik Puchaček z rozpoczętym listem, wyraźnie chcąc prosić o wskazówki. K. przecząco kiwnął ręką, ale ten mało pojętny blondyn z dużą głową źle zrozumiał jego znak, i wymachując kartką, z narażeniem życia pognął w susach za nim. Na zewnętrznych schodach dogonił K., który tak się rozgniewał, że wziął list i go podarł. Kiedy później się obejrzał z dorożki, Puchaček stał tam jeszcze, chyba nadal nieświadomy swojego błędu, i patrzył za odjeżdżającym, a obok portier zdejmował czapkę w niskim ukłonie. Więc K. mimo wszystko ciągle jest w banku jednym z najwyższych urzędników, i choćby sam temu przeczył, dowodem byłby portier. A matka, choćby nie wiadomo jak się temu sprzeciwiał, uważa go nawet za dyrektora banku, i to już od lat. W jej opinii nie straci, jakkolwiek

ucierpiała jego reputacja. To chyba dobry znak: na chwilę przed wyjazdem przekonał się, że jeszcze może wyjąć list z ręki urzędnika, nawet powiązanego z sądem, i bez słowa przeprosin ten list podrzeć. Nie może jednak zrobić czegoś, na co miałby największą chęć: z obu stron trzasnąć go w bladą, nalaną twarz.

Nie przed zwykłym sądem

Jakub Ekier

I

Ktoś musiał fałszywie oskarżyć Józefa K., bo przecież on nic złego nie zrobił, a został pewnego ranka pozbawiony wolności.

Narrator pierwszego zdania – Józef? – domniemywa czyjekolwiek oszczerstwo, byle sensownie powiązać dwa sprzeczne fakty. Jeszcze tuż przed końcem życia i powieści K. pomyśli o logice, przedtem zaś z daremnym uporem szuka w swoim procesie sensu. Bądź co bądź „żyje w praworządnym państwie, wszędzie panuje pokój, wszelkie ustawy pozostają w mocy”.

Jednak i tu się coś nie zgadza: dla autora nie całkiem panował pokój. Rozdziały początkowy i końcowy pisał on w rodzinnej Pradze około 11 sierpnia 1914 roku. Tymczasem już 2 sierpnia w swoim dzienniku zanotował: „Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji – po południu na lekcję pływania”. Od wielu dni trwała w Europie mobilizacja, po tym jak współczesny prokurenta K., również fikcyjny Józef Szwejk, miał od służącej usłyszeć: „No, to zabili nam Ferdynanda”. Zaczynał się – powie później Elias Canetti – „sąd nad światem”. Wcześniej napięcia społeczne, nieobojętne Kafce, który jako specjalista od bezpieczeństwa pracy znał sytuację ówczesnych robotników, zaczęły ruszać z posad bryłę świata. Jego zaś przyjętą wizję podważali między innymi Max Planck, Albert Einstein czy Sigmund Freud, dyskutowani w praskim salonie Berty Fanty, gdzie bywał i twórca *Procesu*. Więc tylko z ironią mógł pisać o panującym wszędzie „pokoju” – bo obserwując bacznie współczesność, wiedział aż nadto dobrze, jaki rozsądza ją niepokój.

Ale ustawy rzeczywiście pozostawały w mocy. Wolno przypuszczać, że prawnik Franz Kafka zakładał u odbiorców oczywiste dla siebie skojarzenie: Allgemeines Bürgerliches Gesetzbuch, „obywatelski kodeks praw”, obowiązujący ze zmianami w Austro-Węgrzech od roku 1811 i po dziś dzień w Austrii. Jego aktualność wystarczyła zapewne, żeby pomysł procesu bez oskarżenia wydał się niedorzeczny przyjaciołom, którym autor czytał

początkowy rozdział, wspólnie z nimi zaśmiewając się do łez. Nikt ze słuchaczy nie mógł wtedy przeczuwać, że fikcja Kafki wkrótce przestanie śmieszyć ludzi, że kojarząc z nią rzeczywiste uwięzienia oraz egzekucje, wbrew powieści odczytają w niej realistyczny zamysł.

Skąd jednak przekonanie, że zamysł realistyczny nie jest, a pojęć procesu, zatrzymania ani sądu nie należy rozumieć dosłownie? Na jakiej podstawie można zakładać, że *Proces* nie powstał na przykład jako zapowiedź paragrafu 58, pozwalającego skazywać na łagier za nic? Czyżby K. jednak zrobił coś złego? Czy cokolwiek by na to wskazywało?

Owszem. Zwłaszcza uważna lektura tekstu.

II

Faksymile *Procesu*, opublikowane w ramach Kafkowskiej edycji wydawnictwa Stroemfeld, nie rozstrzyga nawet układu rozdziałów, do dziś spornego. Ukazuje zarzucony po pięciu miesiącach pracy rękopis jako swoiste dzieło otwarte, jako – *nomen omen* – proces.

Linijki energicznego pisma, gęstniejące, rzedniejące bądź przechodzące w znaki stenograficzne, skreślone zdania lub akapity, wstawki opóźniające puentę albo coś precyzujące są jak znieruchomiały ruch pióra i myśli. Pozwalają nam odtworzyć pobudki rozstrzygnięć formalnych i dzięki temu także warsztatowe cele, jakie Franz Kafka sobie wytyczał. Należało do nich, jak podkreśla jego badacz Hans Dieter Zimmermann, zapobieganie nadmiernym jednoznacznościom – pierwszy powód, żeby nie pojmować *Procesu* ani jako zapowiedzi totalizmu, ani książki dającej się przełożyć na pojęcia.

Bo kiedy na przykład w rozdziale „Stryj. Lenka” – jednym z Kafkowskich majstersztyków niedopowiedzenia – Józef zapewnia stryja, że „to nie jest proces przed zwykłym sądem”, przymiotnik „zwykły” zastępuje wcześniejszą wersję „państwowy”. Nie trzeba jednak czytać faksymile, by dostrzec, że pytania o legalność lub nielegalność procesu, oficjalność lub nieoficjalność sądu nie są dla zrozumienia powieści istotne. Odkąd nadzorca odradził Józefowi telefon do prokuratora – a niemiecki „Staatsanwalt” to „rzecznik państwa” – K. nie próbuje uzyskać pomocy władz, jakby już wiedząc, że wszystko rozgrywa się na innej płaszczyźnie. Granice instytucjonalnych struktur tracą znaczenie, tajemniczą współzależność ujawniają bankowe gabinety, rupieciarnia, katedra i poddasza ubogich kamienic, w których

pisarz umiejscowił sąd. Właśnie tam – nie zaś we wspomnianym tylko raz „Pałacu Sprawiedliwości”.

A jednak co innego bodaj ostatecznie wyklucza rozumienie *Procesu* jako prorocstwa totalizmu: zależność sądu od podsądnego. Sędzia śledczy oczekuje K. od godziny, na którą jedynie on wyznaczył sobie w myślach stawiennictwo; do sali przesłuchań doprowadza Józefa ślepy traf, i potwierdza się jedno ze zdań dla *Procesu*, jak uważam, kluczowych: „to wina przyciąga organa”. Zaciera się tutaj granica między jaźnią a światem zewnętrznym, między bierną a sprawczą rolą człowieka w danym wydarzeniu. Tak samo w rozdziale „Koniec”, kiedy bohater punktualnie oczekuje niezapowiedzianych gości, i w rozdziale katedralnym, kiedy duchowny mówi:

Sąd nic od ciebie nie chce. Przyjmuje cię, kiedy przychodzisz, a kiedy odchodzisz, odprawia cię.

Do pytania, o jak pojętym sądzie można to powiedzieć, wrócę później. Co jednak już teraz oczywiste, to że w odniesieniu do ludzi prześladowanych lub zgładzonych przez dyktatury słowa takie byłyby uwłaczającym absurdem.

Rzecz jasna, odrzucenie „totalitarnej” wykładni nie powinno kwestionować socjologicznych wymiarów *Procesu*. Kafka, „niezwykle uważny obserwator współczesnych sobie udręczeń – jak w tym właśnie duchu podkreśla autor jednej z jego biografii Thomas Anz – brał udział w dyskusjach o biurokratyzacji społeczeństwa, które toczyli wtedy Max Weber i wielu innych”. W *Procesie* dostrzega Anz nowoczesne techniki dyscyplinowania człowieka w przestrzeni i czasie, opisane sześćdziesiąt lat później w dziele Michela Foucault *Nadzorować i karać*. Potwierdzeniem tego wydaje się w powieści dyscyplina nie tylko biurowa, lecz i takie ciekawiące Foucaulta jej aspekty jak mowa ciała, gry spojrzeń albo, symboliczne u Kafki, ciasne bądź luźne stroje. Sadosochistyczny ubiór batoźnika przywołuje sferę seksualności, przynależne i do niej narzędzie chłosty kafeologowie łączą też z piszącym piórem, a obrazy cielesnego zniszczenia i samozniszczenia przewijają się w Kafkowskiej prozie stale. Jednak masowa dyscyplina – wyraz oznaczający pierwotnie chłostę – musiała także panować zarówno w Zakładzie Robotniczych Ubezpieczeń Wypadkowych na Królestwo Czech, w którym pracował Franz Kafka, jak i w fikcyjnym banku stołecznym, gdzie K. piastuje wysokie stanowisko.

Co prawda, Józef to nie żaden pozbawiony jednostkowych cech psychicznych *everyman*, jak chcieli zwłaszcza egzystencjaliści. Stanowczy człowiek sukcesu, jakiego wiernie zagrał Kyle MacLachlan w ekranowym *Procesie* Davida Jonesa, pnie się po szczeblach kariery i nie jest zaledwie „skromnym urzędnikiem” – wbrew kolejnym stereotypom odbioru, które we wcześniejszym filmie Orsona Wellesa umacnia Anthony Perkins, kreujący neurotycznego szaraka. A jednak Wellsowska olbrzymia, pełna biurek hala, w której K. rozmawia ze stryjem, z pewnością by pisarzowi dogadzała. W znanej po polsku jeszcze pod błędnym tytułem *Ameryka* powieści *Der Verschollene* (Zaginiony), która zresztą po części powstała równoległe do *Procesu*, Kafka – być może przetwarzając obraz praskiej centrali telefonicznej, otwartej niedługo przedtem – opisuje olbrzymią „salę telefonów” i jednego z jej pracowników, „z głową opiętą stalową taśmą, która przyciskała mu do uszu słuchawki”. Przez telefon właśnie, medium tak niezwykle później pokazane w drugim rozdziale *Zamku*, sąd w *Procesie* wzywa Józefa dwukrotnie – i za każdym razem wyrażający przytoczenie koniunktywus, a także dosyć drętwa składnia i styl oddzielają te komunikaty od wizji świata doświadczanego pięcioma zmysłami. Telefon bowiem – o czym pisze między innymi Michał P. Markowski w *Czarnym nurcie* – przerażał Kafkę niemożnością „naturalnego obcowania” z kimś drugim.

Odczuwalne w *Procesie* wielkomięskie umasowienie i dobrowolna w przypadku egocentrycznego K. alienacja znajdują u Kafki wyraz także w częstej formie bezosobowej *man*, która odpowiada polskiemu „się” albo „człowiek”. Bohater *Przygotowań do ślubu na wsi* myśli sobie tak:

(...) pozostaje się więc samotnym, obcym dla wszystkich człowiekiem i jest się tylko przedmiotem zaciekawienia. I dopóki mówisz „się” – zamiast „ja”, nic to jeszcze nie znaczy (...) ale gdy sobie uświadomisz, że dotyczy to ciebie (...) jesteś wstrząśnięty.

Wkrótce taka językowa depersonalizacja zafascynuje Martina Heideggera, później zaś inni zwolennicy myśli egzystencjalistycznej dopatrzą się w *Procesie* ilustracji swoich poglądów na kondycję ludzką. Posłuchajmy, co Józef myśli jeszcze na chwilę przed śmiercią:

Może jeszcze jest ratunek? Może istnieją argumenty, o których człowiek [podkr. J.E.] zapomniał? (...) K. uniósł dłonie i rozstawił palce.

W rękopisie przy tych zdaniach linijki tekstu gęstnieją, skreślenia wydają się gwałtowniej pociągnięte, i chyba któreś zostawiło smugę po plamie

atramentu – najwidoczniej Kafka w pośpiechu jej nie wytarł. Jedno ze skreśleń, poczynione spiesznie i połowicznie, cofa wcześniejszą wersję „uniosłem... rozstawiłem” – jakby ta w najdramatyczniejszej chwili niepotrzebnie ujawniła autora. Kiedy indziej kryje on się za Józefem, ten zaś często umniejsza własne lub cudze istnienie formą bezosobową. Zmaleć to wymknąć się władzy, jak zaznacza Elias Canetti w eseju o Kafce, którego nazywa „znawcą władzy”. A ponieważ Kafka nim był i ponieważ, jak wspomniałem, znał „ruszoną z posad” rzeczywistość, zaczątki totalizmu musiały, owszem, przeniknąć do jego prozy o tyle, o ile istniały dokoła pisarza.

A jednak nie ma racji autor internetowej pomocy szkolnej, który twierdzi, że powieścią *Proces* autor „ostrzega nas przed biurokratyzacją”. Franza Kafka nie może interesować pisanie o czymkolwiek, co podlegałoby takiemu streszczeniu. On nie potrzebuje żadnych „nas”, których miałby przed czymś ostrzegać. I nie potrzebuje dosłowności.

III

Kolejnym powodem, by podejrzewać, że K. jednak zrobił „coś złego”, jest świadomość wszechobecnej w *Procesie* ironii, a więc i nieufność wobec narratora. Przeważnie tożsamy z Józefem, wydaje się on zbyt pewny swego i stronniczy, by zasługiwał na wiarę. Już w pierwszym zdaniu niewinność bohatera podkreślona jest nieznanym polszczyźnie rodzajem koniunktywu, który opisuje sytuacje uznawane z góry za wykluczone. Zdanie brzmi więc równie subiektywnie, jak personalna będzie perspektywa prawie całej opowieści. Symetrycznie, w ostatnim zdaniu rozdziału „Koniec”, forma „zdawało się” otwiera pytanie: komu? Jakby w składni wolne miejsce czekało jeszcze na prokurenta, który w swoim krótkim życiu uciekał od „ja” w ogólne „się”, a wreszcie przyciągnął organa, wyrok i swoją śmierć; jakby już w tym zdaniu jedynym śladem po Józefie K. był wstyd.

Po to jednak, by taka narracja, personalna i „jednokierunkowa” – jak ją nazywa germanista Friedrich Beissner – przynosiła w powieści odwrotny skutek, trzeba i w przekładzie unikać dystansu epika patrzącego z zewnątrz. Raz długi, raz krótszy oddech zdań, podobnie jak gramatyczna forma myśli K., uzmysławia bowiem jego fizyczną i psychiczną obecność. Brakuje w całej opowieści kogoś, kto wzniósłby się ponad zdarzenia, ba – niektórzy kafkolodzy mówią o naszym wspólnym z Józefem uwięzieniu wewnątrz

nieczytelnej rzeczywistości. Beissner przytacza nawet Kafkowski zapisek o przedstawianiu „własnego życia wewnętrznego, które jest jak sen” – ale chociaż w *Procesie* nie brak pierwiastków onirycznych, trudno raczej w ślad za nim uznać akcję powieści za „urojenie umysłu samotnego w skrajnym wyczerpaniu”. W myślach i zachowaniach K. za dużo powagi, by nie wydawał się śmieszny. Autor najnowszej biografii Kafki Reiner Stach tak pisze o Józefie:

Nieustannie narzuca się zwłaszcza komizm czynności omyłkowej (...), motywy rządzące postępowaniem danej osoby widoczne są dla wszystkich prócz niej samej. Oskarżony uważa za niebywałe, że ktoś obcy bez przedstawienia się wtargnął do jego pokoju, po czym wpada na pomysł, żeby okazać „legitymację cyklistowską” albo ewentualnie odebrać sobie życie. Z osobą wynajmującą pokoje toczy dyskusję o tym, jak się prowadzi panna Bzykier, ale sam jednocześnie zapomina, że nie zdąży ze swoją zwykłą wizytą u prostytutki.

Dystans patrzenia na Józefa i subtelne zmiany tej perspektywy nie dają się jednak dostrzec tak łatwo. Podobnie jak różnice odcieni stylistycznych – słownictwo bowiem i frazeologię Kafki konsekwentnie cechują beznamietność, sprawozdawcza precyzja, niechęć do zbytecznych urozmaiceń, skąpa idiomatyka i oszczędność synonimów. Tłumacz *Procesu* bierze na siebie niewdzięczną misję samoograniczenia, oryginał nie uprawnia go bowiem do językowego „zabłyśnięcia”. Zamiast raczyć odbiorców barwnością stylu, powinien zadbać o jego bezbarwność, by czasem tylko punktowo ją przełamać tam, gdzie czyni to autor. Oto na przykład u lokatorki proletariackiej kamienicy słyszymy pewien wariant fonetyczny właściwy południowej niemczyźnie, jakby całą powieść miała dokładniej umiejscowić jedna głoska; oto koniunktywus mowy zależnej, oddający wspomniane zawiadomienia telefoniczne, gdzie indziej bierze w nawias także gadaninę adwokata, osoba zaś wynajmująca Józefowi pokój zdradza składnią naiwność i brak wykształcenia. Lecz poza tym Kafkowska narracja jest jak twarz Bustera Keatona – pozorna niewzruszoność jeszcze nasila jej komizm. By nie rzec: komediowość. Bądź co bądź, pisarz fascynował się teatrem, zwłaszcza żydowskim, wiele określeń w *Procesie* sugeruje sceniczność wydarzeń, K. myśli o bliskiej śmierci trochę jak o wyjściu za kulisy po zagraneniu roli, a wcześniej w swoim pozbawieniu wolności *expressis verbis* przeczuwa „komedię”. Zważywszy na to wszystko, tym łatwiej zrozumieć – co najmniej zrozumieć – cały śmiech, jaki towarzyszył czytaniu przez Kafkę rozdziału

„Zatrzymanie”.

I tym trudniej utożsamić się z bohaterem. Nawet bez pozatekstowej wskazówki, jaką w dzienniku pisarza jest jednoznaczna wzmianka o winie K., sama narracja nie pozwala brać za dobrą monetę Józefowych zapewnień o jego niewinności ani o czymkolwiek. Chyba że oczywiście pokrywają się z naszym własnym rozeznaniem, powziętym z należytego dystansu – na przykład kiedy bohater oświadcza, że „to nie jest proces przed zwykłym sądem”.

Bo nie jest. Kafkolog Peter Beicken pisze:

Jedyny w swoim rodzaju, drażniący podział powieściowego świata na rzeczy zwykłe i niezwykłe, jawne i potajemne, utrudnia przekonujące sformułowanie tematyki oraz problematyki Procesu według oswojonych pojęć. (...) Dzieło to należy więc interpretować tak, by wywiedziona z normalnych odczytań wykładnia pozwalała rozpoznawać niezwykłe wymiary interpretacji – by zatem sfera mimesis zderzała się ze sferą wyobraźni.

Jednym z tych, którzy to wcześniej dostrzegli, był Bruno Schulz.

IV

Wielki prozaik z Drohobycza zainicjował publikację *Procesu* w roku 1936 przez wydawnictwo „Rój”, przejrzał sporządzone przez Józefinę Szelińską tłumaczenie i firmował je własnym nazwiskiem. W swoim posłowniu zinterpretował powieściowe zdarzenia jako uzurpację „porządku boskiego”, na którą „byt ludzki” może reagować tylko „protestem i niezrozumieniem”. Wniknął także w istotę Kafkowskiej estetyki:

Kafka znalazł (...) materiał zastępczy, w którym buduje (...) strukturę sprawy (...) Jego stosunek do rzeczywistości jest na wskroś ironiczny, zdradliwy, pełen złej woli (...) Symuluje on tylko dokładność, powagę, wysiloną precyzję tej rzeczywistości, ażeby ją tym gruntowniej skompromitować.

Schulz, choć odczytywał w *Procesie* „intuicje religijne”, podkreślał jeszcze mocniej, że całe prozatorskie dzieło Kafki „żyje własnym poetyckim życiem – wieloznaczne, niezgruntowane, przez żadne interpretacje niewyczerpane”. Jednak świadomość tego nie przeniosła się na tłumaczenie Józefiny Szelińskiej. Przypuszczalnie autor *Sklepów cyjamonowych* zaingerował w ten przekład nader lekko; na pewno nie porównał go z oryginałem, skoro z ilości oraz kalibru translatorskich przeoczeń, naddatków i pomyłek widać, że nie zrobił tego nikt władny je skorygować. Bez względu jednak na

przyczyny, pierwszy polski *Proces* zanadto ciąży ku „zwykłości”, a sfery *mimesis* i wyobraźni zderzają się w nim rzadziej, niż powinny.

Na przykład tu i ówdzie określenia „władza” lub też „władze” arbitralnie zastępują kluczowe słowo „sąd”. Instancja ta zaś, czymkolwiek by u Kafki była – to jeszcze pozostawię w zawieszeniu – wyłącznie pod nazwą sądu może ukazać po polsku swój „niezgruntowany” sens. Dlatego w moim przekładzie unikam słowa „sądowy”. Podobnie jak przymiotnik „więzienny”, przywoływałoby skojarzenie jedynie z instytucjami „zwykłymi”; tymczasem nie tylko od Józefa wiemy, że „sąd” i „więzienie” to pojęcia, które dopiero wyobraźnia musi wypełnić treścią, a więc – że kapelan i woźny są pracownikami metafor.

Inne w *Procesie* kluczowe pojęcie, „prawo”, ulega zawężeniu, ilekroć dawny przekład mówi o „ustawie” lub „ustawach”. Owszem, jak wiemy, wszystkie „pozostają w mocy”. W oryginale jednak, poza tym zdaniem, wyraz *Gesetz* pojawia się zawsze w liczbie pojedynczej, co otwiera całe spektrum znaczeń: od prawa objawionego poprzez prawo stanowione aż po wszelką postrzeganą przez człowieka prawidłowość. Taką na przykład, że – jak mówi strażnik Wilhelm – to wina przyciąga organa, nie odwrotnie. Albo że, jak przypomina germanistka Susanne Kessler, w należącej do sędziego książce mężczyzna i kobieta na „nieskromnym obrazku” nie mogą się „zająć jedno drugim”, tak by powstała harmonia we współistnieniu obu płci; także pod kątem ich relacji można czytać powieść, w której tylko mężczyźni są oskarżonymi, a więc, analogicznie do K., zapewne i winowajcami.

Nie chcąc zawęzić pojęcia „prawa”, nie stosuję dla niego pisowni dużą literą, bo wtedy, w rozumieniu starotestamentowym, zbyt jednoznacznie by się kojarzyło. Podobnie jak jego kodyfikacja: „pismo”. Powołuje się na nie kapelan, opowiedziawszy Józefowi legendę o odźwiernym, który obiecuje zwodniczo wpuszczenie do prawa mężczyźnie – znowu mężczyźnie! – przybyłemu z prowincji. Jak w swoim komentarzu do *Procesu* zauważa Michael Müller, wzmianka duchownego o „pismach wprowadzających do prawa” przywodzi na myśl Talmud z jego podziałem na Misznę i Gemarę. Z kolei na inspirację *Procesu* kabalistycznym wyobrażeniem nieustannego sądu, który jest jedną z postaci Boga, wskazywał ongiś najbliższy przyjaciel Kafki, edytor jego spuścizny Max Brod; stosunkowo niedawno zaś judaista Karl Erich Grözinger obszernie wykazał uderzającą zbieżność Kafkowskich fabuł z motywami obecnymi w różnych nurtach kabały i żydowskiej

literatury mistycznej. Wszystkie te motywy jednak pojawiają się podczas rozmowy toczonyj w katedrze, ich żydowskość nawzajem się znosi z katolickością świątyni, i w owym wzajemnym przenikaniu wyobrażeń religijnych także duchowny wydaje się nie dosyć swojski jak na obecne u Szelińskiej określenie „ksiądz”.

Zwłaszcza odkąd kapelan, porównując rozmaite interpretacje przytoczonej przez siebie legendy, mówi do Józefa, że „pismo jest niezmiennie”, łatwo pomyśleć, że ortograficzne niedookreślenie „pisma” i „prawa” swoją dziwną, niebiblijną kanonicznością zdezorientuje odbiorcę. Ale już wspomniane poprawki autora w rękopisie służyły odejściu od sformułowań jednoznacznych, a zabiegi dezorientujące to czytelnikowi tej książki nie nowina. Po pierwsze, sam pomysł procesu bez oskarżenia, określany przez Beickena jako „ruchomy paradoks”, interpretacyjnie zbija z tropu. Po drugie, oba niejasne pojęcia przywołuje kapelan w rozmowie dotyczącej legendy, a ona traktuje, ni mniej, ni więcej, tylko o wprowadzaniu kogoś w błąd. Po trzecie zaś, ilekroć w *Procesie* i później *Zamku* Kafki przenikają się urzędowość i sakralność, łączy te sfery między innymi motyw pism, który wtedy przekracza wszelkie swoje utarte znaczenia.

Jak na przykład w pewnym skreślonym przez autora zdaniu katedralnego rozdziału. Mówi ono, że „K. tego pisma nie znał”.

V

Według Petera Beickena odbiorcy, próbując „wyskoczyć z błędnego koła paradoksu”, sprowadzają często wymowę *Procesu* do „swojskiej konwencjonalności”. Ale gdyby ktoś stawiał podobny zarzut jego polskiemu tłumaczeniu sprzed siedemdziesięciu dwóch lat, powinien on brzmieć jak najłagodniej. To bowiem po stronie autora leży główna przyczyna takich błędów: wyobraźnia tak śmiała, że nie nadażał za nią także Max Brod. Nawet on, próbując rekonstruować powieść na podstawie ocalonego przez siebie rękopisu, ufał intencjom Kafki nie do końca i zacierał w niej pewne osobliwości. Dopiero edycja krytyczna, na której opieram tłumaczenie, i późniejsze wydanie faksymilowe przywracają ten czy inny szczegół uznany przez Broda pewnie za lapsus.

Zgrzytem, także po polsku, wydają się słowa kancelistki: „My, to znaczy ciało urzędnicze postanowiło...”. Max Brod, wprowadzając po „my” liczbę mnogą, z powrotem nadał pracownikom sądu osobowość, którą

w Kafkowskiej wersji zatracają – jak kiedy indziej traci ją ten, kto mówi „się” o samym sobie... Inny przykład: rachunek sumienia, jaki robi K. prowadzony na egzekucję, potwierdzają równomierne kroki – kroki Józefa „i tamtych dwóch”, jak chcą wydania Broda. Rękopis najwidoczniej nie przekonał go wyrażeniem „tamtych trojga” i obrazem osoby, która, podobna do sąsiadki, panny B., jak unaoczniona wina K. lub jak współniczka w jego osądzeniu, idzie przodem w tym samym rytmie co Józef i dwaj panowie w cylindrach. Wcześniej bohater sam jest świadkiem kary: oto w bankowej rupieciarni odkrywa batoźnika i dwóch funkcjonariuszy, obnażających ciało przed otrzymaniem chłosty. Zapewne wymogi prawdopodobieństwa kazały przyjacielowi Kafki umieszczać w swoich edycjach wersję, zgodnie z którą nazajutrz Józef zastaje tam delikwentów „jeszcze rozebranych”. Tymczasem według rękopisu są „jeszcze ubrani”. Czy to błąd, czy wydarzenie w innych wymiarach czasu? Podobne pytanie narzuca się, kiedy Józef, umówiony na dziesiątą w katedrze, przyjeżdża punktualnie – tyle że u Broda o dziesiątej, a u Kafki o... jedenastej. Za pomyłką autora przemawiałoby tempo, w jakim pisał, za celową wizją wypadnięcia bohatera z czasu – fakt, że Kafka zwykł nastawiać zegarek na półtorej godziny później...

W innych miejscach rękopisu wydaje się już mniej prawdopodobne, by autor naruszał potoczną logikę z rozmysłem. Owszem, potrafi on przypisać czynność omyłkową Józefowi, kiedy ten, myśląc o chłostanym funkcjonariuszu, oświadcza, że pies na podwórzu „krzyczy”. Ale czy imieninowe czekoladki dla kuzynki K. w myślach zamienia w urodzinowe wskutek nieuwagi swojej czy autora, tego nie rozstrzygniemy nigdy. A co robić w przekładzie, kiedy bohater żałuje imiennego zażalenia, chociaż nie było imienne, i naśladuje okrzyk, który nie padł? Kiedy wiadro niepostrzeżenie przeistacza się w balię, a imię stryja zmienia się po kilku stronach? Czy tłumacz powinien z takim oczywistym raczej błędem cokolwiek „robić”, czy przyjąć go z dobrodziejstwem inwentarza? Kiedy kłopot nie jest łatwy do obejścia, wybieram w *Procesie* to drugie; nie chcę bowiem rozstrzygać o realiach powieści, czy też o jej „nierealach”, i nie chcę ingerować w „drażniący podział powieściowego świata na rzeczy zwykłe i niezwykłe”.

Co oczywiście, z drugiej strony, nakazuje przekładową dbałość o „rzeczy zwykłe” i sferę *mimesis*. Gdyby nie przywiązanie prokurenta K. do „zwykłego trybu” rzeczy i „porządku” (społecznego i w mieszkaniu pani

Grobosch), mniej odczuwałyby ingerencję procesu w swoje życie. Podobnie w *Kolonii karnej* śmiercionośna maszyna przy całym jej drobiazgowym opisie budziłaby zapewne ciut mniejszą grozę, gdyby wszystkiego nie uwiarygodniał dodatkowy szczegół: zwiedzający siedzi na trzcinowym krześle. Zjawiskowy pierwszy akapit *Myśliwego Grakchusa* nie miałby może tak epifanicznej mocy, gdyby go pod koniec nie dopinały srebrne guziki u czyichś surdutów. W Kafkowskiej narracji oraz jej tłumaczeniu nieodzowne wydaje się więc to, co Bruno Schulz nazwał „wysiloną precyzją rzeczywistości” – odtwarzanie równie skąpych, jak znaczących szczegółów codziennego życia, rekwizytów, które dziś tworzą klimat epoki już dawno minionej.

Bo cokolwiek by się działo z Józefem i światem, „zwykłe” sądy pracują ciągle w dni robocze od dziewiątej. Po staremu nie wypada, żeby w bramie kamienicy niedorośli syn stróża palił fajkę. A już zwłaszcza – żeby młoda stenotypistka pokazywała się na mieście z innym coraz to kawalerem.

VI

Jeżeli myślał o sądzie, to z poczuciem, że jakikolwiek ukryty punkt zaczepienia, choćby wymagał szukania po omacku, bez trudu pozwoliłby wyciągnąć na światło dzienne tę nieogarnioną (...) organizację i ją rozbić.

W drugim zdaniu rozdziału „Walka z wicedyrektorem” symboliczne w *Procesie* ciemności mówią o rozpaczliwym poszukiwaniu przez K. jakiegokolwiek pewnika, który pozwoliłby zrozumieć własne położenie, a także – o sytuacji odbiorcy wewnątrz przedstawionego świata. Jak zwykle jednak, w opowieści pośredniczy Józef, co dodatkowo (czemu nie!) zaciemnia sprawę.

Największe niejasności powstają w mrocznej katedrze, kiedy mamy nadzieję, że kapelan wreszcie oświeci nas i prokurenta oraz że ujawni sens procesu. On jednak potęguje tylko dezorientację, opowiadając, a później interpretując legendę, urastającą w „bezład”. Józef, jak jej bohater, pochodzi z prowincji i, niby hebrajski am-ha arec, nieuczony w Torze mężczyzna „z głębi kraju”, chce właśnie bliżej poznać prawo. Mamy więc powody, by uważać, że legenda ogniskuje zasadę, jaka rządzi nieczytelnym światem *Procesu*. A przede wszystkim – że obrazuje położenie K. i odnawia „ruchomy paradoks”. Oto bowiem, choć prokurenta „gonią” służy prawa, ono samo się poznać nie daje; choć niszczące, jest zarazem nieuchwytnie.

O tej sprzeczności mówi między innymi w swoim wykładzie *Przed prawem* Jacques Derrida. „Prawo, którego nie ma”, jego zdaniem „nie posiada istoty”; milczy, ale istnieje. Nie wiadomo także, czy „przejawia się w swej niejawności” prawo naturalne, moralne, sądowe czy polityczne...

„Historię o niemożliwej historii”, jak ją nazywa dekonstrukcjonista, zdaniem wybitnego kafkologa Hartmuta Bindera coś jednak tłumaczy – nie natura prawa, ale wciągnięcie przybysza w pułapkę psychologiczną zwaną podwójnym wiązaniem. Odźwierny jednocześnie komunikuje mężczyźnie sprzeczne treści, mające mniej czy bardziej charakter nakazu i związane z jakąś sankcją. Najdobitniej to ilustrujące słowa: „spróbuj się dostać do środka, wbrew mojemu zakazowi”, znowu tworzą analogię do sytuacji Józefa, któremu pozwolono żyć zwykłym życiem, chociaż pozbawiono go wolności. Według Bindera Kafka należał do osób, które w dzieciństwie wpadają w pułapki podwójnego wiązania, a później same je zastawiają. Na krótko przed śmiercią w podwiedeńskim sanatorium zażądał eutanazji od Roberta Klopstocka, przyjaciela będącego z zawodu lekarzem: „Proszę mnie zabić, inaczej będzie pan mordercą!”. Wcześniej dwukrotnie domagał się od Maksa Broda spalenia swoich niewydanych dzieł – uprzednio jednak mu je powierzywszy, zamiast samemu dawno zniszczyć, jak część zapisków i listów.

Brod jednak, ocalając Kafkowską spuściznę, okazał się odporny na podwójne wiązanie. Dzięki temu przetrwał między innymi zbudowany na takich ambiwalencjach *Proces*.

VII

Oczywiście, Derridiańska teza o „niedostępności” prawa z jednej strony, z drugiej zaś skojarzenie Bindera z konkretnym prawem psychologicznym stanowią tylko dwa przykładowe, krańcowo różne odczytania legendy. A jednak mówią o porównywalnym zjawisku: jest nim brak logicznie spójnego komunikatu, który mógłby cokolwiek wyjaśnić.

Zrozumiałość sygnałów ze świata zewnętrznego, a raczej zwłaszcza ich niezrozumiałość czy też brak, to – za sprawą legendy oraz wcześniej kontrahenta szwargocącego obcym dialektem – motyw przewodni rozdziału „W katedrze”. A także jeden z kluczy do *Procesu*, powieści, którą kafkolog Gerhard Neumann określił mianem „semiologicznej”. Nieraz bowiem mowa tutaj, że ktoś „nie zrozumiał” K. On sam ciągle próbuje odcyfrowywać

rzeczywistość, ma jakieś „wrażenie” bądź „poczucie”, adwokaci domyślają się treści oskarżenia z relacji swoich klientów, podsądni w duchu starego zabobonu odgadują czekające ich wyroki z rysunku własnych ust. W spotęgowanej zaś mierze takie odczytywanie znaków staje się udziałem czytelnika, a także tłumacza.

Co gorsza jednak w *Procesie*, jak określają to badacze, „pierwsze znaczenie znaku okazuje się często mylące”, ba – toczy się nawet „semantyczna gra na zmylenie”. Sąd używa wobec Józefa pojęć o zamienionej treści i sam do takich pojęć należy – podobnie wspomniane, niedookreślone „prawo”, podobnie „proces”, „osądzenie” czy też „pozbawienie wolności”, co do którego K. i nadzorca daremnie usiłują znaleźć wspólny język. Lecz jak działanie sądu przenika wszelkie sfery życia, tak i zakres nieporozumień rozszerza się w powieści także na inne zdarzenia. Nie wiadomo, czy Józef, odgrywając uczestników zatrzymania przed atrakcyjną sąsiadką, według własnych słów zapomina o sobie, czy zapomina się; nie wiadomo, bo prawdą byłoby jedno i drugie. K. pojmuje też czasownik „kochać” i zwrot „zaciągnąć do łóżka” inaczej niż służąca adwokata, a jego językowych ironii na temat sądu nie chwyta żona woźnego. Ale właśnie ona wcześniej rozpoznaje ukryty sens w pytaniu o stolarza. Ona wie, że znak trzeba odczytywać od razu nie w jego „pierwszym znaczeniu”. Tej konieczności nie jest świadom tylko Józef, który daremnie szuka „sensu” na racjonalnej powierzchni świata.

VIII

To nie jest powieść w zwykłym języku. Żeby przedstawić pełen tyłu semantycznych i semiotycznych nieporozumień świat, w którym nieprzypadkowo powraca motyw mętności, trzeba ogarniać wielość rozumień. Odkąd pisarz dostrzegął, jak dalece traci moc prawodawstwo rządzące myśleniem, sztuką i społeczeństwem, pojęcia oferowane przez język musiały dla niego tracić oczywistość. Dodatkowo też niemczyzna w stolicy Czech, używana przez niewielką, oderwaną wspólnotę, zamiast – jak pisze biograf Kafki Klaus Wagenbach – ulec „spłaszczeniu przez ogólny uzus”, łatwo odzyskiwała pierwotne bogactwo skojarzeń.

Zważywszy na to, łatwiej sobie wyobrazić, jak pewnego dnia, kiedy praski kupiec Hermann Kafka deprecjonuje kogoś, na przykład aktora Icchaka Löwy’ego, pogardliwym słowem *Ungeziefer* określającym robactwo i pasożyty, syn kupca, Franz, słysząc to, nagle bierze utartą metaforę

dosłownie. I jak wpada na pomysł, żeby w nowym opowiadaniu pewnego ranka komiwojażer ocknął się zamieniony w olbrzymiego insekta. Tak, również Gregorowi Samsie odmiana losu przytrafia się przy obudzeniu; bądź co bądź jest ono „najryzykowniejszą chwilą dnia”, jak myśli sobie w usuniętym przez autora zdaniu bohater *Procesu*. Przypomina on „Kafkę” inicjałem „K.” podobnie jak „Samsa” strukturą głosek; i właśnie w *Procesie* autor ze szczególną chęcią podejmuje znamienne dla swojej prozy, czasem dyskretne, a czasem w pełni jawne gry skojarzeniowe nazwiskami postaci. To one najsilniej podkreślają umowność przedstawionego świata, sygnalizując, że podobnie jak pojęcia kluczowe, wszystko ma tu swoje drugie dno oraz że całej opowieści nie powinna cechować zbyt realistyczna wiarygodność.

Pseudonim „Titorelli”, przybrany przez sądowego portrecistę, zdaniem pisarza i literaturoznawcy Heinza Politzera nawiązuje do postaci Tycjana, Signorellego oraz Tintoretta; ten ostatni malarz – dodam od siebie – tworzył między innymi podobizny prokuratorów, które Kafka mógł znać. A już nawet nazwisko Block, niepozorne jak sam ten klient adwokata i na pozór nieznaczące, w odróżnieniu od pierwotnie pomyślanego Becka, znaczy coś, co w otoczeniu autora nie mogło budzić wątpliwości: Block jest Żydem. Jego płaszczenie się przed adwokatem, dla Józefa żenująco bałwochwalcze, nabiera przez to pewnego sensu, otrzymuje jedno z takich znaczeń, jakich K. nie potrafi odczytać: otóż kupiec za sprawą swojego pochodzenia podlega nieustającym sądom boskim, o jakich opowiada kabała. Również adwokat Fawor, rzekomo tylko życzliwy klientom, w skreślonym przez Kafkę wariantcie miał się nazywać Massal – zapewne od hebrajskiego *massel*, szczęście. Dopiero potem otrzymał niemieckie, trochę ironiczne miano Huld; mówi ono, że jest się zdany na nieprzewidywalny boski sąd, na jego łaskę i niełaskę.

Z kolei ukryty w nazwisku „Fräulein Bürstner” wulgaryzm, odbicie swobodnych obyczajów tej panny i jednocześnie projekcja erotycznych zakusów Józefa wobec niej, sugeruje dezaprobatę dla głównego bohatera, a kto wie, czy nie powinien również wyrażać pogardy dla seksualności jako takiej. Inicjały F.B., pojawiające się raz po raz w rękopisie, przywodzą na myśl ówczesną narzeczoną pisarza, Felicję Bauer, którą wcześniej, w opowiadaniu *Wyrok*, gra dźwiękowo-semantyczna przeistoczyła we Friedę Brandenfeld, a do której też nawiąże postać Friedy w późniejszym *Zamku*.

Trzej zaś urzędnicy obecni przy zatrzymaniu prokurenta przywodzą na myśl nie tylko główne nacje żyjące w ówczesnej Pradze, ale także drapieżne ptaki, miejsce straceń i kamień – tym samym zapowiadając uśmiercenie Józefa i dodając *Procesowi* kompozycyjnej zwartości. Oczywiście, przyjaciele autora poruszali się w tych samych co on realiach Pragi roku 1914. W dodatku, nieobciążeni jeszcze żadnym dotyczącym Kafki stereotypem, nie odbierali jego prozy ze śmiertelną powagą, lecz właśnie bez uprzedzeń, jak rzekłby on sam – „niewinnie”. Prędzej niż my obecnie mogli powiązać gburowatych strażników Franciszka i Wilhelma z imionami dwóch ówczesnych cesarzy, łatwiej też wychwytywali jawne albo podprogowe skojarzenia w nazwiskach znaczących. Te jednak niosą tyle informacji i tak zmieniają naświetlenie powieściowych wydarzeń, że także dzisiaj ich oddanie, jakkolwiek siłą rzeczy niepełne i niedosłowne, uważam za oczywistość.

Zwłaszcza że pozostawienie nazwisk tak, jak brzmią w oryginale, niczego by w zamian nie ocaliło. Raczej właśnie, co najmniej dla większości czytelników, mogłoby przesłonić bezpośredni związek między danym bohaterem *Procesu* a jego mianem. Niemieckie przeważnie nazwiska w austriackiej powieści aż nazbyt prawdopodobnie by zabrzmiały i zanadto przeważały szalę na korzyść *mimesis*.

IX

W *Procesie* widać, jak literalne ujmowanie przez Kafkę wyrazów, zdolne przemienić komiwojażera w robaka, tworzy, co zauważa Wagenbach, całe ciągi skojarzeń. Czytelnik i jego przypadek szczególny, tłumacz, muszą więc przebywać drogę w odwrotnym niż autor kierunku: porzucać niepowtarzalnie konkretny, uzmysłowiony biegun metafory i docierać do przeciwnego, jakim są jej „ogólne uzusy” przenośne; lekturą jest sama ta droga.

By nie rzecz – ten proces. W zatytułowanej tak powieści odbywa się on – czy powinien odbyć – już od pierwszego zdania. Co naprawdę tego ranka Józefa spotkało? Skoro domniemanego oskarżenia brak, a sąd nie okazuje się „zwykły”, to sięgamy do zasobów własnej wiedzy o świecie i do słowników, by zapytać o znaczenie słowa *verhaftet* – a może również o sens zatrzymania.

W rękopisie na końcu pierwszego zdania imiesłowem *verhaftet* zastąpiony zostaje inny – *gefangen*. Aresztowanie bądź uwięzienie pojawia się zamiast pojmania, schwywania lub złapania, prawnicza abstrakcja w zastępstwie

czynności fizycznej, określenie bardziej urzędowe w miejsce słowa neutralno-potocznego; zmieniona zaś przy okazji forma gramatyczna rozciąga teraz to niejasne wydarzenie na dłuższy, bliżej nieokreślony czas. W punkcie dojścia natomiast, w „ogólnym uzusie”, niemiecka metafora mówi, że prokurenta wewnętrznie ogranicza coś, czego nie umie on przekroczyć.

Jak sugerują niektórzy badacze, owym czymś może być budząca się – w Józefie i w ówczesnym świecie – indywidualna świadomość etyczna, za którą nie nadaża bohater, będący więźniem społecznych konwencji. Sąd K. i Kafki nad samym sobą? Czemu nie: pierwszy w historii naszego bankowca funkcjonariusz niezwykłego sądu, jego strażnik, nosi przecież imię autora, na dwóch ostatnich zaś funkcjonariuszy bohater czeka, jakby w duchu sam ich sprowadził. Wina przyciąga organa. Dziennik Kafki mówi, że K. jest winien. I że autor przedstawia „własne życie wewnętrzne, które jest jak sen”...

Pozbawienie siebie samego wolności? Takie odczytanie słowa *Verhaftung* równie trudno tutaj podważyć, jak uznać za jedynie możliwe. Bo i na przykład, ilekroć Józef myśli o początku czy końcu procesu, jego postępach czy głównie braku postępów, wolno – czego dowodzą świadectwa biograficzne – skojarzyć z tym także rozmaite fazy w procesie powstawania tej powieści; z nią zaś można utożsamiać „pismo obrończe”, prośbę, jaką by Józef chętnie wniósł do sądu. Tak silny autotematyzm sprzyja również tezom o autoreferencji; zdaniem Karlheinz Fingerhuta uwięzienie K. odzwierciedla wręcz sytuację Kafki, który, powodowany „koniecznością pisania i samousprawiedliwienia”, staje się więźniem powieści *Proces*. Już te interpretacje pokazują, że czysto prawnicze polskie „aresztowanie” zamknęłoby drogi do różnych metaforycznych znaczeń, które – jak je definiuje Susanne Kessler – zawsze negują tak czy inaczej pojętą wolność.

Przeczy jej też wspomniany synonim: „pojmanie”.

X

Słowo *gefangen* wydaje się metaforą szczególnie autorowi bliską – na przykład kiedy w swoim dzienniku pisze, że był „pojmany jak przestępca”, mając na myśli własne zaręczyny z Felicją Bauer, świętowane w Berlinie z początkiem czerwca roku 1914, na dwa miesiące przed rozpoczęciem *Procesu*. Ta właśnie zbieżność wskazuje na decydującą dla powieści rolę

F.B. oraz na to, że w słowie *Verhaftung* mieści się *Haftung*, odpowiedzialność – ograniczenie wolności zwłaszcza dla Kafki, który bardzo się boi założyć rodzinę...

23 lipca zaręczyny zostają zerwane po rozmowie między Kafką, Felicją i kilkoma jeszcze osobami w berlińskim hotelu Askanischer Hof; i już tego dnia w dzienniku pojawia się hasło: „Sąd w hotelu”. Wysłany nazajutrz list do rodziców narzeczonej staje się według dalszego zapisku „przemówieniem na miejscu straceń”. Miejscu, którego inną, archaiczną nazwę *Rabenstein* – kruczy kamień – w dwadzieścia dni później pisarz przemyca, przywołując postać Rabensteina, spolszczonego przeze mnie jako Wronenkruck, w rozdziale „Zatrzymanie”.

Tu właśnie, według jednego z badaczy, autor zaczyna „językowo przetwarzać fiasko zaręczyn”. W powieści tym wydarzeniom z życia Kafki odpowiadają rozdziały początkowy i końcowy, napisane przypuszczalnie za jednym zamachem 11 sierpnia. Tworzą fabularną ramę, którą stopniowo mają wypełniać rozdziały dalsze. Te powstają z trudem i powoli, ale mimo że w styczniu następnego roku autor ostatecznie już zarzuca *Proces*, góruje on zwartością nad *Zaginionym* i *Zamkiem*. To zaś dzięki odświeżonym metaforom, jakimi są pojmanie, osądzenie i skazanie – trzy najmocniejsze ogniwa w tym prozatorskim „łańcuchu skojarzeń”.

XI

Jak w powieści zastój procesu odzwierciedla oporne powstawanie jej samej, tak też wahania uczuć między Franzem i Felicją znajdują odbicie nie tylko w „chwijnych relacjach” Józefa z panną B., ale zapewne i w doświadczeniach, jakie mają oskarżeni z sądem. Niewykluczone, że w pewnej mierze ambiwalencjom emocjonalnym w narzeczeńskim związku odpowiadają dwoiste interakcje między odźwiernym a mężczyzną z prowincji, a także przyciągające i zarazem odpychające działanie, jakie na K. wywiera niezwykajny sąd. Ale pomimo tych analogii, domniemanych lub kiedy indziej niewątpliwych, pomimo że osoba stenotypistki, jej fotografie, bluzka i kapelusz, postać Erny, obrachunek przed rodziną i jeszcze inne motywy dają biograficznym wykładniom znacznie mocniejszą chyba podbudowę, niż mogą mieć ją interpretacje polityczno-społeczne, *Proces* nie traci ani trochę swojej „rosnącej tajemniczości”. O niej właśnie mówi Elias Canetti w eseju *Drugi proces – Kafki listy do Felicji*. Tym sposobem

biografistyczne rozważania noblisty, które uzupełniły pierwsze wydanie tej korespondencji, relatywizują same siebie. Podobnie germaniści, mimo że ich biograficzne interpretacje spowodowały od lat sześćdziesiątych przełom w recepcji *Procesu*, nie pretendują do rozwiania tajemnicy.

I jak zwykle powieść ta nie mogłaby takich roszczeń zaspokoić – choćby dlatego, że pojawiają się wciąż nowe propozycje rozumienia *Procesu*. Prócz tych, o jakich była w tym szkicu dotychczas mowa, kolejną zdaje się ukazywać na przykład wspomniany Karl Erich Grözinger. Zawarta w jego książce *Kafka i kabała* wzmianka, że w homiletyce żydowskiej występują takie motywy, jak nieznanne oskarżenie, nieznan i nieprzejrzysty sąd oraz próby jego przekupywania, w zestawieniu z materiałem biograficznym zaczyna fascynująco iskrzyć. Rodzi pytania, jak się mają do siebie oba te tworzywa, których istotną obecność niepodobna w *Procesie* zakwestionować. Czy któryś pierwiastek uwrażliwił pisarza na drugi? Czy z któregoś materiału autor złożył szkielet konstrukcyjny, by go uzupełnić pozostałym? Pytania, na które nie umiałby odpowiedzieć zapewne i sam Franz Kafka.

Dla tłumacza jednak sprawa wydaje się, jak zwykle, zarazem prosta i nieprosta: trzeba, by „na wypadek” otworzył przestrzenie, jakie dzięki kolejnym interpretacjom mogą się kryć za słowami oryginału. Trudniejsze okazuje się to w wymiarze potencjalnie biograficznym, gdzie znaczenia powinny nieraz sięgać od sytuacji międzyludzkich do procesowych. Podarunkiem od polszczyzny jest tu wyraz „prośba”, godzący najzwyczajniejszy nieraz gest z synonimicznym odpowiednikiem urzędowego podania. Nic też prostszego, jak w polskim tłumaczeniu pogodzić wyznanie uczuć z przyznaniem się oskarżonego do winy. Kiedy jednak wyraz *Freisprechung* – dosłownie „orzeczenie wolności” – prócz uznania kogoś za niewinnego domyślnie określa też mniej napięty moment w życiu uczuciowym, tłumaczowi pozostaje chyba tylko sposób analogiczny do wykonania w muzyce: musi on zastosować translatorskie arpedžio. Ilekroć wykonawca nie może wziąć trudnego manualnie akordu naraz, uderza jego dźwięki tuż po sobie. Skoro pojedyncze w zasadzie słowo-klucz nie pozwala się przełożyć w całej rozpiętości znaczeń, wolno je moim zdaniem i warto rozbić na dwa odpowiedniki. Stąd w mojej wersji zarówno „uniewinnienie”, jak „uwolnienie od zarzutów” – być może takich na przykład, jakich Franz Kafka nasłuchał się w hotelu Askanischer Hof... Stąd czasem „zatrzymanie”, czasem zaś „pozbawienie wolności”. Tak, należy tu tropić prawzory sytuacji

między dwojgiem po to, żeby je później wyraził język *Kodeksu postępowania karnego*.

XII

Interpretacje *Procesu*, o jakich dotychczas, w sposób siłą rzeczy wybiórczy i załączkowy, wspomniałem, dadzą się określić jako „negatywne” albo „pozytywne”. Jedne wydobywają brak spójnego sensu, inne zakładają jego istnienie i próbują choćby częściowego przekładu powieściowej materii na inny język. Przykładem negatywności zresztą była Derridiańska nieobecność prawa, pozytywności zaś – przywołana przez Bindera prawidłowość psychologiczna.

Egzegeci nie tylko szukają więc dla tej powieści skrajnie odmiennych odniesień, ale różnią się też wiarą w możliwość ich znalezienia. Owe rozbieżności wynikają między innymi z faktu, że o *Procesie* wypowiadają się od dziesięcioleci nie tylko literaturoznawcy, krytycy i pisarze, lecz także filozofowie, teologowie czy specjaliści z innych dziedzin humanistyki. Jednak różnice te ukazują też „niewyczerpaność”, jaką całej prozie Kafki przypisał Bruno Schulz. Skoro tak się w *Procesie* równoważą zwykłość i niezwykłość, *mimesis* i wyobraźnia, logiczność i pozalagiczność, sens i jego brak, musi to znaczyć, że powieść ta nie podlega takim ani też innym pojęciom, że z natury nie pozwole się nigdy nikomu zgłębić. *Proces* wydaje się tak gęsty, tak pełny, że aż nieprzenikniony.

Takie właśnie wrażenie daje mi obcowanie z tą książką, szczególnie bliskie przez kilkuletni okres pracy przekładowej. Towarzyszy mu również poczucie, że z zewnętrznym, tekstowym czysto, ale także niekiedy stylistycznym i fabularnym niewykończeniem idzie tutaj w parze skończoność wyższego rzędu, która nakazuje tłumaczowi wyjątkowe zaufanie do autora.

Ale czy to na pewno trafne poczucie? Czy taki fenomen może się zdarzyć?

XIII

Ten monstrualny świat, jaki mam w głowie. Ale jak wyzwolić siebie i jego, żeby nie pęknąć.

Pytanie to zapisuje Kafka na półtora miesiąca przed pierwszymi rozdziałami *Procesu*. Ale odpowiedź już ma, we fragmencie dziennika z roku 1912:

Opowiadanie to, Wyrok, napisałem za jednym zamachem w nocy z 22 na 23 września,

od dziesiątej wieczorem do szóstej rano (...) Jak wszystko daje się powiedzieć, jak wielkie ognisko czeka na wszystkie pomysły, na te najdziwniejsze, a one giną w nim i zmartwychwstają (...) Tylko tak można pisać (...) z tak całkowitym otwarciem ciała i duszy.

Wszystko daje się powiedzieć, pełnia doświadczenia przechodzi w pełnię odtworzenia, a pośredniczy w tym ciało autora. Podczas pracy nad *Procesem* głowa, mieszcząca „monstrualny świat”, daje o sobie znać tak często, że ze strachu przed kolejnym bólem Kafka potrafi się nawet wstrzymać od pisania. Nieco dalej określa w dzienniku *Wyrok* jako świeżo urodzoną istotę, która z niego „wyszła okryta brudem i śluzem”. Po latach zaś przyznaje, że korespondencja z Mileną Jesenską to próba ekspresji czegoś „nie do wytłumaczenia ani do przekazania”, czegoś, co sam czuje w kościach „i czego tylko w tych kościach można doznać”. Niechęć Kafki do abstrakcji, konkretność opisów w jego utworach, somatyczność przedstawianych osób oraz inne cechy jego myślenia pozwalają śmiało odnieść obraz „czegoś w kościach” nie tylko do pisania przezeń listów, ale i do twórczości prozatorskiej.

Fizyczność wydaje się dla niego tak suwerenna, jakby mogła zaręczyć za prawdę w pisaniu. *Wyrok* na przykład zweryfikowała także w drugiej instancji, kiedy autor przeczytał opowiadanie na głos przyjacielom. Z somatycznych rękojmi zapewne czerpie Kafka zaufanie nawet do „tych najdziwniejszych” pomysłów – jak na przykład proces bez winy i egzekucja bez rozprawy. Do pomysłów na pozór nonsensownych, a jednak zgodnych z jakąś prawdą, skoro „ekspedycją ku prawdzie” jest w jego odczuciu pisanie.

Ale tylko pisanie „za jednym zamachem”, które autor, codziennie pracujący w biurze, przyjmuje wówczas jako strategię twórczą określającą porządek dnia i zwłaszcza nocy. Słuszność takiej strategii znajduje więcej niż potwierdzenie, *Wyrok* bowiem, według słów Reiner Stacha, daje początek „erupcji niemającej sobie równych w literaturze światowej”. W ciągu dwóch i pół roku „wychodzą” jeszcze z Kafki – między innymi – *Przemiana*, *W kolonii karnej*, *Zaginiony* i *Proces*.

Tak, jest to „otwarcie ciała i duszy”. Najważniejszy w narodzinach tekstów etap następuje, jak zauważa Hartmut Binder, przed zapisem. Podczas niego osoba autora wydaje się nie stawiać oporu, jak nie stawia go Kafce jego neutralny język. Pisarz to tylko pretekst, który pozwala „monstrualnemu światu” się wyzwolić i błyskawicznie z powrotem zaistnieć – jako tekst.

Zaistnieć bez niepotrzebnej ludzkiej ingerencji. Chyba dzięki temu właśnie Kafkowska nierealna rzeczywistość odtwarza się na przykład w *Procesie* tak nienaruszona, pełna i, jak rzekł Bruno Schulz, „sobowtórna”.

Wiara w możliwość takich aktów twórczych każe ufać nie tylko autorowi, lecz także wszelkim dorzecznym, choćby nawet rozłącznym odczytaniom tekstu i jego składników. Nieważne więc, czy w *Procesie* struktury sytuacyjne legend żydowskich nakładają się na chwiejny związek pisarza z Felicją Bauer, ani w jaki sposób się to dzieje. Nieistotne też, czy prawa wcale nie ma, czy jest nim zaraźliwa psychologiczna pułapka. Wszystkie sensory trzeba moim zdaniem oddać w przekładzie Kafki możliwie niezawężone, nie zamykając jednocześnie tekstu na bezsens. Dlatego, tłumacząc *Proces*, starałem się nie tyle o bezstronność interpretacyjną, ile o wszechstronność – w przekonaniu, że tekst będzie zawsze „ponad”. Jakby i to pismo było niezmienne.

Tu mógłbym zakończyć – gdyby nie to, że bez odpowiedzi pozostało pytanie o sąd.

XIV

Kuszące byłoby określić w puencie tego szkicu, czym jest owa instancja, która nie mieści się w Pałacu Sprawiedliwości, w której nikt nie zwraca uwagi na nieznanego, która nic od Józefa K. – i może od nas? – nie chce. Jednak z dotychczasowych uwag wynika raczej, czym sąd nie jest, a próby odpowiedzi pozytywnej wzajemnie się znoszą. Przychodzą mi na myśl słowa Reinera Stacha:

Proces Kafki to monstrum. Nic tu nie jest normalne, nic proste. (...) W którąkolwiek stronę spojrzeć – mrok.

Monstrum... A może sądem jest „monstrualny świat”? Wszystko?

Także te dziewczęta należą do sądu. (...) Wszystko przecież należy do sądu.

Mówi tak portrecista Titorelli, kiedy zza drzwi pracowni mieszkające w kamienicy „smarkule” podsłuchują jego rozmowę z K.; wszystko, jak własność, podlega instytucji lub instancji wobec „wszystkiego” transcendentnej – i dalej nie wiemy, czym jest sąd.

Lecz tylko według starego przekładu. W zdaniu, które, owszem, uważam właśnie za klucz do *Procesu*, Józefina Szelińska pomyliła znaczenia czasownika *gehören*; w połączeniu (jak tutaj) z przyimkiem *zu* nie mówi on

o byciu własnością, ale – częścią. Zatem:

– Te dziewczynki także tworzą sąd. (...) Bo wszystko tworzy sąd.

Stanowiłby on więc, jak powiada germanista Wilhelm Emrich, „całokształt rzeczywistości życiowej, w tym także wewnętrzny stan Józefa”. Paradoksalnie – czyli po Kafkowsku – kluczową wagę tego zdania potwierdza ironia następujących:

– Tego jeszcze nie zauważyłem – odpowiedział krótko K.; ta ogólnikowa uwaga malarza odebrała poprzedniej całą niepokojącą wymowę.

Że wszystko tworzy sąd, nie jest niepokojące – ale tylko z mało wiarygodnej perspektywy narratora Józefa, który gdzie indziej zapewnia na przykład, że jest niewinny albo że panna B. nie ma związku z procesem... Więc jednak wszystko tworzy sąd, a dalsze zdania to zwykła w *Procesie* gra. Cóż – bez niej Kafka nie byłby sobą.

Warszawa 2008

Nota

Przekład opieram na wydaniu źródłowym pod redakcją Malcolma Pasleya: *Der Proceß*, Kritische Ausgabe, S. Fischer Verlag, Frankfurt am Main 1990. Dotyczy to również układu rozdziałów. Spośród tych, które Pasley uznaje za „fragmenty”, we wcześniejszym polskim tłumaczeniu znalazła się jedynie *Przyjaciółka panny Bürstner*; pozostałe opublikował miesięcznik „Odra” nr 7–8/1999, w przekładzie Krystyny Madejskiej.

Cytat z *Doli i niedoli dzielnego żołnierza Szwejka* Jaroslawa Haška podaję w posłowiu według tłumaczenia Józefa Waczkowa (Książka i Wiedza, Warszawa 1991), z *Ameryki* Franza Kafki – według przekładu Juliusza Kydryńskiego (PIW, Warszawa 2007), z *Przed prawem* Jacquesa Derridy – według tłumaczenia Jacka Gutorowa (w: *Teorie literatury XX wieku. Antologia*, red. Anna Burzyńska i Michał Paweł Markowski, Znak, Kraków 2006).

J.E.

Parametry Kafki

Łukasz Musiał

I

Wzrost 181 cm, waga 61 kg, puls 78; ogólny stan odżywienia umiarkowanie niedostateczny; głos czysty i mocny; cera blada, lecz świeża; kolor włosów ciemnobrązowy przechodzący w czarny; gładka skóra, żadnych blizn; zęby w stanie dobrym. Z 40 lat i 11 miesięcy życia na edukację szkolną i uniwersytecką przypadło 16 lat i 6,5 miesiąca, na działalność zawodową 14 lat i 8,5 miesiąca. W wieku lat 39 przeniesiony w stan spoczynku, umiera na gruźlicę w sanatorium pod Wiedniem w roku 1924. Parametry Franza Kafki.

Nie bez powodu je przypominam. Przecież po swojej śmierci Kafka stał się przede wszystkim zdepersonalizowanym mitem, odcieleśnionym tak bardzo, że czasami można by wręcz wątpić, czy ktoś taki naprawdę istniał; stał się abstrakcyjną ideą, ikoną, stereotypem, marką, na koniec oczywiście również znakiem handlowym. Słowem, wszystkim i każdym, tylko nie sobą. Po prostu... obudził się pewnego ranka z niespokojnych snów i stwierdził, że zmienił się w swoje własne nazwisko, przytaczane w setkach artykułów, książek, podręczników, filmów, grafik, piosenek, komiksów; reprodukowane na plakatach, na pocztówkach, na kubkach do herbaty, pudełkach od zapalek, breloczkach. W konsekwencji pisarz, ten z krwi i kości, został wyparty przez własnego awatara. Tego ostatniego wszyscy doskonale znamy, bo wszystkich nas podobnie formatowała szkolna edukacja. Jak to szło? Prorok dwudziestowiecznych totalitaryzmów, świata zdehumanizowanego, zatomizowanego, zbiurokratyzowanego, pełnego lęku, samotności, odrzucenia, odbierającego człowiekowi wolność i godność. Oto Kafka w pigułce, w sam raz na potrzeby dwudziestowiecznego przemysłu kulturowego.

W obliczu kryzysów egzystencjalnych, epistemologicznych, etycznych i wielu innych jeszcze, nie szczędzonych nam przez ostatnie stulecie, przemysł ów przynajmniej od lat trzydziestych coraz bardziej nerwowo poszukiwał produktu, którego dizajn i przekaz ideowy doskonale odzwierciedliłyby niepokoje współczesności. Produkt taki musiał być stosunkowo nieskomplikowany w obsłudze, tzn. przy całym nowatorstwie

dizajnu i wieloznaczności przekazu powinna go cechować intelektualna poręczność – w końcu miało chodzić o użytek na skalę masową. Proza Kafki idealnie nadawała się do takich celów. Z jednej strony odznaczała się wyjątkową oryginalnością tematyczną i formalną, z drugiej była zaskakująco przystępna językowo. No i pod pewnymi względami istotnie nosiła znamiona prorocstwa, w szczególności *Proces* można było odczytywać jako przenikliwą wizję tego, co z człowiekiem miał zrobić okrutny wiek dwudziesty. Ludzkość od zawsze miała słabość do proroków.

Podwaliny pod dwudziestowieczny kult Kafki położył Max Brod, który uczynił z autora *Przemiany* nieomal świętego, umiejscawiając twórczość zmarłego przyjaciela w jednoznacznym kontekście religijnym (judaistycznym). Po hekatombie drugiej wojny światowej i doświadczeniach totalitaryzmu nie przestano upatrywać w Kafce literackiej „świętości”, w końcu jak chyba nikt inny uosabiał on stereotyp pisarza bez reszty oddanego religii literatury. Jednak ogólny ton zaczęły nadawać odczytania uniwersalistyczne. Lata czterdzieste i pięćdziesiąte to już istne szaleństwo na punkcie Kafki, do czego przyczynili się głównie francuscy egzystencjaliści, bardzo wówczas modni i aktywni we wszystkich obszarach kultury. To dzięki nim niepozorny autor z prowincjonalnej Pragi, ceniony, lecz za życia znany w wąskich tylko kręgach literackich, stał się dobrem ogólnokulturowym i marką globalną, ostatecznie przekraczając granice literatury, podobnie jak przed nim poza granice psychologii wykroczył np. Freud, sztuk pięknych – Picasso, a nauki – Einstein. Nieco później to samo powtórzą z muzyką Beatlesi czy Stonesi.

W latach sześćdziesiątych awatar Kafki ulega rozdzieleniu i odtąd obie jego wersje zaczynają żyć swoim, z czasem coraz bardziej odmiennym życiem. W pewnym uproszczeniu, ale znowuż nie tak dużym, można powiedzieć, że po jednej stronie mamy Kafkę zamrożonego przez popkulturę i edukację w narzuconym mu wizerunku „proroka”, do czego oczywiście, dla ucłowieczenia imidżu, dokładało się garść informacji o autorytarnym ojcu, przez całe życie tyranizującym utalentowanego syna; o problemach z kobietami i trzykrotnie zrywanych zaręczynach; o słabym zdrowiu i cherlawym ciele; wreszcie o zniechęceniu do pracy w towarzystwie ubezpieczeniowym. Co prawda Kafka sam poczynił wiele starań, żeby potomność tak właśnie go zapamiętała, w liście do Felicji Bauer, z sierpnia 1913 roku, stwierdza przecież: *Ja nie mam żadnych zainteresowań*

literackich, lecz literaturą jestem, niczym innym nie jestem i niczym innym być nie mogę. (przeł. I. Krońska) Podobnych oświadczeń znajdziemy u niego mnóstwo, jak gdyby pisarz sam siebie chciał zestereotypizować, po czym, tak spreparowanego, podać ludzkości na tacy. A może przede wszystkim sobie samemu, kto wie.

Drugi Kafka to ten, który stał się obiektem niepoahamowanej żarłoczności instytucji tzw. kultury wysokiej (film, teatr, sztuki plastyczne itp.) oraz oczywiście nauki, czyli kolejnych mód teoretycznych i metodologii badawczych, głównie w obszarze badań literackich i filozofii. Z ponad czterdziestoma tysiącami poświęconych mu monografii, artykułów, esejów i szkiców Kafka jest drugim po Szekspirze najczęściej komentowanym autorem wszech czasów, a w przyszłości ma szanse wysforować się w tym wyścigu na pierwszą pozycję. Najwybitniejsi badacze literatury i filozofowie dwudziestego wieku czują się w obowiązku zająć swoje stanowisko w sprawie Kafki, jego dokonań literackich czy wpływu i choć zainteresowanie tą postacią w różnych okresach i w różnych krajach przybiera różne rozmiary, nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miało dojść do umieszczenia pisarza w rezerwacie „martwych klasyków”. Krótko mówiąc, istnieją doprawdy niewielkie szanse, aby w przyszłości można było jeszcze czytać Kafkę sam na sam, nie będąc trzymanym za rączkę przez żaden „autorytet”. Nie jest to zresztą powód do złości, takie bywają losy arcydzieł.

II

Powodów, dla których Kafka został, jak pewnego razu i nie bez uzasadnionej złośliwości zauważył Milan Kundera, zastąpiony Kafką „skafkalogizowanym”, funkcjonującym niezależnie od swego pierwowzoru a czasami wręcz czyniącym ów pierwowzór całkowicie zbędnym, jest z pewnością o wiele więcej niż jedynie nienasycony apetyt przemysłu kulturowego i akademickiego. Można to przecież potraktować zwyczajnie jako wyraz tęsknoty za autorem, którego twórczość – tak by z kolei powiedział filozof Jacques Derrida, jeden z najoryginalniejszych interpretatorów Kafki – pozwala powiedzieć „wszystko w dowolny sposób”; daje niezwykłą sposobność mówienia o świecie na setki rozmaitych sposobów. O ilu pisarzach, choćby wybitnych, moglibyśmy z czystym sumieniem powiedzieć to samo? Dlatego niezależnie od wszystkich

wątpliwości dotyczących kierunków dwudziestowiecznej recepcji Kafki jego sztuka to po prostu wielki dar. I niech takim pozostanie.

Urodził się w roku 1883 w Pradze, naówczas mieście rozdartym między wiele rozmaitych kultur i nacji, z których najistotniejszą rolę odgrywały trzy – czeska, niemiecka i żydowska. Każda rządziła się swoimi prawami i choć w wymuszonej symbiozie z pozostałymi, żyła w częściowo odrębnych porządkach symbolicznych. Często prowadziło to do napięć, tym bardziej, że przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku to okres krzepnięcia europejskich nacjonalizmów, zwłaszcza w wielonarodowej monarchii habsburskiej. Dzisiejsza „magiczna Praga”, której idylliczny spokój zakłócają co najwyżej hałaśliwi turyści, była wtedy polem licznych konfliktów, wywołanych aspiracjami poszczególnych grup narodowościowych i społecznych. Z pewnością sprzyjało to – tak przekonuje Reiner Stach, najwybitniejszy i najskrupulatniejszy współczesny biograf Kafki – kształtowaniu wrażliwości w odniesieniu do wyjątkowego w tym mieście splotu losów jednostkowych i „wielkiej” historii. Rodzina Kafków próbowała, podobnie jak wiele innych zamożnych rodzin żydowskich w Pradze, zajmować w tej konstelacji pozycję jak najbardziej komfortową i bezstronną, jednak nie zawsze zapewniało to wystarczającą ochronę przed atakami z zewnątrz – i dla Niemców, i dla Czechów Żydzi byli często po prostu „obcymi”. Skądinąd nie przeszkadzało to wielu z nich robić świetne interesy, np. Hermannowi Kafce, ojcu Franza, właścicielowi dobrze prosperującego sklepu galanteryjnego. Wysoki, przystojny, postawny, energiczny; *self-made man*; człowiek, który pod niejednym względem mógłby uchodzić za wzór kariery „od pucybuta do milionera”, i to w prawdziwie amerykańskim stylu.

Franz Kafka, jedyny syn w rodzinie, miał w niej od początku wyjątkową pozycję. Dorastał w dostatku, uczniem był sumiennym, pilnym i utalentowanym, a wybór studiów i zawodu ostatecznie pozostawiono – rzecz także nieoczywista w tej patriarchalnej epoce – jego decyzji. Mimo częstych skarg na życie rodzinne, w szczególności na despotycznego ponoć ojca, prawie do śmierci nie chciał zamieszkać osobno. Na dobrą sprawę po co miałyby to robić? I tak cieszył się nieograniczoną swobodą, mógł do woli spotykać się ze znajomymi, przyjaciółmi, kobietami (także „lekkich obyczajów”). Z zapałem uprawiał – tak bardzo nie pasuje to do jego wizerunku, że trudno uwierzyć! – sport, w szczególności pływanie

i wioślarstwo. Praca? Bądźmy szczerzy, pomijając początkowy okres, tuż po studiach, było to zazwyczaj raptem około sześciu godzin dziennie, przy niezłych zarobkach i niezwyklej przychylności przełożonych, którzy cenili inteligencję swojego pracownika, jego skrupulatność, pracowitość, wrażliwość językową i wyczucie niuansów – atuty nadzwyczaj pożądane w zawodzie prawnika. Owszem, Kafka często utrzymywał, że praca w towarzystwie ubezpieczeniowym odrywa go od literatury. Lecz najprawdopodobniej było to coś w rodzaju rytualnych narzekań: poza stosunkowo rzadkimi okresami Kafka nigdy nie był typem pisarza systematycznego i tak naprawdę to nie wykonywany zawód prawnika odwodził go od regularnej pracy pisarskiej, a przerwy w dostawach energii twórczej. Pisał zwykle kilkutygodniowymi lub kilkumiesięcznymi „zrywami”, bez dokładnego planu, powodowany jedynie siłą emocji i własnej literackiej wizji. Te zaś po jakimś czasie ulegały naturalnemu wyczerpaniu. Paradoksalnie, najwięcej tworzył często wtedy, gdy miał na głowie także wiele innych absorbujących jego uwagę obowiązków, które teoretycznie nie powinny mu pozostawiać żadnego czasu na pisanie. Kiedy zaś korzystał z większej swobody, choćby przebywając w miejscowościach uzdrowiskowych i sanatoriach, potrafił na długo całkowicie zapominać o literaturze. Takim stylem pracy tłumaczy się często fragmentaryczny charakter wielu jego utworów, zwłaszcza powieści, z których żadnej nie nadał ostatecznego kształtu, choć do każdej z nich przystępował z ogromnym zapałem.

Jakie wydarzenia miały pośredni wpływ na uruchomienie gigantycznego generatora emocjonalnego i artystycznego latem 1914 roku, kiedy Kafka przystępuje do prac nad *Procesem*?

12 lipca 1914 roku pisarz przyjeżdża do Berlina, żeby rozmówić się ze swoją narzeczoną, Felicją Bauer. Ślub jest planowany na wrzesień, jednak w listach do Greta Bloch, przyjaciółki Felicji, Kafka niedwuznacznie daje wyraz wątpliwościom dotyczącym małżeństwa. To jedna z kwestii, jakie Felicja chce wyjaśnić. Spotkanie, w którym oprócz niej bierze udział także Greta Bloch i dwie inne osoby, przeradza się w przesłuchanie, a następnie sąd nad zaskoczonym Kafką, któremu zarzuca się dwuznaczne relacje z Gretą oraz chwiejną postawę w sprawie planowanego małżeństwa. Wyrok: zerwanie zaręczyn, ślubu nie będzie. Pisarz wraca do Pragi. To jedno z najbardziej wstrząsających i brzemiennych w skutki wydarzeń w całym

jego dotychczasowym życiu. Rzecz nie w odwołaniu samego ślubu (to nawet mogło być Kafce na rękę), ale o sytuację, w jakiej go postawiono. O trybunał, wydający orzeczenie bez możliwości apelacji. O władzę, która podporządkowuje sobie ofiarę a następnie bezwzględnie wymierza jej najsurowszą karę. Wreszcie o winę, wstyd, upokorzenie. Jednym słowem, o cały splot motywów, które stanowią – co do tego nie ma żadnych wątpliwości – rdzeń nieomal całej twórczości Kafki.

III

Kafka zawsze był głodny cudzych biografii i autobiografii. Połykał je jedna za drugą, jak gdyby, taką hipotezę stawia Stach, poszukiwał tam charakterystycznych detali, w których uobecniłaby się struktura i esencja całego życia. Jeśli trąci to trywialnym biografizmem, to tylko dlatego, że duża część teoretyków i badaczy literatury od blisko stu lat niestety skutecznie przekonuje, że pisarz nie ma biografii, emocji, ciała, a jeśli już, to pełnią one marginalną rolę w jego twórczości i nie należy przywiązywać do nich zbyt wielkiej wagi. Podobnie z Kafką: wprowadzie bardzo wiele, ba, zdecydowanie więcej niż w przypadku innych wybitnych autorów dwudziestego wieku, mówi się o życiu, jakie prowadził. Lecz równocześnie w badaniach literackich i filozofii zdecydowanie dominują, w takim kształcie lub innym, ujęcia formalistyczne. Ów lęk przed biografizmem, szczególnie w jego uproszczonej psychoanalitycznej wersji, można oczywiście zrozumieć w odniesieniu do Kafki. Jednak nie powinien on przesłaniać faktu, że pisanie było dla tego autora przede wszystkim czynnością na wskroś, by tak rzec, egzystencjalną; że bogactwo egzystencji Kafki rozwijało się głównie – możemy tu wierzyć Stachowi – w warstwie psychicznej, pod przemożnym wpływem określonych sytuacji życiowych, i to bardzo konkretnych. Inaczej mówiąc, Kafka uznawał język literatury za medium samorozumienia i samorozwoju. A także samoobserwacji, która niejednokrotnie przybiera u niego wręcz znamiona autowiwisekcji – lodowatej, brutalnej i zarazem z jakichś powodów niezbędnej. Zdradza to choćby rękopis ostatniego rozdziału *Procesu*. Już wiadomo, że w serce Józefa K. za chwilę zostanie wbity nóż, i oto nagle Kafka, ten realny, wskakuje do swojej opowieści, w której bezwzględnie trzymał się do tej pory narracji trzecioosobowej, i pisze, dosłownie wchodząc w swoją postać, niczym dybuk: *U n i o s ł e m d ł o n i e i r o z s t a w i ł e m p a l c e*. Wstrząsające.

Nie będzie chyba zbyt wielkim uproszczeniem, jeśli uznamy *Proces*, poza wszystkim innym, również za rodzaj psychicznej autobiografii Kafki. Za matecznik mentalnych i emocjonalnych modeli, w których być może uda się tym razem, niechby tylko na czas jakiś, rozpoznać strukturę własnej egzystencji, nadać ramę własnej biografii. Dlatego proponuję, abyśmy na chwilę przestali przyglądać się ideom upakowanym w *Procesie* rzekomo lub naprawdę – przez ostatnie kilkadziesiąt lat bez żadnego umiaru rozbierano je na czynniki pierwsze –, i dla odmiany krytycznie przyjrzeni się nastrojowi, który tu dominuje. Idee bywają przecież, zwłaszcza w literaturze, bardzo często po prostu sposobem mobilizacji nastrojów. To chyba nie przypadek, że Kafka zaczął pisać *Proces* po... procesie, jaki wytoczyła przeciw niemu Felicja Bauer. I to nie przypadek, że był w nim tak naprawdę po jej stronie, inaczej nie zamordowałyby swojego bohatera i nie wykuł mu na nagrobku wielkimi literami: WSTYD. *Zdawało się, że wstyd go przeżyje* – tak brzmi przecież ostatnie zdanie powieści.

No dobrze, tylko skąd u Józefa K. to uczucie? W końcu nie należy mylić inspiracji biograficznych ze znaczeniem utworu.

Jak wielu innych bohaterów Kafki, także Józef K. wydaje się czytelnikowi z początku przede wszystkim ofiarą cudzych poczynań, nieprzeniknionych w swym zamyśle. *Stopniowo jednak okazuje się* – zauważa Stach w pierwszej części poświęconej pisarzowi trylogii biograficznej – *że cios, jaki na niego spada, nie był ani pozbawiony sensu ani tak całkiem raptowny. (...) całkiem bezpodstawne aresztowanie i związana z tym stygmatyzacja dotyka Józefa K. dokładnie tam, gdzie go najbardziej boli: zmusza go do autorefleksji i tym samym do rewizji wizerunku samego siebie.* Rewizja nie wypada bynajmniej korzystnie.

Założmy, że aresztowanie i wszystkie późniejsze sytuacje, będące jego konsekwencją, to coś w rodzaju próby. Życie, zmęczone nijakością Józefa K., jego niewątpliwą miałkością, niezdecydowaniem, egoizmem, złudzeniami, zaniedbaniami, ślepotą (*Czy nie widzisz na dwa kroki od siebie?*, krzyczy poirytowany kapelan w rozmowie z Józefem K.) postanawia dać mu ostatnią szansę: niech udowodni, że postawiony przed prawdziwymi egzystencjalnymi wyborami jest w stanie zdobyć się na coś więcej niż tylko wykrety; że potrafi stanąć z życiem twarzą w twarz, nie uciekając się do obcej pomocy, do tanich adwokackich sztuczek. A może nawet: że potrafi spojrzeć w twarz przede wszystkim sobie samemu, przed którym uciekał

przez całe swoje trzydziestoletnie życie. Nastrój psychicznego osaczenia, dominujący w powieści, miesza się z nastrojem winy i wstydu, że oto nie jest się w stanie sprostać próbie.

W liście do przyjaciela, Oskara Pollaka, Kafka napisał o książkach, które powinny być jak nieszczęście, jak śmierć kogoś najbardziej ukochanego, jak samobójstwo, jak „siekiera na zamarznęte w nas morze”. Trudno nie dostrzec w *Procesie* takiej właśnie książki. Wyraźnie wyczuwa się chęć przekroczenia jakiejś fundamentalnej granicy, wejścia w strefę śmierci; zamiar konfrontacji z czymś, czego do tej pory pragnęło się za wszelką cenę uniknąć. No tak, tylko co wtedy, kiedy wola konfrontacji co rusz przegrywa z chęcią ucieczki? Tak właśnie postępuje Józef K.: wie, że powinien coś zmienić, lecz większość swoich sił zużywa na to, by się od aresztowania „wykręcić”. A to istotna różnica, zaważy ona na całym późniejszym procesie.

Dla Kafki – to truizm – literatura nie jest literaturą, lecz życiem. Jego własnym, żadne inne go nie interesuje. Nie należy wyciągać z tego wniosku, że pisarz chciał żyć w izolacji od rodziny, przyjaciół, kobiet, rozrywek, pracy. Oznacza to tylko, że literaturę traktował Kafka, nawet jeśli czasami ta autostylizacja przybierała u niego znamiona maniery, jako właściwą przestrzeń, w jakiej wyraża się struktura jego egzystencji. Kilka dni po rozpoczęciu prac nad *Procesem* stwierdza trzeźwo w *Dzienniku*, pod datą 15 sierpnia 1914 roku, że pisanie to rozmowa ze sobą samym. To – dodam już ze swojej strony – nie czynność przede wszystkim, a gest, będący próbą otwarcia czegoś, co dotąd pozostawało szczelnie zamknięte.

Wszystkie wielkie utwory Kafki mówią w istocie tylko o tym: że człowiek stoi przed zagadką, przed zamkniętą bramą, która prowadzi do prawdy o nim samym. Czasami ta brama ma u Kafki postać metafory (jak np. w *Wyroku*, *Zamku*, *Jamie* czy *Dociekaniach psa*), czasami przyjmuje formę drzwi, jednego z najczęstszych motywów w tej prozie (np. *Lekarz wiejski*, *Przemiana*). Czasami zaś, jeszcze konkretniej, to po prostu najdosłowniej, jak w *Procesie*,... brama. To przez nią chce przejść „mężczyzna z prowincji”, niestety wejścia broni mu, jak się dowiadujemy, potężny odźwierny. Obraz bramy to u Kafki zawsze zwornik dwóch przeciwstawnych nastrojów: ekscytującego poczucia bliskości (bo to, co ważne, kryje się tuż za progiem) i przygnębiającego poczucia oddalenia (brama pozostaje przecież zazwyczaj zamknięta). Podobnie w opowieści *Przed prawem*, kluczowej dla zrozumienia *Procesu*. Uznana powszechnie za jedną z najbardziej

enigmatycznych w historii literatury powszechnej, była poddawana dziesiątkom, jeśli nie setkom, drobiazgowych analiz, o których można by napisać osobne, fascynujące studium. Załóżmy jednak, znów na próbę, że opowieść ta, podobnie jak cały *Proces*, jest z pewnego punktu widzenia dziecinnie wręcz prosta, tak prosta, jak proste może być tylko to, co najbliższe nas.

IV

W 1911 roku odwiedził Pragę Rudolf Steiner, twórca tzw. antropozofii, eklektycznego nurtu spirytualistyczno-okultystyczno-duchowego. Dzisiaj wiele jego poglądów nosi znamiona zwykłej szarlatanerii, jednak wtedy były one w Europie bardzo popularne, przede wszystkim wśród wykształconych elit warstwy mieszczańskiej. Popularność ta brała się z zapotrzebowania na takie formy duchowości, które stanowiłyby alternatywę po pierwsze dla tradycyjnej religijności chrześcijańskiej, po drugie dla biologizacyjnej, traktowanej przez wielu jako anachroniczna, psychologii, psychiatrii i pedagogiki dziewiętnastego wieku. Dodajmy, że dokładnie w tym samym czasie rozwija się i zdobywa popularność psychoanaliza Freuda, która pod wieloma względami odpowiada ona na bardzo podobne potrzeby. Spośród nich istotna wydaje się głównie jedna: potrzeba skupienia uwagi na poznaniu własnego „ja”, owym twardym fundamentem życia udanego, szczęśliwego, harmonijnego.

Wykładów Steinera słucha także Kafka. Młody autor od dłuższego czasu jest w trudnej sytuacji, wciąż waha się co do wyboru drogi życiowej i nie jest pewny wartości własnego pisarstwa. Szuka pomocy, inspiracji, duchowego przewodnika. Wywody twórcy antropozofii muszą wyrzucić na nim niemałe wrażenie, skoro przezwycięża wrodzoną nieśmiałość i udaje się do niego na prywatną rozmowę. Ani zapiski pozostawione na ten temat w *Dzienniku* ani żadne inne świadectwa nie pozwalają jednoznacznie stwierdzić, że Kafka faktycznie bierze poglądy Steinera na serio i że rozmowa obu mężczyzn może mieć dalsze konsekwencje dla jego twórczości. Dla praktycznie wszystkich badaczy i historyków literatury był to jak dotąd wystarczający powód, żeby nie badać bliżej tej sprawy. A jednak coś tu nie powinno dawać spokoju.

W latach 1904–1905 czasopismo *Lucifer-Gnosis* opublikowało serię artykułów Steinera, które niebawem wydano również w formie książkowej,

zatytułowanej *Wie erlangt man Erkenntnisse der höheren Welten?* (*Jak osiągnąć poznanie wyższych światów?*). Była to najpopularniejsza wtedy publikacja niemieckiego antropozofa, rodzaj wprowadzenia do jego nauk a zarazem coś w rodzaju poradnika psychologicznego dla ludzi poszukujących harmonijnej metody samorozwoju w oparciu o poznanie swojego prawdziwego „ja”, wyzwolonego od przymusu odgrywania ról społecznych, które człowiekowi zostały narzucone lub które on sam sobie narzuca, nieświadomy swoich rzeczywistych potrzeb. Bodaj najważniejszy rozdział książki nosi tytuł *Der Hüter der Schwelle* (*Strażnik progu*), kolejny zaś: *Leben und Tod – der große Hüter der Schwelle* (*Życie i śmierć: wielki strażnik progu*). W największym skrócie oba mówią o człowieku, który znajduje się na ostatnim etapie samopoznania. Tytułowy strażnik progu to ucieleśnienie wewnętrznego lęku człowieka przed poznaniem pełnej prawdy o sobie. Strażnik nie jest zatem postacią realną, lecz projekcją pewnego nastroju i stanu emocjonalnego: obawy przed dostąpieniem najwyższej formy duchowości. Pokonać go, to pokonać strażnika w sobie; to wstąpić na ścieżkę oświecenia (już Kant pisał przecież, że oświecenie jest wyjściem człowieka ze stanu duchowej i intelektualnej niedojrzałości); to przejąć pełną kontrolę nad sobą i swoim życiem.

Musi zastanawiać niemal bliźniacze podobieństwo tych wywodów do fabuły opowieści *Przed prawem*. Nawet pojęciowość jest w wielu wypadkach nie tyle pokrewna, co wręcz identyczna: i tu, i tam kluczową rolę pełni słowo „Hüter” („strażnik”), nie wspominając o symbolice „bramy” (u Steinera progu), o nieświadomym swojego własnego przeznaczenia „mężczyźnie z prowincji” (u Steinera adeptce), wreszcie o „prawie” (niem. „Gesetz”). To ostatnie pojawia się u Steinera jako „Gesetz des Lebens”, dosł. „prawo życia”. Rozpoznanie prawa własnego życia, jego ukrytej struktury, jego sekretne wzoru, to zadanie każdego człowieka, który poważnie myśli o dotarciu do prawdy o sobie samym. Te wszystkie zbieżności nie mogą być rzeczą przypadku.

Mimo że nie ma na to żadnych dowodów, Kafka musiał czytać *Jak osiągnąć poznanie wyższych światów?* lub przynajmniej szczegółowo znał w tym aspekcie ideę antropozofii. Cały *Proces* powiela bowiem w istocie zasadniczą ideę książki Steinera. Józef K. to człowiek, który przez całe życie obawia się konfrontacji z ciemną prawdą o sobie samym. Postawienie w stan oskarżenia pełni funkcję katalizatora wydarzeń, dzięki którym K. może

uruchomić w sobie odpowiedni proces emocjonalny i poznawczy, ten jednak nie prowadzi do zasadniczych zmian w jego codziennym życiu: K. pozostaje na wolności, może robić to, co robił do tej pory, może pracować, spotykać się z ludźmi, korzystać z rozrywek. To tylko pozorny paradoks, bo przecież oskarżenie nie jest oskarżeniem formalnym, a jedynie bardzo mocnym wezwaniem egzystencjalnym do tego, by K. zmienił swoje życie wewnętrzne. Jak to jest u Steinera? Mowa – identycznie – o człowieku, który (...) *spełnia swoje obowiązki tak jak przedtem, troszczy się o swoje sprawy tak jak dotychczas. Przemiana następuje jedynie w wewnętrznej stronie jego duszy, niedostrzegalnie dla oczu zewnętrznych.* Niestety K. nie rozumie, na czym polega oskarżenie – że jest w gruncie rzeczy szansą. Powielił dawne błędy, koncentruje uwagę na błahostkach, chce, aby inni załatwili sprawę za niego. Kolejne rozdziały powieści to w rzeczywistości kolejne próby, przed jakimi staje Józef K. i żadna z nich nie kończy się dla niego dobrze. Nie powinna nas zwodzić prawnicza nomenklatura stosowana przez pisarza: „oskarżenie”, „sąd”, „uniewinnienie” i „proces” to metafory życiowych wyzwań. Przebieg „procesu” zależy w całości od postępowania „oskarżonego”, Niestety K. tego nie rozumie. Chce uzyskać szybką pomoc u obcych i w gruncie rzeczy przypadkowych ludzi, nie dostrzegając, że powinien raczej wykazać się cierpliwością i polegać wyłącznie na sobie. *Nie ma żadnych innych przeszkód – pisze Steiner – jak tylko te, które każdy sam sobie po drodze gromadzi i których każdy może uniknąć, gdy będzie tego rzeczywiście pragnął.* U Kafki, w rozdziale zatytułowanym *W katedrze*, czytamy: *Sąd nic od ciebie nie chce. Przyjmuje cię, kiedy przychodzisz, a kiedy odchodzisz, odprawia cię.* Znowu te zadziwiające zbieżności.

Józef K. nie jest ofiarą, jeśli już to swoich własnych zaniechań. Z kolei sąd nie jest instancją opresyjną, jeśli już to łańcuchem zrobionym z kłamstw, iluzji, resentymentów, zaniechań, winy, wstydu – łańcuchem zrobionym i nałożonym sobie na szyję przez samego K. Innymi słowy, w postaci „sądu” i jego współpracowników Józef K. napotyka wyłącznie kolejne wersje siebie samego. To on sam jest „strażnikiem”, czyli prokuratorem, obrońcą, sędzią i katem w jednym, broniącym sobie samemu dostępu do samopoznania. Kiedy w opowieści *Przed prawem* czytamy, jak strażnik mówi do mężczyzny z prowincji: *To wejście było przypisane tylko tobie*, nie ma w tym żadnego niezrozumiałego paradoksu. Wręcz przeciwnie, prostota tego zdania jest wprost wstrząsająca: oczywiście, że to miejsce było przypisane tylko „tobie”,

bo tylko tutaj, w twoim wnętrzu, zapisano prawo twojego życia. Bałeś się wejść do środka, więc umrzesz w niewiedzy. Do końca swoich dni będziesz już tylko swoim własnym cieniem.

Max Brod napisał o antropozofii Steinera: „*Wyższymi światami*” *interesuję się wyłącznie literacko*. Nie jestem pewien, czy Kafka powiedziałaby to samo, przecież literatura była dla niego równoważna z życiem. Co nie znaczy, że *Proces* tutaj dosłownie cokolwiek „cytuje”, choćby dlatego że powieść ta nie ma w sobie nic z poznawczego optymizmu książki Steinera. Już raczej zapożycza z niej pewien mentalny model, dzięki któremu Kafka pokazuje istotną dla siebie sytuację egzystencjalną, buduje pewien nastrój. Tworzy kolejną wersję swojej autobiografii (nie zapominajmy, że jednym z najsilniejszych impulsów emocjonalnych, które skłoniły Kafkę do rozpoczęcia prac nad powieścią był „sąd” z udziałem Felicji Bauer), a zarazem robi coś więcej: dzięki wyjątkowej formie artystycznej, nadanej *Procesowi*, nastrój indywidualnej sytuacji swojego bohatera potrafi uczynić nastrojem ponadjednostkowym, historycznym, uniwersalnym, stanowiącym lustro dla lęków i niepokojów milionów ludzi żyjących w dwudziestym stuleciu. Stąd ponadczasowość tej prozy, stąd wyjątkowa, ocierająca się często niemal o bałwochwalstwo, cześć, jaką się dla niej żywi. I dobrze, w takiej czci nie ma nic niewłaściwego.

V

Utarło się, że jedna z największych wartości pisarstwa Kafki, a już zwłaszcza *Procesu*, leży w jego enigmatyczności, niesprowadzalności do jednej, choćby najbardziej dogłębnej i wielostronnej interpretacji. W końcu na tym ma polegać główna siła literatury: na nieoczywistości prawd, jakie nam ona przekazuje. Po prawie ćwierćwieczu moich spotkań z *Procesem* mogę stwierdzić, że wcale nie jestem tego taki pewny. I że intuicja coraz częściej podpowiada mi jedno: Kafka to... bardzo prosty pisarz. Kłopot w tym, że owa prostota, jako tożsama z życiem, jest też zadaniem na... całe życie, w związku z czym wykracza poza jednorazowy akt lektury *Procesu*, poza twórczość Kafki i w ogóle poza literaturę.

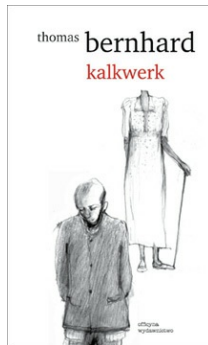
Z drugiej strony takie arcyzadanie to może wcale nie kłopot, tylko nasze, czytelników, szczęście? Prezent dla nas? Wyzwanie? Szansa? W końcu może się zdarzyć, że któregoś pięknego dnia staniemy przed bramą prowadzącą do prawa, machniemy ręką na ostrzeżenia strażnika i wejdziemy do środka.

I wtedy...

Ale to będzie już zupełnie inna historia.

Dąbrówka, styczeń 2016 roku

Kalkwerk



Jedna z najsłynniejszych powieści Bernharda, w Polsce zapoznana dzięki genialnemu spektaklowi Krystiana Lupy, którego rysunki powstałe podczas pracy nad adaptacją zostały zamieszczone na okładce oraz stronach tytułowych.

Obok tego martwego giganta nie przejdzie już nikt obojętnie

Elfriede Jelinek

W Kalkwerk znajdziemy jednak nieco mniej quasi-publicystyki niż choćby w takim Wymazywaniu – antyaustriacka obsesja Bernharda, choć dochodzi do głosu, nie gra tu pierwszych skrzypiec. Kalkwerk jest dziełem bardziej uniwersalnym, silniej zmetaforyzowanym, a przy tym, mimo całej swej idiomatyczności, zdradzającym rysy ewidentnie Kafkowskie.

W całej tej epistemologicznej matni, w jaką wpędza nas Bernhard, jedynym, czego będziemy jednak mogli być pewni, będzie to, że obcujemy z bezdyskusyjnym arcydziełem.

Szymon Majcherowicz, literatki.com

Wszystko się spieprzyło, ale chyba będzie lepiej



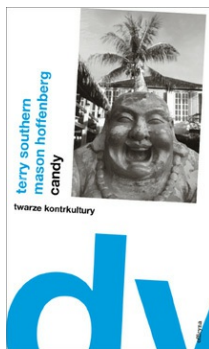
Jedna z najważniejszych powieści amerykańskich lat 60, wydana w 1966 roku przez Random House. Zabawny i przenikliwy obraz uniwersyteckiego campusu ogarniętego rebelianckim wrzeniem. Psychodeliczna podróż przez świat, w którym jak w alchemicznym tyglu zmieszane są erotyka i narkotyki, gargantuiczne obżarstwo i asceza, nauka i rewolucja, kłamstwo i prawda.

Powieść Farini nie jest jednak tylko „jedną z wielu pozycji” interesujących z historycznego punktu widzenia, lecz kolejną, kapitalną próbą realizacji marzenia o „wielkiej amerykańskiej powieści”, której polski przekład trafia do nas z zasmucającym opóźnieniem.

Polski przekład skrzy się energią i nieco wariackim sznytem, znakomicie osadzonymi w polszczyźnie.

Marcin Sendecki „Gazeta Wyborcza”

Candy



Nagroda Literatury na Świecie w kategorii „Proza” dla Macieja Świerkockiego.

Candy to niezwykle piękna i pociągająca, ale naiwna dziewczyna, w swoich poglądach na świat przypominająca nieco Justynę de Sade’a. Jej wrodzona dobroć, a także chęć i wola pomagania ludziom, którzy znaleźli się w poważnych tarapatach, narażają ją na różne komiczne kłopoty i wplątują bohaterkę w farsowe sytuacje seksualne.

Jeden z kluczowych tekstów kontrkultury.

Piotr Kofta, „Wprost”

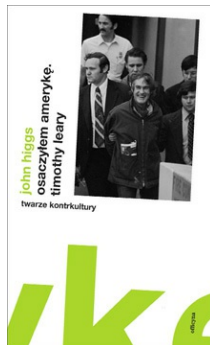
Pełna absurdalnego humoru.

Leszek Bugajski, „Newsweek”

Książkę można odczytywać jako satyrę na rewolucję obyczajową, pod płaszczykiem wyzwolenia zmierzającą do jeszcze większego uprzedmiotowienia kobiet. A choć jest nieodparcie zabawna, jest to ostatecznie śmiech gorzki.

Juliusz Kurkiewicz, „Gazeta Wyborcza”

Osaczyłem Amerykę. Timothy Leary



Błyskotliwa, napisana z werwą i okraszona sporą dozą humoru biografia Timothy'ego Leary'ego, ikony kontrkultury, jednej z najbardziej kontrowersyjnych, a zarazem wpływowych postaci drugiej połowy XX wieku, uznanej przez prezydenta Nixona za wroga publicznego numer jeden. Książkę czyta się jak pełną napięcia i zwrotów akcji powieść - trochę thriller, trochę historię miłosną, trochę gawędę o wzlotach i upadkach bujającego w obłokach psychologa, który chciał się przysłużyć... no właśnie, komu? Ludzkości, własnemu ego?

Leary pozostaje ikoną do dziś, a jego biografia jest – mimo drobnych zastrzeżeń dotyczących także proporcji biografii i analizy – świetną pozycją na rynku wydawniczym. Śmiałą, konsekwentną i żywo opowiadającą losy kontrkultury, która zasługuje na coś więcej niż tylko snucie sentymentalnych wspomnień z drugiej ręki w otoczeniu kadzidełek. John Higgs wyciąga te historie na inny poziom – wartościowej refleksji na temat świata buntu, kontrkultury i współczesnego spojrzenia na psychodeliczną utopię.

Olga Szmidt, e-czas kultury

Lata sześćdziesiąte

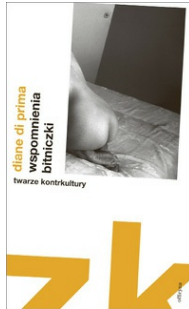


Lata sześćdziesiąte, szczupła książeczka Jenny Diski otwiera świetnie wymyśloną serię „Twarze kontrkultury” Jerzego Jarniewicza i Macieja Świerkockiego. Fenomen narodzin

polityki jako stylu życia, konsumpcji w dzisiejszym wymiarze, komercjalizacji indywidualizmu, ale i praw mniejszości, radykalnej ekologii i rozumnej polityki narkotykowej – to wszystko ma zostać opowiedziane w wielu odsłonach i bliskich zbliżeniach.

Kazimiera Szczuka „Dom i wnętrze”

Wspomnienia bitniczki



Czule pisała o West Village, a później o Greenwich, drobiazgowo portretując każdą nową miejscówkę – dźwięki, zapachy, sposób, w jaki światło rozkłada się na fasadach kamienic. „Wspomnienia” to w dużej mierze książka o doświadczaniu miasta. To ono narzuca formę obcowania ze światem, którego kodem nie był wcale hołubiony przez chłopców nerwowy i rozochocony bop, ale stonowany, zachowujący pozory obojętności cool. (...)

Maciej Boenisch, Dwutygodnik

© for translation and *Nie przed zwykłym sądem* by Jakub Ekier
© for *Parametry Kafki* by Łukasz Musiał
© for Polish edition by Oficyna s.c.

Wydanie II, przejrzone

Korekta: Łukasz Urbaniak

Projekt okładki: Maciej Mraczek / maciejmraczek.pl
Konwersja: Wioletta Kowalska / Violet Deisgn

Wydawnictwa Oficyna s.c.
93-114 Łódź, ul. Przędzalniana 99
www.officyna.com.pl, officyna@officyna.com.pl

ISBN 978-83-62409-58-7

Książka ukazała się przy wsparciu:
austriackie forum kultury^{www}

Książkę polecają:

DOBRE KSIĄŻKI



{ opętani
czytaniem }

